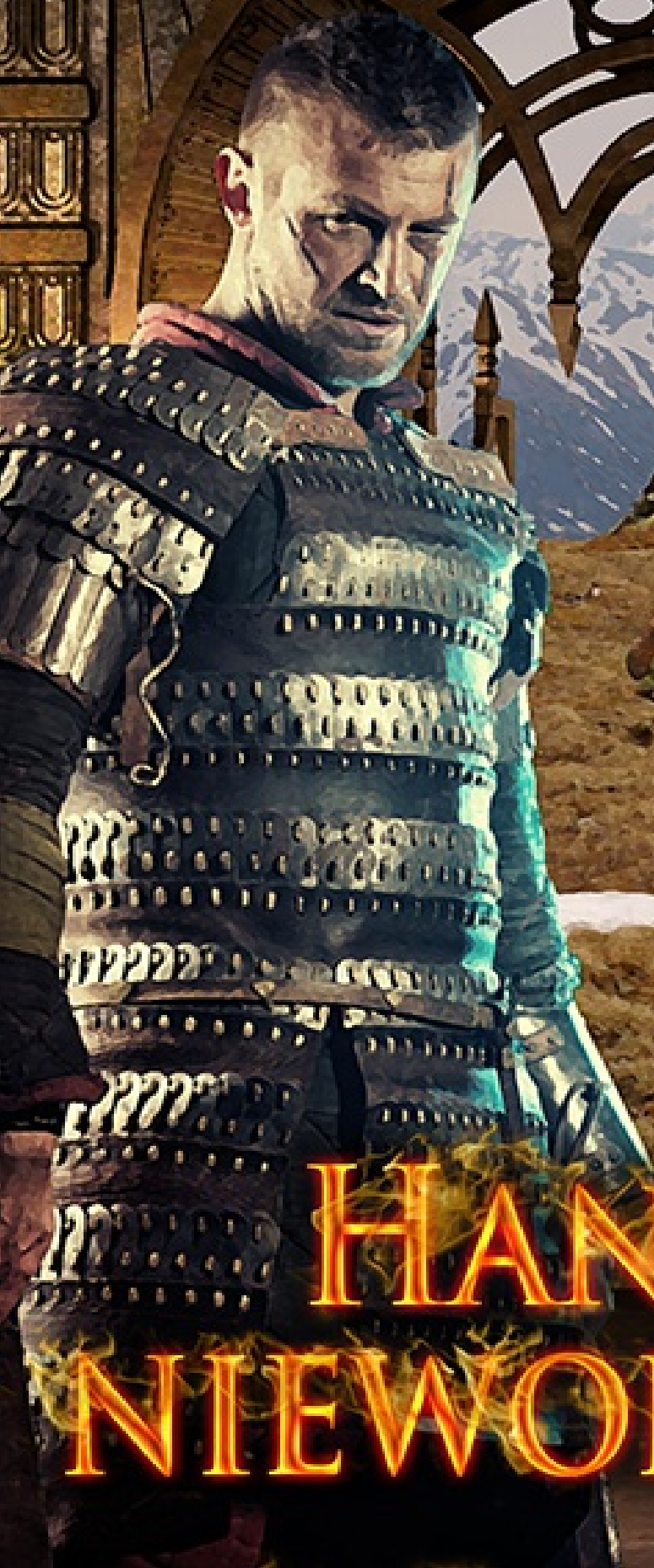


E. M. THORHALL



HANDLARZE
NIEWOLNIKÓW

RW2010

E. M. THORHALL
HANDLARZE NIEWOLNIKÓW
II tom z cyklu
ZBROJNI

Oficyna wydawnicza RW2010 Poznań 2015
Redakcja: Joanna Śłużyńska
Korekta: Robert Wieczorek
Redakcja techniczna zespół RW2010
Copyright © E. M. Thorhall 2013
Okładka copyright © Mateusz Śłużyński 2015
zdjęcie na okładce © Atelier Sommerland / *Fotolia.com*
zdjęcie na okładce © Andrey Kiselev / *Fotolia.com*
Copyright © for the Polish edition by RW2010, 2015
e-wydanie I

ISBN 978-83-7949-109-4

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie całości albo fragmentu – z wyjątkiem cytatów w artykułach i recenzjach – możliwe jest tylko za zgodą wydawcy.

Aby powstała ta książka, nie wycięto ani jednego drzewa.

Oficyna wydawnicza RW2010
Dział handlowy: marketing@rw2010.pl
Zapraszamy do naszego serwisu: www.rw2010.pl

– Wynocha!

Drzwi karczmy otworzyły się z hukiem. Ze środka dobiegały pijackie okrzyki i gwar rozmów. Światło z izby wąską smugą zalało oprószoną śniegiem uliczkę.

Otyły karczmarz, nie bawiąc się w uprzejmości, wypchnął niskiego, chudego mężczyznę na zewnątrz.

– I nie przyłaż tu więcej! – Doprawił kopniakiem swoją prośbę i zatrzasnął za sobą drzwi.

Wyproszony klient zatoczył się. Rozłożył szeroko ramiona, chcąc złapać równowagę. Nie pomogło. Upadł w stertę odgarniętego sprzed wejścia śniegu. Mamrocząc pod nosem przekleństwa, podnosił się niezdarnie. Zdawało się, że na ulicy nie ma żywej duszy. Otaczające ją zrujnowane kamienice rzucały długie cienie na ośnieżony bruk. Zwisające połamane okiennice skrzypiały złowieszczo przy silniejszych podmuchach wiatru, strasząc pustymi oczodołami okien.

Mężczyzna stanął chwiejnie na nogach i obmacał brzuch.

W tej samej chwili spod ściany pobliskiej kamienicy oderwały się dwa cienie. Bezszelestnie doskoczyły do pijanego. W jego oczach pojawił się strach. Otworzył usta do krzyku. Nim zdążył wrzasnąć, jeden z cieni zarzucił na niego płachtę, drugi uderzył go pięścią w głowę. Mężczyzna upadł.

Przytulny gabinet pogrążony był w półmroku rozjaśnionym blaskiem płonących świec. Grube kotary spływały na podłogę, zasłaniając szczelnie okna i nie pozwalając światłu przedostać się na zewnątrz. Na jednej ze ścian wisiała duża mapa Iltarii. Pod drugą umieszczono regał ze stertami papierzysek i pergaminów. Przed oknem, na wprost wejścia, ustawiono biurko, a tuż za nim wygodny fotel. Kolejny, wymoszczony miękkimi poduszkami, stał nieopodal regału. Usłyszawszy kroki, siedzący przy biurku mężczyzna podniósł głowę znad książki i spojrzał w kierunku drzwi. Te uchyliły się. Podłoga zaskrzypiała cicho pod stopami wchodzących.

– Perten we własnej osobie. – Wyższy z przybyszów zdarł z głowy więźnia cuchnącą płachtę.

Niższy popchnął pojmanego, który potknął się i upadł na podłogę.

Thunder wyszedł zza biurka. Ubrany w ozdobnie wyszywany kaftan ze sporą ilością pozłacanych guzów, z gładko związanymi rudymi włosami, wyglądał na możnego mieszkańca Alakor, a nie na szefa jednej z dwu gildii łotrów w Oren.

– Drogi przyjacielu – zaczął zwodniczo uprzejmym tonem, rozkładając szeroko ramiona, jakby chciał uściskać swego „gościa”. – Dobrze się spisaliście. – Na krótką chwilę przeniósł wzrok na najemników.

Mark i Nigel skinęli głowami. Zadanie wykonali, mogli odejść. Jednak Thunder niedbałym gestem ręki nakazał im, by pozostali.

Perten poderwał się z podłogi.

– Thunderze... – zaczął.

– Perten, mój drogi... – Watażka uśmiechnął się szerzej. – Doszły mnie słuchy, że

wystawiłeś naszą przyjaźń na próbę... – Zawiesił znacząco głos.

Perten spocił się ze strachu. W myślach przebiegł wszystkie swoje przewinienia, a było ich sporo. Drobne oszustwa, kradzieże, napaści na kilku obywateli miasta oraz... – nerwowo przełknął ślinę – oraz przywłaszczenie sobie pieniędzy karczmarza. Tego samego, który regularnie płacił Thunderowi wysoki haracz.

– Thunderze... ja... – wyjąkał Perten, obmacując koszulę. – Ja właśnie... – Wygrzebał kieszeń i potrząsnął nią. – Ja właśnie szedłem do ciebie, kiedy tych dwóch – zerknął na stojących przy drzwiach najemników – napadło na mnie. Chcieli zabrać złoto, które ci niosłem.

Thunder roześmiał się. Wyjął z dłoni Pertena kieszeń i wysypał jego zawartość na biurko. Uważnie przeliczył monety.

Pod Pertenem ugięły się nogi.

– Jeszcze to – rzucił szybko, wyciągając ze schowka w spodniach drugi, mniejszy woreczek.

– Ptaszki w mieście ćwierkają, że próbujesz działać sam. – Thunder zabrał drugi woreczek.

– Nie, nigdy! Nie śmiałybym. Nigdy! – zapewniał oszust.

Wiedział, że znalazł się w paskudnej sytuacji. Gorączkowo myślał, jak przekonać szefa łotrów, że jest niewinny, że to jakaś okropna pomyłka albo ukartowana przez zawistnych wrogów intryga, mająca go pogrążyć.

– Nigdy...? Przypomnij sobie karawanę kupców, na którą napadłeś wraz ze swoimi dwoma kompanami. Zapewne niepokoisz się o ich los...

– Nie znam ich! – krzyknął rozpaczliwie Perten. – Nigdy nie miałem nic wspólnego z Kirem i Nedem!

– Wiesz, jaka kara czeka zdrajców?

Thunder skinął na najemników.

Nigel podszedł i złapał Pertena za szyję i podbródek, unieruchamiając w silnym uścisku. Mark zbliżył się z wyciągniętym sztyletem. Pojmany wodził przerażonym wzrokiem od jednego do drugiego.

– Jak zobaczysz cokolwiek, nie mając oczu? Którą z dróg podążysz? – Thunder bawił się przerażeniem ofiary. Ostrze sztyletu zaśniło w blasku świec; było niepokojąco blisko twarzy Pertena.

– Nie! – wychrypiał błagalnie. – Ja... ja wszystko oddam! Pokażę, gdzie jest kryjówka!

Mark uśmiechnął się paskudnie, przesuwając sztylet nad brwią oszusta. Pojawiła się krwawa ryna.

– Zaprowadzę was! – wrzasnął panicznie Perten.

– Trafisz tam po omacku? – Watażka zaśmiał się kpiąco.

Perten zacisnął kurczowo zęby i powieki, ale nie wytrzymał: zmoczył spodnie. Ucisk na jego szyi zelżał. W pokoju rozległ się głośny wybuch śmiechu.

– Złał się! – wył z radości Nigel.

– Złał się, kurwi pomiot! – wtórował mu Mark.

Perten półotwartymi ustami łapał powietrze. Plama na jego spodniach rozszerzała się.

– Drogi przyjacielu. – Thunder spojrział karcąco na trzęsącego się oszusta. – Może byś tak słuchał, zamiast szczać, kiedy do ciebie mówię? – Uderzył go zniecka otwartą dłonią w twarz.

Perten zacisnął nogi i pośladki, starając się zapanować nad zwieraczami.

– Ja... – jęknął rozpaczliwie, opadając na kolana – oddam wszystko i wyniosę się z Oren.

– Mam dla ciebie inną propozycję. – Thunder schwycił go za włosy i odchylił mu głowę, spoglądając w przerażone oczy. – Pojedziesz do Vinryd. Razem z Markiem, Nigelem oraz kilkoma innymi najemnikami. Dostarczysz mi wieśniaków, a ja... – odepchnął Pertena – zapomnę o tym, co zrobiłeś. Potem wyniesiesz się z Oren.

Perten zerwał się z podłogi.

– Zrobię to! – obiecał solennie.

– Dzieci i dorośli – powiedział z naciskiem Thunder. – Jak najprędzej.

Skinął na najemników, którzy złapali Pertena pod ramiona.

– Na pewno to zrobię! – zapewniał wyprowadzany oszust. – Dotrą tu cali i zdrowi!

– Mark... – Thunder spojrział znacząco na najemnika.

Ten w odpowiedzi skinął głową.

– Gdyby nie musiał pilnie wyjechać, zapewne nigdy by się na to nie zgodził. – Irina zachichotała, zagniatając kolejną partię ciasta. Sapnęła, opierając się biodrem o szeroki drewniany stół. Przywieziona przez Willa, od dwóch dni przebywała na zamku, biorąc czynny udział w przygotowaniach do ceremonii zaślubin Seleny i Artcha. Towarzysząca jej Kyla błysnęła zębami w uśmiechu i sięgnęła po misę z zaczynem.

– Stary Zaren... – zamruczała. – Wiesz, że Rebeka chciała mnie za niego wydać? – Skrzywiła się, przypominając sobie przykre wydarzenia.

– Byłabyś moją macochą? – Irina przestała miętosić ciasto i spojrzała na przyjaciółkę. Po krótkiej chwili wybuchnęła głośnym śmiechem.

– To aż takie śmieszne? – Kyla szturchnęła ją łokciem, wygarniając z misy garść zaczynu i łącząc go zgrabnie z resztą mąki.

– Przynajmniej nie miałabyś nic przeciwko Willowi.

– Kto wie, kto wie. – Jasnowłosa zachichotała. – Wygląda jak jeden z tych zbirów, których niegdyś pełno było w lasach.

– Ale jakie on ma oczy... – rozmarzyła się Irina. – Kiedy patrzy na mnie i... – Zarumieniła się, czym prędzej wracając do zagniatania ciasta.

– Kiedy patrzy i... co? – dociekała rozbawiona Kyla. – Tylko nie mów, że zwróciłaś uwagę wyłącznie na jego oczy.

Obie roześmiały się głośno, a rumieniec na policzkach Iriny nabral intensywności.

– A ty? – Uformowała kulę.

– Co ja? – mruknęła Kyla.

– No ty i... – Towarzyszka spojrzała na nią niepewnie. – Morht... Wtedy... z tą wstążką...
– Nie ma czegoś takiego jak ja i Morht. – Uśmiech znikł z twarzy Kyli. – Ciasto już jest dobre. Można je zostawić do wyrośnięcia – zarządziła, rzucając ze złością wyrobioną masę na blat.

Wspomnienie czarnowłosego sprawiło, że stanął jej przed oczami jak żywy. Zacisnęła dłonie na misce, zamknęła oczy. Nie pomogło. Pod powiekami pojawił się obraz surowej twarzy dowódcy zbrojnych. Słowo, które nie licowało z dobrze wychowaną młodą niewiastą, wyrwało się z ust Kyli. Potrząsnęła prędko głową.

Pociągnęła nosem i otworzyła oczy.

– Chleb! – krzyknęła, wyczuwszy słaby swąd spalenizny. Otrzeпаła dłonie z mąki i rzuciła się w stronę pieca.

W kuchni było ciepło i przyjemnie. Buzujący w paleniskach ogień ogrzewał spore pomieszczenie, rozjaśniając je pomarańczowożółtym blaskiem. Unoszące się w powietrzu zapachy gotowanych potraw, pieczonych ciast, wędzonego mięsiwa sprawiały, że krzątającym się tu mieszkankom zamku ślinka ciekła na samą myśl o zbliżającej się wielkimi krokami uczcie.

Podniecenie wywołane oczekiwaniem na tak szczęśliwe wydarzenie jak zaślubiny Seleny i Artcha towarzyszyło prawie wszystkim. Prawie, bo skrzywiona mina Morhta świadczyła jednoznacznie, co myśli na temat ślubu. A gdy Lyanna raz po raz wysyłała któregoś z jego ludzi po sprawunki do Terlin czy Arwen, z trudem powstrzymywał się od riposty, iż jego ludzie nawykli do władania mieczem, a nie do biegania po mieście w poszukiwaniu odpowiedniej wstążki do wplecenia we włosy panny młodej. Jedynie smutne spojrzenie Sir Eryka, zapędzonego do pomocy przy urządzaniu komnaty dla młodych, powstrzymywało go przed ucieczką do arweńskiego zamtu. Nie godziło się opuścić w niedoli długoletniego towarzysza walk i wypraw. Najwidoczniej miał sumienie, choćby szczątkowe, skoro pozostał na zamku, patrząc jednak spode łba na wszystkich i przeklinając w myślach cały ród niewieści, który dał się porwać szaleństwu przygotowań.

Sama Lady Lyanna wzięła na siebie trud zorganizowania uroczystości.

Doglądała przygotowań w kuchni, zleciła uszycie sukni u znamienitego krawca w Slith, rozdzielała zadania pośród najemników, niejednokrotnie zzymając się na nietrafiony jej zdaniem sprawunek przywieziony z targu.

– Niech to trygle porwą – warknął zniechęcony dowódca, spiesznym krokiem oddalając się ku komnatom zwiadowców; okazało się bowiem, że zamówione zioła dostarczono w niewystarczającej ilości. – Urlin! – krzyknął, wszedłszy w korytarz. – Urlin! – Rozzłoszczony głos zmieszał się ze stukotem podkutych butów. – Ktoś musi pojechać po te chędożone zioła – mruzczał pod nosem.

– Pomaga urządzać komnatę młodych – poinformował przechodzący właśnie Trevor.

– A ty dokąd? – Morht zatrzymał najemnika.

– Lady Lyanna kazała... – Kompan zająknął się. – Szpilki do jej nałęczki nie mają właściwego koloru – wyrzucił z siebie zaaferowany. – Mam przywieźć z Terlin inne.

– Co? Szpilki? Szpilki mówisz...? – Zdumiony dowódca uniósł brwi.

– To znaczy łebki szpilek... czy jakoś tak. – Trevor wyciągnął zza pazuchy niewielkie zawiniątko. – Sam zobacz. – Mężczyzna wzruszył bezradnie ramionami. – Te zdobione kule na końcu... – zaczął wyjaśniać.

Morht pokręcił głową z niedowierzaniem.

– Ani słowa więcej.

Trevor spojrział na niego ze smutkiem i czym prędzej odszedł.

Dowódca odprowadził go ponurym wzrokiem. Głośne przekleństwo dobyło się z jego ust. To byli jeszcze jego ludzie? Czy dziewczki biegające na posyłki, służki na zamku? Twierdzy zamienionej w babiniec – opanowanej przez podniecone, piszczące, ganiające po korytarzach białogłowy.

Zaklął kolejny raz. Zmierzał do swojej komnaty, gdzie planował się zamknąć, napić piwa i nie myśleć o tym, że jedną z tych gorączkowo biegających istot jest pewna jasnowłosa dziewczyna.

Tymczasem Kyli udało się uratować chleb od przypalenia. Odetchnęła z ulgą, gdy wyciągnęła z pieca ostatni bochen i zsunęła go z łopaty na ławę. Przedramieniem otarła spocone czoło, uśmiechając się z zadowoleniem.

Musiła przyznać sama przed sobą, że jeśli w kuchni słuchało się innych, bardziej doświadczonych, i robiło, co kazali, to przyrządzanie potraw nie było aż tak skomplikowane. Okazało się nawet całkiem przyjemną czynnością. Wyjąwszy chleby i pozostawivszy ciasta do wyrośnięcia, wróciła do zdobienia upieczonych już placków oraz pilnowania ich przed najemnikami, którzy nęceni aromatami dobywającymi się z pomieszczeń kuchennych zaglądali tu coraz częściej.

Popatrzyła nieprzyjemnie na Sarthusa, który kręcił się przy drzwiach, zerkając z ciekawością do środka.

– Czego tu chcesz? – Wysunęła się zza stołu, przy którym posypywała cukrem jedno z ciast, które później Lyanna włoży do pieca.

– Tak tylko zaglądam. – Uśmiechnął się szeroko, wchodząc do środka. – Nie zostało coś dobrego z obiadu? – zainteresował się, podskubując bezczelnie kawałek świeżo upieczonego chleba. – Mało było, na dworze zimno, a ciepła strawa zawsze... – Wpakował do ust oderwany kawał.

– Sarth! – Kyła zauważyła niecny postępek. – Wynocha stąd! – Z groźną miną ruszyła w stronę zwiadowcy. – Na chwilę nie można was spuścić z oczu!

Najemnik roześmiał się głośno, a widząc Catrinę zamierzającą się ścierką, czym prędzej czmychnął z powrotem za drzwi. Tuż za nimi wpadł na dowódcę i jego zastępcę. Skrzywiona mina Morhta mówiła nader wyraźnie, że jego plan wypicia w spokoju piwa we własnej kwaterze spalił na panewce.

– Nie oddadzą kuchni bez walki – zażartował Sarth. – Małe oblężenie? – zaproponował łobuzersko. Rozbawiony Quen spojrział na przyjaciół. Nadchodzącemu Tharonowi nie trzeba

było dwa razy powtarzać.

Białe zęby dowódcy błysnęły w szelmowskim uśmiechu. Jeśli już musiał brać udział w tym szaleństwie, to przynajmniej skorzysta. A kawałek placka do piwa – wypitego wreszcie w wolnej chwili – to świetny pomysł.

– Sami weźmiemy – odparł cicho Morht, uchylając drzwi kuchni. Wszedł do środka i zagadując zaaferowaną Lyannę o puchary do wina, które miały zostać dostarczone kilka dni temu, wślizgnął się zwinnie pomiędzy nią a stół ze świeżo upieczonymi słodkościami, zasłaniając wchodzącego cichaczem Tharona.

Lyanna nie zauważyła nawet, kiedy ze stołu zniknęły dwa spore placki, które zwiadowcy zręcznie podali pomiędzy sobą, przekazując pozostawionemu za drzwiami Quenowi. Catrina pokręciła głową z oburzeniem. Ariena odwróciła się speszona, gdy tylko spoczęło na niej surowe spojrzenie dowódcy zbrojnych.

Kyla, widząc wchodzącego czarnowłosego, zerknęła na niego spode łba, po czym zabrała się gorliwie za ozdabianie ciast. Po ostatnich wydarzeniach, kiedy to przemarzła na kość podczas przedłużonej warty na wieży, starała się go ignorować. Zaciekle udawała, że ktoś taki jak Morht w ogóle nie istnieje. Co było o tyle trudne, że wciąż pozostawał jej dowódcą i wydawane rozkazy musiała wykonywać. Myśl o tym, aby odejść z drużyny, nie powstała w jej głowie.

Zaaferowana i zmęczona przygotowaniami Catrina rozejrzała się po kuchni, a widząc pałaszującego coś z apetytem Seana, krzyknęła na niego głośno i wygoniła za drzwi. Morht prychnął rozbawiony. Oburzona Lady posłała mu spojrzenie pełne wyrzutu, nie omieszkując przy tym trzepnąć go w ramię umączonym kawałkiem płótna.

– Wynoście się w tej chwili! – rozkazała zdenerwowana.

Pozostałe kobiety podniosły wrzask.

W ogólnym zamieszaniu Morhtowi udało się wynieść kolejne, tym razem pachnące gruszkami, ciasta.

– Nie dostaniecie kolacji! – wrzasnęła rozzłoszczona Lyanna za czmychającymi zwiadowcami. – Żarłoki!

Gliniany kubek rzucony niewprawną dłonią Iriny rozbił się z hukiem o zamykające się za najemnikami drzwi.

– Jak dzieci... – mruknęła Lyanna pod nosem. – Właśnie. Dzieci. Gdzie jest Riv? – zainteresowała się.

– Nie widziałam jej od rana – oznajmiła Kyla, z zapalem ozdabiając ciasto lukrem. Widok uciekającego dowódcy poprawił jej humor. Żałowała tylko, że Irina nie zdołała w niego trafić.

– Przed południem pomagała Erykowi i nowym przynosić rzeczy oraz urządzać komnatę – poinformowała Catrina. – Przynajmniej próbowała pomagać. – Zachichotała, przypominając sobie dociekliwe pytania dziewczynki o wielkość łóżka przyszłych małżonków. – Żałujcie, że nie widziałyście miny Trevora, kiedy spytała go, dlaczego Artch musi spać z Seleną. Taki jest wygadany, a nie wiedział, co jej rzec.

– Mógł powiedzieć, że Artch jest duży, Selena też i potrzebne im duże łóżko – rzuciła

niewinnie Ariena.

– Morht jej wyjaśnił... – Catrina zakrzyła się przy piecu. – Powiedział, że to tajemnica i że Riv ma nikomu nie mówić, ale Artch boi się spać sam. – Wybuchnęła głośnym śmiechem. Kyla jej zawtórowała, dodając:

– Teraz nie będzie już musiał się bać!

– A może właśnie dopiero teraz zacznie się bać nocy – dołączyła do nich w kpinach Irina. Odsunęła się od stołu, przy którym zagniała ciasto, i wytarła omączzone dłonie w fartuch. – Zanim zapadnie zmrok, Selena ku łóżu męża zrobi krok... – zaczęła i również parsknęła śmiechem.

Nawet Lyanna nie umiała ukryć rozbawienia. Złość już dawno jej przeszła. Posypały się żarty i docinki. Kobiety w swoich rozmowach potrafią być o wiele bardziej swawolne niż mężczyźni. I naprawdę lepiej, żeby niektóre rozmowy niewiast pozostały dla mężów tajemnicą. Lyanna pokiwała głową nad tą mądrością, wkładając kolejne ciasto do pieca. Przygotowania wreszcie zbliżały się do końca; wyłączeni z nich zostali tylko Selena z Artchem. Lady kazała im zająć się sobą i nie przeszkadzać.

Dzień później jadalnia na piętrze była już przystrojona, a honorowe miejsca przy stole, które mieli zająć nowożeńcy, odpowiednio oznaczono.

Suknia, zamówiona u krawca w Slith, którą po południu przywiózł Sarthus, spoczywała w jednej ze skrzyń, czekając na odpowiednią chwilę.

Dwa dni później tuż po śniadaniu Will wraz z Quenem pojechali do Terlin po kapłana, który miał udzielić młodej parze ślubu.

Kobiety zaś zebrały się w komnacie Lyanny.

– Taka jestem zdenerwowana. – Selena kręciła się niecierpliwie na krześle, podczas gdy Lady upinała jej włosy. Dziewczyna wyłamywała nerwowo palce, z trudem powstrzymując się od obgryzania paznokci.

– Nie wierć się tak, bo nie pomagasz – mruknęła Lyanna, wplatając kolejną wstążkę w warkocze panny młodej.

– Rodzice już przyjechali? – dopytywała się niecierpliwie Selena. – Może się spóźnią? Może Trevor nie zdążył po nich pojechać? Może koń się poślizgnął, skręcił nogę? – paplała jak najęta. – A co będzie, jeśli ja się potknę albo co gorsza przewrócę? – zmartwiła się, przyglądając nowym butom. – Tak mi nogi dygoczą, że nie ustoję. A jeśli...

– Selena! – huknęła na nią Lyanna z góry. – Przestańże wreszcie marudzić. Wszystko będzie dobrze. Ani się nie potkniesz, ani nie przewrócisz, a rodzice dojadą na czas. – Skończyła strojenie włosów i przyglądała się z dumą swojemu dziełu. – Wkładaj suknię – poleciła tonem nieznoszącym sprzeciwu.

Rozumiała obawy Seleny, która jak każda panna młoda chciała w dniu ślubu wyglądać olśniewająco i nie popełnić żadnego błędu. Rozważna zwykle kucharka wpadła w panikę i zdawało się, że nie za wiele do niej dociera.

– Jeśli Artch marudzi kompanom równie głośno jak ty nam, to znając Morhta, zasztyletuje

go i ślubu nie będzie w ogóle – rzuciła niewinnie Catrina.

Przerażone spojrzenie Seleny wyraźnie dowodziło, że żart potraktowała śmiertelnie poważnie.

– Wyglądasz ślicznie – pochwaliła Kyla, jednak to też nie uspokoiło dziewczyny.

– Nawet jeśli coś pójdzie nie tak, jakbyś chciała, nikt prócz ciebie nie zwróci na to uwagi.

– Lyanna przytuliła Selenę w geście pocieszenia. – Poza tym pamiętaj, że będziemy tam z tobą. I chcemy widzieć cię radosną. No chyba że Artch zmusił cię do czegoś, czego wcale nie chcesz... – Znacząco zawiesiła głos, uśmiechając się lekko.

– Akurat bym mu na to pozwoliła – odparła Selena, która na chwilę odzyskała swoją dawną werwę.

Podniosła się z krzesła i chwiejnym krokiem podeszła do Arieny, która trzymała wyjętą ze skrzyni suknię. Biały jedwab przelewał się miękko przez palce.

Przy pomocy łąziebnej drżącymi ze zdenerwowania rękoma wkładała na siebie strój, kiedy nagle drzwi komnaty się uchyliły.

– Rodzice Seleny – zameldował Trevor, wprowadzając do środka dwoje starszych wieśniaków z pobliskiego Metllas. Słyszając głośnie niewieście piski protestu, czym prędzej umknął za drzwi, ale wcześniej zdążył omieść zachwyconym spojrzeniem na wpół ubraną pannę młodą.

– Matko! – Selena rzuciła się na szyję siwowłosej kobiecie. Uścisnęły się gorąco.

– A na co ty nam poszła z chaty, a? – Nieco wyższy od kobiety mężczyzna popatrzył ze smutkiem na córkę. – Świata się tobie zachciało. Lepszego życia chciała ty zakosztować. A teraz to ciebie jaki zabijaka sobie wziął – narzekał. – Jakby została ty w Metllas, to pewnie by za jakiego uczciwego chłopca wyszła. A ten pewnie zginie gdzieś i sama zostaniesz, biedactwo. I kto...

– Dosyć! – przerwała ostro Lyanna. – Już wiem, po kim Selena odziedziczyła to marudzenie – zakpiła, łagodząc nieco wcześniejszy ton. – Za owego zabijakę możemy poręczyć ja i mój mąż, że bezmyślnie życia nie narazi, a o Selenę zadba – oznajmiła poważnie.

– Ale to nie od nas chłopak, tylko jaki obcy. – Ojciec Seleny popatrzył podejrzliwie na Lady. – A wiadomo, co takiemu do głowy przyjdzie, jak kawałka swojej ziemi nie ma, a? Z czego on będzie żył? Z czego żonę utrzyma, jak nie ma gdzie uprawiać pola ani kóz wypasać? Ty, pani – skłonił lekko głowę – nie pomyślała, a? Jak on...

– Ojczy... – Selena spojrzała na rodziciela, którego żona szturchnęła, aby wreszcie zamilkł. Nie zwrócił na to najmniejszej uwagi.

– I wielki on taki... Ty się córuś nie obronisz, jakby cię uderzyć chciał, a wiesz, że u nas w Metllas to był taki jeden, co codziennie żonę tłukł – przypomniawszy – i źle ze sobą żyli. A jak i wam nie...

– Do ciemnika! Zamknijże się, człowieku! – wybuchnęła Lyanna, gdy zobaczyła, że Selenie łązy stanęły w oczach. Złapała mężczyznę za ramię i pokierowała w stronę drzwi. – Ani on jej, ani ona jemu krzywdy nie zrobi. A wy idźcie do sali, gdzie zebrali się goście – nakazała surowo, wypychając mężczyznę z komnaty. – Trevor! – zakrzyknęła, dostrzegłszy opartego

o ścianę korytarza najemnika. – Wskaż im miejsca!

Matka Seleny poklepała córkę po ramieniu, starając się nie pognieść nowej sukni.

– Nie przejmuj się gadaniem ojca. – Uśmiechnęła się krzepiąco, patrząc na córkę z dumą i miłością. – Stary jest, to i pogadać sobie musi. A temu twojemu Artchowi dobrze z oczu patrzy. Przyzwoity człowiek z niego. – Poklepała jeszcze raz dziewczynę po ramieniu i ruszyła za mężem, co chwila oglądając się za siebie.

– Chodźże, kobieto – mruknął ojciec Seleny – bo jeszcze ten tam – wskazał sękatym palcem na Trevora – siłą nas zaprowadzi. Nic dobrego z takich... – mruczał, idąc przodem. – Nic dobrego... A pamiętasz, jak te czarne zbóje porywali owce, a? – przypomniał żonie. – Widział ja tu takich czarnych... niczym ciemnicy, o których wędrowcy opowiadają... – Przejęty, dobył drżącą ręką zawieszony na szyi kawałek metalu z wizerunkiem Hydrogeniusa. Wiara w boga urodzaju i dobrych plonów wciąż była silna pośród wieśniaków.

Stojąca w drzwiach Lyanna westchnęła ciężko.

Trevor uśmiechnął się, widząc, jak starszy mężczyzna wyciąga medalion w jego stronę i kreśli nim w powietrzu chaotyczne znaki.

– Mnie chroni Wydger. – Wyszczерzył zęby. – Na nic twe starania, starcze.

Starszy mężczyzna zamachał rękami z oburzeniem.

– Zanoś modły do Brusyndy, aby Najstarsi wybaczyli ci te słowa! Bóg walk i nienawiści nikogo nie chroni! Tylko pani dobra i pokoju może obronić lud przed takimi jak ty! – Obmacał nerwowo odzienie. – Gdzieś go tu miałem... – mruknął, zatrzymując się w miejscu. – Gdzie ja to włożył, a? – spytał sam siebie, nie przestając się obmacywać.

Matka Seleny spojrzała przepaszająco na najemnika.

– Masz. – Wyciągnęła z woreczka przy pasie niewielki okrągły przedmiot. – Twoja Brusynda. – Wcisnęła medalion mężowi w dłoń.

– Me nieustraszone dotąd serce zaczyna ogarniać lęk – zadrwił mało grzecznie najemnik.

Ojciec Seleny zerknął na niego podejrzliwie.

– Długo tu jeszcze zamierzacie stać? – spytał swego podwładnego przechodzący korytarzem Morht. Skinął uprzejmie głową rozbawionej Lyannie. – Wszyscy już dawno zebrali się w sali jadalnej.

– Zaznajamiam się z wierzeniami ludu. – Kpina w głosie Trevora była aż nadto czytelna.

Dowódca zgromił go wzrokiem. Trevor westchnął ciężko i ruszył przodem. Rodzice Seleny podążyli za nim.

– Ciemnik... widziała ty, a? – Do uszu Morhta dotarł jeszcze pełen przejęcia głos starca. – Taki czarny jak ci, co owce porywali. Widać ten Wydger silniejszy tu niż nasza Brusynda. – Ścisnął w dłoni medalion.

– Rusz się, stary – burknęła rozeźlona kobieta. – Znowu zepsujesz tym swoim gadaniem całą zabawę – skarciła go.

– Ciemnika ty widziała, a? – powtórzył, oglądając się za Morhtem, jednak popchnięty mało delikatnie przez małżonkę, podreptał posłusznie za przewodnikiem.

– Ciemnik? – Czarnowłosy ściągnął brwi w zadumie. – Czy ja wyglądam na ciemnika? –

Skrzywił się, ruszając za nimi.

– Prędeż na rozdrażnionego trygła – docięła mu Lyanna, zamykając drzwi.

Dobiegł zza nich głośny wybuch gremialnego śmiechu. Dałby sobie rękę odciąć, że rozróżnił chichot Kyli.

– Baby... – mruknął niechętnie.

Lady rozejrzała się po komnacie. Rozbawione mieszkanki zamku paplały pomiędzy sobą.

– Na co się gapicie? Trzeba się pospieszyć – pogoniła je zniecierpliwiona Lyanna. Selena zbliżyła się niepewnie. W jej oczach wciąż lśniły łzy. Lady uśmiechnęła się krzepiąco. – Ubieraj się, bo wszyscy już czekają. Mam powiedzieć Artchowi, że się rozmyśliłaś? – zażartowała.

– Spiesz się, bo wpadnie tu rozdrażniony trygl! – zawołała radośnie Kyła.

– Ciemnik! – dorzuciła, chichocząc, Irina.

Zawtórowały im pozostałe mieszkanki zamku. Nawet Selena dała się ponieść tej fali wesołości, jednak wspomniawszy czekającego na nią ukochanego, szybko dokończyła ubierania. Lyanna poprawiła jej jeszcze włosy, po czym wyjrzała z komnaty, by przywołać Morhta i Quena. Wraz z resztą zbrojnych mieli wprowadzić młodych do sali. Sama zaś, wraz z Kylą i służkami, szybkim krokiem udała się do jadalni.

W komnacie brzęczało niczym w barci, którą dla zabawy ktoś rozgrzebał kijkiem. Podniecone głosy mieszały się ze sobą, co jakiś czas rozlegał się chichot rozgorączkowanych oczekiwaniem dziewczek. Weselnicy kręcili się niecierpliwie na ławach, przepijając do siebie i przegryzając kawałkami placków, które Lyanna kazała podać na stoły. Kapłan czekający na młodych wiercił się nerwowo na swoim krześle, chytrymi oczkami lustrując uważnie wystrój wnętrza.

Drzwi komnaty otworzyły się, pchnięte silną ręką Morhta, i on sam stanął na progu. Oczy zebranych podążyły w jego kierunku. Popatrzył spokojnie na zgromadzonych gości i krzywy uśmiech wygiął mu wargi.

Kapłan zerwał się z miejsca, odstawiając na stół jeden z kunsztownie zdobionych kielichów, któremu się przyglądał, szacując w myślach, ile może być wart. Wydostał się zza stołu, poprawił swą kapłańską szatę, spływającą zwojami białego, połyskującego materiału aż na stopy, i szybkim truchtem dotarł na środek komnaty, stając przed oknami.

Morht śmiałym krokiem ruszył w jego stronę.

Tuż za nim szedł Artch, odziany w ciemnobrązową skórzaną zbroję. Gładko wygolony; długie jasne włosy opadały mu swobodnie na ramiona. Niebieskie oczy spoglądały hardo po zebranych. Przytroczony do pasa miecz, wsunięty w bogato zdobioną pochwę, uderzał lekko w jego udo, gdy równym krokiem podążał za dowódcą.

Kilkunastu najemników idących za nimi utworzyło prowadzący od wejścia szpaler, pod którym miała przejść panna młoda.

Ta zaś, prowadzona przez ojca, wciąż ściskającego w palcach medalion z Brusyndą,

stała drżąca i blada na progu.

Długa, biała suknia ozdobiona złotą szarfą przy dekolcie i na rękawach przydawała jej blasku, a upięte i przeplecione wstęgami warkocze sprawiały, że wyglądała teraz na delikatną, niewinną rodową młodkę, a nie na rezolutną, dziarską kucharkę, która w razie potrzeby i mieczem, i łukiem umiała się posłużyć, a także chochła nierzadko w użyciu bywała.

Zachwiała się lekko, idąc niepewnym krokiem w stronę ukochanego. Zerknęła z pewną obawą na kapłana i stojących w szeregu najemników. Trev uniósł kciuk w górę. Nabrała głęboko powietrza i przeniosła spojrzenie na ojca.

– Rozmyśliła ty się, a? – spytał głośno, z nadzieją.

Morht odchrząknął, tłumiąc śmiech, gdy dojrzał nieszczęśliwą nagle minę Artcha.

Selena pokręciła przecząco głową i pociągnęła ojca w stronę ukochanego. Stała po jego lewej stronie i zarumieniła się. Ojciec machnął ręką ze zrezygnowaniem, ale Lady Lyanna spojrzała na niego tak surowo, że czym prędzej począpał ku siedzącej żonie, mruczając coś niewyraźnie pod nosem.

Najemnicy rozeszli się, zajmując swoje miejsca, a kapłan rozpoczął ceremonię.

Kyla kręciła się niespokojnie, raz po raz spoglądając na puste miejsce obok siebie. A gdy Morht się zbliżył, wbiła wzrok w zastawiony stół.

Rozsiadł się wygodnie, przysuwając sobie puchar z wodą, i upił kilka łyków.

– Ładna uroczystość, prawda? – rzucił kpiąco w stronę podenerwowanej Kyli. – Każda z was o tym marzy. Nie możecie się doczekać, kiedy usidlicie jakiegoś nieszczęśnika i doprowadzicie przed oblicze kapłana. – Szyderczy uśmieszek pojawił się na jego wargach.

Posłała mu wrogie spojrzenie, zaciskając pod stołem dłoń w pięści. By nie myśleć o tym, że Morht, którego starała się unikać, siedzi tuż obok, spróbowała skupić się na obserwowaniu pary młodej. A kapłan mówił i mówił. Kyla miała wrażenie, że powtarza wciąż jedno i to samo, bełkocząc w sobie tylko znanym języku. Dopiero gdy padły pierwsze słowa przysięgi, którą składała sobie młoda para, uśmiechnęła się lekko. Wszak sama pomagała Selenie ułożyć zgrabny list do Artcha. Ciekawe, kto pomagał jemu? Na pewno nie Morht, bo wtedy w odczytanej przysiędze nie byłoby tylu miłych i ciepłych słów. Ze wzruszenia łzy zakręciły się dziewczynie w oczach.

Gdy wreszcie ceremonia zaślubin dobiegła końca, Artch porwał żonę w ramiona i ucałował gorąco. Wśród zgromadzonych wybuchła radosna wrzawa. Podchodzili do nowożeńców, życząc im szczęścia i składając gratulacje.

Kapłan chybcikiem wycofał się na swoje miejsce i złapał puchar z wodą. Upił łyk, skrzywił się, po czym rozejrzał wokoło.

– Racz skorzystać z gościnności młodych i naszej, Najstarszy. – Sir Eryk podsunął kapłanowi dzban z winem.

Wyznawca bogów skwapliwie złapał go i przechylił, napełniając jeden z pustych kielichów. Łapczywie upił kilka łyków. Mlasnął z zadowoleniem. Dopiero gdy już zaspokoił pragnienie, rozejrzał się ponownie po komnacie. Jak to możliwe, że żaden z Najstarszych nie zamieszkał tu na stałe? Wszak słyszał o zamkach oraz dworach, w których stawiano kaplice,

by godnie chwalić bogów. Zerknął z ukosa na Lyannę i Eryka. Jak mogli nie wyznaczyć miejsca, w którym zanoszono by modły do Anderona? Wystawna uczta świadczyła, że na zamku Laghortów biednie nie było. Poza tym zdążył już zauważyć kilka innych rzeczy wskazujących na dostatek gospodarzy. Zatem powinno znaleźć się też miejsce dla Najstarszego. Tak... Kapłan dbający o wyznawców musi zagościć tu na stałe. Zatarł dłonie. Porozmawia o tym z Sir Erykiem. Koniecznie. Chciał zrobić to od razu, ale zaczęto wnosić potrawy i pozostałe trunki. Zapachniało tak apetycznie, że kapłan postanowił chwilowo zrezygnować ze swoich planów i oddać się sprawom znacznie przyjemniejszym niż rozmowa o interesach.

Kyla złożyła już gratulacje młodej parze i zajęła na powrót swoje miejsce. Zamierzała właśnie sięgnąć po dzban z winem, żeby trunkiem ukoić nieco nerwy, kiedy uprzedził ją Morht. Cofnęła szybko dłoń, opierając ją na udzie i zaciskając palce w pięść. Czarnowłosy uśmiechnął się łagodnie, po czym nalał wina do kielicha i podał go dziewczynie nader uprzejmie. Popatrzyła na mężczyznę podejrzliwie, jednak sięgnęła po puchar i czym prędzej przytknęła do ust. Upiła szybko kilka łyków; tymczasem dowódca podsunął jej półmisek wypełniony rybami i warzywami. Z zaskoczenia o mało się nie zakrztusiła. Wszak od kiedy odprawiła go spod drzwi komnaty, nie rozmawiali ze sobą, a ona unikała go jak ognia. Jedynym wyjątkiem były sucho wydawane rozkazy, ale i te ostatnio przekazywał jej Quen.

– Skosztuj tego. – Podał jej kilka obranych orzechów, których zmiażdżone łupiny wrzucił do jednego z pustych kufli.

Zaczerwieniła się, gdy biorąc orzechy, dotknęła szorstkiej dłoni przełożonego. Zdawał się nie zwracać uwagi na zmieszanie dziewczyny i jak gdyby nigdy nic zajął się nakładaniem pieczystego. Zgrabnie kroił płaty mięsa, a gdy skończył, podsunął pełną miskę Kyli.

Nie dowierzała własnym oczom. Rozejrzała się po komnacie – wszyscy byli pochłonięci rozmowami, jedzeniem i piciem. Bard tkwił samotnie w rogu jadalni, wykonując jedną ze swoich rzewnych pieśni. Zarumieniona Seleną słuchała z uwagą szepczącego jej coś na ucho Artcha i wyjadała owoce ze stojącego przed nimi półmiska.

– Jedz – zachęcił Morht. – Nie zatrąłem tego – dodał z ironicznym uśmiechem. Sam zajął się kawałkiem tłustego udźca.

Powstrzymała się od pokazania mu języka jak mała dziewczynka i nie zwlekając dłużej, zabrała się za jedzenie. Kiedy nasyciła pierwszy głód – uparcie starając się ignorować siedzącego obok czarnowłosego, który sprawiał wrażenie całkowicie pochłoniętego posiłkiem i rozmową z Willem – sięgnęła ponownie po dzban. Ku jej zdumieniu Morht dostrzegł ten ruch i czym prędzej osobiście dolał jej wina. Popatrzyła na niego nieufnie, by zaraz potem zerknąć podejrzliwie na Lyannę. Ta jednak uśmiechnęła się spokojnie, nie przerywając prowadzonej z mężem rozmowy.

Kyla potrząsnęła głową, niepewna i zakłopotana. Uprzejmy Morht? To się w głowie nie mieściło. A może zbyt surowo go oceniała? Przypomniała sobie wesołe śmiechy Seleny i dziewczek służebnych, dochodzące z kuchni, gdy wieczorami zaglądali tam najemnicy i grzejąc się w ciepłe, raczyli innych opowiastkami.

Morht tymczasem skończył posiłek i rozparł się na ławie. Przez chwilę podziwiał delikatny profil Kyli.

– Kiedy zatem zaczynamy? – spytał, pochylając się ku dziewczynie.

– Co zaczynamy? – nie zrozumiała.

– Twoją naukę – wyjaśnił. – Rozmawialiśmy o tym w zbrojowni. Pamiętasz?

Zarumieniła się pod jego świdrującym spojrzeniem. Gorączkowo rozważała wszystkie za i przeciw.

– Nigdy – zdecydowała wreszcie.

– Nie zachowuj się jak obrażona Riv. Nie potrzebuję w drużynie kogoś, kto nie potrafi miecza utrzymać – rzucił, po czym napił się wina. – Nie wybaczysz mi tej wieży? – spytał po chwili.

Serce Kyli zakołatało. Zerknęła niepewnie na Vartheńczyka, a napotkawszy przenikliwe spojrzenie czarnych oczu, czym prędzej umknęła wzrokiem. Bliska obecność Morhta peszyła ją, niepokoiła, denerwowała.

– Ani tego... w szopie? – szepnął jej wprost do ucha.

Splonęła się jak piwonia. Opuściła szybko głowę i splotła nerwowo palce pod stołem. Na samo wspomnienie tamtego pocałunku zrobiło jej się gorąco.

– Jak ja cię nienawidzę... – wyrwało jej się.

Parsknął cichym, kpiącym śmiechem.

– Ja też nie palę się do tych treningów. Robię to tylko dlatego, że Lyanna mnie poprosiła.

– Zabiję cię kiedyś! – warknęła rozzłoszczona i zakłęta w myślach. Znowu nie zdołała opanować emocji. Wyprowadzał ją z równowagi zbyt łatwo.

– Możesz spróbować jutro o poranku. – Gorący, pachnący winem oddech owiał policzek Kyli.

Morht najwyraźniej dobrze się bawił, wprawiając ją w coraz większe zakłopotanie. Tego nie mogła mu darować. Odsunęła się i spojrzała na dowódcę surowo. Nabrała głęboko powietrza i starając się zapanować nad drżącym głosem, powiedziała:

– Nie wiem, czy jesteś wystarczająco dobrym nauczycielem.

– A ja nie wiem, czy warto, bym marnował mój cenny czas na nauczanie cię czegokolwiek – odparował.

– To nie marnuj. Lepiej posiedź w terlińskiej karczmie. Tamtejsze dziewczki zapewne już nie mogą się doczekać twoich odwiedzin – rzuciła uszczypliwie, ponieważś żałując, że akurat tych słów użyła.

– Przynajmniej nie kęsają niczym wściekłe bestie. I wiedzą, jak zadbać o mężczyznę. – Odsunął się, sięgając po ciasto z jabłkami. – Jest całkiem dobre, spróbuj.

– Sam sobie zjedz – burknęła, obrażona porównaniem do bestii.

– Z przyjemnością. – Uśmiechnął się szeroko i zatopił zęby w kawałku placka. – Jesteś pewna, że nie chcesz?

– Nie. A ty uważaj, byś się nie udławił!

Przez chwilę walczyła z ochotą, by wcisnąć mu do ust kolejny kawał placka, na tyle spory,

by nie mógł już nic powiedzieć.

– Trudno udławić się czymś tak pysznym, że samo rozplywa się w ustach. Ach... – Klepnął się dłonią w czoło, jakby nagle coś sobie uświadomił. – Wybacz. Zapomniałem, że ty nie masz pojęcia o gotowaniu.

Tego było już za wiele. Nie lubiła, gdy wypominano jej błędy. Zwłaszcza że pomagała w kuchni, starała się czegoś nauczyć. Podniosła się zza stołu, posyłając Morhtowi wrogie spojrzenie.

– Niech cię... – W ostatniej chwili ugryzła się w język i tylko wymamrotała coś niezrozumiale pod nosem. Ale nie darowała sobie i szturchnęła go pięścią w plecy. Na tyle skutecznie, że zakrztusił się przełykanym właśnie plackiem. Potem szybko wyszła z jadalni.

Parę dni później poranek nie zaczął się dla Kyli najlepiej. Nie dość, że mróz znów przybrał na sile, miast wreszcie zacząć ustępować, a wygaszone palenisko w komnacie ciężko było rozpalić, to jeszcze nim za oknem zrobiło się jasno, przybiegła Riv, szczebiocąc radośnie:

– Mojt powiedział, że masz przyjść po śniadaniu do zboro... do zbor... do zobj... Tam, gdzie Will miecyki chowa!

Malutka uśmiechnęła się szeroko i otulona kożuchem po samą główkę pognała niezdarnie dalej. Niedługo potem z dziedzińca dobiegły jej zadowolone piski.

Kyla zdenerwowała się. Dygocząc z zimna, roznieciła ogień i dorzuciła kolejne polano z taką siłą, że aż iskry prysnęły. Ogień przygasł. Zaklęła głośno, po czym rezygnując z dalszych prób rozpalenia w kominku, ubrała się ciepło i na drżących nogach zeszła do pustej o tej porze jadalni.

Minęła się w drzwiach z wychodzącą akurat z ciepłej kuchni Catriną i usiadła nieopodal buchającego płomieniami pieca.

– Wyglądasz, jakbyś nie spała całą noc – powitała ją Selena, krzątająca się przy śniadaniu. Kyla wzruszyła niemrawo ramionami.

– Nie lubię zimy – mruknęła, sięgając po pajdę chleba.

Odgryzła kawałek i żuła go dłuższą chwilę. Wreszcie przełknęła kęs i westchnęła ciężko. Nie wyobrażała sobie nauki pod okiem Morhta. Will, Artch, Trevor, nawet zwinny Sarthus... Ktokolwiek, byle nie Morht!

Catrina postawiła przed nią kubek z gorącym naparem. Kyla uśmiechnęła się z wdzięcznością i parząc sobie usta, upiła kilka łyków.

Pomimo niemiłej wymiany zdań podczas zaślubin podjęła rzucone przez Morhta wyzwanie. Nie była do końca przekonana, czy dobrze robi, ale jeśli chciała nauczyć się czegoś więcej, chyba nie miała wyboru. Lyanna z niezachwianą pewnością w głosie powtarzała, że lepszego wojownika i nauczyciela niż Morht nie ma. A uczyć się przecież trzeba od najlepszych. Poza tym nie chciała, aby dowódca pomyślał, że jest tchórzem. Dlaczego akurat tego argumentu użyła, próbując przekonać samą siebie do lekcji z Vartheńczykiem? Co chciała udowodnić? I komu: sobie czy jemu? Zgrzytnęła ze złości

zębami, przypominając sobie oschłe słowa dowódcy: „Nie potrzebuję w drużynie kogoś, kto nie potrafi miecza utrzymać”.

– Właśnie, że potrafię – mruknęła pod nosem, odsuwając od siebie kubek.

Dotarł do niej gwar rozmów schodzących do jadalni zwiadowców. Niski głos Morhta wywołał przyspieszone bicie serca.

– Obyś pijał psie szczyny! – wyrwało jej się na tyle głośno, że Selena, napełniająca miski, popatrzyła na nią zaskoczona.

Kyla zaczerwieniła się i zerwała od stołu. Zapach potrawy rozlewanej do misek wywołał skurcz żołądka. Zamachała rękami, po czym szybkim krokiem wyszła z kuchni; postanowiła zaczekać na dowódcę na dziedzińcu.

Zdażyła zmarznąć i przemierzyć kilkakrotnie krużganki, zanim wreszcie dojrzała na schodach jego sylwetkę. Popatrzył na dziewczynę obojętnie i skinął ręką, nakazując jej iść za sobą. Wymruczała pod nosem kilka nieprzychylnych słów.

Idąc przez zaśnieżony dziedziniec, pomyślała, że nie trzeba wiele – na przykład wystarczy silniejsze pchnięcie – by nie utrzymał się na nogach. Rozważając wbicie Morhtowi czegoś ostrego w plecy, jeśli znowu wyprowadzi ją z równowagi, mało na niego nie wpadła, gdy zatrzymał się przed zbrojownią.

Nim weszli, dowódca popatrzył jeszcze krytycznie na dziedziniec. Śniegu znowu nasypało, a nikt nie zajął się jeszcze jego odgarnięciem. Będzie musiał pogonić swoich ludzi. Ostatnio się rozleniwili.

– Czym do tej pory najlepiej ci się walczyło? – spytał, otwierając ze zgrzytem drzwi.

– Mieczem jednoręcznym – odparła, wchodząc za mężczyznę do środka zbrojowni.

Tupnęła kilka razy, chcąc pozbyć się śniegu z butów.

– To dobre na początek – oznajmił. – A ty przecież zamierzasz nauczyć się czegoś więcej... – Przyglądał się z uwagą zawieszanej na ścianie broni. – Prawda? – dodał ironicznie. – Ale takim jednoręcznym też trzeba umieć wywijać, żeby sobie krzywdy nie zrobić. Bądź nie przyprowadź przeciwnika o śmierć ze śmiechu. Chociaż to też jakiś sposób...

– Zawsze możesz mnie znowu za karę wysłać na wieżę – odcięła się.

Morht odwrócił się gwałtownie. Drgnęła przestraszona jego ponurą miną. Przezornie cofnęła się o krok.

– Naprawdę nie może uczyć mnie Will albo ktoś inny? – spytała.

– Pewnie może – odrzekł chłodno, na powrót przyglądając się broni – ale jak już mówiłem, lubię wyzwania. A nauczanie kobiety czegokolwiek jest sporym wyzwaniem.

Zgrzytnęła zębami ze złości. W duchu obiecała sobie, że tym razem nie pozwoli się wyprowadzić z równowagi. A zaraz potem zakłęła pod nosem, uświadamiając sobie, że już ją zdenerwował. Vartheńczyk wyzwał w niej emocje, nad którymi nie umiała zapanować. Drażnił ją, prowokował do przekory, a jednocześnie pociągał w sposób, którego nie rozumiała.

– Zobacz ten. – Podał Kyli długi miecz półtoraręczny, obserwując ją uważnie.

Wzięła broń do ręki i wyciągnęła przed siebie. Miecz był cięższy od tego, którym zwykle

ćwiczyła. I jakiś nieporęczny. Niezbyt wygodnie trzymało go się w jednej ręce. Podtrzymała rękojęść drugą dłonią. O, tak było o wiele lepiej.

– Jest trochę cięższy niż twój – niespodziewanie usłyszała głos Morhta dobiegający z tyłu.

Stanął za plecami dziewczyny, obejmując ją ramionami i pomagając utrzymać broń w ręce. Odruchowo oparła się o jego szeroką pierś.

– Zmień ułożenie. – Palce mężczyzny przesunęły się powoli po dłoniach Kyli, kiedy poprawiał jej uchwyt na rękojęści. – Będzie wygodniej i łatwiej. – Oddech Vartheńczyka musnął wrażliwą skórę tuż przy uchu, a on sam z trudem powstrzymał się od złożenia tam lekkiego pocałunku.

Wbrew sobie zadrżała i odwróciła głowę, spoglądając niepewnie na dowódcę. Morht chrząknął i odstąpił od dziewczyny, ruszając w stronę stojaków ze zbrojami. Pozbawiona nagle oparcia, rozkojarzona, zachwiała się pod ciężarem miecza, który uderzył czubkiem o kamienną podłogę. Nawet nie odwrócił głowy, słysząc zgrzyt stali, jednak kąciki jego warg uniosły się w krzywym uśmiešku.

Dłuższą chwilę przyglądał się kolczugom, by wreszcie zdjąć jedną z nich i podać Kyli.

– Nałóż – polecił, zabierając jej miecz i unosząc z taką łatwością, jakby nic nie ważył.

Popatrzyła na mężczyznę zaskoczona. Wcześniej nie kazano jej nakładać na siebie niczego poza zwykłym odzieniem. Czasami tylko Will wspominał coś o śmiesznie grubym kaftanie. Poza tym kolczuga do najłżejszych nie należała. Ostrożnie, obawiając się wplątania włosów w oczka kolczugi, wsunęła ją przez głowę. Koszulka wykonana z połączonych ze sobą metalowych kółeczek sięgała bioder; rękaw kończył się w okolicy łokcia. Była ciężka i niewygodna. Przynajmniej dla Kyli.

– To jest konieczne? Nie widziałam, aby inni w nich ćwiczyli – zaprotestowała nieśmiało. Morht uśmiechnął się szeroko.

– Jeśli nie chcesz, nie musisz jej nosić – odparł, poprawiając kolczugę na ramionach dziewczyny. – Jednak nie biegnij poskarżyć się Lyannie czy Erykowi, gdy cię zranię – dorzucił lekko. – A co do innych... Po prostu nie zwróciłaś uwagi, że często narzucają na kolczugę luźne koszule. W ogóle zbyt mało rzeczy zauważasz. Nie powinno mnie to dziwić, jesteś przecież kobietą. Większość z was nie jest zbyt bystra.

Pomięła milczeniem kąśliwe uwagi.

– Jest trochę za ciężka – odparła, próbując unieść ręce do góry.

– Będzie cię chronić przed ostrzem, przynajmniej częściowo. O wiele lepsza byłaby pełna zbroja, ale w niej nie zrobiłabyś nawet jednego kroku – wyjaśnił, wskazując na stojak ze stalowym kirysem i lśniącymi nogawicami. – Możesz jeszcze włożyć to... – Odwrócił się i wskazał ręką kaftan uszyty z kilku warstw materiału.

– Lepiej powiedz do razu, że planujesz się mnie pozbyć – burknęła.

Parsknął śmiechem.

– Nie ukrywam, ciekawy pomysł.

Wzruszyła ramionami. Wolą nie dociekać, co ma na myśli.

– Jak założę pod spód przesywanicę, to już w ogóle się nie ruszę – stwierdziła, starając

się panować nad głosem. Tylko bogowie raczyli wiedzieć, co Morhtowi chodziło po głowie. Lepiej nie okazywać przy nim niepewności.

– To też nie byłoby takie złe – zakpił, a Kyla poczuła dziwny dreszcz przebiegający po kręgosłupie. – Pozwól jednak, że na razie poprzestanę na próbie nauczania cię czegokolwiek. – Ponownie podał jej miecz. – Spróbuj się z nim oswoić – polecił.

Odsunął się i przyjrzał dziewczynie. Potem zaczął szukać czegoś przy pasie, który zwykle nosił na biodrach.

Niezgrabnie uniosła miecz w górę, starając się stać prosto mimo ciężaru kolczugi i utrzymanego w rękach oręża.

– No to masz zajęcie na najbliższą godzinę. – Morht zbliżył się do Kyli; w dłoni trzymał rzemień.

Stanął tuż przed nią, zręcznie zebrał rozpuszczone włosy dziewczyny i przewiązał. Przez chwilę myślała, że dowódca zamierza ją pocałować. Nerwowo oblizwała wargi.

– Mam nadzieję – wycedził, przyglądając się jej uważnie – że mogę cię tu zostawić samą do przedpołudnia i nie zrobisz sobie krzywdy. Chodź w tym, biegaj, skacz, tańcz, tarzaj się po posadzce. Cokolwiek, byle w ruchu. Nawet śpiewać możesz. Wypłoszy to resztę wilków z okolicy.

– Poradzę sobie – odparła, czując się nieswojo, gdy był tak blisko.

– To zabieraj się do roboty. Przez kilka dni na tym będzie polegała twoja nauka – wyjaśnił. – Musisz przyzwycząić się do ciężaru miecza i kolczugi. Nie moja wina, że jesteś tylko słabą kobietą. Pachołek znajduje się w drugiej izbie, gdybyś zapomniała, gdzie zwykle stoi. Możesz go poobijać – pozwolił łaskawie, po czym wyszedł ze zbrojowni, zamykając za sobą cicho drzwi.

Długą chwilę patrzyła za nim, zastanawiając się, czy porysowanie jednej ze zbroi, o które tak dbał, będzie wystarczającą zemstą za docinki. Wreszcie westchnęła ciężko i spróbowała zamachnąć się mieczem.

Po kilkunastu próbach była już tak zmęczona, jakby cały dzień ćwiczyła z Willem. Kolczuga wbijała się boleśnie w ramiona, a omdlałe z wysiłku dłonie nie chciały utrzymać rękojeści. Na usta cisnęły się przekleństwa, gdy miecz kolejny raz wypadł jej z rąk.

– Nie myśl sobie, że tak łatwo się poddam – mruknęła pod nosem, zaciskając zęby i podnosząc leżący oręż.

Kilkanaście dni później radziła sobie już o wiele lepiej. Przywykła do kolczugi, miecz też zdawał się jakby lżejszy. I nawet udało jej się kilka razy sparować uderzenia Morhta, kiedy pierwszy raz walczyli razem. Chociaż właściwie trudno nazwać to walką. Ot, próbował wytrącić jej miecz z rąk swoją bronią, a że przy okazji wykonał kilka niespodziewanych pchnięć... Zareagowała instynktownie, parując i odskakując. Coś jednak zapamiętała z nauk Lyanny i Willa.

Po miesiącu Vartheńczyk wciąż nie był zadowolony ze swojej uczennicy. Owszem, kilka

szturek opanowała nadzwyczaj szybko i sprawnie, jednak to było zdecydowanie za mało. Może za bardzo ją oszczędzał? Sam przed sobą musiał przyznać, że nowo przybyłych do drużyny traktował surowiej. Tyle że tamci byli chłopcami, mężczyznami, w większości nawykłymi do trudnych warunków, silniejszymi, a ona...

„Ona nie jest delikatną damą wychowaną od urodzenia na dworze – przemknęło mu przez głowę. Westchnął ciężko. Przeczesał palcami włosy. – Nie obce jej męskie zajęcia – rozmyślał. – Ale jest kobietą... – skrzywił się. – A z nimi to nigdy nic nie wiadomo...”

Siedział w zbrojowni, czekając na Kyle, i zastanawiał się.

To na pewno nie był szczyt jej możliwości. Widział, z jakim zacięciem próbowała odebrać Darayowi swoją wstążkę. Widział złość, determinację. I właśnie tego podczas ćwiczeń mu brakowało. Walczyła, atakowała, z łatwością parowała ciosy, unikała niektórych pchnięć, umykając zwinnie i nierzadko w ostatniej chwili przed ostrzem, jednak miał wrażenie, że nie wkładała w to serca. Nie walczyła, jakby coś jej groziło, nie próbowała nawet podjąć ryzyka prawdziwej walki, bo czuła się... bezpiecznie. Nie wierzyła, że może jej się stać coś złego. Nauczyciel nie był groźnym, pojawiającym się niespodziewanie przeciwnikiem, przed którym trzeba się obronić. Zmarszczył czoło w skupieniu. Tak... zdecydowanie za bardzo ją oszczędzał. Jeśli trafi na prawdziwego wroga i będzie musiała walczyć na śmierć i życie, nie poradzi sobie. Wolał nie myśleć w tej chwili, jak mogłoby się to dla niej skończyć. Zresztą... dlaczego w ogóle się tym przejmował? Ale się przejmował. Zaklął głośno.

– Jak obudzić w tobie ducha walki? – szepnął zamyślony, obracając w palcach jeden ze swoich sztyletów. Jego ludzie nie mieli takich kłopotów. Wręcz rwali się do bitki.

Kiedy wreszcie zgrzytnęły otwierane drzwi, miał już w głowie gotowy plan. Plan, którego z pewnością nie pochwaliby ani Lyanna, ani Eryk, ale – mówiąc szczerze – mało go to obchodziło.

Śnieg wciąż jeszcze zalegał na dziedzińcu, jednak surowym tonem nakazał dziewczynie wyjść na zewnątrz. Ku swojemu zadowoleniu zauważył, że od pewnego czasu zakładała, oprócz przeszywanicy i nogawic, skórzany kaftan, którego rękawy wystawały spod kolczugi. I o dziwo poruszała się w tym wszystkim sprawnie. Łebka wciśnięta na przeszywany czepiec, by chronić głowę, dopełniała całości stroju.

– Zimno jest – poskarżyła się, spoglądając na Trevora odgarniającego śnieg z placu. Ubrany w dwie grube tuniki, okutany wymiętym płaszczem najemnik pomachał do niej ręką odzianą w solidną rękawicę. Morht popatrzył na niego krzywo.

– Zimno? Czyżbyś chciała rozgrzać się w alkwie któregoś z naszych chłopców? – rzucił od niechcienia.

– Co? – Kyła spojrzała na niego zaskoczona. Na policzkach pojawił się rumieniec oburzenia. – Jak śmiesz! – syknęła. – Nie pozwalaj sobie. To, że mnie uczysz, nie upoważnia cię do...

– Pobiegniesz poskarżyć się Lyannie? – przerwał jej kpiąco. – To ty nie pozwalaj sobie na nieuwagę. – Czubkiem miecza dotknął ramienia dziewczyny. – Rozproszenie może cię kosztować zbyt wiele – oznajmił oschle. – Już widzę, jak się wściekasz, stojąc przed znacznie

większym i silniejszym przeciwnikiem. Jak ślicznie się rumienisz, kiedy oznajmi, że ma zamiar poznać bliżej walory twojego ciała. – Opuścił miecz, podchodząc bliżej. Bezcelnie zlustrował sylwetkę uczennicy. – Zapominasz tylko, że to nie będzie któryś ze szlachetnych rycerzy, spieszących na pomoc niewinnej damie, o których tak chętnie śpiewają bardowie. Uwierz mi, że w rzeczywistości wygląda to zupełnie inaczej. I wiesz, co będzie dalej? Zrani cię, pokona, a potem posiadzie, jak będzie chciał i ile razy będzie chciał. – Wbił w nią surowe spojrzenie. – A ty nie zrobisz nic, bo dałaś się zaskoczyć. Chociaż może o to ci właśnie chodzi... – Przechylił głowę, posyłając jej złośliwy uśmiezek. – Może tego właśnie chcesz?

Zamrugła oszołomiona, nie spuszczając wystraszonego wzroku z Vartheńczyka. Co za bzdury wygadywał? Zacisnęła palce na rękojeści.

– Przestań! – krzyknęła, odsuwając się prędko.

Roześmiał się śmiechem, który sprawił, że serce podeszło jej do gardła. Nienawidziła sytuacji, kiedy swoim zachowaniem wzbudzał w niej lęk.

– Przestań...? – Roześmiał się jeszcze głośniejszym głosem. – Och, wybacz, straszny wrogu, me nieśmiałe pytanie, ale czy mógłbyś skierować miecz w inną stronę? – drwił bezlitośnie, przedrzeźniając cienki kobiecy głos. – Nawet nie zdążysz zapytać, rozumiesz? – warknął, zmieniając ton i robiąc krok do przodu. – A twój przeciwnik nie będzie o nic pytał. Zaatakuje. Od razu. – Wraz z kolejnym krokiem w stronę Kyli świsnęło ostrze miecza.

– Przestań! – wrzasnęła histerycznie, gdy stał mignęła jej przed oczami. Nie rozumiała, dlaczego tego poranka Morht zachowuje się inaczej niż w przeciągu ostatnich tygodni nauki.

Popatrzył z pogardą na wystraszoną dziewczynę.

– Zawsze możesz obiecać, że jeśli odstąpi od zamiaru grabieży i mordu, to chętnie wynagrodzisz mu to sobą – wycedził zimno, choć na samą myśl, iż ktoś mógłby skrzywdzić Kyłę, poczuł palącą, niezrozumiałą wściekłość.

Sobą? Miałaby pozwolić jakiemuś zbirowi, aby ją posiadał?! Przez głowę przemknął jej obraz starego, tłustego Zarena. Zatrzęsa się z obrzydzenia. Ścisnęła mocniej rękojeść miecza. Venim, wygadujący okropne rzeczy... Ohydny, śmierdzący winem Daray, zabierający jej wstążkę... Zacerwieniła się jeszcze bardziej. Morht... i jego docinki... Strach, który czuła jeszcze przed chwilą, zaczynał ustępować miejsca złości.

– Co ty sobie wyobrażasz? – Niebieskie oczy rozblęsnęły gniewem. – Wydaje ci się, że możesz...

– Nie wydaje mi się – znowu jej przerwał. – Boisz się. Błąd! Skup się na tym, co robisz. – Ponownie skierował ostrze w jej stronę. – Nie daj się zastraszyć. Jeśli znajdziesz się na trakcie i napadnie na ciebie grupa zbirów, nie zdążysz nawet sięgnąć po łuk. Może uda ci się rzucić sztyletem, ale... nikt nie będzie czekał, aż to zrobisz. Trafisz jednego, pozostali ściągają cię z konia i ostatecznie pozostanie ci tylko walka w zwarciu. Jesteś słabsza niż przeciętny mężczyzna – dodał ciszej. – Albo utrzymasz napastnika z dala od siebie i odważysz się walczyć, tak by go pokonać, albo zostaniesz potraktowana w sposób, w jaki zapewne byś nie chciała.

Miał rację, niestety, choć wołała sobie nie wyobrażać podobnej sytuacji.

– Zamknij się! – warknęła, odtrącając swoim mieczem ostrze Morhta, który nie czekając, aż dziewczyna się przygotuje, znowu zaatakował, uderzając ją boleśnie płazem w nogi.

– Oszalałeś? – krzyknęła zaskoczona, odskakując pospiesznie. Poczła się niepewnie. Nigdy wcześniej podczas ich treningów tak się nie zachowywał. Nie straszył jej, nie próbował naprawdę zranić. Nie wiedziała, co się dzieje. – Co ty robisz? Zaczekaj...

Prychnął głośno, po czym doskoczył do niej ponownie, celując tym razem w biodro. Syknęła cicho, kiedy poczuła ból rozlewający się po ciele.

– Zaczekaj? Za słaba jesteś po prostu! Nigdy nie uda ci się obronić – rzucił kpiąco, nie przestając zadawać kolejnych pchnięć. Próbowwała je parować, cofając się i nie spuszczać oczu z nauczyciela.

Odgadła, że krok po kroku kieruje ją w róg dziedzińca, niczym pies okrążający stado kóz i zaganiający je do zagrody. Pułapka, oceniła szybko. Jeśli mu na to pozwoli, będzie musiała się poddać. Jeśli zaś nie pozwoli... Poszukała wzrokiem miejsca, gdzie mogłaby odskoczyć, tak by nie dać się zapędzić w kąt.

– Kobiety nie nadają się do walki – z ust Morhta padła kolejna drwina. – Ich miejsce jest w kuchni, ale ty nawet tam sobie nie radzisz. A może lepiej poszłoby ci w moim łóżu? – kpił bezlitośnie.

Poczęła ogarniać ją coraz większa złość na dowódcę. Początkowo myślała, że być może Morht ma dzisiaj gorszy dzień i chce się na kimś wyżyć. Tylko dlaczego na niej? Do oczu napłynęły niechciane łzy. Dlaczego aż tak jej nienawidził? Dlaczego mówił takie okropne rzeczy? Przecież starała się nauczyć tego wszystkiego, co pokazywał. I sądziła, że jest zadowolony z jej postępów. Kilka razy nawet ją pochwalił, zachęcając do dalszych ćwiczeń. Zaczęła powoli zmieniać zdanie na jego temat. Miała wrażenie, że dzięki wspólnym treningom nieco zbliżyli się do siebie. Był zupełnie inny, uśmiechał się, żartował. I patrzył czasami tak, że robiło jej się gorąco... Naiwnie sądziła, że może ją trochę polubił i będzie traktował tak samo jak pozostałe mieszkanki zamku. A teraz... nie rozumiała, co go napadło? Cokolwiek jednak by się nie stało, nie powinien w ten sposób się zachowywać. O nie, nie rozplacze się! Nie zobaczy jej łez. I nie pozwoli, aby bezkarnie ją obrażał.

Zacisnęła zęby i z całej siły odparowała jego cięcie. Głośny brzęk metalu zwrócił uwagę Trevora, który przerwał odśnieżanie i stał, przyglądając się w milczeniu walce.

– Nienawidzę cię – wydyszała, nie poddając się. Żałowała, że nie ma w drugiej ręce tarczy, którą mogłaby uderzyć Morhta w łeb, ścierając z jego twarzy ten drwiący uśmiech, który doprowadzał ją do szału.

– Twoje prawo – zgodził się czarnowłosy, umiejętnie spychając ją pod arkady. – Córka Darhera, a nie potrafi mieczem władać – zakpił znowu.

Serce Kyli ścisnął ból. Jak śmiał wspominać o jej ojcu? Z oburzenia dziewczynie odebrało głos. Cholerny Vartheńczyk!

– Darher widać też nie umiał, skoro dał się zabić. – Morht pozwolił sobie na następny złośliwy przytyk, obserwując uważnie reakcje dziewczyny. Kyła na przemian bladła

i czerwieniała, a w jej oczach błyskała wściekłość. – On też był słaby i tchórzliwy – dorzucił, widząc, że jego słowa trafiają w czuły punkt. Dużo celniej niż komentarze dotyczące umiejętności posiadanych przez dziewczki z karczmy czy zamtuзу.

Kyli na chwilę pociemniało przed oczami, a krew w żyłach zaczęła krążyć jeszcze szybciej.

– Ty... pieprzony... sukinsynie... – wycodziła dobitnie. – Nigdy nie mów w ten sposób o moim ojcu! – wrzasnęła, po czym ze zdwojoną energią i narastającą desperacją natarła na czarnowłosego. – Był dobrym wojownikiem! – krzyknęła jeszcze głośniej, próbując osiągnąć Morhta sztychem miecza.

Cofał się, pozwalając jej na ataki i odbijając bez trudu pchnięcia, które zadawała. Ku swojemu zaskoczeniu, ale i ukontentowaniu zauważył, że im bardziej się denerwowała, tym więcej w niej było determinacji, by go pokonać. Czyżby jego plan działał? Był z siebie zadowolony. Wywołał w niej gniew i teraz nie walczyła ostrożnie, niepewnie, tak jak wcześniej. Z każdego jej ruchu przebijała furia dodająca sił. Jednak zdawała się nad nią nie panować, zadając część uderzeń na oślep. Rozpaczliwie próbowała pokonać nauczyciela, by odegrać się za złościwości. Przypomniało mu się, kiedy po raz pierwszy sprowokował w ten sposób Lyannę. Użył wtedy nieco innych słów... Bo też Lady była drażliwa na zupełnie innym punkcie. Kobiety... Jak łatwo je rozszyfrować. Jak łatwo odkryć ich słabe strony. A zrazem jak trudno im je wskazać i oduczyć impulsywnego reagowania, kiedy ktoś poruszy niebezpieczny temat.

Kolejny uśmieszek, który uniósł kąciki jego warg, również nie spodobał się Kyli. Nikt nie będzie z niej drwił, nawet dowódca. Dziewczynę ogarnęła potężna fala wściekłości, która musiała znaleźć ujście. Sama nie rozumiała, co się z nią dzieje. W głowie pulsowało jedno pragnienie: dorwać Morhta i zatopić ostrze w jego ciele. Najlepiej od razu w sercu, tak aby wreszcie zamilkł. Nigdy wcześniej nie czuła do Vartheńczyka takiej nienawiści jak w tej właśnie chwili. Z zaciekłością zaatakowała kolejny raz. Teraz to ona spychała go w róg dziedzińca.

Czy raczej on jej na to pozwalał...

Lyanna, która zeszła na dziedziniec, widząc zagorzałą walkę, przystanęła obok Trevora. Najemnik już dawno przerwał odśnieżanie, przyglądając się z zaciekawieniem dowódcy i bratanicy Eryka.

– Czy on oszalał...? – spytała niespokojnie Lady, obserwując oboje walczących.

Trevor pokręcił przecząco głową.

– Chciałbym, aby chociaż raz został pokonany. Zapomniał widać, że rozwścieczonej kobiecie lepiej zejść z drogi. – Spojrzał porozumiewawczo na Lyannę. Oboje wiedzieli, co ma na myśli.

– No tak... Jedną z prowokacji Morhta – mruknęła. – I za to go Eryk ceni. Potrafi z każdego wykrzesać ogień. Prawda, Trev? – Zaśmiała się, poklepując najemnika po ramieniu.

Ten wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu.

Kyla czuła, że spływa potem. Łapała szybko oddech, nie pozwalając ani na chwilę

wytrącić się z równowagi, chociaż coraz bardziej zaczynał dokuczać jej ból mięśni, zmuszonych do zwiększonego wysiłku. Zdała sobie sprawę, że jeśli będzie atakować na oślep, przegra. A widząc surowy wyraz twarzy Morhta, uświadomiła sobie, że nie odpuści. Musiała się opanować. Zmusiła się do skupienia, precyzyjnie wymierzała cięcia, wykorzystując sztuczki, których ją nauczył. Morhtowi zmęczenie zdawało się w ogóle nie doskwierać, ale musiał przyznać – choćby sam przed sobą – że radziła sobie dobrze. Nawet lepiej niż dobrze.

Była pewna swojej wygranej, kiedy nagle miał sparować cięcie, uskoczył zwinnie, a ona, ciągnięta siłą własnego impetu, poleciała do przodu. Z trudem złapała równowagę. Zakłęła głośno a szpetnie. Oto skutki zadawania się z najemnikami.

Morht wykorzystał okazję i popchnął ją, podcinając nogi. Nim się zorientowała, leżała na dziedzińcu. Miecz upadł z brzękiem na odsnieżony w tym miejscu plac.

– Wstawaj. – Stał nad nią, dotykając czubkiem swojego miecza jej ramienia.

– Nie mam siły – wydyszała ciężko.

– Wstawaj. – Docisnął mocniej ostrze, wbijając w dziewczynę martwe spojrzenie.

Czuła coraz silniejszy nacisk na ramię. Czubek miecza zagłębił się między oczkami kolczugi, opierając o skórzany kaftan. Jeszcze chwila, a rozetnie go, docierając do przesywanicy...

– Zwariowałeś? – krzyknęła przestraszona. – Zranisz mnie

– Tak – odparł krótko. – Jeśli się nie podniesiesz – ostrzegł, zwiększając nacisk.

Znieruchomiała, niepewna, złęknona.

– Na polu walki też powiesz, że nie masz siły? – Przesunął powoli ostrze po ramieniu, docierając do kołnierza przesywki. Zimny metal wślizgnął się zwinnie pod materiał, odsłaniając fragment szyi. – Jestem ciekaw, czy twój przeciwnik to zrozumie.

– Nie jesteś moim przeciwnikiem – odparła słabo, czując chłód stali na skórze. – Uczysz mnie...

– Jestem twoim wrogiem – syknął złowieszczo, pochylając się nad dziewczyną. Docisnął lekko sztych. – Twoim najgorszym przekleństwem. – Utkwił w niej czarne, szkliste oczy. – Masz teraz ostatnią szansę, by wstać, zanim rozetnę ci gardło.

– Nie zrobisz tego... – zaczęła niepewnie.

Nie mogła oderwać wzroku od twarzy dowódcy. Surowej, przerażającej, jakby wykutej z kamienia, bez śladu ludzkich uczuć. Odniosła wrażenia, że nagle coś złego wstąpiło w Vartheńczyka i przejęło nad nim panowanie. Nie знаła go takiego. I gdyby miała wybór, nie chciałaby nigdy poznać. To nie mógł być Morht!

– Chcesz sprawdzić? – Czubek miecza drasnął szyję Kyli.

Zapieкло, aż syknęła cicho. Przełknęła nerwowo ślinę.

Zranił ją!

Na twarzy dowódcy nie drgnął najmniejszy mięsień, gdy ostrze nacięło delikatną skórę na szyi dziewczyny. Ręka nie zadrżała, gdy docisnął je mocniej. Cieniutka strużka krwi wypłynęła spod miecza. Bezwzględne spojrzenie mężczyzny świadczyło, że nie żartuje. Rozpaczliwie szukała w jego oczach śladu normalności, potwierdzenia, że chce ją tylko przestraszyć, lecz

dostrzegła wyłącznie zimną nienawiść, okrucieństwo mrozące krew w żyłach.

Nie było nauczyciela i jego uczeniacy! Zastąpił go bezlitosny wróg bawiący się bezbronną ofiarą. Kimkolwiek był pochylony nad nią mężczyzna, nie mógł być Morhtem, jakiego znała! Zatrzęsa się ze strachu. W jednej chwili pojęła, co mieli na myśli nieliczni szczęśliwcy, którzy uszli z życiem z łap Vartheńczyków. Bezwzględni mordercy, napawający się cierpieniem swoich ofiar, zdolni do najgorszych rzeczy, nieznający litości. Nacisk na skórze zelżał, kiedy drżącą dłonią namacała leżący nieopodal miecz. Z trudem uchwyciła rękojeść i uniosła, resztką sił odtrącając ostrze Morhta.

Nie spuszczał z niej lodowatego spojrzenia, jednak odsunął się, by mogła wstać.

– Szybciej! – krzyknął, uderzając ją mało delikatnie płazem broni w plecy.

– Morht... – Lyanna chciała się wtrącić, ale Trevor ją powstrzymał.

– Zawsze tak długo się podnosisz? – zakpił czarnowłosy. – Chyba naprawdę wolisz leżeć pod mężczyzną. Wtedy lepiej wybierz zamtuz zamiast drużyny.

Teraz, kiedy ostrze było już z dala od jej szyi, strach ustępował miejsca gniewowi. Dowódca znowu jej dokuczał! To znowu był on. Ten sam głos i denerwujący uśmiezek igrający na wykrzywionych wzgardą wargach. Kyła poczuła znajome oburzenie i zmusiwszy do ostatniego wysiłku drżące ciało, podniosła się niezgrabnie. Stała chwiejnie na wprost Morhta i spojrzała na niego spode łba. Nawet nie zdawała sobie sprawy, że z jej oczu płyną łzy.

– Ty przeklęty draniu... – wysapała. Czowała ból w całym ciele, w każdym najmniejszym mięśniu; o istnieniu niektórych nie miała dotąd pojęcia. Znowu będzie miała mnóstwo siniaków; jak zwykle zresztą po ćwiczeniach z Vartheńczykiem.

Morht zaczął się obawiać, że przesadził.

– Wybacz – rzekł, patrząc na nią łagodniej. – Wszystko w porządku? – W jego głosie pojawiła troska. Zbliżył się i delikatnie otarł rękawicą mokre od łez policzki Kyli. Starł krzepnącą strużkę krwi na szyi. – Nie będzie śladu – mruknął, przyglądając się ranie.

W pierwszej chwili pomyślała, że śni. A może z wysiłku i zmęczenia miała omamy? Morht mówiący „wybacz”? Ocierający jej łzy? Nic już nie rozumiała. Czy to jakiś podstęp? W drugiej...

– Nie daruję ci tego – warknęła, wciąż rozgniewana.

– Daj, odniosę. – Wyciągnął rękę po jej miecz. – Na dzisiaj masz dosyć.

Gdyby umiała zabijać wzrokiem, czarnowłosy padłby trupem. Wymamrotała pod nosem stek przekleństw, których nie powtórzyłaby głośno.

Dosyć? Mało powiedziane! Była teraz tak zmęczona i skołowana, że nie wiedziała, czy bardziej pragnie odpocząć, czy odegrać się na dowódcy, najlepiej dźgając sztyletem w kamień, który miał zamiast serca. Dygoczącą ręką podała mu broń, po czym, czując, że nie ustoi dłużej, usiadła ciężko na dziedzińcu. Najchętniej by się położyła, wyciągając swobodnie i czekając, aż wyczerpanie minie. Nie odstraszał jej leżący gdzieś śnieg. Nie zrażał chłód kamienia – przyniósłby ulgę rozpalonemu ciału.

Ale jak dowódca zareaguje, gdy zacznie się tu pokładać?

Ponownie wymruczała coś niepochlebnego w stronę Morhta, który zdążył odnieść miecze i wracał na dziedziniec. Przystanął, by zamienić kilka słów z odchodzącą Lyanną i Trevorem. Nagle Kyla doszła do wniosku, że zrobi to, na co ma ochotę. Położyła się na dziedzińcu. Tak było znacznie lepiej... Przymknęła powieki, skupiła się na wyrównaniu i uspokojeniu oddechu.

– Pomogę.

Usłyszawszy głos Morhta, niechętnie uniosła powieki.

– Zniknij – jęknęła, siadając z trudem. – Zgiń, przepadnij, siło nieczysta.

Spojrzał na nią roziskrzonymi nagle oczami.

– Dobrze ci poszło – pochwalił dziewczynę. – Przepraszam, że cię sprowokowałem...

Musiałem. Rozumiesz to? – Wpatrywał się w Kylę z takim napięciem, jakby od jej odpowiedzi zależało całe jego życie. – Jeśli nie odnajdziesz w sobie siły, determinacji, twój przeciwnik wygra albo... – urwał, nie spuszczać wzroku z uczennicy.

Po dłuższej chwili przytaknęła. Mimo złości i potwornego zmęczenia musiała przyznać mu rację. Zrozumiała, co chciał jej pokazać, a że zrobił to w taki, a nie inny sposób...

– Pomogę ci to zdjąć. – Przyklęknął obok i zaczął oswobadzać Kylę z kolczugi. – Wiesz... w rozbieraniu kobiet mam ponoć wprawę – rzucił cicho kpiącym tonem.

– Nie wątpię – odparowała. – Częste pobyty w Terlin widać ci służą, czego nie można powiedzieć o niektórych dziewczkach stamtąd – rzuciła złośliwie, chcąc mu dokuczyć.

– Myślałem, że... – Opuścił głowę, zaciskając palce na rękawie kolczugi. – Powiedziałaś, że mi wierzysz... – wydusił ochryple – wtedy... w szopie... – Nagle poczuł się jak zagubiony w śnieżnej zamieci dzieciak. Brnął przez miękkie zasy, zapadając się w nie po kolana, płatki śniegu osiadały na twarzy, wdierały się pod ubranie, mroząc ciało, a kiedy sądził, że dotarł do kawałka twardego gruntu, ten niespodziewanie uciekał mu spod stóp, na powrót spychając go w biały, lodowaty puch.

Znieruchomiał, a iskry w jego oczach zgasły.

– Wierzę – rzuciła prędko, rumieniąc się na samo wspomnienie tamtych chwil w szopie. – Ale... – Wzruszyła ramionami. Bo co miała powiedzieć? Że chciała mu dopiec jak on jej?

Podniósł głowę. Dostrzegła umykający z jego oczu cień smutku. Jakby swoimi wcześniejszymi słowami sprawiła mu przykrość. Dlaczego tak mu zależało, aby uwierzyła, że nie uderzył kobiety, że do niczego jej nie zmuszał? Wystraszyła się myśli, która przyszła jej do głowy. To... to niemożliwe...

Ale myśl nie zniknęła, chociaż usilnie próbowała się jej pozbyć. Niebieskie oczy zetknęły się na krótką chwilę z czarnymi. Dostrzegła w nich coś, co bała się nazwać po imieniu. Serce zalała fala wzruszenia. Miała wrażenie, że przez tę jedną króciutką chwilę, oboje poczuli to samo. Speszona umknęła spojrzeniem. Odchrząknęła niepewnie.

Gdy na powrót spojrzała na Morhta, z jego twarzy nie dało się już niczego wyczytać.

– Zostaw rzeczy w zbrojowni – rzucił oschle, wracając do zdejmowania kolczugi z dziewczyny.

– Bo co? Znowu dźgniesz mnie czymś ostrym? Może tym razem którymś ze swoich sztyletów?

Krótką chwilą... porozumienia – bała się choćby w myślach nazwać inaczej to, co poczuła – minęła. Wszelkie ślady czułości czy wzruszenia – przysły. O ile jej się nie przywidziały.

Chciała zrewanżować się za to, że ją przestraszył. Chciała, żeby zobaczył, jak to jest, kiedy ktoś, na kim ci zależy... o nie! Chciała po prostu odpłacić mu za lęk, który w niej wzbudził, za gniew, który wywołał. Za upokarzające słowa. Za drwiny.

Morht jednak nie podjął rękawicy.

– Nie szarżuj – odparł znużonym tonem, jakim przemawia się do niezdolnego dziecka.

– Nie ośmieliłabym się... dowódco. – Spojrzała na niego niewinnie, jednak kąciki jej ust drgnęły w złośliwym uśmiechu.

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem; w końcu mamrocząc coś pod nosem o podłym niewieścim rodzie, Morht podniósł się.

– Lepiej sam ją wezmę, żebyś się nie przemęczyła – mruknął. Zabrał kolczugę i szybkim krokiem ruszył w stronę zbrojowni. – Jutro przed śniadaniem na dziedzińcu – przypomniał jeszcze.

– Rozkaz – prychnęła, opadając na powrót na chłodne kamienie. Opuszkami palców przesunęła po szyi. Niewielka ranka faktycznie już nie krwawiła. Dopiero po długiej chwili, gdy przejmujące zimno stało się zbyt dokuczliwe, wstała i powlokła się w stronę zamku, nieświadoma ciemnych oczu śledzących jej kroki przez okienko w zbrojowni.

Pół księżyca później zima wciąż nie ustępowała, witając mieszkańców zamku kolejnymi mroźnymi porankami. Śnieg, padający nierzadko całą noc, zasypywał dziedzińiec, który wyglądał jak przykryty puchową białą kołdrą.

– Ileż to jeszcze potrwa? – burknęła Selena, krzątając się po zamkowej kuchni.

– Niedługo – zapewnił Trevor, grzejąc się wraz z Urlinem przy piecu. Niedawno zeszli z warty na wieży i wciąż jeszcze czuli nieprzyjemny chłód. – Dni są coraz dłuższe, słońce wznosi się coraz wyżej.

– Wkrótce przyjdzie wiosna i zielone zacznie wylazić spod ziemi – dorzucił Urlin.

– Taaa... – Trevor sięgnął po kubek z miętowym naparem.

Wolałby dla rozgrzewki napić się czegoś mocniejszego, i to w większej ilości, jednak dowódca nie pochwalał pijaństwa na służbie. Zbrojni mieli chodzić trzeźwi. W to, co robili w czasie wolnym, nie wnikał. Wtedy różne rzeczy się działy, niemniej pamiętali, aby na zamek wracać już po „szaleństwach”, jak to nazywał Morht. Wychodził z założenia, że jeśli któryś z jego ludzi lekką ręką wydawał żołąd na dziewczki i trunki, to równie dobrze może je też wydać na nocleg w karczmie. Zionących gorzałką, wymęczonych zabawą najemników nie chciał widzieć w murach zamku. Tylko Sarthus raz zaryzykował i złamał zakaz. Po spędzeniu dwóch dni w zimnym lochu, na gołej ziemi, przy głodowych racjach żywnościowych, i po kilkunastu pod rząd wartach nocnych – w najgorszych godzinach: między północą a świtem – Sarthus stwierdził, że nie było warto. Od tego czasu żaden z najemników nie sprzeciwił się już Morhtowi. Trevor również nie zamierzał podpaść dowódcy.

– Ptaszki zaczną śpiewać, słoneczko przygrzewać, śniegi się roztopią, tworząc wielkie błoto – sklecił wierszyk i roześmiał się głośno, niezwykle z siebie dumny.

– Znowu ciężko będzie dojechać wozem do Metllas – odezwała się zrzędlawie Selena, zabierając się za przygotowywanie śniadania. – Moglibyście wraz z wieśniakami pozasypywać te wszystkie wyrwy na drodze. Koła grzęzną w nich po ośki. A jak przyjdzie ocieplenie i zaczną się roztopić...

– Zawsze możesz skorzystać z własnych nóg – wtrącił złośliwie Venim, który chwilę wcześniej wszedł do kuchni.

Odwróciła się do niego tyłem. Nie znosiła go. Inni też za nim nie przepadali. Venim – ciemnowłosa, czarnooki najemnik, wyglądem przypominający Vartheńczyków – nie był ani sympatyczny, ani specjalnie bystry. Morht z Quenem przywieźli go na zamek przed zimą. Nikt nie wiedział, dlaczego dowódca tolerował obecność krnąbrnego, bezczelnego młodzika, który plotkował niczym przekupka oraz próbował siać intrygi. Do tego wszędzie wtykał swój nos, węsząc jak wilk na polowaniu. Zdecydowanie nie pasował do grupy, którą tworzyli pozostali zbrojni.

Po karach, jakie ostatnio wyznaczył mu Morht, i groźbie wydalenia z drużyny zdawało się, że pohamował swój ostry język, zrezygnował z młodzieńczego buntu i starał się dostosować do zasad panujących na zamku. Do mieszkanek odnosił się uprzejmie, acz z rezerwą, jakby chciał zatrzeć złe wrażenie wywarne na początku. Polecen dowódcy i jego zastępcy już nie kwestionował, chociaż czasami nadal rozpuszczał plotki czy dokuczył po swoim.

– Twoje krągłości tylko na tym skorzystają – dorzucił teraz bezczelnie. – A żeby nie zniszczyć butów, zawsze możesz zwyczajem innych wieśniaczek iść boso. – Przespacerował się po kuchni, zaglądając do kotłów.

„Krągłości? – zdumiała się Selena. – Czy on uważa, że powinnam wyglądać jak jedna z tych chudych pannic, które nawet miski z zupą same nie podniosą? I znowu wypomniał mi pochodzenie, drań!” W oczach kucharki zamigotały iskierki gniewu. Czarnooki młodzieniec najwidoczniej zapomniał, że pewnych rzeczy lepiej niewieście nie mówić.

– Z tego, co pamiętam, masz zakaz przyłożenia tutaj. – Selena postawiła z hukiem miski na stole i odwróciła się w stronę nie lubianego zwiadowcy.

– Zakazy są po to, by je omijać, prawda? – Venim zaśmiał się swobodnie, sięgając po pajdę chleba.

Selena popatrzyła na dwóch pozostałych najemników zajętych pałaszowaniem ciasta, po czym oparła ręce na biodrach i uśmiechając się niewinnie, podeszła bliżej młodego mężczyzny.

– Masz rację... zakazy można łamać i omijać – zgodziła się z nim podejrzanie szybko. – Można też używać wielu rzeczy niezgodnie z ich przeznaczeniem, prawda? – Spojrzała łagodnie na Venima. Ten pokiwał twierdząco głową.

Trevor i Urlin oderwali się od jedzenia, patrząc z zaciekawieniem na rozgrywającą się przed nimi scenę.

– To jest chochła... – Kucharka sięgnęła po wiszącą niedaleko paleniska drewnianą łyżkę.

– Zwykle służy do nalewania zupy... – Urwała, przesuwając palcami po uchwycie. Wyglądała, jakby się zamyśliła.

Venim popatrzył na kucharkę zbity z tropu, nie bardzo wiedząc, do czego zmierza.

Selena uśmiechnęła się z satysfakcją i zniecka walnęła go chochlą w głowę. Przez chwilę miał wrażenie, że w jasny dzień ujrzał wszystkie gwiazdy. Przed kolejnym ciosem zdążył się zasłonić, jednak nie przewidział, że Selena wymierzy mu kopniaka. Z jękiem złapał się za krocze. Na pochyloną głowę spadło jeszcze jedno uderzenie chochlą.

Trevor i Urlin wybuchnęli głośnym śmiechem.

Czarnooki syknął głośno, międląc w ustach przekleństwo. Cholerna dziwka!

– A teraz odpełnij stąd – poleciła surowo bojowa niewiasta, wciąż dzierżąc w dłoni wielką łyżkę.

Venim popatrzył na Selenę z nienawiścią. Jak śmiała podnieść na niego rękę? Durna wieśniaczka, której się zdawało, że jest nie wiadomo kim! Bo wyszła za męża za jednego ze starszych najemników? Najchętniej po prostu by jej oddał. Wiedział jednak, że gdyby tknął kucharkę choćby palcem, miałby do czynienia z Trevorem i Urlinem. I nie tylko. Artch na pewno nie puściłby mu tego płazem. Zresztą Selenę lubili tutaj wszyscy, między innymi za jej bezpośredniość. Nie wahała się mówić głośno tego, co myśli. Nie wahała się pogonić Morhta, ledwo objęła rządy w kuchni. Do dziś o tym gadano, nie szczędząc dowódcy docinków. Zwykle nowe mieszkanki zamku, widząc po raz pierwszy ponurą gębę czarnowłosego, umykały czym prędzej. Selena nie dość, że nie uciekła, to jeszcze skrzyczała go jak psa, a na koniec swoich gniewnych wywodów cisnęła w niego dzbanem z piwem.

Venim wołał nie ryzykować. Mamrocząc pod nosem przekleństwa i odgrazając się w duchu, wyszedł z pomieszczenia.

– Następnym razem zapoznam cię z mózdzierzem – rzuciła za nim drwiąco, odwieszając chochlę na miejsce. Potem odwróciła się w stronę rozbawionych mężczyzn.

– A wy co tu jeszcze robicie? – warknęła.

Najemnicy uznali, że pora opuścić ciepłą kuchnię, co też uczynili niezwłocznie.

Rebeka krzyczała.

Palce Pertena ścisnęły jej kark z żelazną siłą, powodując pełne przerażenia wycie, które dobywało się z ust nieszczęsnej wieśniaczki. Przy wtórze śmiechu rozbawionych towarzyszy wepchnął wrzeszczącą kobietę do szopy.

– Jest wasza – oznajmił głośno, wracając na podwórze. Podkutym butem kopnął zakrwawionego, leżącego przy korycie Gartha. – Obrońca się znalazł – rzucił pogardliwie. – Nie myślałeś nigdy o tym, by stanąć w szranki z rycerzami? – zadrwił. – Dobijcie go – nakazał.

Zarechotali głośno. Bruns dobył miecza i z plaśnięciem zanurzył czubek w brzuchu ofiary. Dźgnął kilka razy od niechcienia, by ostatecznie z rozmachem wbić ostrze w pierś konającego.

Kolejny kobiecy wrzask dochodzący zza wrót szopy zmieszał się z traskiem rozrywanego

odzienia, gdakaniem kur rozpierschających się w popłochu, beczaniem przestraszonych owiec. Ujadający i doskakujący do napastników przed szopą pies zamilkł, gdy padł z rozplątanym brzuchem.

– Ruszać się! – rozkazał Perten, ocierając o spodnie zakrwawiony miecz. – Nie mamy całego dnia! – ponaglił towarzyszy. Sam wszedł do chaty. A za nim trzech z jego ludzi. – Sprawdźcie górę – polecił im, zajmując miejsce przy stole i rozglądając się chytrymi ślepiami po ubogim wnętrzu.

Jeden z najemników zaczął wspinać się po trzeszczącej drabince, pozostali zajęli się przeszukiwaniem stojących pod ścianą skrzyń.

Hałas, z jakim to czynili, obudził pięcioletniego Evana, śpiącego w dawnej izdebce Kyli. Przetarł piąstką zaspane oczy i usiadł na rozklekotanym łóżku, wsłuchując się w dobiegające spod podłogi dźwięki. Na dworze dopiero szarzało, przez niewielkie okienko wdzierał się blady świt, rozjaśniając pogrążone w mroku pomieszczenie.

Agonalne wycie dochodzące zza okna sprawiło, że serce chłopca zaczęło bić szybciej. Nie zdążył pomyśleć, co się dzieje, kiedy skrzypnęła kłapa w podłodze. Instynktownie padł na łóżko, kuląc się pod kocem. Znieruchomiał, wciskając kciuk do buzi.

Ospowaty najemnik otworzył z hukiem kłapę broniącą dostępu i wsunął się zwinnie na poddasze. Deski podłogi zaskrzypiały pod ciężarem mężczyzny. Oczy zlustrowały czujnie izdebkę, a wąskie usta rozciągnęły w zadowolonym uśmiechu, kiedy zauważył skuloną postać. Szybkim ruchem zerwał koc z posłania.

– Jeszcze jeden! – zawołał do pozostałych. – Chłopiec! – Złapał malca za kark niczym szczeniaka i szarpnięciem wydobył z łóżka. Pchnął w stronę otwartej kłapy. – Łapcie bękarta! – wrzasnął tuż nad głową przerażonego dziecka, po czym wrzucił je w czeluść otworu.

Sparalizowany strachem Evan nie wydał z siebie najcichszego pisku, gdy znalazł się w powietrzu. Mocno zacisnął powieki. Poczł, że wpada w silny uchwyt czyichś rąk, po czym postawiony brutalnie na podłodze, zachwiał się i upadł.

Do uszu malca dotarł głośny śmiech.

– Związać i załadować na wóz z pozostałymi – padł suchy rozkaz.

Serduszko zatłukło się w drobnej piersi, gdy jeden z najemników spętał ręce chłopca sznurem i zaczął ciągnąć za sobą w kierunku drzwi.

– A może by tak... – zaczął Nigel, zatrząskując z hukiem wieko skrzyni i patrząc znacząco na Marka, siedzącego na szczeblach drabiny prowadzącej na poddasze. – Lord Vithall szukał ostatnio... – Zawiesił głos, przenosząc wzrok na malca wyprowadzanego z chaty. – I płaci więcej niż Thunder – zauważył.

Perten podniósł się zza stołu i powiódł surowym spojrzeniem po podwładnych.

– Mieliśmy dostarczyć ich Thunderowi. I dostarczymy – oznajmił stanowczo, wychodząc na środek izby. – Będzie tak, jak ja mówię. – Spojrzał na wystraszonego chłopca i uśmiechnął się dobrotliwie. – Prawda, że nie ma znaczenia, komu cię sprzedamy?

Bandę wyrzutków, którzy za złoto zrobią wszystko, Thunder wygarnął z zaułków i rynsztoków Oren. Perten oczywiście żałował, że sam nie dobrał sobie ludzi, tylko zgodził się

na warunki Thundera, który do tej zbieraniny dołączył jeszcze kilku swoich najemników. Trudno jednak negocjować, gdy ma się nóż na gardle; wszystko z powodu paru oszustw, które pechowo wyszły na jaw. Szef gildii łotrów w Oren wspaniałomyślnie zgodził się puścić owe „drobne incydenty” w niepamięć – w zamian za dostarczenie kolejnej grupy wieśniaków. Publiczną tajemnicą było, że Thunder pokątnie zajmował się handlem ludźmi. Perten przyjął zlecenie, którego wykonanie dawało mu szansę na odkupienie win. Niestety sprawy nie układały się tak, jakby chciał. Łypnął nieprzyjemnie na Nigela. Dlaczego zaufany ponoć człowiek watażki chciał dostarczyć porwanych komuś innemu? Perten zmarszczył czoło.

Wchodzący do izby kompani zatrzymali się na progu, przyglądając się przywódcy i najemnikom Thundera.

Złękniiony Evan dopiero teraz wydał z siebie głos. Zakrzyczał głośno. Dorien zatkał mu buzię masywną łapą. Spod skórzanej rękawicy dało się słyszeć zduszony pisk.

– Zabierz go – polecił ponownie Perten.

Dorien z ociąganiem wykonał rozkaz. Złapał wpół malca i wyszedł z chaty.

Po plecach Pertena spłynęła zimna strużka potu, gdy zorientował się, że najemnicy watażki otoczyli go półkolem. Spoglądał po surowych, beznamiętnych twarzach. Nagle zrozumiał. Wyprawa nie była szansą na odkupienie win. Thunder nie pozwoli, by ktokolwiek okradał go bezkarnie. Przełknął nerwowo ślinę.

Nigel zerknął na Marka i zacisnął dłoń na rękojeści noża wsuniętego w pochwę przy pasie. Mark skinął nieznacznie głową.

– Życie bywa przewrotne – rzucił, zeskakując z drabiny.

Szybkim ruchem dobył wiszącego przy udzie miecza i pchnął zaskoczony Pertena. Ostrze przeszło jego pierś na wylot; zachwiał się, bulgocąca w ustach krew zdusiła wypowiedziane słowo. Rozłożył ramiona, jakby zamierzał objąć nimi swego zabójcę.

Nigel bez wahania wbił nóż w plecy przywódcy. Perten z charkotem upadł na podłogę.

– Jeszcze ktoś chce dostarczyć tę wszawą bandę Thunderowi? – spytał z fałszywą uprzejmością Mark.

Jego zaufani towarzysze ostrzegawczo położyli dłonie na rękojeściach.

Pozostali pokręcili przecząco głowami.

– Sprzedamy bachory Lordowi Vithallowi – zdecydował Mark. – Wrzucicie je na wóz – nakazał surowo. – Przeszukać pozostałe chaty! Zabieramy tylko silnych, zdrowych i dzieci. – Ruszył w kierunku drzwi.

Najemnicy rozstąpili się, czyniąc mu przejście.

– Pospieszcie się! – Chłodny głos Marka rozbrzmiał już za drzwiami.

Zima powoli ustępowała. Mróz wreszcie zelżał, śnieg sypał coraz rzadziej, a słońce silniej ogrzewało ziemię swymi promieniami. Gdy w lesie pojawiły się na drzewach pierwsze pąki, w sercach mieszkańców zamku zagościła nadzieja na rychłe nadejście wiosny. Riv biegła po korytarzach z gałązką leszczyny, na której wyrosły bazie. Drzewa zaczynały puszczać soki!

Radosny nastrój udzielił się również Kyli. Po śniadaniu, na które zeszła nieco zaspana, wróciła do swojej komnaty, przebrała się szybko i stojąc przy oknie, spoglądała na pusty dziedziniec. Myśli bezwiednie podążyły w stronę Vinryd i Evana. Nie widziała braciszka dłuższy czas. Zajęta przygotowaniami do ślubu, potem nauką pod okiem Morhta, pochłonięta codziennymi obowiązkami, nie znalazła chwili, by go odwiedzić. Poczła niemiłe ukłucie w sercu. Co on tam porabia? Czy jest zdrowy? Jak bardzo urósł? Zateśniła za jego wesołym, dziecięcym śmiechem. Próbowwała zagłuszyć wyrzuty sumienia, tłumacząc sobie, że przecież kilka dni temu Will, jadąc po Irinę, zawiózł Evanowi ciepły kożuch, który kupiła specjalnie dla niego w Terlin. Już nie będzie marzył, biedaczek. Miała nadzieję, że rodzice nie zabrali chłopcu podarunku i nie sprzedali. Zresztą Irina potwierdziła, że widziała małego w nowym kożuchu. Jej ojciec, stary Zaren, nie mając zimą wiele roboty, pojechał z wizytą do dalszych krewniaków. Zabrał resztę rodziny – poza Iriną, którą na prośbę Willa zostawił w gościnnych progach zamku.

„A gdybym... pojechała do Evana dzisiaj? – wpadła na pomysł. – Teraz, zaraz”.

Nie zastanawiając się dłużej, Kyła szybko odeszła od okna. Wsadziła do worka kilka rzeczy, które chciała dać bratu. Narzuciła ciepłą pelerynę, oprócz worka złapała jeszcze sakwę i wymknęła się z komnaty, bezszelestnie mijając pomieszczenia pozostałych zwiadowców. Nie chciała spotkać żadnego z nich. Morht nie pochwalał samotnych wyjazdów mieszkanek zamku, więc gdyby ktoś ją zauważył, nim zniknie za bramą, na pewno by mu doniósł. Natomiast Kyła chciała pojechać do brata sama. Bez asysty pilnującego ją najemnika. Rozglądając się uważnie na boki, przemykała korytarzami, by wreszcie wyjść na dziedziniec. Przekradła się pod oknami niczym wytrawny złodziejasek, by wreszcie pędem wpaść do stajni.

Ku jej uldze większości koni nie było. Znak, że wielu zwiadowców już wyjechało na zwykły objazd ziem Laghortów. Dużego ogiera należącego do Morhta również nie zauważyła.

Pospiesznie przygotowała do jazdy swojego wierzchowca, prezent od Lady Lyanny, po czym wyprowadziła zwierzę na zewnątrz. Rozejrzała się jeszcze raz, nie zauważając Urlina, który stał w jednym z krużganków i przypatrywał się dziewczynie. Młodziutki zwiadowca słyszał krążące między najemnikami plotki, że Kyła jest pod dyskretną opieką dowódcy. Jednak wciąż miał nadzieję, że dziewczyna zwróci na niego uwagę. Wiele by dał, by spojrzała na niego choćby z takim podziwem jak na strzelającego z łuku Artcha czy walczącego w pojedynku na miecze Willa. A przecież traktowała ich co najwyżej jak starszych braci, od których mogła się sporo nauczyć. Niestety nieśmiałego Urlina zdawała się w ogóle nie dostrzegać. A on nie miał odwagi jej zagadnąć, gdy przypadkiem znaleźli się sam na sam;

choćby wtedy, gdy Kyla zaglądała do wspólnej komnaty zwiadowców, szukając Quena lub Willa. Zamiast odpowiedzieć na jej pytanie, czerwienił się, wyłamując nerwowo palce i wytrzeszczając oczy na śliczną młódkę. W gardle rosła mu olbrzymia gęła, która dusiła bezlitośnie, uniemożliwiając dobyte gęsu. Dopiero kiedy za zniecierpliwioną czekaniem Kyla zamykały się drzwi, Urlin odtykał się i łapał łapczywie powietrze. Czemu przytrafiło mu się to tylko wtedy, kiedy był sam? Gdy jechali w grupie, nic takiego się nie zdarzało. Kilka razy nawet odezwał się do jadącej obok dziewczyny i rozbawił opowiedzianym żartem. Pocięszał się myślą, że nie on jeden traci gęwę na widok ładnej dziewczyny, co stanowiło pretekst do wesołych docinków, których nie szczędzili mu towarzysze. W podobnej sytuacji był Zethar. Młody wieśniak, marzący o przygodach, walkach, sławie i pieśniach na swoją cześć, na zamku zderzył się z rzeczywistością. Szara zamkowa codzienność mocno odbiegała od marzeń. Jednak nawet pomoc w kuchni, stanie na warcie czy nudne objężdżanie ziem Sir Eryka było lepsze od uprawy roli, do czego Zethar nigdy nie miał serca. Nieśmiałość ukrywał skrętnie pod pozorem obojętności, jednak Urlin wiedział swoje. Rumieńce na twarzy kompana, gdy siedzieli przy stole w karczmie w Terlin, a ten nie mógł oderwać zachwyconego wzroku od roznoszących strawę dziewczek czy urodnych ładacznic, mówiły więcej niż słowa.

Urlin wychylił się z kręzganka, odprowadzając Kyla pełnym uwielbienia spojrzeniem. Przez krótką chwilę pozazdrościł Zetharowi, który tego dnia pełnił wartę na wieży bramnej. Właśnie podniósł kratownicę i otworzył bramę, by dziewczyna mogła wyjechać. Urlin westchnął ciężko, pokręcił się w miejscu, po czym szybkim krokiem ruszył w stronę komnat zwiadowców. Ciekawe, czy dowódcę wiedział o tym, że Kyla pojechała gdzieś sama?

Znalazszy się poza bramą, Kyla przestała się przejmować tym, czy ktokolwiek doniesie czarnowłosemu o jej samotnym wyjeździe. Zresztą dowódcę zwolnił ją i dwóch innych najemników w dzisiejszym dniu z obowiązków. Mogła spać do woli, łązić, gdzie nogi zaniosą, robić, co dusza zapagnie. Właśnie... Czy na pewno?

Odnosiła niejasne wrażenie, że Morht od pewnego czasu próbuje kontrolować jej poczynania w czasie wolnym. Nie robiła tego nawet Lyanna, pozostawiając dziewczynie pełną swobodę. Więc niech dowódcę pilnuje własnego nosa, bo mu go ktoś przytrze. I już nie będzie taki przystojny. Przystojny?! Na ciemnika... Ostatnio zbyt często pojawiał się w jej wyobraźni, nierzadko przyprawiając o rumieńce. Zmusiła się, aby nie rozmyślać o mężczyźnie, jego potężnej sylwetce, czarnych włosach, intrygująco ponurym spojrzeniu, uśmiechu, ustach... Na bogów! Wróciło wspomnienie jego pocałunku...

– Cholerny Vartheńczyk – mruknęła pod nosem, nie umiejąc pozbyć się dziwnego odczucia, że gdyby tylko skinał palcem, popędziłaby za nim na koniec świata.

Spięła boki konia piętami i zakłęła cicho, rozzłoszczona sama na siebie, że w ogóle taka myśl powstała w jej głowie.

Niedługo potem mknęła już traktem wiodącym do Vinryd.

Mimo słońca wychylającego się nieśmiało zza chmur, niespodziewanie powiał zimny wiatr i zaczął prószyć śnieg. Nasunęła kaptur na czoło i uśmiechnęła się z zadowoleniem.

Pierwszy raz od dłuższego czasu jechała sama, toteż poganiała konia, napawając się galopem. Radowała ją niespodzianka, jaką sprawi bratu, cieszyła perspektywa ujżenia znajomych stron; pochłonięta pędem, nie zwracała uwagi na opustoszały i dziwnie cichy las.

Zwolniła, dopiero gdy wjechała na drogę prowadzącą do wioski. Ku swojemu zdumieniu nie dostrzegła żadnych dymów nad chatami. A przecież o tej porze mieszkańcy powinni przygotowywać stawę. Zaskoczona jechała powoli, przypatrując się drodze, na której widniało mnóstwo śladów końskich kopyt. Wiodły od strony lasu, jakby jeźdźcy nie podróżowali traktem. Dziwne. Dostrzegła przysypane świeżym śniegiem koleiny wozów. Zatrzymała się, zeskoczyła z siodła i przyklękła, obserwując tropy długo i uważnie. Coś się nie zgadzało. Koni przeszło tędy sporo, jednak nikt z wieśniaków nie mógł sobie pozwolić na tak liczne stado. Karawany zaś zwykły podróżować szlakami, a nie krążyć po lasach. Poza tym gdyby do wioski zajechali podróżni, czyż mieszkańcy, przynajmniej niektórzy, nie gościliby ich teraz w swoich chatach? Wszak karczma Zarena pod jego nieobecność była zamknięta.

Gdy zbliżyła się do pierwszych zabudowań, ogarnęło ją złe przeczucie. Wioska była podejrzanie opustoszała. Czyżby wszyscy mieszkańcy nagle ją opuścili? Przecież to niemożliwe. Nie porzuciliby swojego dobytku, domów...

Wierzchowiec parsknął niespokojnie, gdy prowadziła go za sobą. Minęła pierwsze chaty. Z obejścia kowala ziało milczącą pustką, a zwykle dochodziły stąd charakterystyczne odgłosy uderzeń młota w kowadło. Deprymował ją lodowaty spokój tego miejsca. W chacie drwała, w której zawsze panował gwar z racji sporej gromadki potomstwa, teraz nie zastała nikogo. Nikt też nie kręcił się po podwórzu.

Niepewnie skierowała się w stronę domu wujostwa. Otwarte drzwi zaniepokoiły ją jeszcze bardziej. Przecież gdyby gdzieś wyszli, zawarliby chatę. Kyła uwiązała konia do sztachety w płocie i przeszła przez podwórze, rozglądając uważnie wokoło. Sięgnęła po sztylet i trzymając go w zaciśniętej dłoni, gotowa w każdej chwili użyć, wsunęła się ostrożnie do środka chaty. Co tu się, na ciemnika, stało?

Na stole stały miski z napoczętym jedzeniem, które dawno ostygło. Kłapa prowadząca na poddasze była otwarta. Wszystko sprawiało wrażenie, jakby mieszkańcy wyszli nagle w trakcie posiłku, nie zabierając ze sobą żadnych rzeczy.

Dziewczyna jeszcze raz uważnie zlustrowała wnętrze izby. W kącie, za odwróconą do góry dnem balią, zamajaczył niewyraźny kształt. Ostrożnie podeszła bliżej. Jeszcze jeden krok...

Zacisnęła palce na rękojeści noża, uniosła rękę i wyciągnęła szyję, próbując w słabym świetle dnia wpadającym przez zamarznęte okienka dostrzec coś więcej. Jej oczom ukazała się ubrudzona ręka, z czarnymi obwódkami za paznokciami, jakby jej właściciel lubił grzebać w świeżo rozkopanej ziemi. Pochyliła się, czubkiem buta pchnęła leżącą dłoń.

Chwilę później odskoczyła z cichym okrzykiem przerażenia. Odrąbana ręka, trącona butem, przesunęła się kawałek dalej od nieruchomego, skrytego za balią kształtu.

Zasłoniła prędko usta, by nie dobiegł się z nich kolejny okrzyk pełen grozy. Żałowała, że przyjechała tu sama. W jednej chwili przypomniała sobie opowieści starszych wieśniaków o czasach, w których uzbrojone grupy vartheńskich szpiegów krążyły po lasach, napadały na

karawany, łupiły wioski. Ale przecież Vinryd było bezpiecznym miejscem! Od lat nie zdarzyło się tutaj nic złego! Zadygotała ze strachu, zaszczękała zębami. Zapragnęła, by w drzwiach stanął Morht. Niechby nawet krzyczał, niechby ukarał ją za samowolny wyjazd, byleby tu był... To wydało jej się tak niedorzeczne, że niespodziewanie dla siebie samej wybuchnęła histerycznym śmiechem, zapominając o ostrożności. Wsparta biodrem o stół, śmiała się, rozmazując dłonią łzy wypełniające oczy. Umilkła równie nagle. Wlepiała na powrót lękliwe spojrzenie w balię, za którą najwidoczniej leżał właściciel dłoni...

Zastanawiała się, co zrobić. Z wnętrza chaty nie dochodził żaden odgłos świadczący o tym, że nie jest tu sama. Może jednak zabójca wciąż tu był? I teraz czekał na dogodną okazję, by zaatakować?

„Bzdura! – ofuknęła się w myślach, pomna nauk. – Tacy nie czekają, atakują od razu. Gdyby ktoś tu był, już dawno byłabym martwa. Albo...”

Ciarki przebiegły jej po plecach. Morht ostrzegał, że szybka śmierć to jedna z możliwości. Wcale nie najgorsza. Zakręciła się wokół własnej osi, rozglądając czujnie po izdebce.

Panujący tu bałagan dowodził, że pomieszczenie dokładnie przeszukano. Kto i po co to zrobił? Zmarszczyła czoło. Na ugiętych nogach zrobiła kilka kroków. Zerknęła jeszcze raz za siebie, obawiając się podstępu, po czym z determinacją schwyciła balię i zdecydowanym ruchem odrzuciła ją na bok. Drewniane naczynie potoczyło się z łoskotem, odsłaniając skrywaną tajemnicę.

Z pleców martwego mężczyzny wystawała rękojeść noża.

Żołądek podszedł dziewczynie do gardła. Nie była przyzwyczajona do widoku trupów. Wróciło wspomnienie zakrwawionych szmat, będących niegdyś matką Rivienny. Wtedy też zrobiło jej się słabo. Zamrugła, wpatrując się w ciało. Wreszcie odwróciła się na pięcie i szybko wybiegła z chaty. Poślizgnęła się na progu, upuściła sztylet, upadła; pozbierała się błyskawicznie i pognęła w stronę płotu. Uchwyciła wystającą sztachetę obiema rękami i przywarła do niej mokrym od łez policzkiem. Cała się trzęsa.

Nie wiedziała, co począć dalej. Co tu się stało? Pytania, na które nie umiała znaleźć odpowiedzi, tłukły się natrętnie po jej głowie. Gdzie Evan? Gdzie ciotka, wuj? Zamordowali kogo...? Ale dlaczego mieliby to robić?

Przed oczami stanęła jej twarz dowódcy. „Boisz się – usłyszała jego niski głos. – Błąd! Skup się na tym, co robisz”.

– Skup się – powtórzyła bezwiednie.

Słowa nauczyciela dotyczyły walki. Ale przecież teraz toczyła ją sama ze sobą. Prawie wszystko w niej krzyczało, by wskoczyć na konia i wrócić na zamek. Jednak coś ją tu trzymało, każąc sprawdzić, co stało się z jej rodziną. Przecież nie mogli zniknąć. Muszą gdzieś tu być!

– Poradzę sobie – szepnęła drżącym głosem. – W chacie jest trup. Zwyczajna rzecz. Czasami można trafić na czyjeś ciało. Zimą wilki atakują i zostawiają za sobą krwawe szczątki – mamrotała pod nosem. – A jak cię ktoś napadnie, trzeba się bronić. Wtedy też można znaleźć trupa. Bronić... – Rozejrzała się nerwowo wokoło. – Musieli się bronić? –

Zacisnęła zmarznięte palce na sztachecie.

Nabrała głęboko w płuca zimnego, orzeźwiającego powietrza, próbując się uspokoić. Nogi przestały dygotać, żołądek wrócił na swoje miejsce. Przetarła śniegiem zapłakaną twarz. Oderwała się od płotu, szybkim krokiem przeszła obok drzwi chaty i podniosła upuszczony sztylet. Dzierżąc go bojowo w dłoni, skierowała się ku szopie, gdzie wuj zwykł przechowywać swoje narzędzia. Fakt, że rzadko z nich korzystał, bo zwykle był zbyt pijany, nie miał w tej chwili znaczenia.

– Rebeko! – zawołała, rozglądając się uważnie po podwórzu. Na ziemi pełno było wydeptanych śladów, rozchodzących się w różnych kierunkach. Dostrzegła też długą smugę, jakby coś ciągnięto... Zadrżała, czując, że znowu zaczyna ją ogarniać strach.

– Evan...? – Płatki śniegu wirowały w powietrzu, opadając łagodnie na płaszcz Kyli. – Garth! – Zrobiła kilka kolejnych kroków.

Odpowiedziała jej głucha cisza. Do uszu dziewczyny nie docierał najbliższy szmer. Gdzie się wszyscy podziali?

Przed szopą dostrzegła porozrzucane rzeczy. Z obawą ruszyła w ich stronę. Przyklękła i ze zdumieniem podniosła zakrwawioną suknię opiekunki. Serce jej załomotało, a żołądek kolejny raz podszedł do gardła. Powiodła czujnym wzrokiem po otoczeniu i wciąż nie dostrzegając nikogo, otworzyła wrota szopy...

Z jej ust wydobył się przeraźliwy krzyk. Na sznurze przerzuconym przez belkę stropową wisiało bezwładne, poranione ciało Gartha. Pod nim, na zmierzwionej słomie, leżała zamęczona, zmaltretowana Rebeka. Zastygła Kyła wpatrywała się w trupy rozszerzonymi z przerażenia oczami. To niemożliwe... Przypomniała sobie słowa Morhta. Mówił o tym, co może spotkać kobietę, która nie potrafi się obronić przed napastnikiem. Straszyl ją celowo, ale nie mylił się. Miał rację! Powiedział prawdę. Straszna, okrutna prawda. Zrobiło jej się słabo i zimno. Zadygotała jak w febrze. Oparła się o drzwi szopy, po bladej twarzy płynęły obficie łzy – nie miała siły ich otrzeć. Osunęła się bezsilnie na kolana.

Długa chwila minęła, nim wreszcie się ocknęła i na drżących nogach, potykając się, pobiegła do miejsca, w którym zostawiła konia. Dygoczącymi dłońmi odwiązała wierzchowca, wspięła się niezdarnie na jego grzbiet i uderzyła silnie piętami w boki, podrywając zwierzę do galopu.

Koń zdawał się równie przerażony co siedząca na nim dziewczyna. Nie musiała go poganiać – pędził jak wiatr pokrytym śniegiem szlakiem w stronę posiadłości Laghortów.

Nie wiedziała, jak i kiedy pokonała drogę powrotną do zamku. Nie zważała na syjące się na nią czapy śniegu, gdy trącała zwisające gałęzie. Prawie nic nie widziała przez opuchnięte od płaczu oczy. W ziębniętych palcach z trudem utrzymywała wodze. Dostrzeżono ją z daleka – gdy zbliżyła się do wrót, te stały już otworem. Spienione, zdyszane zwierzę parskalo głośno, zatrzymawszy się dopiero na dziedzińcu zamkowym.

– Zamknąć bramę! – z oddali dobiegło głośne zawołanie Trevora.

Kyła zsunęła się z wierzchowca i nie zwracając uwagi na idącego w jej stronę zaniepokojonego Quena, jak błędna ruszyła do komnat Lady Lyanny.

Kratownica podniosła się ze zgrzytnięciem łańcuchów, wypuszczając z zamku grupę jeźdźców. Parskające konie, buchające kłębami pary z pysków, najwyraźniej niezbyt zadowolone z opuszczenia ciepłej stajni, skierowano w stronę szlaku handlowego, przy którym leżało Vinryd. Odziana po męsku Lady Lyanna jechała kłusem tuż za mężem. Przytroczony do pasa miecz uderzał rytmicznie o udo kobiety.

Przed nimi jechał Morht z kilkoma swoimi ludźmi, z tyłu podążała reszta najemników, których zabrano, aby w większym, bezpieczniejszym gronie zbadać sytuację na miejscu.

Błada jak padający śnieg Kyla nie umiała powstrzymać płynących łez, które zamazywały jej obraz przed oczami. Wracała do wioski, bo... Musiała upewnić się, że naprawdę nie żyją. Nie mogła uwierzyć, wciąż nie mogła uwierzyć...

Widząc zapłakaną twarz młódki i jej zaczerwienione, podpuchnięte oczy, Venim odczuwał dziwną radość. Uśmiechnięty drwiąco jechał za dziewczyną, komentując jej kształty i urodę. Dość głośno, ale nie na tyle, by Sir Eryk czy jego żona go usłyszeli. Obrażliwe wypowiedzi najemnika nie docierały też do Kyli; zdawała się pogrążona w swoim własnym świecie, do którego nikt inny nie miał dostępu. Jej przygnębienie sprawiało Venimowi satysfakcję.

Słuchający jego niewybrednych żartów Will skrzywił się z niechęcią. Zaciśnął palce na wodzach. Dość tego. Dziewczyna przeżywa tragedię, a ten dureń język sobie na niej ostrzy. I to pod bokiem Sir Eryka. Sam już nie wiedział, czy młodziak jest tak bezczelny, czy tak głupi. Nieważne. Zagalopował się. Will wyłamał się z szeregu, wyprzedził jeźdźców i podjechał bliżej Morhta. Pochyliwszy się w siodle, powiedział coś cicho do dowódcy.

– Zamknij się. Nie wycieraj sobie gęby lepszymi od siebie – rzucił Artch, patrząc wrogo na Venima.

Gdyby to od niego zależało, pozbyłby się go bez wahania. W duchu dziwił się, że Morht jeszcze nie wygonił najemnika, który tak bardzo odstawał od reszty drużyny. Dowódca widać miał inne plany. A może nie wszystko do niego docierało? Albo wciąż chciał wierzyć, że Venimowi warto dać szansę? Taką, jaką sam kiedyś otrzymał...

Myśli Vartheńczyka zaprzętało coś innego.

Informacje, które przywiozła Kyla, były niepokojące. Opuszczona wioska, trzy trupy – tylko tyle informacji wydobyli z rozrzuconej dziewczyny, która nie przestawała płakać. Dopiero kiedy Lyanna huknęła na nią, uspokoiła się na tyle, żeby wspomnieć o śladach, które znalazła.

Sir Eryk zarządził natychmiastowy wyjazd zwiadowczy. Kylę woleli wziąć ze sobą. Zachowywała się jak obłąkana. Chcieli ją powstrzymać, ale po prostu wsiadła na konia i ruszyła za nimi.

Kolumna jeźdźców zwolniła, gdy zbliżyli się do Vinryd. Czarnowłose zatrzymał się przy pierwszych chatach i zsiadł z konia. Długą chwilę przyglądał się niemal już zasypanym śladom, zastanawiając się nad czymś. Wreszcie wydał kilka poleceń zwiadowcom. On sam i jego zastępca, wcześniej na wszelki wypadek dobywszy mieczy, weszli do pierwszej chaty.

Widok, jaki zastali, nie zaskoczył ich. Dwoje starszych ludzi leżało na podłodze w kałuży

krwi. Quen pokręcił głową.

– A trup w chacie Rebeki i Gartha? – zainteresował się.

Morht bez słowa wyszedł na zewnątrz, kierując się na podwórze dawnego domostwa Kyli. Jasnowłosy kompan podążył za nim.

Wnętrze chaty nie zachęcało do dłuższego w niej pobytu. Dowódca rozejrzał się i ruszył w stronę leżącego ciała.

– Ładna zabawka – mruknął, wyciągając sztylet z pleców zabitego. Uniósł ostrze, przyglądając mu się uważnie.

– To chyba jeden ze zbirów pracujących dla Thundera. – Quen obrócił trupa i przyjrzał się jego twarzy. – Pamiętasz? – Przeniósł wzrok na przyjaciela.

Morht wytarł sztylet w ubranie nieżyjącego mężczyzny i pokiwał twierdząco głową.

– Jak mu tam było...? – zastanawiał się, przeszukując zakamarki pamięci. – Pret?

– Perten – poprawił go kompan.

– Targował się w Slith o łuk.

– No to sobie za wiele nie postrzelał – rzucił drwiąco Quen, ruszając w stronę wyjścia. Morht westchnął ciężko, prostując się i tocząc oczami po chacie. Dostawił drabinę, wspiął się po skrzypiących szczeblach i zajrzał na poddasze.

– Pusto – mruknął do siebie, po czym dołączył do Quena.

Obaj wyszli na drogę biegnącą między chatami. Zwiadowcy zaczęli się już schodzić i dzielić między sobą wrażeniami oraz spostrzeżeniami.

Okazało się, że w pozostałych gospodarstwach sytuacja przedstawiała się podobnie. Znalaziono trupy starszych wieśniaków. Niektóre ciała były poranione, jakby ktoś znęcał się nad nieszczęśnikami przed śmiercią. Jednak owe ślady tortur były niczym w porównaniu z tym, co Morht widywał w ojczystym Varthen. Można powiedzieć, że tutaj potraktowano ofiary z nadzwyczajną łagodnością.

Zarżnięte zwierzęta leżały w zagrodach. Nawet ich nie oszczędzono.

Z wioski zniknęły dzieci oraz mieszkańcy w pełni sił, zdadni do pracy.

– Handlarze? – mruknął Quen.

– Na to wygląda – odparł ponuro Morht. – Perten pracował dla Thundera, ale kto wie... może ostatnio zmienił dowódcę. Zresztą Thunder lubi czasami zrobić coś niegodziwego, a za zdrowych niewolników płacą sporo. – Zamyślił się. – Za dzieci o wiele więcej... –

Mimowolnie zacisnął pięści, wspomniawszy wesołe zagadywania Rivienny. Odpychał od siebie niechciane myśli i uczucia, co nie zmieniało faktu, że ma myśl, iż ocalona przed wilkami dziewczynka mogłaby podzielić los porwanych dzieci, czuł się dziwnie wściekły i bezradny zarazem. Wyrwało mu się ciche przekleństwo, kiedy dotarło do niego, że gdzieś tam, wraz z uprowadzonymi wieśniakami, jest przybrany brat Kyli. Rozejrzał się wokoło, wypatrując dziewczyny.

Stała jak posąg przed szopą swojego dawnego domu, zamyślona, zapatrzona w jeden punkt. Przyglądał się jej dłuższą chwilę, w końcu skupił na informacjach przekazywanych przez towarzyszy.

Lady Lyanna wyszła zmartwiona z jednej z chat, tuląc w ramionach niewielki tobolek, z którego dochodziło słabiutkie kwilenie. Dołączyła do stojących na drodze mężczyzn.

– Prawie zamarzło – powiedziała, rozcierając delikatnie przez koc zmarznięte ciało niemowlaka. – Chyba tylko ono przeżyło... Musieli tu przybyć przed świtem. Jakie bestie to zrobiły? – spytała, podnosząc smutny wzrok na Morhta. Ten wzruszył ramionami.

Płacz niemowlęcia kruszył mur obojętności, za jakim kryli się ci twardzi ludzie, przyzwyczajeni do brutalnych widoków. Ona sama, choć do delikatnych niewiast się nie zaliczała, czuła, że łzy napływają jej do oczu.

– Przypuszczalnie handlarze niewolników – rzekł Morht. – Pozbyli się starych i słabych, zabierając tylko tych, na których zarobią.

Mimo wielu okropieństw, jakie w swoim życiu widzieli, widok wymordowanych wieśniaków wywarł na najemnikach przygnębiające wrażenie. Jakby stanęli nad otwartym grobem.

– Tylko ono jedno ocalało... – mruknął Morht pod nosem, zatrzymując wzrok na niemowlęciu trzymanym przez Lyannę.

– Znaleźliśmy to. – Venim podszedł do dowódcy, podając mu kawałek blaszki. – Leżało tam. – Wskazał głową pobliską chatę. – Któryś musiał zgubić.

Morht przyjrzał się uważnie kawałkowi metalu, rozpoznając charakterystyczne nacięcia, i pokręcił przecząco głową.

– To żadnego z nich. – Schował znalezisko do kieszeni płaszcza.

Blaszka skierowała jego myśli ku Kyli. Przypomniał sobie, co mu powiedział Will, gdy tutaj jechali. Ściągnął brwi i popatrzył surowo na Venima. Jego cierpliwość się wyczerpała.

– Jutro z rana wrócimy i pochowamy ciała – zdecydował Sir Laghort, przystając przy swoich ludziach. Na jego twarzy malowały się powaga i troska.

Na dworze zaczynało szarzeć. Śnieg wciąż prószył, osadzając się białymi płatkami na ubraniach ludzi. Czarnowłosa strzepnęła je z rękawa.

– Zbierajmy się. Może chociaż to dziecko uda się uratować – powiedział Eryk, wskazując brodą niemowlę w objęciach żony. Jednak w głosie rycerza nie było nadziei. Oczy małżonków spotkały się na krótką chwilę. Pomyśleli o tym samym. Lady pokręciła nieznacznie głową, po czym odwróciła się do stojącego za nią najemnika, przekazując mu dziecko.

– Jedźcie... – Morht spojrzał na przełożonego. – Dołączymy do was niedługo. – Przeniósł wzrok na stojącą przed szopą Kyle.

Eryk skinął twierdząco głową.

– Wracamy! – zakrzyknął głośno, ruszając w stronę swojego wierzchowca. Reszta zwiadowców posłusznie rozeszła się, by dosiąść koni.

Lady Lyanna w milczeniu usadowiła się w siodle i odebrała z rąk najemnika zawiniątko z niemowlęciem. Przytuliła je do siebie, wolną dłonią ujmując wodze.

– Chce zostać z nią sam? – W ciszy przerywanej tylko parsaniem zniecierpliwionych koni rozległ się drwiący głos Venima. – Nie lepiej to zabawić się z dziewczką na zamku? – ciągnął pogardliwie. – Ciepłej i wygod...

Nie zdołał dokończyć. Morht doskoczył do niego i silnym uderzeniem w szczękę powalił Venima na śnieg. Tego się czarnooki najemnik kompletnie nie spodziewał. Długo tolerowano jego kpiny, więc pozwalał sobie na coraz więcej. Ale w końcu się doigrał. Otarł krew z ust i zaczął się wolno podnosić. Ledwo uklęknął, dowódca kopnięciem podkutego buta powalił go ponownie. Kolejne kopniaki sprawiły, że Venim skulił się, osłaniając głowę rękami. Już nie próbował wstawać.

Żaden z ludzi Morhta nie zareagował. Stali spokojnie w półkolu, patrząc milcząco. Jedynie we wzroku Quena pojawił się niepokój. Zbyt dobrze znał porywczosć przyjaciela. Jednak Vartheńczyk po wyładowaniu pierwszej złości odstąpił od leżącego Venima. Quen nie musiał interweniować.

Lyanę, która już-już chciała się wtrącić, powstrzymał Eryk, kręcąc przecząco głową. On też miał dosyć krnąbrnego najemnika. Pozwalał sobie na stanowczo zbyt wiele. Pomijając wszystko inne, Kyła była jego bratanicą.

– Uprzedziłeś mnie. – Sarthus popatrzył z żalem na dowódcę. Sam miał ochotę skorzystać z okazji i przyłożyć bezczelnemu młodzikowi, który usilnie starał się skłócić zwiadowców.

– Zabierzcie go – polecił sucho Morht. – Do wieczora ma opuścić zamek. – Popatrzył lodowato na pobitego Venima, który kaszlał, z trudem łapiąc oddech. Krew ciekąca z rozbitych ust i nosa plamiła śnieg.

– Wstawaj, sukinkocie – rzucił Trevor, nie ruszając się z miejsca. Popatrzył po towarzyszach. Żaden z nich nie wykazywał najmniejszej chęci wyciągnięcia pomocnej ręki do nielubianego najemnika.

– Skurwiel... – wyjęczał z trudem Venim, próbując niezdarnie się podnieść. Splunął krwią. – Połamał mi...

Nie zdążył wyjaśnić co. Oczy Morhta pociemniały, twarz ściągnęła się w przerażającym grymasie. Błyskawicznie pochylił się nad podwładnym, złapał go za ubranie, silnym szarpnięciem poderwał w górę i pięścią uderzył prosto w nos. Chlusnęła krew. Powietrze przeszył głośny wrzask Venima. Kolejne uderzenie trafiło w żebra. Venim zawył z bólu.

– Morht! – Quen zdecydował się wkroczyć.

Dowódca znieruchomiał z pięścią wzniesioną do kolejnego ciosu. Otaczający ich towarzysze przezornie się cofnęli.

– Morht... – rozległ się cichy głos Quena. – Trupa mamy wieść?

Paskudny uśmiech wykrzywił wargi czarnowłosego.

– Nie pojawiaj się więcej w okolicach zamku – wycedził. Złapał Venima obiema rękami, uniósł wysoko i rzucił nim w śnieg jak szmacianą lalką. Przez chwilę stał i patrzył na leżącego najemnika.

– Zrozumiał – mruknął uspokajająco Quen.

– Sarth, pobierajcie go – nakazał surowo Eryk.

Podniesiono i przewieszono półprzytomnego mężczyznę przez wierzchowca. Eryk skinął głową, patrząc na Vartheńczyka.

Ten odwrócił się na pięcie i poprawiwszy rękawice, ruszył w kierunku wciąż tkwiącej

przed szopą Kyli. Jeszcze jedna sprawa do załatwienia... Tyle że teraz nie bardzo wiedział, od czego zacząć.

W milczeniu stanął za dziewczyną i popatrzył na wiszące ciało. Musiała słyszeć jego kroki, gdy szedł po skrzypiącym śniegu, jednak ani drgnęła. Tak samo jak musiała słyszeć krzyki Venima. Ale nie reagowała. Gdyby nie obłoczki pary, unoszące się z jej ust wraz z każdym oddechem, uznałby, że jest równie martwa jak Rebeka. Nie miał pojęcia, co powiedzieć, jak ją pocieszyć. Czuł się paskudnie niezręcznie.

– Pokłóciłam się z nimi, zanim uciekłam – odezwała się cicho po długiej chwili, nie spuszczać spojrzeń z martwych opiekunów. – Daveth mówił, że Rebeka na swój sposób mnie kocha... chociaż nie zawsze umie to okazać. Jest... – Urwała. – Była dobrą kobietą... – Łzy przesłoniły widok zmaltretowanych ciał. – Nie pożegnałam się z Evanem... – wydusiła z siebie, wspominając ostatnie odwiedziny u brata. – A teraz... teraz już go nie ma... Przywiozłam mu sztylet, który dostałam od Davetha... – Szczupłe plecy zatrzęsły się od płaczu.

Morht w pierwszym odruchu chciał przytulić drobną postać. Opanował się w ostatniej chwili i szybko cofnął rękę, którą już wyciągał, aby położyć na ramieniu Kyli.

– Dlaczego oni im to zrobili? – spytała, odwracając się gwałtownie w stronę mężczyzny. – Dlaczego zabrali Evana? Co z nim zrobią?! – wykrzyczała.

Wpatrywał się w dziewczynę. Chciał zamknąć ją w ramionach, ukoić dręczący ból... Zdusił to pragnienie.

– Zajmę się tym – powiedział tylko. – Przynieś z chaty jakiś koc – polecił surowo. Zdawała się nie rozumieć, co do niej mówi.

– Idź – dodał łagodniej, ujmując ją za podbródek. Serce mu się ścisnęło na widok rozpaczliwej wyzieraającej z jej oczu.

– Mówiłeś, że nie ma rycerzy ratujących damy... – wyszeptała, patrząc na niego niezbyt przytomnie. – Rebeka nie umiała się obronić... – Dostrzegł w jej spojrzeniu strach. – Czy każda...?

– Przynieś koc – powtórzył miękko. – Proszę... – dodał, puszczając ją.

Gdy Morht wszedł do szopy, Kyli jak w letargu ruszyła w kierunku chaty. Może nie było jej z nimi dobrze, może nie miała najlepszych wspomnień, ale... byli. Po prostu byli. Teraz została sama. A przynajmniej tak to odczuwała.

Zatrzymała wzrok na leżącym w kącie trupie mężczyzny. Teraz już nie bała się go tak jak wcześniej. Przesunęła po nim obojętnym spojrzeniem. Pomiędzy skrzyniami stojącymi pod ścianą coś błysnęło. Przykucnęła, wyciągnęła rękę; zmarznięte palce niezdarnie uchwyciły kawałek metalu opleciony rzemieniem.

„Darher... ojciec...” – przemknęło jej przez myśl, kiedy przyjrzała się bliżej podniesionej blaszce. Po bladym policzku stoczyła się łza. Nie zastanawiała się teraz, co stało się z tą drugą, która należała do jej kuzyna. Miała zadanie. Miała coś zrobić.

– Koc... – szepnęła, przypominając sobie prośbę Morhta.

Wstała, podeszła do łóżka, ściągnęła dwa pledy i zawinęła w niezgrabny tobołek, po czym

sztynym krokiem wróciła do szopy. Morht zdążył już położyć ciało Gartha obok jego żony. Odebrał z rąk Kyli koce i zasłonił nimi trupy.

– Rebeka nie lubiła zimna – odezwała się nieswoim głosem. – Gdy tylko nastawały chłody, większość czasu przesiadywała przy piecu.

– Teraz już nie marznie. – Wziął dziewczynę za rękę. Miała taką chłodną dłoń. – Chodź, jutro tu wrócimy, by pochować mieszkańców – mówił łagodnie, ciągnąc ją za sobą w stronę pozostawionych przy płocie koni.

Kyla bezwolnie pozwoliła się poprowadzić.

– Czy... czy ona bardzo cierpiała? – szepnęła. – Może najpierw ją zabili, co?

Westchnął ciężko i potoczył ponurym wzrokiem po pobliskich zabudowaniach. Co miał odpowiedzieć? Ślepy by zauważył paskudne rany na ciele Rebeki. Nie mogło obyć się bez bólu. A sądząc po ilości krwi, kobieta nie została okaleczona po śmierci. Żyła, gdy ją torturowano. Jednak podzielenie się taką wiedzą z roztrzęsioną Kylą byłoby fatalnym pomysłem.

Widząc, że dziewczyna dygocze, zdjął swój płaszcz.

– Nałóż – polecił, unikając odpowiedzi na pytanie Kyli.

Okryła się bez słowa, naciągając kaptur na głowę i chowając twarz w jego cieniu.

– Odnajdziemy ich. – Zerknął na zapłakaną dziewczynę. – Obiecuję – dodał po chwili, odgarniając kosmyk jasnych włosów z jej policzka.

– Zostałam sama... – powiedziała Kyla łamiącym się głosem, wyznając to, co ją dręczyło i przejmowało smutkiem.

Popatrzył jej w oczy długo i poważnie.

– Nie zostałam sama – mruknął cicho.

W spojrzeniu Kyli błysnęła nadzieja. Chyba nawet nie zdawała sobie z tego sprawy. Rozwiał ją szybciej, niż gwałtowny podmuch wiatru rozpędza obłoczek mgły.

– Masz Eryka i Lyannę – wyjaśnił krótko. – Niedługo zapadnie zmrok. Jeźdźmy. Aha, w prawej kieszeni płaszczka jest coś, co należy teraz do ciebie.

Kyla wsunęła dłoń w kieszeń, natrafiając na zimny kawałek metalu. Wyjęła go i obróciła w palcach, dostrzegając charakterystyczne nacięcia.

– Daveth? – spojrzała pytająco na Morhta.

Przytaknął skinieniem głowy.

– W chacie znalazłam tę, która należała do mojego ojca – chlipnęła, pociągając nosem.

– Zatem masz teraz obie. Może najwyższa pora, byś zaczęła nosić swoją – burknął z pewną niechęcią. Nie był do końca przekonany, że to słuszna decyzja.

Jego słowa wprawiły ją w zdumienie. Uniosła głowę, mrugając z niedowierzaniem. Czy zrobił to, by odciągnąć jej uwagę od śmierci wujostwa? Zgoda Morhta na noszenie przez nią własnej blaszki oznaczała bowiem, że uznał Kylę za pełnoprawnego członka drużyny. W ten sposób docenił jej umiejętności, ufając, że nie zawiedzie swoich towarzyszy podczas wypraw. Nie chciała go rozczarować.

– Dziękuję – szepnęła.

– Załatw to z Quenem po powrocie. Wie o wszystkim. I... – Zawahał się, nabierając powietrza. – I oby nigdy mi jej nie przynieśli... bez ciebie. – Odchrząknął. – Zrozumiano? A teraz wracajmy. – Odwrócił oszołomioną Kylę w stronę wierzchowca. Pomógł jej dosiąść konia. Widząc, jak zeszywniałymi z zimna palcami próbuje złapać wodze, szybko ściągnął swoje rękawice i podał dziewczynie. Spojrzała na niego niepewnie, wciąż przetrawiając w pamięci ostatnie słowa.

– Założ. – Uśmiechnął się łagodnie i poprawił otulający dziewczynę płaszcz, który był na nią sporo za duży.

Kyla prędko nasunęła ciepłe skórzane rękawice na przemarznięte dłonie. Przez chwilę miała wrażenie, jakby Morht trzymał ją za ręce. Miłe uczucie...

– Jedź – nakazał swoim zwykłym surowym tonem.

Kyla ruszyła przodem, Morht jechał powoli tuż za nią.

Tuż za wioską dołączyli do nich Quen oraz Trevor, którzy czekali na dowódcę i dziewczynę w lesie. Cała czwórka w milczeniu pokonała drogę do zamku.

Lady Lyanna kazała opatrzyć pobitego Venima, zanim ten opuści zamek.

– Zamarznie po drodze do miasta – tłumaczyła łagodnie Morhtowi. – Nie chcesz chyba, by zwiadowcy natknęli się na jego trupa?

Mina Vartheńczyka mówiła wyraźnie, że nie miałby nic przeciwko temu.

– W grupie może jechać Kyla... – Lady zawiesiła znacząco głos. Przez twarz mężczyzny przebiegł mimowolny skurcz. – Zamartwia się bratem. Więcej trosk jej nie potrzeba. Poza tym Eryk musi wyliczyć, ile powinien mu zapłacić...

– Nic – mruknął Morht, sięgając do wiązania karwasza. Mocował się z nim chwilę. Lyanna podeszła i delikatnie oswobodziła przedramię przyjaciela. – Ostatnią noc spędzi w lochu – burknął nieprzyjaźnie, rzucając ściągnięty karwasz na skrzynię. – Siennik mu tam nawet wrzuca. – Zatrzymał rozłoszczone spojrzenie na Lady. – Za dobra jesteś dla niego. On by łaski nie okazał. Kostniałabyś z zimna w samotności, dopóki śnieg nie przysypałby twojego martwego ciała. – Mocował się z drugim karwaszem.

Wzruszyła ramionami.

– Czasami każdy potrzebuje odrobiny serca – mruknęła sentencjonalnie. – Wydasz odpowiednie polecenie? Czy Eryk ma to zrobić? – W głosie Lyanny zabrzmiało ostrzeżenie.

Popatrzył na nią przeciągle. Nienawidził chwil, gdy musiał się ugiąć, ustępować.

– Wydam – wycedził przez zaciśnięte zęby.

– Morht... – Wyciągnęła ręce, chcąc mu pomóc w rozsupłaniu węzła. – Posłuchaj...

– Nie musisz się tłumaczyć – przerwał jej. – Ja tu tylko wykonuję rozkazy. Jeśli zechcesz się zaopiekować tym skurwysynem, to popędzę do Terlin po medyka. – Gwałtownie zerwał wiązanie karwasza. – Naparu mu przyniosę. Ale nie obiecuję, że nie będzie w nim trucizny. – Z wściekłością rzucił drugi ochraniacz na skrzynię i szybkim krokiem ruszył w stronę drzwi.

– Morht, do jasnej cholery! – krzyknęła za nim. – Zaczekaj!

Odpowiedzią było huk zatrzaśniętych drzwi.

Rozumiała wściekłość przyjaciela. Tym większą, że sam tu Venima przywiózł i długo mu pobłażał, licząc, że zmądrzeje. Wobec Kyli potrafił być twardszy. Najchętniej z miejsca wywaliłaby aroganckiego młodzika poza mury zamku. Za długo się z nim certolili. I oto efekty. Widzieli w tym chłopaku więcej, niż się faktycznie w nim kryło. Przypominał młodego zbuntowanego Morhta, ale nim nie był. Dostał szansę, jednak nie umiał lub nie chciał z niej skorzystać. Obrażał mieszkanki zamku, snuł intrygi. Przymykali oczy, bo wielu nowych najemników, gdy tu trafiało, nie umiało się zachować. Brykali jak źrebaki na łące. Kąsali jak młode wilczki. W końcu pokornieli. Twarda szkoła dowódcy i ojcowska opieka Sir Eryka przynosiły dobre rezultaty.

Nie w przypadku Venima. Coś zawiodło. Zasłużył na lanie. Jednak sumienie i obowiązek nakazywały go opatrzyć i poczekać do rana, zanim wystawią go za bramę.

Westchnęła ciężko.

– Poranek przyniesie zmiany – mruknęła pod nosem, opuszczając zbrojownię.

I przyniósł.

Na dworze było jeszcze szaro, kiedy na dziedzińcu rozległy się pełne oburzenia, choć nieco niewyraźne wrzaski.

– Tylko tyle?! – Poobijany Venim przejrzał prędko wręczony miśszek i splunął pogardliwie pod nogi Eryka. – Stać was na więcej! – darł się, niepomyślnie tego, że jeszcze nie opuścił murów zamku, a łaskawość Sir Eryka oraz Lady Lyanny również miała swoje granice.

Stojący za nim Trevor pokręcił głową z niesmakiem. „Gęba spuchnięta, a ten dalej pyskuje. Widać za mało oberwał”.

– Zamknij mordę, pókiś wszystkich zębów nie stracił – mruknął, popierając dobrą radę szturchnięciem w plecy.

Ostudziło to roszczeniowe zapędy awanturującego się najemnika. Podobnie jak widok podchodzącego Morhta.

– Gdyby to ode mnie zależało, nie dostałbyś nic – burknął i rzucił na niewielki skórzany tobołek płaszcz podbity futrem.

Venim spojrział spode łba na niedawnego dowódcę. Kusiło go, by coś powiedzieć, by ostatnie słowo należało do niego.

– Wynoś się – usłyszał. Vartheńczyk zaplótł ramiona na piersi, jakby musiał je przytrzymać. – Zobaczą cię w pobliżu zamku, zabiję.

Młodzik wzdrygnął się. Spojrzenie Morhta mówiło wyraźnie, że nie jest to ostrzeżenie, a obietnica. Venim pochylił się z trudem, sięgając po płaszcz. Narzucił go na ramiona, zaplął, sięgnął po tobołek. Stęknął. Boleśnie dokuczowało mu obite ciało. Stłuczone żebra kłuły przy każdym ruchu, złamany nos pulsował, na jedno oko prawie nic nie widział spod opuchlizny. Mimo to nie powstrzymał się i warknął buńczucznie:

– Jeszcze się policzymy.

– Morht, chodź ze mną – zareagował szybko Eryk, widząc, że przyjaciel lada chwila wybuchnie i dojdzie do mordu w afekcie. – Jest coś, na co powinienes zerknąć.

Vartheńczyk skrzywił się, jednak ruszył za oddalającym się przełożonym.

– Zjeżdżaj – mruknął Trevor. – Zanim i ja stracę cierpliwość.

Venim przełożył pas tobołka przez ramię.

– Jeszcze zobaczycie, pieprzone sukinsyny, popamiętacie mnie – syknął. – Wydaje się wam, że kim jesteście?

Trevor zgrzytnął zębami. Podchodzący Sarthus klepnął go uspokajająco w ramię.

– Bandą zbawców – oznajmił ironicznie. – Will! – krzyknął głośno w stronę komnat zwiadowców.

– A mój koń? – upomniał się Venim. – Pieszko mam iść?

Sarthus pchnął najemnika w stronę bramy.

– Wynoś się. – Słowom towarzyszyło kolejne pchnięcie.

– Nie daruję wam tego! Złodzieje! Oprawcy! – Z ust Venima popłynął potok złorzeczeń. – Wszystkie dziwki w Terlin śmieją się z waszych kusiek! Jak ostatnio was wspominały to...

Tego było już za wiele.

Na pożegnanie pyskaty i odporny na nauki młodzik dostał kilka ciosów od rozdrażnionych zwiadowców. To starczyło, by zamilkł na chwilę. Artch opuścił za nim kratownicę, która opadła z hukiem w sieni bramy. Po czym zadowolony odmaszerował w stronę pomieszczeń kuchennych. Kompani rozeszli się do swoich zajęć z uśmiechami na twarzach. Pozbycie się złośliwego intryganta przyniosło wszystkim ulgę.

Złorzecząc pod nosem, Venim powlókł się smętnie w kierunku Terlin. Pieszko. Wszak koń, którego się domagał, należał do Laghortów, nie do niego.

– Przeklęty Morht i jego banda. Chędożona przez trygle Kyla. Niech ich wszystkich ciemność pochłonie! – pomstował, wlokąc się ociężale ku miastu i co rusz wpadając po kolana w zasy. Skromny tobołek przewieszony przez posiniaczone ramię ciążył niczym wór zboża. Spróbował zarzucić go na plecy, ale skrzywił się, czując promieniujący od krzyża ból. Poślizgnął się i z trudem złapał równowagę. Jeszcze tego brakowało, żeby ugrzązł tu w zaspie i zamarł na śmierć.

– Co to w ogóle za porządki? – mamrotał – Niby trakt, a zasypany jak leśna ścieżka!

Miast grzać kości w ciepłej izbie, musiał szukać miejsca, w którym mógłby pozostać dłużej.

– Ale ja wam jeszcze pokażę...

Poczuł ulgę, dotarłszy do rozdroży. Rozejrzał się wokoło; droga była pusta. Stał pod ośnieżonym drzewem i zrzucił tobołek na ziemię. Poprawił zsuwający się płaszcz. Zastanowił się, dokąd pójść. Najbliższym miastem było Terlin. Kawał drogi. Pieszko, pobity i osłabiony, miał szansę dotrzeć tam dopiero grubo po zmroku. O wiele bliżej miał do Metllas albo Vinryd. Do Rodas wolał nie zawracać. Wioska leżała zbyt blisko zamku. Nie wątpił, że gdyby trafił na Morhta, ten zabiłby go bez mrugnięcia okiem. Grymas niechęci wykrzywił opuchniętą twarz. Wyboru wielkiego nie miał. Westchnął, ciężko schylając się po tobołek. Jedyłą możliwością było Terlin.

Przecież nie pójdzie do wioski. Owszem, wieśniacy zapewne udzieliliby mu gościny,

ale... na Wydgera, nie zatrzyma się u kmiotków! Nie był jednym z nich, by spać w barłogu i wachać gnój! To dobre dla ludzi niskiego stanu, a wszak w jego żyłach płynęła arystokratyczna krew! Venim tak długo to sobie powtarzał, że w końcu uwierzył we własne kłamstwo.

Dołączył do drużyny zbrojnych, bo miał taki pański kaprys. W swojej młodzieńczej męskiej naiwności liczył na większe powodzenie u kobiet, wystawne turnieje, uczyty i zabawy – a dowódca kazał mu pilnować bramy i ćwiczyć codziennie na dziedzińcu! I nie mógł korzystać z wdzięków mieszkanek zamku! To już opiekowanie się dziewczkami w karczmie było bardziej ekscytujące. A do tego dowódca zamknął go w lochach na trzy dni za kilka miłych chwil spędzonych w komnacie Arieny. Jakby nie wystarczyło, że brutalnie przerwał im zabawę! Cóż za niegodziwość!

Wściekły na Morhta i cały świat, przemierzał pieszo trakt, mamrocząc przekleństwa. Dobrze przynajmniej, że Eryk zapłacił mu za służbę i pozwolił zachować cieplejsze ubranie. Chociaż kwota, którą dostał, była śmiesznie niska. Zaledwie czternaście lentów, dziewięć guarów i czterdzieści trzy treki! Jeszcze na dziedzińcu przeliczył pobrzękujący mieszek. Skąpcy! Dobrze, że wcześniejszy żołąd zbierał skrzętnie do schowanej teraz w tobołku sakiewki.

Zza pleców dobiegło go parskanie koni. Drgnął i nasunął kaptur płaszcza bardziej na twarz. Odwrócił się, by sprawdzić, kto zacz. Odetchnął z ulgą na widok kupieckiego wozu przykrytego płachtą, spod której wystawały futra – zapewne wiezione na sprzedaż. Jakiś rzemieślnik jechał do miasta na targ.

Woźnica przyłożył koniom batem, zamierzając wyminąć wędrowca. Te jednak mimo popędzania ostrożnie stawiały kopyta na zasypanym trakcie. Rzemieślnik przyjrzał się uważniej zakapturzonej postaci. Na zbója nie wyglądała. Płaszcz sprawiał solidne wrażenie.

– Prr! – zakrzyknął na konie, wstrzymując je. – Dokąd Brusynda prowadzi? – zagadnął niskim głosem, biorąc najemnika za jednego z podróżnych, których często można było spotkać na trakcie.

– Terlin – odmruknął Venim, podchodząc bliżej. Starął się kryć twarz w cieniu kaptura.

– Z daleka? – Woźnica machnął ręką, wskazując miejsce na wozie.

Venim milczał długą chwilę, zanim zdecydował się na odpowiedź.

– Z Rodas – odrzekł powoli. – Noc spędziłem w zamku, a świtem ruszyłem w dalszą drogę. – Usadowił się ostrożnie na wozie. – Podobno w Terlin można zobaczyć nową figurę Brusyndy.

Woźnica roześmiał się gromko.

– A można – przytaknął. – Sporo ludzi tej zimy ściągnęło, by ją oglądać. – Cmoknął na konie, które ruszyły z miejsca. – Mówią, że kto jej dotknie, na tego spłynie łaska wszelakiego rodzaju. – Venim pokręcił głową. – Oho! – wykrzyknął rzemieślnik. – Ludzie tu wierzą w moc modłów. Niby to tylko bajania, nawet Najstarsi mówili, że to nie żadna cudowna figura, ale kto by tam ludowi prostemu przetłumaczył. A ja wam, panie, powiem, jak to było – rozgadał się woźnica. – Stary Nives, ten, co beczki wyrabia, potknął się i pijaną mordą na posągu

wylądował. Żebyście, panie, widzieli, ile śmiechu było! Zęba se wybił. Ostatniego, co go miał z przodu. A potem do wsi pijany wracał. I wiecie, panie, co? – Rzemieślnik strzelił batem, poganiając konie. – Wilki go zaatakowały. No mówię wam, panie. Wilki. I nagle coś je odstraszyło. Nives gadał, że światło jakieś rozbłysło i wilki odeszły. Tak po prostu. A na śniegu koło wypalone zostało. Zresztą może to i co innego było? Kto by tam pijanemu Nivesowi wierzył. Tyle że jak na drugi dzień do roboty się zabrał, to nagle kupiec przyjechał. A nigdy do niego nie przyjeżdżali, sam beczki do miasta woził. Ten kupiec wziął wtedy aż sześć antałów! Nives zaczął gadać, że los się na lepsze odwrócił, gdy pocałował suknię Brusyndy. – Kozusznik zarechotał. – Ludzie mu uwierzyli, bo każdy potrzebuje w coś wierzyć. No i do Terlin ludziska ściągają zaczęli. – Zerknął na Venima kiwającego się na wozie. – A co wy, panie, śpicie? – zainteresował się.

– Zmęczony jestem – mruknął cicho najemnik. – Droga daleka... trudna... Ale mówicie, że wystarczy suknię bogini ucałować, żeby lepiej było?

Woźnica znowu zaśmiał się głośno.

– Dokładnie, panie – potwierdził.

– Może i ja tego szczęścia spróbuję – odmruknął Venim.

– To jeszcze nic, panie! – wykrzyknął kozusznik, zadowolony, że znalazł słuchacza. – Jednego wieczora jadę sobie...

Venim poprawił kaptur i przymknął oczy, pograżając się w swoich rozmyślaniach.

Było już dobrze po południu, kiedy dotarli wreszcie pod mury miasta. Słabe, zimowe słońce dawno skryło się za ośnieżonymi drzewami. Zaczynało szarzeć. Wóz podskoczył na przysypanym śniegiem wyboju. Venim jęknął cicho, czując ból rozchodzący się od żeber.

– I oto dotarliśmy – oznajmił dumnie rzemieślnik. – Jak się jedzie z kim drugim, to droga szybciej mija.

Venim zsunął nieco kaptur i zmrużył oczy, przyglądając się z uwagą kamiennej fortecy otaczającej Terlin. Skrzywił się na myśl o swoim ostatnim pobycie w mieście. Naraził się wtedy tutejszym strażnikom, którzy – jakby dopadli – wzięliby go w obroty. Uwiedzenie żony kapitana straży nie było najmądrzejszym pomysłem. Choć żałował jedynie tego, że kobieta okazała się bezczelną dziwką. Zamarzył jej się przystojny najemnik, chciała z nim zostać, a kiedy odmówił, oskarżyła go o próbę gwałtu, co zdecydowanie nie spodobało się władzom miasta. „Wredna suka. Wszystkie są takie same. Dasz palec, a zechcą wziąć całą rękę” – zżymał się w duchu.

– Prr... – Handlarz wstrzymał konie, dołączając do oczekujących na wjazd do miasta. Odwrócił głowę w stronę najemnika. – Ciężko będzie dostać się na rynek – zamruczał, widząc stojące wozy. Figura Brusyndy przyciągała do Terlin sporo ludzi pragnących odmienić swój los.

Venim zlął z wozu, rzucając pomocnemu woźnicy kilka miedziaków. Otulił się płaszczem, przełożył pas tobołka przez ramię i wymijając oczekujących na wjazd, zakradł się pod bramę. Chciał sprawdzić, kto trzyma wartę na strażnicy. Ku swojej uldze nie dostrzegł znajomych twarzy. Miał szczęście, gdyż akurat wyjeżdżało kilku konnych, a próbowały wjechać dwie

kupieckie karawany, co spowodowało mały zamęt. Wmieszał się pomiędzy zaaferowanych kupców, konnych i strażników. Przecisnął się między nimi i spiesznie oddalił, skręcając w pierwszą z bocznych uliczek.

Odetchnął spokojniej, upewniwszy się, że w tym zamęcie nikt nie zwrócił na niego uwagi. Przemykając w cieniu kamienic, szybkim krokiem zmierzał w stronę karczmy. Zanim otworzył skrzypiące drzwi, obejrzał się jeszcze za siebie, by sprawdzić, czy na pewno nikt za nim nie szedł, po czym wsunął się do środka. Był głodny, zmarznięty i zmęczony. No i obolały.

Główna izba w karczmie „Pod Złamaną Łyżką” świeciła pustkami, nie licząc kilku podróżnych siedzących przy jednym ze stołów i jasnowłosej kobiety zajmującej stołek przy szynkwasiu. Na jej widok Venim zmarszczył brwi. Nie był pewien, czy chce z nią rozmawiać. Nie po tym, czego doświadczył ze strony Morhta, za którym wciąż wypatrywała oczy. Doszedł do wniosku, że jego kłopoty są po części właśnie jej winą. Westchnął ciężko, czując ciężar tobołka na posiniaczonym ramieniu.

„A jaki mam wybór?” – przemknęło mu przez myśl.

Rozejrzał się po izbie.

Płonący w palenisku ogień ogrzewał pomieszczenie, rozświetlając je wspólnie ze świecami tkwiącymi w mosiężnych lichtarzach umocowanych na ścianach. Krzątający się za szynkwasiem karczmarz pucował kufle, chowając je od razu pod ladę i zerkając od czasu do czasu na nielicznych gości. Jego uważne spojrzenie zatrzymało się na wchodzącym mężczyźnie.

Venim nasunął kaptur płaszcza na czoło, chowając twarz w jego cieniu. Łypiąc podejrzliwie na podróżnych, czy aby nie trafi się ktoś, kogo lepiej dzisiejszego wieczoru nie spotykać, podszedł do szynkwasiu.

– Daj mi izbę na kilka dni – rzucił cicho do karczmarza, wygrzebując miedziaki z mieszka. Volen zerknął na monety.

– Jedna noc dziesięć treków – poinformował.

– Coraz drożej tu masz, a pieprznik taki sam. – Venimowi nie w smak było rozstawać się z zarobionymi pieniędzmi. – Trzy noce. Dogadamy się?

Karczmarz pokręcił przecząco głową, wracając do pucowania kufli. Najemnik westchnął i odliczył skrupulatnie trzydzieści treków. Brzęknęły o ladę. Przypadkowo wyciągnięty złoty lent szybko znalazł się na powrót w mieszk. Błysk złota nie uszedł jednak uwadze jasnowłosej dziewczyny.

Odwróciła się gwałtownie, mierząc przybysza chytrym spojrzeniem. Jej ubiór nie pozostawiał wątpliwości co do profesji, którą się zajmowała. Skąpa suknia więcej odsłaniała, niż zakrywała; zwierzywszy okazję do zarobku, przysunęła się bliżej mężczyzny.

– Napiałabym się wina, przybyszu – oznajmiła cicho, próbując dojrzeć pod kapturem, kim jest nieznajomy. – Wieczory wciąż chłodne, przydałoby się coś na rozgrzanie – szeptała kusząco.

Wyglądał na takiego, co ma pieniądze, o czym świadczył wypchany worek, który zdążyła już zauważyć, i porządny płaszcz.

Venim westchnął ciężko. Nic się nie zmieniła. Związał mieszek i dłuższą chwilę gmerał pod płaszczem, wpychając trzos pod koszulę. Spojrzał w stronę kobiety, po czym zmusił się do uprzejmego uśmiechu.

– A ty jak zawsze namawiasz na trunki – powiedział zrezygowany, opierając się łokciami o ladę. Niebawem całe Terlin będzie wiedziało, że wrócił. Vierna nie umiała utrzymać języka za zębami.

– Venim? – W jej głosie zabrzmiało zaskoczenie pomieszane z radością.

– A któż by inny? I nie gadaj tak głośno – syknął, rozglądając się czujnie dookoła. Chciał zachować incognito jak najdłużej.

Karczmarz oderwał się od kufli, pozbierał monety z lady i położył na niej klucz do pokoju.

– Czwarto po lewej – mruknął.

Venim... Plotki o żonie dowódcy strażników krążyły po mieście, ośmieszając kapitana i prowokując złośliwe komentarze. Jedni twierdzili, że rogi kapitana nie pozwalają mu już swobodnie wchodzić do własnego domu; inni, że to nie Venim posunął się do gwałtu, a wręcz odwrotnie.

Nic więc dziwnego, że na sam dźwięk imienia najemnika kapitan dostawał szału; podobno obiecał też sowitą nagrodę za wskazanie miejsca pobytu znieawidzonego kochanka małżonki. No to się ucieszy... Völen zerknął znacząco na chłopca stajennego, który jak zwykle przy takiej pogodzie ogrzewał się niedaleko paleniska. Młokos, poczuwszy na sobie wzrok oberżysty, czym prędzej ruszył w jego stronę. Wsunął się za ladę i spojrzał pytająco na pracodawcę.

Völen wskazał mu oczami Venima.

– Pobiegniesz do straży... – Pochylił się i wyłuszczył szeptem plan.

Młodzik uśmiechnął się szeroko; taka okazja do zarobku nie trafiała się często.

Jasnowłosa ladacznica przysunęła się jeszcze bliżej, kładąc dłoń na ramieniu najemnika. Pochyliła się ku niemu i zaniemówiła, widząc jego posiniaczoną, opuchniętą twarz.

– Kto ci to...? – wyjąkała zdumiona. – Co ci się stało? Miałeś kłopoty? – spytała naiwnie.

– Chodź. – Venim sięgnął po podsunięty przez karczmarza klucz.

Oderwał się od szynkwasu, poprawiając kaptur. Obrzucił niemiłym spojrzeniem oberżystę, który przypatrywał mu się bezczelnie, i szybkim krokiem skierował się ku schodom. Vierna bez słowa podążyła za nim.

Völen odprowadził parę wzrokiem.

– To mam iść czy nie? – Młodzik stał niezdecydowany.

– Sprawdź, co w stajni – powiedział karczmarz ze złością. – Wygrzewasz się, lenisz, nie za to ci płacę! – podniósł głos.

– A ten? – Chłopiec zerknął niepewnie na znikającego na pięterku gościa.

– Co ten? – warknął Völen. – Zajmij się swoją robotą! – wygonił młokosa.

Na widok gęby Venima właściciel gospody uznał, że kapitan straży już spotkał najemnika i się z nim policzył. Westchnął, rozczarowany, że ominęła go okazja zarobku. Los bywa podły. Odstawił z hukiem kufle pod ladę i powiódł zmęczonym wzrokiem po izbie. Gości coś mało. Miał nadzieję, że jeszcze przyjdą – napić się, zjeść coś ciepłego. Łypnął oczami w stronę

schodów.

– No i poleżli – burknął nagle zniechęcony, rzucając niezbyt czystą ścierkę w kąt.

Na górze Venim otworzył drzwi i wszedł do ciasnego, skromnie umeblowanego pokoiku.

Vierna wsunęła się za nim, od razu podchodząc do stolika i siadając na niskim zydlu.

– Co ci się stało? – spytała z ciekawością.

Mruknął coś pod nosem, wyciągając mieszek. Wyjął z niego guara i położył na stoliku.

– Przynieś coś do jedzenia i picia.

– Nie jestem twoją służącą. – Popatrzyła na niego hardo, dumnie unosząc podbródek.

– A chcesz zarobić? – Potrząsnął mieszkim przed jej twarzą. – I usłyszeć, co nowego u Kyli? – Wykrzywił wąskie wargi w złośliwym uśmieszku.

– Nie obchodzą mnie inne dziwki – warknęła, odgarniając gniewnie włosy.

– O ile nie wchodzi ci w drogę. – Venim zaśmiał się.

Wzruszyła ramionami, wstając z krzesła i sięgając po monetę.

– Tylko się pospiesz – rzucił za nią.

W odpowiedzi trzasnęła drzwiami.

Wróciła z tacą, na której niosła dwie miski gulaszu, dzban piwa i kufle; gdy postawiła ją na niewielkim stole, Venim uśmiechnął się do dziewczyny niemal serdecznie.

– Rozchmurz swoją śliczną buzię. Mam ci wiele do opowiedzenia – rzekł, a potem zabrał się za jedzenie, łapczywie wsuwając do ust łyżkę pełną parującego gulaszu. Syknął cicho, a twarz wykrzywiła mu się w grymasie bólu. Obita szczęka dokuczała. Kolejną porcję jadł już ostrożniej.

Vierna naląła sobie piwa i usiadła na łóżku, opierając się plecami o ścianę. Poczekała, aż Venim się posili, i dopiero potem zarzuciła go pytaniami. Najemnik okazał się nad wyraz rozmowny.

Część informacji zataił, część wyolbrzymił, przypisując sobie rolę skrzywdzonego bohatera i obrońcy uciśnionych. Vierna prawie się wzruszyła. Zawłaszcza gdy na koniec dodał, że bardzo za nią tęsknił i wprost nie mógł się doczekać spotkania.

– Mój ty biedaku. Zajmę się tobą – szepnęła i przytuliła jego głowę do swojej piersi. – Nie możemy tego tak zostawić... Morht zapłaci nam za wszystko... – Oczy ładacznicy błysnęły.

Venim, korzystając z okazji, wtulił twarz w biust Vierny i westchnął z rozmarzeniem.

Dwa drabiniaste wozy, wyładowane ściśniętymi wieśniakami i otoczone kordonem uzbrojonych najemników, zjechały z traktu handlowego nieopodal Slith, kierując się na południe.

Prowadzący karawanę Mark odwrócił głowę.

– Przejedziemy tamtędy! – krzyknął do towarzyszy, wskazując ręką ścianę lasu.

Nigel podjechał bliżej.

– Jesteś pewien, że nikt nie podąży za nami? – W głosie najemnika brzmiała niepewność.

Mark prychnął ze złością.

– Spójrz na niebo. – Zadarł głowę. – Jak sądzisz? Spadnie śnieg? – spytał ironicznie, przyglądając się ciężkim, ciemnym chmurom. – Bo według mnie spadnie. Zasypie ślady kół.

– Wioska jest pod opieką Sir Eryka... – Nigel nie był przekonany. – Kiedy odkryje, że wieśniacy zniknęli...

– Wtedy wyśle Morhta na zwiad – mruknął Mark. – Ale my będziemy już daleko, a ślady znikną. Mówię, durniu, że spadnie śnieg. Nikomu nie będzie się chciało jechać do Vinryd.

Nigel wykręcił się w siodle, patrząc na koleiny pozostawione za karawaną.

– Nie zasypuje – burknął.

– Zasypie. – Mark był pewny swego.

Długą chwilę jechali w milczeniu. Słysząc było tylko parskanie koni.

– Myślisz, że Thunder o niczym się nie dowie? – Nigel pochylił się w stronę kompana.

– Dowie – odparł spokojnie Mark. – Ale wtedy wieśniacy będą już w Alakor. A my będziemy liczyć zarobione złoto. – Wyszczrzył zęby.

– Nie wiem, czy pomysł, by przeczekać kilka dni w kryjówce jest dobry – odezwał się ponuro Nigel. – Może powinniśmy jak najszybciej dostać się do portu?

– Jak chcesz ich przewieźć? Na tym? – Kompan wskazał ręką na drabiniaste wozy. – Musimy zaczekać na najemników Ariexa. Przyprawdzą inne wozy. Na tych zamarzną, a za trupy nikt nam nie zapłaci. Gadasz, jakbyś nigdy w zimie niewolników nie przewoził.

Nigel wzruszył ramionami.

– Woziłem. Nawet dalej niż do Alakor.

– To zrządźisz, jakbyś dawno dziewczki nie miał. – Mark spojrzał znacząco na siedzące na wozie młode wieśniaczki.

Nigel zarechotał, zwalnając. Zrównał się z pierwszym wozem. Dłuższą chwilę obserwował pojmanych. Wreszcie przechylił się w siodle i wyciągnął rękę w stronę jednej z młódek.

Odsunęła się prędko, by jej nie dotknął.

– Inaczej zaśpiewasz... – mruknął pod nosem, nie spuszczać oczu z dziewczyny. – Tylko dotrzyjmy na miejsce.

Siedziała pomiędzy dziećmi, obejmując opiekuńczo jedno z nich. Już nie płakały głośno. Zbite w ciasną gromadkę, tuliły się do siebie. Jedno z nich uniosło głowę, przyglądając się Nigelowi.

– Ślepa ci wypadną! – huknął na niego najemnik, na powrót podjeżdżając do Marka.

Evan, bo to on przypatrywał się porywaczowi, skulił się, walcząc, by znów nie wybuchnąć płaczem. Bał się jak jeszcze nigdy. Nie było matki ani ojca. Nie było Kyli. Przygryzł wargi, pochylając głowę. Łzy popłynęły same.

Wóz zaskrzypiał, przechylił się na bok. Prowadzący go Dorien zaklął głośno. Koła zapadły się w śniegu i wóz stanął.

– Wio! – krzyknął Dorien, okładając konie batem. Zwierzęta parskają, podrzucały nerwowo grzywami, próbując ruszyć z miejsca. Kopyta ślizgały się na ubijanym śniegu.

Mark zawrócił, by ocenić sytuację.

– Trzeba go wypchnąć – zdecydował.

Mężczyźni zsiadli z koni. Wspólnymi siłami popchnęli wóz.

Dorien kolejny raz zaklął i trzasnął batem. Tym razem zwierzętom udało się ruszyć.

Evan podniósł głowę. Rozejrzał się wokół opuchniętymi od płaczu oczami. Na wozie oprócz niego znajdowały się inne porwane dzieci. Znał je wszystkie. Synowie kowala – Gorn, Ber, Wygyr. Ich mała siostra – Dina. Wyrósnięty Albert z końca wioski. Chudy Logi. Mitra. Przytulona do niej Arniwa. Rudy Grent. I najstarsze z nich: Kerina i Surja. To na Surję patrzył wcześniej ten groźny mężczyzna.

– Dokąd jedziemy? – spytał drżącym głosem.

Nikt mu nie odpowiedział. Jadący obok zbrojni patrzyli przed siebie w milczeniu. Nie odważył się ponowić pytania.

– Chyba w stronę Enhiller – wreszcie usłyszał szept Alberta.

Spojrzał na niego ze strachem.

– Tam, gdzie są smoki? – Czuł, że zaraz znowu się rozpłacze.

Kerina wyciągnęła dłoń i ścisnęła palce Evana.

– Nie bój się. Nie ma smoków. To tylko bajania starszych.

Pokiwał główką.

– Ojciec mówił, że w Enhiller są elfy – przypomniał sobie Rudy Grent.

– I takie stwory, które wypijają krew – dorzucił Gorn.

– Zamknąć się, bachory! – Niespodziewanemu krzykowi towarzyszył świst bata.

Surja jęknęła cicho, czując uderzenie, które spadło na jej plecy. Przecież nie rozmawiała. Dzieci umilkły, patrząc na siebie wystraszone. Evan znieruchomiał. Zaprzagnął znaleźć się obok Kyli.

Na dziedzińcu zamkowym już od rana Artch z Willem szkolili nowych rekrutów, którzy dzień wcześniej dzielnie pomagali grzebać zabitych wieśniaków. Na ich młodych twarzach wciąż jeszcze odbijało się wrażenie, jakie to na nich wywarło.

Nie byli przyzwyczajeni do takiej brutalności, do widoku tyłu trupów. Dwoch młodzików nie wytrzymało i zawartość ich żołądków wylądowała przy jednym z płotów.

– Są jeszcze tacy młodzi i niewinni – mruknął wtedy Quen z niepokojem w głosie. – Wychowani na roli. Nie nawykli do... – Machnął ręką w stronę ciał zabitych.

– Okrzepną – rzucił krótko Morht, przestając na chwilę kopać następny dół. Spojrzał uważnie na przyjaciela. – Ty w ich wieku byłeś już jednym z najlepszych tropicieli. – Vartheńczyk klepnął przyjaciela w ramię. – A oni... zawsze mogą odejść, nikt ich nie zmusza – dodał. – Skoro nadal tu są, widać tego chcą.

– Tropiciele wychowali mnie po śmierci rodziców. Niczego innego nie mogli mnie nauczyć. – Quen kpina próbował obrócić przykre wspomnienie w żart. – Ty zaś już jako smarkacz byłeś jednym z najbardziej szalonych najemników, jakich kiedykolwiek poznałem.

Mało kto wymordowałby bandę Vartheńczyków w ich własnym obozie i zbiegł z ich rzeczami – przypomniawszy.

– Ratowałem nam zadki. Ścigaliby nas. Wolałbyś dołączyć do swoich torturowanych kompanów? – Quen nie pofatygował się, by zaprzeczyć. – Tak... – Morht zapatrzył się przed siebie niewidzącym wzrokiem. – Życie nie zawsze daje nam to, czego chcemy, prawda? – powiedział nieco bez związku.

Quen, patrząc przez okno na plac, przypomniawszy sobie tamtą rozmowę. Jego myśli jednak miast ku śmierci pomknęły w stronę pewnej jak najbardziej żywej rudowłosej osóбки z Terlin. Nie zawsze dostajemy to, czego byśmy chcieli... Racja. Czyżby Morht też miał na myśli kobietę, mówiąc te słowa? Quen westchnął, po czym przypasał miecz i szybkim krokiem wyszedł na korytarz.

Szczęk mieczy i krzyki, wpadające przez uchylone okienko do komnaty Kyli, zbudziły dziewczynę. Otworzyła zapuchnięte oczy i powiodła smutnym wzrokiem po ścianach sypialni. Przez te kilka dni unikała ludzi; prawie wcale nie opuszczała swojej kwatery. Pograżona w rozpacz, najchętniej nie wychodziłaby z łóżka. Prześladowały ją myśli o Evanie. A kiedy wyobrażenia podsuwała brutalne obrazy tego, co mogło mu się przytrafić, drżała ze strachu i bezsilności.

Nawet wesołe szczebiotanie Rivienny nie było w stanie wyrwać Kyli z odrętwienia. Dziewczynka nie zdawała sobie sprawy z tego, co się stało, a nikt z dorosłych nie palił się, by ją wtajemniczać w tak dramatyczne wydarzenia.

Niemowlę przywiezione do zamku – mimo starań sprowadzonego medyka i najlepszej opieki, jaką Lady Lyanna mogła mu zapewnić – umarło następnego wieczoru. Malutki organizm przegrał walkę z chłodem i trudami podróży. Ta śmierć przygnębiła mieszkańców zamku.

Morht rozesłał zwiadowców do Terlin, Arwen i Isztyr, by zdobyli informacje, i z niepokojem wypatrywał ich powrotu. Długie godziny naradzali się z Sir Laghortem w jego komnacie.

Quen zszedł na dziedziniec i przystanął w cieniu krużganków, przyglądając się swoim kompanom.

– Ja też – wysepleniła Rivienna, płacząc się koło nóg Willa. Surowa twarz mężczyzny złagodniała, gdy spojrział na dziewczynkę. – Riv ce miecyk – domagała się, próbując dosięgnąć ręką broni najemnika.

– Jesteś jeszcze za mała. – Will rozwichrzył jej pieszczotliwie włoski. – Pomóż Selenie w kuchni – spróbował delikatnie odesłać uparciucha.

Dziękował w duchu bogom, że stary Zaren wyjechał z wioski, pozwalając mu zabrać Irinę na zamek. Gdyby pozostała w Vinryd... Wolał nawet o tym nie myśleć.

– Riv! Ce! Miecyk! – Mała wydarła się na całe gardło, patrząc nagląco na Willa.

– Dlaczego akurat mój? – jęknął, ale wyciągnął broń i pomógł dziewczynce uchwycić

rękojeść.

Artch roześmiał się, gdy ciężar miecza przeważył i Rivienna przewróciła się.

– Nie najmowałem się na niańkę – warknął Will, zerkając z wyrzutem na kompana. – Niech Seleną się nią zajmie. Albo ty – dodał niewinnie i humor mu się poprawił na widok zmieszania towarzysza.

Artch skrzywił się, niemniej pomógł małej wstać i złapał ją za drobną rączkę.

– Chodź, poszukamy czegoś mniejszego – zaproponował ugodowo i skierował się wolno w stronę zbrojowni.

Wkrótce Rivienna biegała po dziedzińcu, wymachując ochoczo kawałkiem stępionego kija.

– I po sprawie – podsumował z zadowoleniem Artch. – Mogę wrócić do swoich zajęć.

Podszedłszy do jednego z rekrutów, poprawił mu ułożenie dłoni i pokazał, jak powinien pracować nadgarstkiem w trakcie zadawania pchnięcia.

Lady Lyanna, przechodząca akurat dziedzińcem, uśmiechnęła się lekko na widok biegnącej dziewczynki. Poklepała po ramieniu stojącego nieruchomo Quena, po czym zdecydowanym krokiem podążyła w stronę korytarza prowadzącego do komnaty Kyli.

Zanim zapukała, przez chwilę wsłuchiwała się w dochodzące zza drzwi szlochanie. Na dźwięk kołatania płacz ustał jak ucięty nożem. Zapadła grobowa cisza.

– Kylo? – Kobieta zapukała ponownie, jednak dziewczyna nie odpowiedziała.

Lady pokręciła bezsilnie głową. Odwróciła się już, by odejść, gdy nagle drzwi zaskrzypiały i na progu stanęła jej zapłakana podopieczna. Lyanna odruchowo wyciągnęła rękę.

– Kylo... – Przytuliła wymizerowaną dziewczynę do siebie. – Odnajdziemy Evana – obiecała, chcąc ją pocieszyć. – Wyjeżdżam jutro do Slith, może dowiem się czegoś nowego. Dzisiaj powinni wrócić Urlin i Trevor, zapewne przywiozą jakieś informacje. Większą grupę ludzi ktoś musiał gdzieś zauważyć – tłumaczyła spokojnie, gładząc jasne włosy dziewczyny.

Kyla milczała. Dopiero po chwili odsunęła się nieco i spojrzała w twarz ciotki.

– Dlaczego ich zabrali? – wydusiła przez ściśnięte gardło.

Lyanna zwlekała z odpowiedzią. Zastanawiając się, weszła do środka komnaty i przysiadła na brzegu krzesła. Dopiero wtedy się odezwała:

– Mimo że król zabronił handlu ludźmi, a za złamanie zakazu grozi wygnanie z Iltarii, to wciąż istnieją grupy najemników, którzy dla zysku zaryzykują. Porywają ludzi i sprzedają, choćby możliwym z Alakor. Chociaż ostatnio bardziej opłacalne stało się wywożenie jeńców za morze. Tamtejsi mieszkańcy płacą ponoć krocie za zdrowych młodych niewolników. – Zapatrzyła się w okno.

Kyla objęła dłońmi szczupłe ramiona i wbiła wzrok w podłogę.

– Czy... – zaczęła niepewnie i urwała, czując, jak ogarnia ją fala strachu. A jeśli samo zadanie pytania sprawi, że jej obawy się urzeczywistnią? Jak samospelniająca się przepowiednia. – Czy Evan... też mógł tam trafić? – przełamała się w końcu. – Za morze?

Niedolą innych wieśniaków, chociaż wielu znała od dzieciństwa, jak na przykład synów kowala, nie przejmowała się w tej chwili tak bardzo jak losem przybranego brata. Podniosła

głową, patrząc na ciotkę z napięciem. Mocniej objęła się ramionami.

Lyanna oderwała wzrok od okna i spojrzała ze smutkiem na dziewczynę.

– Tak – odparła wreszcie. – Morht ma plan, próbuje przekonać do niego Eryka – dodała szybko, widząc, że Kyla gwałtownie zbladła. – Dotarcie do Alakor wymaga czasu. Przeprowadzenie większej grupy ludzi przez Pogórze Niedźwiedzie i Wyżynę Trygielską nie jest prostą sprawą – zaczęła wyjaśniać. – Jeśli chcą dowieźć wieśniaków... – zawahała się lekko – w dobrym stanie, takim, który zapewni im jak najlepszy zarobek, to muszą uważać na swój towar, muszą o niego zadbać. Nie mogą sobie pozwolić na straty. – Zdawała sobie sprawę, jak sucho i beznamiętnie brzmią jej słowa, ale mieli do czynienia z bezwzględny przeciwnikiem. – A my musimy myśleć tak jak oni – zakończyła twardo.

– Jak oni? – zdziwiła się Kyla.

– Tak – potwierdziła Lyanna. – Musimy spróbować wejść w ich skórę, wybrać trasę, jaką oni by wybrali, aby dostarczyć wieśniaków do Alakor. Problem w tym, że nie wiemy, kto ich porwał. Morht sądzi, że to ktoś wynajęty przez Thundera, na co wskazywałby trup napastnika znaleziony w chacie. Jednak skoro go tam zostawili, skoro nie zatroszczyli się o zatarcie śladów, można podejrzewać, że pokłócili się między sobą i skończyło się śmiercią jednego z nich. Możliwe, że pracują dla kogoś innego. – Lyanna rozłożyła bezradnie ręce. – Na pewno nie są zbyt rozsądni, skoro nie zabrali ciała.

– Mogą zrobić coś, czego nikt nie będzie się spodziewał? – spytała niespokojnie dziewczyna. – Mogą na przykład – głos jej zadrżał – pozbyć się tych, którzy staną się niewygodni? Którzy będą ciężarem w drodze?

Lyanna nie miała wątpliwości, czego obawia się Kyla.

– Za dzieci płacą więcej – odparła. – Dzieci na pewno będą chcieli dowieźć.

– A jeśli...

– Nie ma „a jeśli” – mruknęła Lady, błagając bogów w duchu, aby nie myliła się w tej kwestii. – Dzieci dowiozą. Co zrobią z kobietami i mężczyznami, tego nie wiemy. Jeśli Eryk zgodzi się na plan Morhta, wyruszymy od razu. Dla niego przeprowadzenie się przez tereny gór to żaden kłopot. Plemię zamieszkujących je barbarzyńców nie jest mu wrogiem. Ich wódz oddał przecież jednego ze swoich synów pod opiekę Morhta.

– Jak to? – Kyla otworzyła szerzej oczy ze zdumienia.

– Nie wiedziałaś? – Lady uśmiechnęła się lekko. – Urlin to najmłodszy syn Duerona. Ponieważ jego matką jest wieśniaczka z Rizer, nigdy nie zostałby uznany za prawowitego syna wodza, więc Dueron, nie chcąc skazywać go dłużej na los bękarta, niewolnika ich kobiet, powierzył go Morhtowi – wyjaśniła.

– Urlin...?

Lady pokiwała twierdząco głową.

Kyla nie dowierzała, przypominając sobie nieco gapowatego, jasnowłosego najemnika.

– Niewolnika ich kobiet? – Słowa Lyanny wzbudziły ciekawość dziewczyny.

Na ustach Lady pojawił się leciutki uśmiech.

– To dość... dziwne plemię – oznajmiła z wahaniem w głosie. – Niedźwiedzie kobiety nie

ustępują w niczym mężczyznom. Zarówno w walce, polowaniach, jak i życiu codziennym. Odważne, śmiałe, uważają, że mężczyźni zostali stworzeni po to, by im służyć. Wyjątek stanowi ich wódz, którego same wybierają.

– Wybierają na wodza mężczyznę? Chociaż ich zdaniem powinien im służyć? – Kyla nie umiała pojąć takiej niekonsekwencji.

Lyanna uśmiechnęła się szerzej. Temat plemienia Niedźwiedzi zainteresował dziewczynę na tyle, że chwilowo troska o brata zeszła na drugi plan.

– Właśnie tak – przytaknęła. – Jednak są to... nietypowe wybory. Wodzem plemienia zostaje ten, który w ciągu jednej nocy... jakby to powiedzieć, hm... – Odchrząknęła, mimo rozbawienia jednak odrobinę zmieszana. – Zadowolony, tak, to dobre słowo, zadowolony największą liczbę kobiet. A znając zamiłowanie Duerona do odwiedzania zamtułów, raczej nie sprawiło mu to większego problemu – dokończyła z ironią.

Kyla pokręciła głową ze zdumieniem. Nagle zmarszczyła brwi, zastanawiając się nad czymś.

– Skoro ich wódz powierzył syna Morhtowi... – zaczęła. – Musieli się znać wcześniej – ni to spytała, ni stwierdziła. – Przecież nie oddałby go pod opiekę kogoś zupełnie obcego. Zatem czy... – zawahała się, szukając właściwych słów – czy Morht zna się z Dueronem z tych... miejsc? – Kyla spojrzała wyczekująco na ciotkę.

– Cóż... – Lyanna wzruszyła ramionami. – Morht nigdy nie był wzorem cnót i powściągliwości. Jednak porządnym kobietom nie przystoi rozmawiać o ich typowo męskich wyprawach. – Popatrzyła przeciągle na Kylę, która zarumieniła się i uciekła wzrokiem. – A wracając do Uurlina, kobietom z plemienia nie podobało się, że Dueron ma syna z wieśniaczką.

Kylę ogarnął gniew. Ale nie na dzikie kobiety, wyzywające się na biednym Uurlinie. Była zła na dowódcę. Czy jednak właściwie rozpoznała uczucie, które nią owładnęło, gdy sobie wyobraziła Morhta w ramionach innej...?

– Sukinkot – syknęła przez zaciśnięte zęby. – Cholerny Vartheńczyk.

Lyanna popatrzyła na nią uważnie.

– Widzę, a raczej słyszę, że Morht nie tylko fechtunku cię uczy – rzuciła drwiąco.

Kyla mruknęła coś pod nosem, a potem zmieniła temat.

– Co będzie z Evanem? – spytała ze sztucznym ożywieniem, pokrywając nim uczucia, których nie chciała, a które nie miały nic wspólnego z troską o młodszego brata. – Muszę go odnaleźć. Nie mogę pozwolić, aby coś mu się stało. Nie chcę na to pozwolić. Jeśli trzeba, wyruszę sama, odszukam ślady, pojedę za nimi, wypytam ludzi, ktoś musi coś wiedzieć... – z jej ust popłynął potok słów.

– A potem sama stawisz czoło gromadzie uzbrojonych najemników! – prychnęła sarkastycznie Lyanna. – Morht ma plan. – powtórzyła. – A ty pohamuj swoją porywczosć. Ostatnio okazujesz ją coraz częściej. To źle – zganiała ją Lady. – W gniewie nie myśli się rozsądnie i podejmuje błędne decyzje.

Kyla posłała jej wrogie spojrzenie, jakby nagle zapomniała, kim jest stojąca przed nią

kobieta.

– Co cię tak rozdrażniło? – spytała wprost Lyanna.

– Nic – padła jakże wyczerpująca odpowiedź.

Lady tylko pokiwała głową. Nic. Jedno słowo, które w ustach kobiety znaczyło tak wiele.

Stęknął boleśnie, próbując odwrócić się na bok. Zrezygowany opadł na plecy, zsuwając z siebie kobiece ramię. Wodził po niskim pułapie karczemnej izby rozespanymi oczami. A właściwie jednym okiem, bo drugie wciąż było opuchnięte. Vierna zamruczała rozkosznie przez sen, na powrót zarzucając rękę na nagi tors Venima. Zza mgły kaca wyłoniło się wspomnienie wieczornej rozmowy...

– Nie możemy mu tego darować – przekonywała Vierna, hojnie dolewając mu piwa. – Pamiętasz, jak się nami opiekowałeś? – Utkwiła w nim płonące żądzą zemsty oczy. – Pamiętasz, ile dziewczyn porzuciło pracę z jego powodu? Bo im w głowach namieszał! – syknęła.

– Tylko dwie.

– Aż dwie! – Obfity biust Vierny zafalował oburzeniem tuż przed nosem Venima. – Dwie, które sam przywiozłeś i które miały przynosić zyski. A on namówił je na służbę u Laghortów. Nie widzisz, że już wtedy chciał cię pogrożyć? Chciał odebrać ci źródło zarobku? Chciał cię zniszczyć – sączyła mu jad do ucha. – Chciał, cię wszystkiego pozbawić. Żebyś musiał...

– Przestań!

Nie musiała mu przypominać, że Morht od paru zim krzyżował jego plany. Psi syn. Dobroczyńca wieśniaczek.

– To ona go do tego namawia. – Vierna nie przestawała gadać, nie zważając na logikę swoich wywodów. Kyła wszak pojawiła się na zamku ledwie zimę temu. – Ta zdzira z Vinryd udająca skromniśnię. Owinęła go sobie wokoło palca.

– Kyła...? – Venim dopił piwo i stuknął kuflem w blat. Dolała mu trunku.

– A któż by inny? Dlaczego cię pobił? Przez nią! Już zapomniałeś?

Zaprzeczył prędko. Nie zapomni Morhtowi, że upokorzył go na oczach wszystkich.

– Chciała, żeby cię zabił. – Utkwiła poważny wzrok w opuchniętej twarzy najemnika. – Chciała się ciebie pozbyć.

Nie do końca wierzył jej słowom, wykazując resztki zdrowego rozsądku.

– Dlaczego miałyby tego chcieć?

– Bo cię kocham. A ona niszczy wszystko, na czym mi zależy.

Wydało mu się to absurdalne. Odepchnął Viernę od siebie.

– Ty? – Zaśmiał się drwiąco. – Ty kochasz tylko złoto – wytknął jej z nutą pretensji.

Prychnęła obrażona.

– Trzeba się ich pozbyć – syknęła, zrywając się od stołu. Nerwowym krokiem zaczęła krążyć po niewielkiej izbie. Nagle jej twarz rozjaśniła się szerokim uśmiechem. – Chyba że najpierw na nich zarobimy... – Usiadła ponownie naprzeciw najemnika. – Jak myślisz, ile Eryk

zapłaci za życie bratanicy? – Zmrużyła nienawistnie oczy.

Nie brał tego wcześniej pod uwagę. Podparł głowę ręką i zadumał się. Porwanie Kyli? To szaleństwo.

– Morht jej pilnuje – mruknął. – Może nie zupełnie otwarcie, ale zawsze wie, gdzie jest i co robi. Został jej nauczycielem. Starsi najemnicy żartowali, że panienska Kyła jest pod jego opieką.

Vierna skrzywiła się, słysząc te słowa. Zaboląły bardziej, niż mogła przypuszczać. Kiedyś wiele by dała, by samej doświadczyć opieki Vartheńczyka. Ale już nie. Teraz go nienawidziła!

– Byłeś tam. Znasz ich zwyczaje. Nigdy nie zostaje sama? Nigdy nie opuszcza zamku samopas?

Zastanowił się.

– Opuszcza – odparł po długiej chwili.

Vierna uśmiechnęła się zwycięsko.

– Morht nam tego nie daruje – mruknął. – Odnajdzie ją, nas, a wtedy... – Przeciągnął palcami po szyi dziwki. – Rozumiesz?

– Przyjdzie po nią... – przesunęła opuszkami palców po obrzeżu kufla – a my będziemy na niego czekać... – Oczy jej rozblęły. – Wtedy mu pokażesz, że zadarł z niewłaściwym najemnikiem – judziła. – Wciągniemy go w pułapkę... oczywiście już po tym, jak dostarczą nam złoto za Kylę. – Oblizwała usta.

Nie do końca był przekonany, czy to dobry pomysł. Kuszący, ale niebezpieczny. Wciąż pamiętał wykrzywioną nienawiścią twarz Morhta.

Uniósł głowę i zerknął na śpiącą obok Viernę. Była tylko głupią dziwką, ale... miała rację. Porwanie Kyli na pewno ułatwiłoby wciągnięcie Morhta w pułapkę. A bez dwóch zdań chciał się go pozbyć.

Drażniło go, że Kyła jest pod „dyskretną opieką” dowódcy. Najchętniej dopadłby młódkę w kącie zamku, byle Morht nie wziął jej jako pierwszy, ale bał się reakcji czarnowłosego, który mógłby go zabić. Był porywczy i bił mocno, o czym Venim przekonał się na własnej skórze. Za to w żadne porywy serca nie wierzył. Nie ze strony ponurego, zimnego Morhta. Niemniej chętnie by mu dopiekł, sprzątnął przed nosa upatrzoną zdobycz. Niech sobie sukinkot nie myśli, że może mieć wszystko: dowództwo, szacunek podwładnych, własne miejsce i jeszcze bratanicę Laghorta na dokładkę. To z nim, Venimem, powinni się liczyć, przed nim drzeć, nie przed tym.. A co do Kyli, miał swoje plany. Żadna wieśniaczka, nawet taka, która niby pochodzi ze szlacheckiego rodu, nie będzie go ignorowała. Jest dobra dla jakiegoś vartheńskiego przybłądy, a dla niego już nie? To się jeszcze okaże! Zanim odda ją rodzinie... O ile w ogóle odda... Mlasnął obleśnie. Ciekawe, ile Laghortowie zapłaciliby za odzyskanie bratanicy? Na pewno sporo. Należało zatem działać.

Szturchnął Viernę w ramię.

– Ubieraj się – polecił, sam ociężałe podnosząc się z łóżka. Obolałe ciało wciąż przypominało powód, dla którego znalazł się w Terlin. Odszukał wzrokiem porzucone spodnie

i koszulę. Ubrudzone i pomięte leżały na podłodze, która dawno nie widziała miotły. Otrzeptał je z kurzu, przyjrzał się dokładniej i skrzywił z niezadowoleniem. Przydałyby się nowe portki. Powoli wciągnął odzienie na grzbiet. Podrapał się po głowie, zajrzał do dzbana z piwem i stuknął w niego palcem.

– Pusty... – zauważył, odwracając go do góry dnem. – Rusz się wreszcie i przynieś pełny. – Spojrzał w stronę kobiety.

Vierna leżała w pomiętej pościeli i uśmiechała się leciutko. Venim nie był dobrym kochankiem, ale miał pieniądze. A tych wkrótce przybędzie o wiele więcej. Liczyła, że kochanek nie poskapi na jej zachcianki. Wizja złota sprawiła, że od razu poprawił się jej humor. A jeśli na dokładkę trafiała się okazja do zemsty na Vartheńczyku, który śmiał ją odtrącić... Czyż mogła pragnąć czegoś więcej? W marzeniach już widziała upokorzonego Morhta błagającego o litość. Skamlącego u jej stóp, żebrzącego o łaskę. Piękny obraz! Dla takiego widoku warto cierpliwie udawać zauroczenie Venimem i znosić jego zachowanie.

– Później... – Przeciągnęła się, odsłaniając kawałek uda. – Może tu wrócisz? Łoże bez ciebie jest takie zimne i puste...

Zignorował to zaproszenie.

– Pojadę do Oren, może zdołam się porozumieć z Thunderem – myślał na głos. By porwanie Kyli się udało, potrzebowali wsparcia. Najlepiej kogoś, kto za złoto zrobi wszystko. Kogoś bez skrupułów. – To jednego z jego ludzi znaleziono martwego w wiosce. Ciebie zawiozę do Arwen. Powinien tam być Angus. – Uświadomił sobie, że kuzyn mógłby pomóc w skontaktowaniu się z Thunderem. – Może on ułatwi sprawę... Sami nie uprowadzimy Kyli – podkreślił. – Najemnicy Thundera nieraz porywali ludzi, więc będą wiedzieli, jak się do tego zabrać – gadał szybko, zapaliwszy się do swojego planu.

– Co niby będę robić w Arwen? – Vierna wydeła kapryśnie usta.

– Znikniesz mi z oczu i nie będziesz przeszkadzać – odwarknął mało grzecznie. – Dowiesz się, czy wieści o wieśniakach z Vinryd już się rozeszły – dorzucił po chwili, widząc jej rozzłoszczoną minę. – Dam sobie rękę uciąć, że to robota najemników Thundera. Znam ich metody działania – pochwalił się. – Ciekawe, na czyje zlecenie porwali wieśniaków? I ile im zapłacą?

– Po co ci wieści o porwanych? – zdziwiła się Vierna.

Uśmiechnął się z wyższością.

– Dobrze wiedzieć, co się dzieje w okolicy. Interesuje mnie, czy niewolnicy trafią do Lorda Vithalla, czy za morze.

– Po co? – Vierna nadal nie rozumiała.

– Jeśli porwano ich dla kupców zza morza – zaczął tłumaczyć – wtedy to nie nasza sprawa. Ale jeśli na zlecenie Vithalla... – Zawiesił głos. – Tylko pomyśl, ile byłby skłonny zapłacić, aby wieści o jego, hm... poczynaniach w Murg, nie dotarły do króla.

– Jakich poczynaniach? – dociekała.

Machnął niedbale ręką, nie wdając się w kolejne wyjaśnienia.

Lord Vithall chętnie płacił więcej za młodych, nietkniętych niewolników, ale pilnował,

aby jak najmniej osób o tym wiedziało. Zabawiał się z chłopcami, których potem odsprzedawał za morze; dziewczynki zostawały dłużej, zmuszane do „usługiwania” gościom Lorda oraz jego zaufanym pracownikom o podobnych upodobaniach. Edykt króla Berona o zakazie handlu ludźmi był powszechnie znany, a Vithall nie zamierzał skazywać się na zesłanie, gdyby wyszło na jaw, że służba w jego posiadłości w większości składa się z iltaryjskich dziewcząt, choć sprzątanie i gotowanie nie należało do ich głównych obowiązków. Prawdę znali tylko nieliczni.

– Potem na pewno chcesz jechać do Oren? – upewniła się Vierna. – Przeprowadzisz się bezpiecznie przez góry? – spytała, okrywając się na powrót wymiętym kocem. – Plemię Niedźwiedzi nie przepuszcza zbyt chętnie podróżnych przez swoje tereny...

– Nie przepuszcza – przerwał jej – jeśli na wozach brak błyskotek, tak pożądanym przez ich kobiety. – Parsknął śmiechem. – Kupcy już dawno zorientowali się, że najbezpieczniej jest podarować barbarzyńcom kilka świecidełek. Wtedy wozów nie rozwalają, koni nie zabierają, ludzi nie zabijają. Chyba że... – zawiesił głos – ktoś ma pecha i trafi na ich wyjątkowo zły humor. Choć sądząc po tym, jak są we własnym plemienu traktowani, to zły humor muszą mieć cały czas. – Zarechotał złośliwie. – To tylko banda tępych dzikusów – rzucił drwiąco i sięgnął po swój tobołek. – Słuchają rozkazów kobiet, a z tymi łatwo sobie poradzę. Zawsze sobie radzę z kobietami – dodał chełpliwie.

Vierna potrząsnęła głową. Nie była taka pewna, czy kobiety z Niedźwiedzi w czymkolwiek przypominają białogłowy wychowane na zamkach, we dworach czy w miastach.

– Głupcy – kontynuował Venim, grzebiąc w tobołku. Wyjął z niego sakiewkę z częścią odłożonego żołdu. – Nie wiem, dlaczego niektórzy tak się ich boją. Przecież okoliczni wieśniacy żyją z nimi w zgodzie. – Przeliczył monety, wybrał kilkanaście i wsadził do podręcznego mieszka.

– To pokojowe plemię? – Vierna czujnie obserwowała poczynania najemnika.

Popatrzył na nią pogardliwie. Zawiązał mieszek, wrzucił resztę monet do sakiewki i umocował ją na rzemieniu na szyi.

– Nie zaprzataj sobie tym głowy, moja śliczna – mruknął.

Vierna zagryzła w milczeniu wargi i przechyliwszy się przez łóżko, sięgnęła po leżącą na podłodze suknię. Uważała, że Venim źle ocenia barbarzyńców. Ci dwaj, których miała okazję poznać w zamtuzie, nie zachowywali się jak tępe osiłki. Owszem, wyglądali jak chodzące góry mięśni, jednak w ich spojrzeniach kryło się coś takiego, co sugerowało, że pozory mogą mylić. Zamyśliła się na chwilę, wracając do wspomnień. Te widać były miłe, bo na twarzy ładaczniczy zagościło rozmarzenie. Zadrżała lekko, przypominając sobie doskonale umięśnione ciało wyższego z barbarzyńców i zaskakującą delikatność, z jaką ją potraktował. Jak on się zwał? Dueron? Dreuon? Nieważne. Przeciągnęła się...

– Ruszaj się – pogonił ją Venim. – Tu masz coś na swoje wydatki. – Rzucił mieszek na łóżko.

Uniosła się na łokciu i sięgnęła po niego skwapliwie. Rozsupłała węzeł i zerknęła do

środku. Same miedziaki. Złotej monety tam nie było. Na jej twarzy pojawiło się rozczarowanie.

– Na co ma mi to wystarczyć? – Spojrzała tęsknie na sakiewkę, którą mężczyzna upchnął za koszulą. – Na kielich wina w karczmie w Arwen?

Najemnik zmierzył ją zimnym wzrokiem, ale w końcu wyjął srebrny guar i rzucił Viernie.

– Z łatwością zarobisz więcej, gdy dotrzesz na miejsce – zauważył złośliwie.

Prychnęła urażona, na co Venim roześmiał się głośno.

– Nie rób z siebie dziewiczej wybranki bogów. – Usiadł na łóżku i przyciągnął ładacznice do siebie. Zacisnął dłoń na jej odsłoniętej piersi, drażniąc kciukiem wyprężony sutek. – Lepiej się pospieszmy – mruknął i wpił się zachłannie w jej usta.

Drabiniaste wozy toczyły się powoli, pokonując łagodne wzniesienie Równiny Iltaryjskiej. Handlarze kierowali się na południe, w stronę granic z Enhiller. Warunki pogodowe uległy zmianie. O ile w okolicach Slith wciąż zalegał śnieg, to im bliżej było do Enhiller, tym szybciej śnieg zniknął.

– To chyba magia – odezwał się Nigel. – Nigdy nie zrozumiałem, jak to możliwe, że tutaj zima jest tak łagodna.

– Istoty zamieszkujące Enhiller nie lubią chłódów – odparł Mark. – Może wymusili na magach zmianę aury? Zbieranina dziwołagów – dodał pogardliwie. – Już dawno powinni zdechnąć.

– Elfki są całkiem miłe.

Nigel zarechotał rubasznie. Kompan mu zawtórował.

– To samo myślisz o krasnoludziach?

– Małe, robotne... – Nigel zwolnił, zrównując się z pierwszym wozem. Nagle pochylił się w siodle, zerwał chustę z głowy Surji i schwycił ją za włosy. Pisnęła, próbując się oswobodzić. – I nie piszczą tak głośno. – Puścił wystraszoną młódkę.

Skuliła się, objęła dygoczące kolana ramionami. Nigel wyciągnął zza pasa bat i jego końcem przeciągnął po plecach dziewczyny. Zerknęła lękliwie na najemnika. Uśmiechnął się zadowolony, dostrzegłszy strach w dużych błękitnych oczach. Końcówką bata uniósł podbródek Surji.

– Dlaczego? – wyjąkała drżącym głosem.

Uśmiechnął się szerzej.

– Podobasz mi się – odparł, chowając bat. Przechylił się w siodle i przesunął szorstką rękawicą po policzku młódky. – Założę się o antałek piwa, że na sianie krzyczałabyś głośniejsz niż terlińska dziwka. Co nie, Bruns?

Wywołany wybuchnął śmiechem. Pozostali zbrojni zarechotali radośnie. Surja zapragnęła zniknąć. Jadący na drugim wozie jeden z młodych wieśniaków zaprotestował.

– Zostaw ją! – wrzasnął, szarpiąc krępujące go więzy.

Przerażona dziewczyna odwróciła głowę w jego stronę. Jeden z najemników uderzył

mężczyznę pięścią w głowę.

– Nie! – zakrzyczała, widząc, jak drugi z najemników sięga po bat. – Nie róbcie mu krzywdy – dorzuciła prędko, patrząc błagalnie na Nigela.

Ten zaśmiał się pogardliwie.

– Obrońca damy. – Gestem ręki powstrzymał kompana, zamierzającego się batem. – Liczę na twoją wdzięczność, o pani. – Mimo ironii wydźwięk jego słów był jednoznaczny.

Po policzku Surji spłynęła pojedyncza łza.

– Dojeżdżamy! – zawołał Mark.

Nigel niechętnie podjechał bliżej kompana. Młoda wieśniaczka zaczynała mu się podobać coraz bardziej. Na samą myśl o jej wystraszonych oczach poczuł narastające podniecenie.

– Dlatego tak wrzeszczysz? – mruknął.

Mark wzruszył ramionami. Przed nimi rozpościerała się ściana lasu. Zalegający jeszcze miejscami śnieg tworzył malownicze plamy na zamarznętej trawie. Drzewa wyciągały przed siebie bezlistne gałęzie.

– Za wąsko – burknął Mark, przyglądając się prowadzącej pomiędzy drzewami ścieżce. – Wozy nie przejadą.

– Jest inna droga? – Nigel rozglądał się wokoło.

– Tak. – Mark spojrzał ze złością na kompana. – Brukowana, wysadzana po bokach kwiatkami, wiodąca wprost do kryjówki – dorzucił drwiąco. – Przestań myśleć kuśką i przypomnij sobie, gdzie jesteśmy i dokąd jedziemy. – Mężczyzna nie krył rozdrażnienia. – Trzeba ich przeprowadzić, a wozy spalić – zdecydował.

Nigel zawrócił konia.

– Złazić! – krzyknął, podjeżdżając do karawany. – Elren i Bruns, spalcie wozy. Reszta otoczyć wszarzy i za mną! – wydał rozkazy.

Przy wtórze poszturchiwań i okrzyków z jednej strony, a pisków i płaczów z drugiej – uformowano kolumnę. Nigel podjechał bliżej. Obliznął łakomie wąskie wargi, nie spuszczać oczu z Surji, która próbowała uspokoić malutką Dinę. Tuliła do siebie zapłakaną dziewczynkę, szepcząc jej do ucha łagodne słowa otuchy.

– Zabierz jej bachora – warknął do Dorienu.

Najemnik wyszarpnął dziecko z objęć dziewczyny.

– Wsiadaj. – Nigel wciągnął zdezorientowaną Surję na konia. Usadził ją przed sobą, nie omieszkując przy okazji obmacać szczupłego ciała. Próbowała zaprotestować. Wierzgnęła nogami, chcąc wywinąć się z silnego uścisku, ale nie pozwolił. – Pojedziemy razem. – Złapał ją w pasie, siłą rozsunął dziewczynie nogi, zmuszając, by usiadła okrakiem. Wcisnął łapę pomiędzy uda. – Nie chcesz chyba, by on... – przytrzymał Surję za kark i odwrócił jej głowę w stronę wieśniaka, który wcześniej stanął w obronie młódki – znowu zdenerwował moich ludzi. A może chcesz? – syknął groźnie.

Bała się. Przełknęła ślinę, pragnąc rozpaczliwie, by ktoś jej pomógł. Jednak pozostali najemnicy byli tylko rozbawieni.

– Nie – wyszeptała trwoźnie.

Uśmiechnął się zadowolony. Przesunął ręką po udzie dziewczyny.

– Jak wołają twojego ukochanego? – spytał, przyciskając ją do siebie.

– Stern – padła cicha odpowiedź.

– Sternie! – Nigel zawrócił konia, podjeżdżając do skrepowanego młodzieńca. – Chyba mam dzisiaj o wiele więcej szczęścia niż ty – rzucił niedbale. Potem wycisnął na ustach Surji brutalny pocałunek. – A kto wie, co mi da już niedługo...

Młodzieniec rzucił się w stronę porywacza. Powstrzymały go więzy na nogach; przewrócił się na ziemię. Najemnicy zareagowali śmiechem i biciem – na plecy Sterna spadło kilka uderzeń bata. Pozostali wieśniacy stali w milczeniu, ze spuszczonej głowami. Surja krzyknęła. Dzieci rozplakały się.

– Dosyć! – Mark, obserwujący ich cały czas, zdecydował się przerwać kompanowi zabawę. – Nigel, jedziemy.

Z ciężkim westchnieniem łotr zszedł dziewczynę z konia. Uwolniona, podbiegła od razu do podnoszącego się ukochanego. Drżącą dłonią ocierała wargi.

– Związać z pozostałymi – nakazał Mark.

Czyjeś ręce pochwyciły dziewczynę, odrywając ją od Sterna. Skrepowały, a koniec sznura przywiązały do szyi Keriny.

– Nie szarp się, bo udusisz towarzyszkę – rzucił drwiąco Dorien.

Na znak dany przez Marka ruszyli ścieżką w głąb lasu. Uzbrojeni najemnicy w milczeniu eskortowali porwanych, zręcznie omijając drzewa. Słychać było odgłos kopyt uderzających w zamrażającą ściółkę, pochlipywanie dzieci, trzask łamanych gałązek.

Evan, idąc w gromadzie przerażonych dzieci, rozglądał się trwożnie. Miał wrażenie, że drzewa wyciągają gałęzie niczym ręce, chcąc go pochwycić. Przypomniawszy sobie, jak Rebeka mówiła, że niegrzeczne dzieci są porywane przez leśne stwory. Serduszko chłopca zabiło szybciej ze strachu. A jeśli taki stwór wylezie nagle spod ziemi...?

Potknął się o wystający korzeń i wpadł na idącego przed nim Gorna. Pisnął cicho, próbując utrzymać równowagę. Na szczęście nikt z najemników nie zwrócił na to uwagi. Chcieli jak najprędzej dotrzeć do kryjówki.

– Kiedy będą wozy? – Nigel ściszył głos.

– Za parę dni. Ariex wszystko przygotował. – Mark mówił równie cicho. – W kryjówce znajdziemy jedzenie i okrycia. Mamy nie dać im zdechnąć, zanim za nich nie zapłacą.

– Nikt nas tu nie znajdzie?

– A kto o tej porze roku zapuszcza się aż tutaj? Kogo interesują opuszczone chaty drwali?

– Laghortowie na pewno już odkryli porwanie. Morht zacznie węszyć...

– Dużo nie wywęszy. Będzie pewien, że podążamy szlakiem w stronę portu Alakor. Nie przyjdzie mu do głowy, że pojechaliśmy na południe. Przeczekamy kilka dni i gdy dotrą wozy, ruszymy w stronę Ognistego Traktu.

Nigel pokręcił głową.

– To wyszkolony Vartheńczyk. Niełatwo go oszukać – wyraził swoją wątpliwość.

– Jak myślisz, dlaczego zostawiłem trupa Pertena w tamtej chacie? Morht będzie pewien,

że trop wiedzie do Oren. I tam pojedzie. A my tymczasem będziemy gdzie indziej.

Nigel nabrał powietrza.

– Nie podoba mi się ten plan – oznajmił spokojnie.

Mark spojrzał na niego złowrogo.

– Nie musi. Masz go tylko wykonać. – W głosie mężczyzny zabrzmiało ostrzeżenie.

Nigel pokiwał głową.

– Wykonam.

Jednak to nie przekonało Marka. Spojrzał podejrzliwie na kompana. Przestał mu ufać.

Gabinet Sir Eryka, w porównaniu z komnatą jego żony, wydawał się niewielki. Głównym meblem było duże, masywne biurko stojące nieopodal okna. Jak zwykle zalegały na nim sterty papierzysk, zwiniętych w rulon pergaminów, pośród których niknęły mały lichtarz z ogarkiem świecy i pojemnik z inkaustem. Wystające z glinianego kufla łabędzie pióra sterczały dumnie ponad zwałami dokumentów. Reszta papierów zalegała na półkach zajmujących dwie ściany. Upchnięto tu również księgi różnej wielkości. Stojące przed nimi dwa spore fotele, wyściełane materiałami i poduszkami, sprawiające wrażenie miękkich i wygodnych, były teraz zajęte przez rycerza i jego zaufanego najemnika.

Morht drugie popołudnie spędzał w gabinecie Eryka, namawiając przełożonego do wyrażenia zgody na przedstawiony plan. Argumentował zaciekle, obstając przy swoim zdaniu. Aż mu zaschło w gardle. Sięgnął po stojący na niewielkim stoliku przy fotelach dzban z winem i nalał trunku do przyniesionych kubków. Podał jeden Erykowi.

– Jeśli byli w stanie uprowadzić ponad połowę wioski, resztę mordując, nie są nieliczną bandą zwykłych handlarzy, którzy kiedyś już zawitali w te strony – podjął Morht, przepłukawszy usta winem. – Na pewno było ich sporo. Nie wiemy, kto za nimi stoi. Trup jednego z najemników Thundera nie dowodzi, że watażka miał z tym coś wspólnego. Perten mógł pracować dla kogoś innego. Zwykli handlarze nie poważiliby się na coś takiego. Uprowadzili wieśniaków prawdopodobnie przed świtem, gospodarstw nie splądrowali. Handlarze przeszukaliby domy, połakomiliby się na ukryte kosztowności i sakiewki. Ci natomiast pozbyli się bezlitośnie słabych i starych, zabili zwierzęta, ale nie dokonali żadnej grabieży.

Eryk potarł brodę w zamyśleniu. Czarnowłosa miał sporo racji.

– Najemnicy króla Robena...? – W głosie rycerza zabrzmiał niepokój. – Sądysz, że jego ludzie to zrobili? Na tyle sownie opłaceni, aby nie kusilo ich plądrowanie wioski?

Szpiedzy z Varthenu mogliby za odpowiednią opłatą uprowadzić wieśniaków. Pozorny spokój, który zapanował po ostatnich potyczkach pod Arwen i Terlin, nie świadczył o tym, że władca Varthen zrezygnował z prób podbicia Iltarii. Może porwanie wieśniaków to zapowiedź kolejnych starć?

– Nie wiem – odparł Morht, odstawiając kubek. Podniósł się z fotela. – Nie wygląda mi to na robotę Vartheńczyków. Nie zapominaj, że gdyby to byli oni, ciała, które znaleźliśmy, wyglądałyby zupełnie inaczej... – zauważył ponuro. – I raczej nie porwaliby połowy wioski. Vartheńczycy nie zwykli zostawiać swoich ofiar przy życiu. Tym bardziej wozić ich ze sobą. Może stoi za tym ktoś z Alakor? Sam wiesz, że od czasu kiedy rozwinęli handel z krajami zza morza, wzbogacili się. Może ktoś dostał zlecenie na chodliwy towar? Nie zapominaj, że za morzem niewolnicy wciąż są poszukiwani, a i w samym Alakor znajdzie się wielu możliwych chcących mieć dzieci na posługi. I to na różne posługi... – Popatrzył znacząco na przełożonego. – Niewinnie wyglądające Iltaryjki są w cenie na niewolniczym rynku, zamorskie burdele chętnie je przyjmują, wiedząc, że przyciągną tym klientów. – Morht krążył po komnacie. – Nie,

to nie Varthen za tym stoi. Ktoś musiał wiedzieć, że nikt z nas w tym czasie nie odwiedzi wioski. Raczej nie zaryzykowałiby starcia ze zbrojnymi, a przecież ostatnio Will i Sarthus często tam przesiadują, zabierając ze sobą nowych rekrutów – tłumaczył cierpliwie. – I dlaczego akurat Vinryd? Nie Rodas, nie Metllas? Przecież pozostałe dwie wioski też należą do ciebie. Może dlatego, że Vinryd jest najbardziej oddalony – sam odpowiedział na swoje pytanie. – I bliżej z niego do granicy z morzem. – Pokręcił głową, przeczesując palcami włosy. – Przez chwilę miałem wrażenie, że komuś celowo zależało na tym, aby... – Urwał, patrząc na rycerza zagadkowo.

– Aby to była właśnie ta wioska – domyślił się Eryk.

– Może kogoś szukali? Tylko kogo...? – W czarnych oczach błysnął niepokój.

– W listach Darhera znalazłem kilka wzmianek o czymś, z czym wcześniej nigdy się nie spotkałem. – Eryk ściszył głos, nakazując Morhtowi usiąść obok. Kiedy ten wykonał polecenie, spojrzał na niego uważnie. – Chociaż głównie zawierają wyznania przeznaczone dla Kerny, to w kilku listach wspomina o duchach zmarłych, zjawach...

– Zjawach? – Morhtowi skojarzyło się to wyłącznie z jednym: zjawą Sir Darhera w komnacie Kyli, kiedy przywiózł ją na zamek.

Eryk przytaknął.

– Nie wiem, czy przeczuwał swoją śmierć, ale te kilka zdań nie daje mi spokoju. – Wyciągnął zza koszuli złożony kawałek papieru i podał Morhtowi. – Sam zobacz.

Najemnik rozłożył list na udzie.

– Na samym końcu – powiedział Eryk.

– „A gdy dojrzałością się wykaże i odwagą, w blasku księżyca pokonując tego, który w sercach strach wzbudza, ratując tym samym istnienia istot niewinnych, dar ów otrzyma. Do boju poprowadzi stwory bezcielesne, pokonując silną ręką wojownika wrogie wojska. Przeznaczenie musi się wypełnić, by w spokoju spocząć mogli”. – Morht oderwał wzrok od listu, przenosząc pytające spojrzenie na przełożonego.

– Czytaj dalej – nakazał Eryk.

– „Twój na wieki Darher” – mruknął Morht.

– Co? – Eryk sięgnął po papier i przebiegł po nim wzrokiem. – Brakuje... – szepnął, wpatrując się w puste miejsce oddzielające ostatnie słowa przeczytane przez najemnika od podpisu.

– Brakuje? – zdziwił się Morht.

– Tutaj był jeszcze opis tych istot bezcielesnych i prośba o dopilnowanie, aby dziecku nic się nie stało – wyjaśnił niemniej zaskoczony Eryk, patrząc z niedowierzaniem na list.

– Dziecku?

– Nic z tego nie rozumiem. – Eryk pokręcił głową. – Jeszcze rano były tu te słowa... – Wpatrywał się w kartkę, z której nagle zaczęły znikać litery. – Spójrz! – wykrzyknął zdumiony, podsuwając najemnikowi list.

Obaj patrzeli oszołomieni, jak z kawałka pergaminu znikają słowa, które chwilę wcześniej przeczytał Morht. Spojrzeli na siebie. W oczach Vartheńczyka pojawiło się pytanie.

– O jakie dziecko chodziło? O jakie zjawy? Nigdy o tym nie słyszałem.

– Nie wiem – odparł bezradnie rycerz.

– I po co Darher pisał o tym Kernie?

Morht podniósł się i znowu zaczął szybkim krokiem przemierzać komnatę. Podkute buty stukały o posadzkę.

– Zaczniemy od początku – mruknął, pogrążony w swoich rozmyślaniach. – Po pierwsze, wprowadzono połowę wioski. Być może zrobili to handlarze niewolników, a być może zbrojni szukający kogoś. Wiedzieli, że atakując wieśniaków przed świtem, nie natrafiają na żadne przeszkody czy opór, a zaskoczeni mieszkańcy, wyrwani ze snu, nie będą w stanie sami się obronić ani wysłać kogokolwiek na zamek z prośbą o pomoc...

Eryk westchnął.

– Sugerujesz, że ktoś poinformował handlarzy, kiedy na pewno nikogo z moich ludzi tam nie będzie?

– Dokładnie tak – oznajmił twardo Morht, nie przestając krążyć po gabinecie.

– Podejrzewasz kogoś? – zainteresował się rycerz.

– Venim – odrzekł szybko czarnowłoso. – Było w nim coś dziwnego... Próbował skłócić najemników między sobą, snuł intrygi niczym zmyślna niewiasta, chcąc komuś zaszkodzić. Buntował nowych. Jednak wydawał się zbyt głupi, by zorganizować coś poważniejszego.

– Może go nie doceniłeś? – zakpił Eryk, sięgając po kubek z winem.

– Miałem go na oku od czasu turnieju. – Morht zacisnął pięści. – Zdarzało mu się wyjeżdżać z zamku, nikogo o tym nie uprzedzając, i wracać w środku nocy. Wymykał się niczym zakochana dziewczka na amory.

– Może wpadła mu któraś w oko, a znając twoje podejście do kobiet, wolał o tym nie mówić? – Eryk uśmiechnął się lekko.

– Will i Artch się odważyli, a ten miałby się bać? – odparł Morht. – To mi do niego nie pasuje. Tutaj chodziło o coś innego, tylko nie wiem o co.

– Pozbyłeś się go – zauważył Eryk. – Może za wcześnie...?

Morht posłał mu nieprzyjemne spojrzenie.

– Nie mogłem dłużej tolerować jego zachowania. Po drugie, mamy list Darhera do Kerny, którego treść znika po jej odczytaniu. Domyślam się, że wcześniejszy fragment też przeczytałeś na głos? – spytał, by upewnić się w swoich domysłach. Eryk przytaknął. – Treść była przeznaczona dla Kerny, która nosiła w sobie dziecko Darhera. Ktoś musiał jej list odczytać. – Morht ścisnął brwi. – Píše o silnej ręce wojownika... – Zatrzymał się, spoglądając na Eryka. – Kerna miała tylko jedno dziecko?

– Kylę – potwierdził rycerz.

– Ona jest tylko słabą kobietą, a on tam wspomina o wojowniku. Silnym wojowniku – zaznaczył. – Na pewno Darher nie miał syna?

– Nic mi o tym nie wiadomo. – Eryk potarł czoło w zamyśleniu. – Nic już z tego nie rozumiem – mruknął.

– Zbyt wiele zagadek – przyznał Morht, dolewając sobie wina i wypijając jednym

haustem. Przełknął cierpki trunek i odstawił kubek na stolik. – Najpierw trzeba odnaleźć porwanych wieśniaków i sprowadzić ich do wioski – oznajmił twardo.

– I Evana – dodał rycerz. – Zabierzecie go na zamek – nakazał.

Morht skinął w milczeniu głową, przyglądając się w zadumie rzeźbionemu kubkowi.

– Pojadę po nektosów – zaczął po dłuższej chwili. – Zabiorę ich na poszukiwania. O tej porze roku znajdą ślady szybciej niż my. Dni są już coraz dłuższe, można by liczyć na ocieplenie... ale w górach nam się przydadzą. Tam śnieg zalega o wiele dłużej niż w pozostałych częściach krainy.

– To ryzykowne przedsięwzięcie.

– Wiesz, że potrafię nad nimi zapanować równie dobrze jak mag z Enhilleru czy Arwen. – Morht wbił nieustępliwe spojrzenie w przełożonego, wyczuwając jego wahanie.

– Jak zareagują pozostali? Twoi kompani nie przepadają za ich towarzystwem. Wręcz się boją. Zresztą ja sam... – Skrzywił się. – Jeśli znowu któryś spróbuje podejrzeć czyjeś wspomnienia... Sam wiesz, że nie jest to przyjemne doświadczenie.

– Pamiętam aż za dobrze – odrzekł oschle Morht. – I nie dopuszczę, aby cokolwiek wymknęło mi się spod kontroli. Ja i Quen będziemy mieli talizmany, magowie sporządzają eliksiry...

– Jak słyszę, już wszystko z Quenem ustaliliście i zaplanowaliście. – Eryk spojrział z powagą na dowódcę zbrojnych.

– Zawsze planuję. Poza tym tylko Quen się do tego nadaje.

– A magowie wiedzą o twoich zamysłach?

Morht popatrzył przeciągle na przełożonego.

– Przekonam ich – rzucił krótko.

Eryk westchnął ciężko. Przekonywanie w wykonaniu Morhta, kiedy coś szło nie po jego myśli, oznaczało tylko jedno: walkę. A z magami pochodzącymi z Enhilleru lepiej nie walczyć. Nie z kimś, kto potrafi jednym zdaniem przywołać do siebie armię półumarłych istot. Armie... stworów bezcielesnych...

– Może w tym liście chodziło o kogoś, kto potrafi dowodzić nektosami? – wyjąwił na głos to, co przyszło mu do głowy.

Morht pokręcił przecząco głową.

– Przecież nektosi nie są zjawami – odparł.

Nektosi... Istoty stworzone z ciał poległych pod Arwen, podporządkowane w zupełności magom z Enhilleru. Bezlitosne, mordercze, krwiożercze, groźniejsze od drapieżników polujących w ostępach puszczy iltaryjskich. Ślepo wykonujące rozkazy magów bądź osoby nimi dowodzącej. Przystosowane do trudnych warunków wojaczki, praktycznie niezniszczalne, wykorzystywane do obrony miast. Stanowiące tajną broń magów, działających w porozumieniu z królem Beronem.

– Mam nadzieję, że uwolnicie wieśniaków i uchronicie ich przed losem niewolników. – Eryk wreszcie podjął decyzję.

– Też mam taką nadzieję, ale... minęły już dwa dni. Dlatego, by nie opóźnić bardziej

wyprawy, chciałbym wyruszyć przed świtem – oznajmił.

– Nie zatrzymuję cię. – Eryk położył dłoń na ramieniu zaufanego dowódcy. – Powodzenia.

Skinąwszy głową, Morht szybkim krokiem wyszedł z komnaty. Przed wyruszeniem miał do załatwienia jeszcze kilka spraw ze swoimi ludźmi.

Nazajutrz rano, ledwo zaczęło szarzeć, spakowany na dłuższą podróż, wyjechał z zamku, powierzwszy dowództwo nad zbrojnymi Quenowi.

Na dworze ociepliło się i leżący na wąskich uliczkach miasta Terlin śnieg topniał, tworząc kałuże pełne szarej brei. Bijący od nich odór – nieczystości wylewanych przez okna i końskiego łajna – przyprawiał o mdłości. Placyk przed karczmą „Pod złamaną łyżką” nie był wolny od tej śmierdzącej przeszkody.

Vierna wyszła z karczmy odziana w nowy długi płaszcz i stukając obcasikami butów, zupełnie niepasujących do tej aury i pory roku, skierowała się w stronę czekającego przed stacją Venima. Mruknęła coś pod nosem, w ostatniej chwili omijając kałużę, i podciągnęła dół płaszcza, tak by nie zamoczyć go w paskudnej mazi.

– Ubrudzę się – powiedziała do mężczyzny.

– Ciesz się, że nie jedziesz tam sama – odrzekł obojętnie, nie zwracając większej uwagi na jej narzekania. – Powinnaś mi podziękować, że łaskawie udam się z tobą do Arwen i nawet zapłacę za twój pokój w karczmie. – Uśmiechnął się bezczelnie, dosiadając jednego z wyprowadzonych ze stajni wierzchowców.

Po burzliwej kłótni, w której Vierna domagała się od Venima dodatkowego zasilenia sakiewki – by mogła utrzymać się w Arwen przez kilkanaście dni niezbędnych do zdobycia informacji – mężczyzna zdecydował, że opłaci wynajęty pokój, ale o resztę wydatków musi zatroszczyć się sama. W końcu była dziwką i nie sądził, by miała z tym jakiś problem.

– Podziękuję, jak mi się opłaci – odparła, jednak na tyle cicho, aby tego nie usłyszał.

Łypnęła gniewnie na najemnika, ale zacisnęła zęby. Wizja upokorzonego Morhta przeważała, pragnienie zemsty wygrało z innymi uczuciami. Podeszła do wierzchowca.

– Zatrzymasz się tam, gdzie ostatnio – poinformował ją Venim, obserwując, jak ladacznica z trudem wspina się na siodło. Wiedział, że nie znosi podróży konno. – Właściciel karczmy cię zna, klienci też, nie powinnaś mieć trudności z dowiedzeniem się czegokolwiek i – tu uśmiechnął się złośliwie – zarobieniem na swoje zachcianki.

– Moja zachcianka siedzi właśnie na koniu i wygląda na to, że ma bardzo zły humor. Może jestem w stanie go poprawić? – odparła, przywołując na twarz zalotny uśmiech. W głębi duszy zrywała się na bezczelnego, samolubnego najemnika. Na jej liście znieawidzonych osób, których z chęcią by się pozbyła, zajmował drugie miejsce. Zaraz za Morhtem.

Venim popatrzył na nią drwiąco. Może i kusiła go wdziękami swego ciała, jednak nie był na tyle głupi i naiwny, by nie wiedzieć, że kieruje nią wyłącznie gniew, który umiejętnie podsycił. Współpracowała z nim tylko dlatego, by odegrać się na Vartheńczyku. Kiedy tylko osiągnie swój cel, zapewne zapomni, że kiedykolwiek znała Venima. Albo opłaci kogoś, kto

wbije mu sztylet w plecy, by raz na zawsze zniknął z jej życia.

– Twoja zachcianka przypomni ci o tym, kiedy dotrzemy na miejsce – rzucił w odpowiedzi, ruszając z miejsca. Zanim wyjedzie z Arwen, skorzysta jeszcze z jej usług. Dobrze i to.

Patrzyła ze złością na oddalające się plecy mężczyzny.

– Dureń – prychnęła cicho.

Do końca drogi żadne z nich nie odezwało się ani słowem. Nastrój pogarszał siąpiący deszcz, który wsiąkał w ubrania. Ocieplenie i słoneczne dni, na które z niecierpliwością oczekiwano, wciąż nie nadchodziły.

Kiedy na horyzoncie pojawiły się mury Arwen, Vierna odetchnęła z ulgą. Koniec męczącej podróży był coraz bliżej. Zerknęła z ukosa na Venima. „Sukinsyn. Cholerny, pieprzony sukinsyn”. Pociągnęła wodze, kierując zwierzę w stronę bramy. Koń rozbryzgiwał kopytami błotnistą kałużę i zdawał się mieć równie parszywy humor, co dosiadająca go kobieta.

– Vierna. – Jeden ze strażników rozpoznał ladacznicę. – Jakież dobre wiatry cię tutaj przywiały?

– Interesy jak zwykle, mój dobry panie. – Mrugnęła doń zalotnie, pochylając się nieco w siodle. – Terlin już mi się opatrzyło. Każdy czasem potrzebuje odmiany, czyż nie? – Utkwiła figlarne spojrzenie w drugim z wartowników.

Ten zarechotał głośno.

– Mogę potrzebować jej po zmroku!

– Nie pożakujesz. – Zachichotała.

Odpowiedział szerokim uśmiechem zadowolenia.

– Ten to kto? – zainteresował się niespodziewanie, patrząc z uwagą na Venima.

– Czasy nie są zbyt bezpieczne, drogi Teodorze. – Przypomniała sobie imię strażnika. – Piękna samotna kobieta nie powinna podróżować sama. Po lasach wciąż krążą szpiedzy z Varthenu... – Ściszyła głos. – Nie znalazłam nikogo, kto dorównałby ci w umiejętnościach i odwadze, i gotów byłby chronić białogłową w drodze... – Spojrzała znacząco na mężczyznę. – To tylko zwykły najemnik – dokończyła szybko, widząc, że Teodor robi kilka kroków w stronę Venima.

Strażnik przyjrzał się zakapturzonej postaci, po czym machnął niedbale ręką.

– Przepuścić! – zakrzyknął do swojego kompana.

Posłała obu strażnikom promienny uśmiech i przejechała przez bramę.

Venim milczał, obserwując spod nasuniętego na czoło kaptura sytuację. Zwykły najemnik... Jakże pogardliwie to zabrzmiało. Zacisnął palce na wodzach, ruszając za Vierną. „Jeszcze ci pokażę... zwykłego najemnika”.

Minąwszy strażników, skierowali się w stronę karczmy. Venim wyprzedził ladacznicę, zżymając się w duchu na fakt, że została potraktowana lepiej niż on. Niewiast nie podejrzewano o nieczne zamiary. Wjeżdżających do miasta mężczyzn przeszukiwano, wypytywano, a kobiety... Wzruszył ramionami, spoglądając z wysokości końskiego grzbietu na

drogę. Uliczki nie wyglądały tu lepiej niż w Terlin. Spod końskich kopyt rozpryskiwały się na wszystkie strony małe grudki roztopionego śniegu i błota. Tylko smród był mniejszy.

Podjechali pod gospodę. Venim pomógł towarzyszce zsiąść z konia i podprowadził zwierzęta do stajni, przywołując po drodze chłopca stajennego. Rzucił mu dwa treki, które młodzik chciwie wyłowił z kałuży, w którą wpadły.

– Zadbaj o nie – rozkazał pachołkowi, wskazując na konie.

Vierna czekała w miejscu, w którym ją zostawił, rozglądając się z obrzydzeniem wokoło. Nic się nie zmieniło od czasu, kiedy była tu ostatni raz. Może jedynie szyld odnowiono.

– „Pod zdechłym trygłem” – mozolnie przeliterowała napis.

– Właż – rzucił Venim, otwierając skrzypiące drzwi karczmy i otrzepując na progu buty z pozostałości śniegu.

Kiedy przekroczył próg, bez słowa ruszyła za nim, otulając się ciasniej płaszczem. Panujący chłód przenikał pod materiał, wywołując nieprzyjemne dreszcze. Dobrze, że w środku gospody było cieplej.

Venim od razu skierował się w stronę szynkwasu.

– Zobacz, kogo przywiozłem – oznajmił karczmarzowi, gdy tylko ten pojawił się za ladą. – Dawno tu nie miałeś tak ładnych i chętnych dziewczek, co? – Wyciągnął mieszek.

Neth popatrzył nieprzychylnie na mężczyznę, a na widok podchodzącej Vierny skrzywił się, jakby mu kto kazał wypić zaprawione octem wino. Znał ją nazbyt dobrze. Najbardziej chciwa i mściwa ladacznica, jaką kiedykolwiek spotkał. Czasami myślał, że minęła się z powołaniem. Powinna dołączyć do gildii łotrów w Oren, by wraz z nimi łupić karawany czy okradać mieszkańców. Inne dziwki pracowały, pokornie oddawały część zarobków, wdzięczne za opiekę, nie okradały klientów, a w przypadku Vierny... wszystko było możliwe. Wciąż pamiętał, jak raniła sztyłem swojego dawnego opiekuna. Tu! W jego karczmie! I pamiętał, ile miał przez to kłopotów! Inną pewnie by ukarano, wyrzucono z miasta, ale nie Viernę. Podczas przesłuchania okręciła sobie wokół palca kapitana straży. Oczarowany jej wdziękami, napisał raport daleko odbiegający od prawdy. Ranny opiekun był winny, a ona... ucieleśnieniem łagodności, ofiarą. Co gorsza, kapitan straży zainteresował się nim; sprawdził dokładnie księgi handlowe, płacone podatki. Właścicielowi gospody skóra cierpła na myśl, że może wyjść na jaw jego handel z Vartheńczykami, dostarczającymi surowce do produkcji trucizn. Co prawda w księgach nie było o tym wzmianki, ale... Oberżysta spocił się na samo wspomnienie tamtego feralnego dnia. Kiedy kapitan wpadł do karczmy ze swoimi ludźmi, Neth miał na zapleczu kilka przygotowanych mikstur... a ich odbiorca wszedł do gospody tuż przed strażnikami. Neth w ostatniej chwili zdążył je schować.

Teraz, widząc Viernę, najchętniej by ją wyrzucił.

– Musisz dogadać się z Angusem – mruknął do Venima. – To już nie moja sprawa. On tu teraz zajmuje się... – popatrzył pogardliwie na ladacznicę – ...interesami.

– Angus... – Venim potarł brodę w zamyśleniu, chowając mieszek. – Sądysz, że mój kuzyn będzie miał coś przeciwko, że zarobi trochę więcej niż zwykle? – Uśmiechnął się szeroko, przyciągając do siebie Viernę. – Popatrz na tę delikatną i niewinną buzię. – Uchwycił

podbródek dziewczyny, zmuszając ją, by spojrzała na karczmarza.

Grymas złości wykrzywił jej twarz, gdy popatrzyła na oberżystę. Truciciel, oszust, łasy na złoto nie mniej niż ona. Drań. Nie pomógł jej, kiedy dawny opiekun nie chciał oddać tego, co zarobiła. Musiał sama dźgnąć złodzieja sztyletem. A potem tłumaczyć się przed kapitanem. Dziwne, że straż nie znalazły wtedy niczego, co świadczyłoby o konszachtach karczmarza z Vartheńczykami. Była pewna, że gdy to wyjdzie na jaw, oberżysta straci karcznię, a sam trafi do lochów.

Prychnęła pod nosem, oswabadzając się z uścisku Venima.

Chociaż... może właśnie trafiała się okazja, aby odegrać się na karczmarzu? Nie zapomniała prędko doznanych krzywd. Co do Angusa, nie lubiła go. Nigdy nie dzielił sprawiedliwie zarobionych przez dziwki pieniędzy. Traktował je jak swoją własność, z której korzystał, kiedy tylko przyszła mu ochota.

– Spójrz na te piersi. – Venim rozsunął poły płaszcza dziewczyny, odsłaniając gorset okrywający jej kibić i eksponujący biust. – Klienci ją lubią. – Puścił Viernę, klepiąc ją po tyłku. – Sądzisz, że Angus będzie miał coś przeciwko?

– To twoja rodzina, nie moja – mruknął opryskliwie karczmarz. – Sam się z nim dogaduj. Venim westchnął ciężko.

– Wynajmij jej pokój na... – zastanowił się – powiedzmy, na dwa dni – zdecydował wreszcie, sięgając na powrót do mieszka. – I przygotuj nam coś ciepłego. Ja poszukam kuzyna. – Zawrócił w kierunku wyjścia.

– Jest na górze – poinformował go Neth. Szybko zagarnął monety, wrzucając je do skrzyneczki pod ladą, i sięgnął po jeden z kufli. – Sprawdza, czy nowy nabytek nadaje się do pracy. – Chuchnął na kufel i potarł go szmatką.

– Trzeba było mówić od razu – ucieszył się Venim, ruszając ku schodom.

Wspiął się na nie lekko, pokonując po dwa stopnie naraz. Zatrzymał się na moment, a usłyszawszy charakterystyczne jęki, skierował się w ich stronę. Głośne kobiece krzyki, kłaśnięcia, czyjś zasapany głos... Poczł miłe ciepło przelewające się przez lędźwie. Przystanął pod drzwiami, nasłuchując przez chwilę; wreszcie pchnął je z całej siły i wszedł do środka z szerokim uśmiechem.

– Może i ja sprawdzę, czy nada się do czegoś? – zakpił, stając na progu i przyglądając się beczelnie kuzynowi, zajętemu klęczącą przy łóżku nagą dziewczyną. Długie jasne włosy zasłaniały jej twarz, jednak Venimowi wystarczyło to, co zobaczył. Krągły i kusząco wypięty tyłek. Kolejny przyjemny dreszcz rozszedł się po jego ciele.

– Zamknij drzwi – wychrypiał Angus, nie przestając poruszać biodrami.

– Chyba należało zrobić to wcześniej, jeśli nie chciałeś, by ci przeszkadzano – zauważył drwiącym tonem Venim, jednak wykonał polecenie.

Dziewczyna zaprotestowała, próbując się odsunąć, ale Angus ścisnął ją mocniej.

– Nie skończyłem – warknął przez zaciśnięte zęby.

Dopiero długą chwilę potem z jego ust dobył się przeciągły jęk. Oparł się dłońmi o łóżko, oddychając ciężko.

– Po co tu przylazłeś? – Podniósł się i wytarł kawałkiem leżącego na łóżku płótna; podciągnął i zapiał spodnie. – A skoro już jesteś, to siadaj. – Gestem ręki wskazał kuzynowi krzesło.

– Przywiozłem kogoś... – zaczął Venim, nie spuszczać błyszczących podnieceniem oczu z jasnowłosej dziewczyny, która teraz skuliła się na łóżku i próbowała zasłonić rękami przed natarczywym spojrzeniem mężczyzny. – Widzę, jednak, że ta też jest dobra... – mruknął, spoglądając znacząco na kuzyna.

Angus uśmiechnął się domyślnie i pogładził dziwkę po głowie. Popatrzyła na niego zdezorientowana.

– Pokaż mojemu kuzynowi, co potrafisz – polecił, rozsiadając się wygodnie na łóżku. – A ja sobie popatrzę, jak ci idzie. – Oparł się o ścianę. – Ma świetne usta i zna się na rzeczy – rzucił, kiedy dziewczyna zerknęła niepewnie to na jednego mężczyznę, to na drugiego. – Rusz się, Sil, jeśli chcesz tu pracować – ponaglił ją.

Chciała.

Praca oznaczała dach nad głową i jedzenie, a dla opuszczonej sieroty bez majątku i znajomości to było wiele. Uklękła posłusznie pomiędzy rozsuniętymi udami Venima i pochyliła głowę nad jego biodrami, sięgając zręcznie palcami do zapięcia spodni. Ponętne, pełne usta otoczyły wyprężoną męskość.

– Coś mi się wydaje, że jest lepsza niż Vierna – sapnął, poddając się fali przyjemności. Wsunął rękę we włosy młodzianki ladacznicy, okręcając je wokół dłoni, i przytrzymał jej głowę.

– A ty przywiozłeś Viernę? – Angus wstał z łóżka i powiódł wzrokiem po kłęczącej dziewczynie.

Venim przytaknął.

– Cóż... – mruknął kuzyn, podchodząc bliżej. Widok był nader kuszący. Klepnął ladacznice w pośladek. – Wypnij się – nakazał, rozpinając ponownie spodnie i przestępując do dzieła. – Niech zostanie – oznajmił, poruszając coraz szybciej biodrami. – Jak za starych dobrych czasów, prawda, Venimie?

– O tak – westchnął mężczyzna, a wyraz błogości na jego twarzy świadczył zarówno o przeżywanej właśnie przyjemności, jak i o tym, że dobrze pamięta czasy wspólnych zabaw w zamtuzie.

Szybko zapomniał o czekającej w głównej izbie Viernie.

Ta zaś, zniecierpliwiona długim oczekiwaniem, wyciągnęła z mieszka, który dał jej w Terlin, kilka miedziaków i przesunęła je po ladzie w stronę karczmarza.

– Nalej mi wina – poleciła. – O czym tak długo rozmawiają? – spytała ze złością.

– Rozmawiają? – Oberżysta spojrzął na nią z politowaniem. – Jesteś taka głupia czy tylko udajesz? – Zgarnął monety, chowając je do skrzyneczki pod ladą. – Skoro mają dziwkę w pokoju, to na pewno nie rozmawiają. – Zaśmiał się drwiąco. – Jak im się znudzi, to zejda.

Wzruszyła obojętnie ramionami i sięgnęła po postawiony na ladzie kielich. Upiła łyk i skrzywiła się ze wstrętem. To miało być wino? W Terlin podawali lepsze. Mimo to zabrała

pucharek i usiadła przy jednym ze stołów nieopodal paleniska. Wyciągnęła wygodnie nogi, ogrzewając się w ciepłe płomieni. Oparła głowę na zgiętych rękach i zapatrzyła się w migoczący ogień. Nie wiedzieć kiedy przysnęła, zmęczona podróżą i czekaniem.

Obudziły ją odgłosy przybywających coraz liczniej do karczmy gości. Uniosła głowę, potrząsając włosami i mrugając zaspanymi oczami; rozejrzała się wokół. Nowi klienci zamawiali właśnie trunki przy szynkwasio. Zerknęła w stronę schodów, na których pojawił się Venim wraz z idącym tuż za nim Angusem. Towarzyszącego im mężczyzny nie znała.

Cała trójka ruszyła w jej stronę.

– Angus nie ma nic przeciwko, abyś została – oznajmił uśmiechnięty Venim. – Tylko sprawuj się grzecznie. – Puścił do niej oko.

Angus przysiadł się do jej stołu, podobnie jak trzeci z mężczyzn. Przyjrzała się nieznanemu. Wyglądał odrażająco i przerażająco. Strach budziła jego twarz ponaznaczana bliznami i oparzeniami, które nie do końca zakrywały czarne, opadające na ramiona włosy. A oczy... Ciemne oczy patrzyły na Viernę zimno i martwo. To spojrzenie kogoś jej przypominało...

– To jest Ther. – Na Angusie ponury wyraz twarzy mężczyzny nie robił wrażenia. – Kiedy mnie nie ma, słuchasz jego poleceń – wyjaśnił zaskoczony Viernie. – I nie próbuj mu się sprzeciwiać. – Uśmiechnął się paskudnie. – On nie lubi rozmów. Prawda?

Ther skinął powoli głową, nie spuszczając martwego wzroku z dziewczyny.

– Jak będziesz dla niego miła, może nie skreśli ci karku. – Angus zaśmiał się, a Venim mu zawtórował. – Idź na górę, pomóż swojej nowej znajomej dojść do siebie.

– Chyba jest trochę zmęczona. – Na twarzy Venima pojawił się złośliwy uśmiešek. – Ther ma zbyt wiele siły – zauważył niewinnym tonem, od którego Viernie lodowate ciarki przebiegły po kręgosłupie. Zerknęła na Angusa, potem na Venima, by wreszcie na chwilę zatrzymać wzrok na Therze.

– Wynoś się – mruknął Angus, widząc jej wahanie.

Posłusznie podniosła się z miejsca. Czują przez skórę, że Venim właśnie wpakował ją w coś, co na pewno jej się nie spodoba.

– Jestem głodna – pożaliła się. – Prawie pół dnia jechaliśmy...

– Ther pozwoli ci zarobić na posiłek. – Angus rozsiadł się wygodniej.

Odrażający mężczyzna, słusznie rozumiejąc, że przełożony pozwolił mu właśnie skorzystać z usług ladacznic, wstał bez słowa. Złapał Viernę za ramię i bezceremonialnie pociągnął w kierunku schodów.

– Chyba żartujesz! – wykrzyknęła oburzona, próbując wyrwać się z uścisku. – Z czymś... takim? – Twarz wykrzywił jej grymas odrazy.

Ther uderzył ją na odlew, pozostawiając na policzku czerwony ślad palców. Chwilę potem kolejny ślad pojawił się na drugim policzku dziewczyny, a Vierna zrozumiała, że dla własnego dobra powinna umilknąć. Zaciśnęła zęby, obiecując sobie, że zemści się na mężczyźnie przy najbliższej okazji.

– Uprzedzałem, że on nie lubi rozmów. – Angus zarechotał.

Nowo przybyli do karczmy goście nie zareagowali w żaden sposób, udając, że niczego nie widzą ani nie słyszą. Karczmarz zajął się skwapliwie ustawianiem flaszek na półce, przeklinając w duchu dzień, w którym Angus przywłókł się do miasta, przywożąc ze sobą tego przekłętą Vartheńczyka. Stosunki Angusa ze strażą układały się jak najlepiej. W zamian za usługi ladacznic przymykali oko na jego interesy. Wielu się na to zżymało, ale nikt nie śmiał otwarcie zaprotestować. Angus zrećnie to wykorzystywał. Podobnie jak swoją wprowadzającą w błąd aparycję. Młody, o niewinnej twarzy delikatnego paniczyka – takiego co to kroku bez służby nie zrobi, by przypadkiem nie skalać stóp brudem ulicy – tak naprawdę był zupełnym przeciwieństwem osoby, jaką sugerowałby jego wygląd. Wziął pod swoją opiekę miejscowe dziwki i zarabiał na nich, płacąc im marne treki. Jeśli któraś się sprzeciwiła, do akcji wkraczał Ther. Nikt nie wiedział, gdzie znikala protestująca ladacznica. I nikt nie miał na tyle odwagi, aby dociekać prawdy. Wkrótce na jej miejsce przychodziła kolejna. Interes się kręcił, Angus był zadowolony.

– Vierna zostanie tutaj – oznajmił, pochylając się w stronę kuzyna. – A ty mów, z czym przyjechałeś.

Venim wymownie wskazał palcem na swoją posiniaczoną twarz.

– Widziałem. Dawnoś chyba tak nie oberwał, co? – Angus zaśmiał się.

– Ten, który to zrobił, pożałuje – syknął najemnik. – Potrzebuję jednak ludzi... – dodał ciszej.

– Do wbicia sztyletu pod żebro potrzebujesz pomocy? – zadrwił Angus. – Nie poznaję cię, kuzynie. Kiedyś sam zrobiłbyś to od razu.

Venim skrzywił się, jakby łyknął octu.

– To Morht... – wydusił z siebie ze wstydem.

– To zmienia postać rzeczy. – Angus przyjrzał się uważniej kuzynowi. – Można powiedzieć, że miałeś wiele szczęścia. Uwierz mi, że miałem nieprzyjemność widzieć rozeźlonego Vartheńczyka. – Machnął ręką w stronę schodów, którymi oddalił się Ther. – Nie mają we zwyczaju pozostawiać przy życiu tych, którzy wywołali ich gniew. A ich metody uśmiercania... – Zamyślił się na krótką chwilę.

– Chcę się go pozbyć, ale najpierw... – Venim pochylił się w stronę Angusa i wyłuszczył mu swój plan.

Mężczyzna słuchał uważnie. Wreszcie pokiwał głową z ożywieniem.

– Porozmawiam z Thunderem – zgodził się. – Ale jedna trzecia wykupu dla mnie – postawił warunek. – Jesteś pewien, że Morht będzie jej szukał?

Venim przytaknął.

– Cóż... – Angus zatarł ręce. – Zatem wszystko ustalone. Vierna zostaje tutaj. My ruszymy po południu. Pojadę z Therem do Oren. Ty zaczekasz na nas w Isztyr.

– Dlaczego nie mogę jechać z wami? – Venim obawiał się, że kuzyn zamierza go oszukać. – Chcę być przy tej rozmowie.

– Bo Thunder nawet na ciebie nie spojrzy – mruknął Angus. – Kim jesteś, aby Lord Thunder, szef największej gildii łotrów w Oren, chciał z tobą rozmawiać?

– A z tobą niby będzie?

Angus uśmiechnął się szeroko.

– Prowadzimy kilka wspólnych interesów. – Więcej nie zamierzał wyjawiać.

Venim westchnął ciężko.

– Zgoda – odparł po długiej chwili.

Zapadał powoli zmrok. Samotny jeździec dojeżdżał do Arwen. Widząc rosnące mury miasta, zwolnił, pozwalając wierzchowcowi nieco odpocząć. Poklepał zwierzę po szyi i poprawił się w siodle. Przyzwyczajony do długich podróży i nagłych zmian sytuacji, które mogły zwykłą podróż zmienić w walkę o życie, rozglądał się czujnie wokoło. Zatrzymał parsającego konia nieopodal pustej o tej porze bramy i poczekał spokojnie, aż strażnik podejdzie bliżej.

Leniwym ruchem zsunął kaptur opadający na czoło. Pełniący wartę mężczyzna na widok znajomej, ponurej gęby przepuścił mężczyznę bez zbędnych pytań. Byli tacy, na których widok pytania same cisnęły się na usta, byli też tacy, którym pytań nie zadawano. W przypadku tego samotnego jeźdźcy wartownik doskonale wiedział, że nie znalazł się on tutaj bez powodu – zatrzymanie go na kontrolę mogło zaspokoić na chwilę miłość własną strażników, jednak na pewno nie spodobałoby się władzom miasta. Ani samemu podróżującemu...

Morht skinął uprzejmie głową i przejechał niespiesznie przez bramę. Na uliczkach z wolna zamierał ruch. Większość mieszkańców z powodu nieprzyjemnej pogody przesiadywała w domach, tylko nieliczni przemierzali jeszcze miasto. W oknach rozbłyskiwały nikle światła, czasem przemknął gdzieś zabłąkany kot, spłoszony stukotem końskich kopyt. Czarnowłosy, zmarznięty i głodny, skierował wierzchowca do gospody. Stojący przy niej drewniany barak ze skrzypiącymi wrotami, szumnie nazywany stajnią, sprawiał wrażenie, jakby miał się rozpaść od silniejszego podmuchu wiatru. Morht zsiadł z konia i zajrzał do środka. Drzemiący w jednym z kątów chłopak na dźwięk głosu klienta zerwał się z legowiska.

– Zajmij się nim. – Czarnowłosy wcisnął w dłoń chłopca kilka treków, wskazując głową na wierzchowca. Uśmiechnął się pod nosem, kiedy młokos wprowadzał zwierzę do baraku. Przynajmniej tutaj stajenny wiedział, co należało do jego obowiązków.

Szybkim krokiem ruszył do karczmy. Zerknął na szyld „Pod zdechłym trygłem”, który targnięty wiatrem, zakołysał się niebezpiecznie. Otworzył drzwi i zlustrowawszy szybko obecnych gości, skierował swe kroki ku szynkwasowi. Karczmarz stojący za ladą, przecierający szmatką kufle, spojrzał pytająco na kolejnego gościa.

– Pokój, kolację i piwo – rzucił Morht, zerkając z zaciekawieniem na wychylającą się zza drzwi prowadzących na zaplecze rudą główkę dziecka. – To chyba nie twoje, co? – Zaśmiał się cicho, spoglądając znacząco na jasne włosy oberżysty.

– Siostrzeniec – mruknął Neth, stawiając na ladzie kufel i drugą ręką zgarniając położone przez czarnowłosego monety. – Drugi po prawej. – Podsunął klucz. – Jajecznicę Mirina przyniesie, jak przyrządzi. Zjesz tutaj czy na górze?

– Tutaj – odparł najemnik. – Mało coś masz dzisiaj klientów – zauważył. – Ostatnio było

ich więcej. Czyżby zrazili się do obsługi? – zakpił.

– Rozeszły się wieści, że przyjeżdżasz i woleli wyjść wcześniej – odciął się karczmarz.

Obaj wybuchnęli śmiechem. Od czasu pierwszego spotkania, kiedy to Morht wyrzucił z oberży trzech awanturujących się bywalców, a potem przez krótki czas pracował tutaj jako porządkowy, ich stosunki układały się poprawnie, by nie rzec przyjaźnie.

– Co cię sprowadza? – zainteresował się Neth, odstawiając czyste kufle pod ladę.

– Szukam informacji. – Morht upił kilka łyków piwa. – Vinryd, handlarze, niewolnicy...

Coś ci to mówi?

Oberżysta zmarszczył brwi, zastanawiając się nad czymś. Oparł się o ladę spracowanymi dłońmi i pochylił w stronę Morhta.

– Nic, poza tym, że ostatnio przyjechało tu kilka osób z Terlin – mruknął.

– Kupcy?

– Może i kupcy... coś tam kupują, coś tam sprzedają... – Neth uśmiechnął się krzywo.

Czarnowłosa spojrział na niego pytająco. – Venim przywiózł tu kolejną dziwkę. Viernę. Tyle że jeszcze tego samego dnia wyjechał. Razem z Angusem i Thorem. Obcych rzadko tu widzujemy. Ostatnio ich nie było.

Na ponurej gębie Morhta nie drgnął najmniejszy mięsień, gdy usłyszał imiona pozostałych. Thera pamiętał z Varthen. Jednak imię Angusa wiele mu nie mówiło. Gdzieś je słyszał, ale gdzie?

– Angus...? – Morht usiłował wyłuskać z zakamarków pamięci twarz pasującą do znajomo brzmiącego imienia.

– Angus. Ten, do którego należą teraz oba zamtuzy w Arwen – mruknął karczmarz. – Odwiedzasz je częściej niż inni i nie znasz ich właściciela? – zakpił. – Ty?

– Powiedzmy, że dawno w nich nie gościłem. Kiedy byłem tu ostatnim razem, najlepsze dziwki pracowały dla ciebie – odparował spokojnie zbrojny. – A Viernę po co tu przywiózł? I gdzie pojechał? – spytał niby obojętnie, przyglądając się kufłowi.

– Vierna pracuje, ale... – Neth zawahał się, patrząc uważnie na Morhta. – Zdarza jej się wypytywać o to samo co ty – dokończył. – A Venim podobno wyruszył do Slith albo Isztyr. – Zmrużył oczy i dodał ściszym głosem: – Ma się tam spotkać z Angusem.

– Sporo wiesz – mruknął Morht, popijając piwo. – Zawsze mnie to zastanawiało.

– Mam swoje źródła informacji. – Oberżysta uśmiechnął się szeroko. – Poza tym sporo objaja mi się o uszy.

– Uważaj, by ci ich ktoś nie obciął – skwitował najemnik. – Gdzie znajdę dziwkę? – spytał, nie wymieniając imienia. Obaj wiedzieli, kogo ma na myśli.

– Ten kurwi pomiot pilnujący ladacznic musiał wyjechać, więc zapewne Vierna korzysta z chwilowej wolności i kręci się po mieście – wyjaśnił zgryźliwie Neth. – Powiedz mi, dlaczego jesteś jedynym rozsądnym i opanowanym Vartheńczykiem, jakiego znam?

– Mylisz się. – Morht uśmiechnął się paskudnie. – A owego kurwiego pomiotu po prostu się pozbądź. – Pochylił się w stronę karczmarza i ściszym głosem powiedział: – Masz tam co nieco pochowane na zapleczu, prawda?

– Gdyby to było takie łatwe... Angus go przywiózł, a sam wiesz, że czasami lepiej siedzieć cicho...

Morht skinął głową, upił kilka łyków piwa i odsunął opróżnione ledwie w połowie naczynie od siebie.

– Piłem już lepsze – rzucił złośliwie.

– Chyba nie u mnie – odparował karczmarz.

Czarnowłosa uśmiechnął się szczerze.

– Dobrze widzieć cię w dobrym zdrowiu.

Na odchodnym Morht zlustrował jeszcze raz wnętrze gospody. Wierny faktycznie tu nie było. Schylił się, sięgając po worek, zabrał klucz i zaniósł rzeczy do pokoju. Niedługo potem wrócił z powrotem do sali i rozsiadł się wygodnie w jednym z kątów karczmy, obserwując przebywających w izbie gości. Kiedy Mirina, siostra właściciela, postawiła przed nim miszkę z parującą jajecznicą, ochoczo zabrał się za jedzenie, na nim skupiając swoją uwagę. Goście przychodzili i wychodzili. Od jednego ze stołów dobiegł fałszujący głos barda, ktoś dołączył do śpiewu. Chichot dziewczek, które ściągnęły w progi karczmy wraz z kolejnymi gośćmi, rozdrażnił czarnowłosego. Wbił wzrok w miszkę. Dopiero kiedy najadł się do syta i wypił następny kufel piwa, ponownie powiódł ciemnymi oczami po wnętrzu karczmy.

Przy jednym ze stołów dostrzegł znajomą twarz. Siedząca kobieta rozmawiała o czymś ze swoją towarzyszką. Co chwilę rozlegał się ich piskliwy, irytujący śmiech. Morht wstał. Chętnie pozna powód, dla którego Vierna zamieniła Terlin na Arwen.

Na widok wielkiego zbrojnego podchodzącego do stolika w oczach jasnowłosej ladacznicy pojawiło się najpierw zaskoczenie, potem strach. Kogo jak kogo, ale Morhta się tutaj nie spodziewała. Zamrugła niepewnie powiekami.

– Chyba powinnaś wyjaśnić mi kilka rzeczy – oznajmił chłodno, siadając naprzeciw dziewczyny i wbijając w nią surowe spojrzenie. Zauważył siniak na jej twarzy, ale nie skomentował tego ani słowem.

Chociaż początkowo serce Vierny zabiło żywiej na widok czarnowłosego zbrojnego, to wspomniawszy swoje postęпки, uznała, że jego lodowaty wzrok nie wróży niczego dobrego. Podniosła się szybko, zamierzając uciec. Jej młodziutka towarzyszka obrzuciła Morhta wesołym, wyraźnie zainteresowanym spojrzeniem.

– Jaki miły i przystojny najemnik nam się trafił. – Sil roześmiała się głośno. Morht przeniósł na nią obojętny wzrok. Na jej twarzy również dostrzegł nieudolnie zamaskowany siniec. Ktokolwiek prowadził interesy Angusa, nie dbał o dobry stan oferowanych towarów.

– Daruj sobie – mruknął do Sil, jednocześnie łapiąc za rękę próbującą się wymknąć Viernę.

– Morht... – Spojrzała na niego prosząco.

– Nic z tego – odparł oschle i nie puszczając ladacznicy, poprowadził ją za sobą na górę. Szła posłusznie, od czasu do czasu zerkając z obawą na mężczyznę.

– Wchodź – mruknął, otworzywszy przed nią drzwi wynajętego pokoju.

Wsunęła się szybko do środka i rozejrzała po niewielkiej, skromnie wyposażonej izdebce.

Mały stolik, krzesło, łóżko pod jedną ze ścian, koło którego leżały teraz rzeczy mężczyzny. Zatrzasnął drzwi, zamykając je na klucz, który wylądował w schowku przy pasie.

– Morht. – Przytuliła się do niego, gdy tylko odwrócił się w jej stronę, i wspinając na palce, oplótła rękami jego kark. – Tęskniłam za tobą – szepnęła ze sztucznym uśmiechem.

Jeśli Morht jest tutaj, to może dowiedział się czegoś o Venimie? Może Venim nie dotarł jeszcze do Oren? Mówił, że właśnie tam się wybiera. O zmianie planów nic nie wiedziała. Albo może miał jakieś układy z Therem? Tym odrażającym typem, którego się bała. A może po prostu Morht przyjechał tutaj w poszukiwaniu informacji? Dziesiątki niespokojnych myśli przebiegały przez jej głowę.

Mężczyzna oswobodził się z jej objęć.

– Wyjaśnij mi, co miała znaczyć twoja napaść na bratanicę Sir Eryka? – Usiadł na łóżku, wskazując ręką krzesło stojące obok. Chciał już mieć tę rozmowę za sobą.

Podeszła czym prędzej, zajęła wskazane miejsce i spróbowała na powrót przytulić się do Morhta.

– Naprawdę brakowało mi ciebie – szepnęła, muskając ustami jego szyję i płatek ucha.

– Vierna... – Odsunął się od niej z beznamiętnym wyrazem twarzy. – Nie zamierzam korzystać z twoich usług. A twoje sztuczki znam aż nazbyt dobrze. – Zdecydowanie przytrzymał i odepchnął od siebie jej ręce, którymi gładziła go po torsie.

Prychnęła obrażona. Po czym poprawiła suknię i rozsznurowała od niechcienia górę gorsetu.

– Po co rozsiewasz plotki, że cię pobiłem? – spytał, świdrując ją wzrokiem. – Skrzywdziłem cię kiedykolwiek? Te sińce na twarzy to może też moja robota? – Sam nie wiedział, dlaczego poruszył ten temat.

Vierna nerwowo przygryzła wargi. Znała to spojrzenie. Czarnowłosa był zły. Jego oczy nie błyszczały pożądaniem, lecz gniewem. Czyżby czasy, gdy rozbierał ją wzrokiem, minęły bezpowrotnie?

– Kochałam cię! – wykrzyknęła nagle. – A ty wybrałeś jakąś przybłędę! To do mnie przyjeżdżałeś, ze mną spędzałeś czas! – Potrząsnęła głową, czując, że zaczyna jej się zbierać na płacz. – To mnie kupowałeś podarunki! A potem... – Zająknęła się. – A potem ona weszła pomiędzy nas – wyrzuciła z siebie, patrząc na niego z żalem.

– Pomiedzy nas...? Kto niby wszedł? – zdziwił się, nie rozumiejąc, o co Viernie chodzi. Równie chętnie jak jemu oddawała się innym, nie był jedyny, więc skąd te absurdalne pretensje?

– Przecież zawsze o mnie dbałeś, byłeś dla mnie dobry. – Znowu przysunęła się do niego i zarzuciła mu ręce na szyję. – Możemy zacząć od nowa, jeszcze raz – szeptała gorączkowo, pomiędzy pocałunkami.

Odsunął się z niechęcią.

– Oszalałaś? – Postanowił być szczery. – Jesteś, kim jesteś. Dałem ci kiedyś wybór... i wybrałaś. – Ciemne oczy Morhta wyglądały jak bryły czarnego lodu. – Przychodziłem do ciebie, bo tak mi było wygodnie.

– Obiecałeś mi! Obiecałeś! – wrzasnęła, podrywając się z łóżka. – Obiecałeś, że ze mną zostaniesz!

Zachowywała się jak mała dziewczynka, której ktoś zabrał ulubioną zabawkę. A histeryzujących bachorów nie znosił.

– Vierna! – huknął. – Niczego ci nie obiecywałem! – Podniósł się. – Jak mógłbym coś obiecać dziwce? Komuś takiemu jak ty? – Nie krył pogardy. Cała sytuacja coraz bardziej go drażniła.

Zamierzał wyjść z pokoju i zakończyć tę bezsensowną dyskusję. Pal licho opłacony nocleg.

Ladacznica popatrzyła na niego żałośnie, a w jej oczach pojawiły się łzy.

– Jak mogłeś mnie tak oszukać, Morht... – chlipnęła i rozszłochała się.

Widoku płaczących kobiet też nie znosił. Nigdy nie wiedział, co powinien wtedy zrobić. On ją oszukał? Przecież zawsze sownie ją wynagradzał. Przygarnął Viernę do siebie i pogładził po włosach. Na krótką chwilę pod powiekami pojawiła się zapłakana twarz Kyli stojącej przed szopą. Evan... handlarze...

– Uspokój się – powiedział łagodnie. – Już dobrze... wszystko będzie dobrze... – uspokajał ją, nie przestając tulić do siebie.

Przywarła do Morhta całym ciałem, sięgając ustami do jego warg i obejmując go mocno w pasie. Zręczne dłonie zsunęły się na zapięcie męskich spodni. Tym razem nie odsunął się ani jej nie powstrzymał.

– Po co przyjechałaś do Arwen? – spytał cicho, przesuwając leniwie palcami po jej odsłoniętym ramieniu. – Terlin bez ciebie nie jest tym samym miastem...

– Venim mnie przywiózł, miałam dowiedzieć się czegoś o porwanych wieśniakach. – Smukłe dłonie wsunęły się pod koszulę Morhta. – Nie słyszałaś nic o Vinryd? Nie wiesz, co się stało? – pytała gorączkowo, czując, że początkowa niechęć i opór czarnowłosego nikną, a jego gniew ustępuje.

– Nie wiem – mruknął. – A ty czego się dowiedziałaś? – W ślad za palcami po miękkim ramieniu przemknęły wargi mężczyzny.

– Podobno to grupa wynajętych Vartheńczyków pracująca dla Lorda Thundera z Oren. – Westchnęła, czując jego chłodne usta na swojej rozpalonej skórze.

– I co jeszcze? – wymruczał jej do ucha. Popchnął lekko dziewczynę ku ścianie. Gdy wsparła się o nią plecami, zręcznymi palcami uwolnił tkwiącą w gorsecie jędrną pierś i pocałował ją pieścić. – Hmm...?

Poddała się. Chciała wierzyć, że Morht jej wybaczył i będzie między nimi jak dawniej.

– Venim ponoć pojechał za nimi. – Rozchyliła usta, z których dobył się cichy jęk, gdy Morht podrażnił kciukiem sterczący sutek.

– Venim jest w okolicach Slith. Może Isztyr – wyjawiał, wsuwając rękę pod jej suknię i unosząc materiał do góry.

– Miał jechać do Oren – sapnęła cicho, czując, jak palce Morhta wślizgują się gładko w jej wilgotne, gorące wnętrze.

– Zatem tam nie pojechał. – Na moment znieruchomiał, kiedy stanęła mu w pamięci delikatna i niewinna twarz Kyli. Wpatrywała się w niego szeroko otwartymi błękitnymi oczami, których widoku ostatnio tak bardzo mu brakowało. Brakowało...?

Zamrugął z niedowierzaniem.

– Mają ich wywieźć za morze, stamtąd przyszło zlecenie. – Głos Vierny wyrwał go z chwilowego zamyślenia.

Dowiedział się, czego chciał. Powinien przerwać te karesy, ale kiedy poczuł, jak rozpina mu spodnie, przykłęka i wydobywa jego wyprężoną męskość, nic nie powiedział. A gdy objęła go ciepłymi ustami i zaczęła z wprawą pieścić, nie zdobył się na to, aby ją odepchnąć...

Nad ranem, nim jeszcze zaczęło na dobre szarzyć, obudził się przy śpiącej, wtulonej w niego Viernie. I znowu ujrzał w wyobraźni twarz Kyli. Miał wrażenie, że patrzy na niego z wyrzutem.

Zaklął pod nosem i ostrożnie wysunął się z łóżka oraz objąć Vierny. Zły na dziwkę, a jeszcze bardziej na samego siebie, ubierał się w pośpiechu, zamierzając opuścić gospodę jak najszybciej. Zatrzymał spojrzenie na porzuconej niedbale na podłodze sukni. Westchnął ciężko, wygrzebał z mieszka kilka monet i rzucił je na materiał.

– Żegnaj – szepnął, wychodząc.

Lady udało się namówić bratanicę męża do wyjścia z komnaty, której w ciągu ostatnich dni prawie nie opuszczała. Argument, że nie powinna przerywać nauki, wreszcie trafił do dziewczyny.

Nie chciała zawieść ciotki, wuja, a nawet nieżyjącego ukochanego kuzyna, który jako pierwszy uczył ją posługiwania się bronią.

Odezwała się w niej też ambicja, chęć rywalizacji z surowym dowódcą. Jednak by z nim konkurować, musiała być równie dobra w walce jak on, co było rzeczą niemożliwą do osiągnięcia, skoro nie potrafił tego dokonać żaden z pozostałych, dużo bardziej doświadczonych zwiadowców. Zamyśliła się. Gdyby choć w połowie mu dorównywała... Pokazałaby wtedy, że nie może z niej bezkarnie drwić. Jednak aby zetrzeć przekłębemu Vartheńczykowi kpiący uśmiešek z twarzy, należało ćwiczyć, ćwiczyć i jeszcze raz ćwiczyć. Nie mówiąc już o tym, że kiedyś umiejętność walki na miecze może jej się przydać, ocalić życie, i nie tylko, więc lepiej nie wychodzić z wprawy, nie zapominać tego, czego się już nauczyła.

Na koniec Lyanna wytknęła podopiecznej, że Darher, jej ojciec, tak by nie postąpił. Nie poddałby się. Nigdy.

Kyla łypnęła nieprzyjaźnie na Lady. Ale potrzebowała takiej ostrogi: mieszanki złości, dumy, wstydu i strachu.

Przemierzały teraz szybkim krokiem dziedziniec, mijając ćwiczących najemników. Lyanna skinęła głową Artchowi.

Bawiąca się przy krążgankach dziewczynka na ich widok wyszczerzyła ząbki w radosnym powitalnym uśmiechu i podbiegła, wesoło podskakując i wymachując kijkiem.

– Riv ma mieczyk – pochwaliła się.

Lady pogładziła ją z czułością po głowie.

– Nie pozwól go sobie odebrać – poradziła. – Bo przegrasz.

– Will zabiela! – poskarżyła się głośno malutka, wskazując na najemnika rozmawiającego z kompanem.

Lyanna pogroziła żartobliwie palcem mężczyźnie. Ten rozłożył ręce w geście udawanej bezradności, co jego towarzysze skwitowali wybuchem śmiechu.

Dziewczynka odbiegła, stając obok ćwiczących zbrojnych i niezgrabnie próbowała naśladować ich ruchy. Machnęła kilka razy patykiem, z zacięciem atakując wymyślonego przeciwnika. Piskliwe bojowe okrzyki wzbity się ponad szczęk oręża najemników.

– Tak szybko poradziła sobie z tęsknotą za matką... – Lyanna patrzyła z zadumą na dziecko. – A niektórzy dorośli nie potrafią odrzucić przeszłości i skupić się na tym, co dzieje się w ich życiu teraz...

– Nie zawsze najlepszym wyjściem jest podążanie do przodu, bez oglądania się za siebie – mruknęła Kyla.

– Nie zawsze też najlepszym wyjściem jest rozpamiętywanie tego, co było – odparła z naciskiem Lady. Kyla spojrzała na ciotkę niepewnie. – Sama dobrze wiesz, że życie potrafi zmienić się w jednej chwili – kontynuowała Lady. – Na lepsze bądź gorsze. Trzeba umieć przystosować się do sytuacji i wyciągnąć z niej wnioski, tak by można było iść dalej.

– I patrzeć z ufnością w przyszłość? – rzuciła ironicznie dziewczyna.

– Z rozsądkiem, moja droga. – Lyanna skierowała się w stronę drzwi zbrojowni. – Zwycięża tylko ten, kto ma odwagę, by zdobyć się na działanie.

– A jeśli mu się nie powiedzie?

– Trudno. Ale nikt mu nie zarzuci, że nawet nie spróbował.

Kyla odwróciła się, patrząc na beztroską Riv, tak różną od wystraszonej, zapłakanej dziewczynki, przerażonej utratą matki, jaką była nie tak dawno temu. Troska i dobro okazywane przez mieszkańców zamku sprawiły, że mała uporała się ze swoim dramatem. Przez chwilę sama chciała być taką małą dziewczynką, zapomnieć o wszystkich smutkach i zmartwieniach, żyć w nieświadomości i spokoju.

„Evanowi nie będzie to dane” – przemknęło jej przez myśl. Wspomnienie przybranego brata zakłuło boleśnie w sercu. Należało coś zrobić. Kto nic nie robi, z góry skazany jest na porażkę. Lyanna miała rację. Dziewczyna zmarszczyła czoło, podejmując w duchu decyzję. Wyprostowała się, uniosła dumnie podbródek i spojrzała twardo na okute drzwi zbrojowni. Zdecydowanym krokiem wyprzedziła Lady i silnym szarpnięciem otworzyła je, wkraczając do środka.

Nieco zaskoczona tą nagłą zmianą, Lyanna weszła za nią.

– Tam. – Wskazała podopiecznej drugie pomieszczenie, gdzie trzymała swoje rzeczy. – Najwyższa pora, byś przypomniała sobie, jak to jest walczyć z niewiastą – mruknęła,

otwierając ustawione pod ścianami skrzynie. Odwróciła się do Kyli, trzymając w ręce miecz.

– Weź ten – zaproponowała. – Wybiorę dla siebie inny.

– Morht pozwolił mi zatrzymać jeden ze swoich – odparła.

Lady uniosła brwi w zdumieniu. Kyla, widząc jej zaskoczenie, wyjaśniła prędko:

– Kiedy mnie uczył, dobrze mi się ćwiczyło i... – Poczwała zakłopotanie.

Lyanna uśmiechnęła się domyślnie.

– Tylko miecz ci podarował?

Kyla splonęła rumieńcem i pokręciła przecząco głową.

– Morht ofiarował ci swój oręż... – Lyanna roześmiała się wesoło. – Tego zaszczytu nawet Eryk nie doświadczył. Pokaż resztę. Morht bywa hojny, zobaczmy jak bardzo. – Patrzyła z życzliwością na speszoną dziewczynę.

Ta bez słowa podeszła do jednej ze skrzyń i otworzyła ją kluczykiem schowanym na rzemieniu pod koszulą.

Tym razem na twarzy Lyanny zagościło bezbrzeżne zdumienie.

– Pozwolił ci grzebać w swoich rzeczach?

– Tylko w tej skrzyni – wyjaśniła prędko Kyla, czując się coraz bardziej zażenowana.

Cóż takiego dziwnego było w tym, że Morht dał jej klucz i pozwolił chować w skrzyni część ekwipunku?

– Nie widziałam jej wcześniej. Wygląda na nową...

– Przywiózł ją z Terlin jakiś czas temu – wyjaśniła Kyla.

– Chcesz powiedzieć, że zamówił dla ciebie kufer? – Lady uchyliła wieko i zajrzała z ciekawością do środka. – Nawet jest tu twoje imię... – Popatrzyła uważnie na bratanicę.

– Moje? – Teraz to Kyla była zaskoczona.

– Spójrz. – Lyanna wskazała palcem niewielki, krzywo wryty w drewnie napis. – Sam to zrobił czy jak? Nie zauważyłaś go wcześniej? – Dziewczyna zaprzeczyła. – Nigdy nie przestanie mnie zaskakiwać. – Lady uśmiechnęła się, przyklękając przy skrzyni. – Co my tu mamy... Twój kołczan, sztylety, strzały, rękawice... są nawet karwasze i naramienniki, które dostałaś od Eryka... – mruczała pod nosem, przeglądając zawartość kufra. – O! – wykrzyknęła z podziwem, wyciągając charakterystyczny pas. – Podobny do tego, który nosi... – Spojrzała na dziewczynę, a w jej oczach rozbłysły wesołe iskierki.

– Tak – wyjaśniła prędko Kyla. – Dowódca nosi taki sam, tyle że większy i ma w nim więcej ostrzy. Te dwa – dotknęła słynnych vartheńskich szpikulców – są jego. I jeszcze to... – Wskazała ręką na jeden ze stojaków, na których jej towarzysze z drużyny zwykli przechowywać swoje przeszywanice czy kaftany. Półki z resztą uzbrojenia też były pełne. Kyla z radością pokazała swoją. Wyciągnęła skórzany kaftan i pogładziła jego rękaw.

– Morht naprawdę zatroszczył się o twoje uzbrojenie. – Lyanna podniosła się i poklepała podopieczną po ramieniu. Uśmiechnęła się ze zrozumieniem.

– To dziwne? – Kyla nie wiedziała, co ma myśleć o takiej trosce dowódcy. – Sądziłam, że innym też...

– Nie – przerwała jej Lady. – Inni nie mają tyle szczęścia. Jeśli rozumiesz, co mam na

myśli.

Kyla zaczerwieniła się jeszcze bardziej.

– Jeśli więc zadał sobie tyle trudu, a ty nadal planujesz wyruszyć wraz z resztą drużyny na poszukiwania wieśniaków, nie daj Morhtowi powodów do tego, by uznał, że się nie nadajesz na tę wyprawę. – Lady była brutalnie szczerą.

Kyla westchnęła ciężko. Choć zaskoczona nieoczekiwaną troskliwością Vartheńczyka, nie wahała się już dłużej. Sięgnęła po miecz i stanęła naprzeciwko ciotki.

Szczękało głośno żelazo, gdy ostrza ścierały się ze sobą w skomplikowanym tańcu. Gdyby nie głód, nie zauważyłyby upływającego czasu. Po krótkiej przerwie na obiad, wróciły do treningu. Lyanna była bardzo zadowolona, że udało jej się oderwać dziewczynę od ponurych myśli. Wieczorem obie opadały z sił. Kyla z trudem dotarła do swojej komnaty, gdzie legła na łóżku, tak jak stała, i pogrzyła się w głębokim śnie.

Morht nie wrócił. Kyla dziwnie czuła się ze świadomością, że dowódcy nie ma na zamku. Zwykle zawsze gdzieś się kręcił, słychać było jego ostry, surowy głos. Pilnował wszystkiego i wszystkich, sprawnie rozdzielając zadania wśród najemników. Przyłapała się na niepokojącej myśli, że brakuje jej obecności ponurego, aroganckiego Vartheńczyka.

Po makabrycznym odkryciu w Vinryd wołała schodzić mu z drogi – czuła się nieswojo w jego obecności, rozdarta między strachem a fascynacją, gniewem a wdzięcznością. Potrafił być nieprzyjemny, złośliwy, bezwzględny, ale wiele dla niej robił. Wciąż miała jego rękawice, nie upomniał się o nie... No i ten pocałunek, o którym nie potrafiła zapomnieć. Czuła zamęt w sercu i głowie. Z tego wszystkiego zrezygnowała nawet z nauki fechtunku, na co, o dziwo, Morht się zgodził. Może czuł się równie skołowany jak ona?

Przed jego wyjazdem spotykali się podczas wspólnej kolacji. Zauważyła wtedy, że zerka na nią ukradkiem. Kiedy odważyła się spojrzeć mu prosto w oczy – przyłapując go – popatrzył tak surowo, tak wrogo, że o mało nie zakrzuszyła się jedzonym właśnie chlebem.

Cały Morht.

– Odszedł? – odważyła się spytać Lyanny, gdy wróciła wraz z Erykiem na zamek, przywożąc nowe informacje. Z napięciem oczekiwała odpowiedzi, chociaż właściwie nie powinno jej to obchodzić. A przynajmniej nie chciała, by ją to obchodziło.

– Pojechał po wsparcie – wyjaśniła ciotka. – Nic więcej nie musisz wiedzieć. Lepiej, żebyś nie wiedziała... – dodała, wzdrygając się lekko na samą myśl o tym, z kim Morht wróci.

Nektosi... Zimne, nieprzyjemne mrówki przebiegły jej po plecach. Ryzykowna pomoc. Dlatego Morht tak długo musiał przekonywać Eryka, nim ten wreszcie wyraził zgodę na ich sprowadzenie.

Istoty stworzone przez magów do obrony Terlin i Arwen teraz zamieszkiwały podziemne jaskinie u podnóża gór, niedaleko siedziby swych twórców. Lyanna tylko raz widziała jednego z nich w całej okazałości, ale to wystarczyło, aby zapamiętała ten przerażający widok do końca życia.

Chociaż zwykle nosili długie czarne peleryny, szczelnie okrywające ich ciała, ten jeden

raz, w gospodzie, szukając Morhta, weszła przypadkowo do pokoju, który zajmowali nektosi, i natknęła się na jednego z nich... Kiedy ujrzała wysokiego, sino-czarnego osobnika z ciałem częściowo tylko pokrytym skórą, zrobiło jej się słabo. Wyglądał, jakby przed chwilą wstał z pola bitwy, na którym ktoś go zmasakrował. Akurat wyciągał sobie z szyi kawałek strzały, zaciskając kości palców na grocie. Gdy spojrzał na nią pustymi, szklistymi oczami, poczuła okropny ból głowy. Jakby coś się w nią wwiercało i rozrywało od środka na drobne kawałeczki. Stała jak sparaliżowana. Kto wie, jak skończyłoby się to nieoczekiwane spotkanie z nektosem, gdyby Quen nie wszedł do pokoju.

Potem Morht i Eryk wytłumaczyli jej, że nektos najpierw wdziera się do umysłu ofiary, a potem ją zabija. A każdy, kto nie jest jego panem, jest potencjalną ofiarą. Bardzo nieprzyjemne doświadczenie.

Wielka i przestronna komnata oświetlona była dziesiątkami palących się świec, które wydobywały z mroku pomalowany w skomplikowane wzory sufit. Siedzący przy rzeźbionym stole starzec z długą siwą brodą przyglądał się uważnie czarnowłosemu mężczyźnie stojącemu przy oknie.

Nie pierwszy raz Morht przybywał tutaj ze swoimi żądaniami. Jednak tym razem w jego głosie nie było zwykłej hardości i uporu, gdy wyłuszczał w krótkich słowach powód przyjazdu – raczej brzmiała w nim prośba. Prośba zdesperowanego człowieka, chwytającego się każdej możliwości, aby zrealizować swój plan. Aby dotrzeć do celu, który sobie wyznaczył. Na przekór wszystkim i wszystkiemu. Takiej determinacji Devrin jeszcze u niego nie widział.

– To jedyne wyjście, bym mógł szybko ich znaleźć – powtórzył Vartheńczyk, wyglądając ponuro przez okno. Na dworze, choć było dopiero popołudnie, zaczynało się już ściemniać. Znak, że znowu spadnie śnieg. Kolejny raz tej zimy, która nie miała zamiaru odejść. Chwilowe ocieplenie ustąpiło miejsca mroźnym powiewom lodowatego wiatru.

– Uważasz, że wyrażę na to zgodę? – Starzec potarł brodę w zamyśleniu.

Morht nie odezwał się ani słowem, wciąż tkwiąc nieruchomo przy oknie.

Starszy mężczyzna wstał i poprawił długą, ciemnoniebieską, lśniąca szatę.

– Wydaje się proste, prawda? – odezwał się cicho. – Zabierasz ich, prowadzisz w stronę gór, rozkazujesz tropić...

Kąciki ust najemnika uniosły się nieznacznie.

– Taki właśnie mam zamiar – potwierdził.

– Jeśli ich nie znajdą? Jeśli porwani wieśniacy zostali już sprzedani i przewiezieni zupełnie gdzie indziej? Może rozdzieleni? Może zabici? Wyślesz nektosów za nimi? Pozwolisz, by weszli do miasta, narażając życie niewinnych ludzi? Pamiętaj, że to nie jest bitwa. Nie zabierasz ich po to, aby rzucić w wir walki, by zniszczyli wroga. Będą głodni. Będą musieli zapolować. Jeśli wpuścisz ich do miasta, nie zapewniając pożywienia, zginą bezbronni.

– W Oren niewielu jest niewinnych ludzi – rzucił oschle Morht, odwracając się

i przenosząc spojrzenie na starca. – Poza tym nie chcę, byś powierzał mi całą grupę, tak jak miało to miejsce, kiedy kolejny raz broniliśmy Arwen. Wystarczy mi dwóch, trzech. Nie obawiaj się. Nie pozwolę, by cokolwiek wymknęło mi się spod kontroli. Quen pojedzie ze mną, więc będzie nas dwóch. Nie muszę cię przekonywać, że panujemy nad nimi równie dobrze jak wy – dodał z naciskiem. – Sam miałeś okazję to zobaczyć.

– Już ci się wymknęło – zauważył spokojnie starzec, obserwując uważnie rozmówcę. Morht uniósł pytająco brwi, nie rozumiejąc, o czym mag mówi.

– Niech zgadnę. – Na pomarszczonej twarzy mężczyzny pojawił się zawadiacki uśmiech, a jego wyblakłe oczy ożywił blask. – Nie przyjechałbyś tutaj, gdyby ona nie zapadła ci głęboko w...

– Dosyć! – przerwał Morht, mierząc maga gniewnym spojrzeniem. – Wymordowali pół wioski, drugie pół zabrali ze sobą. Wioska jest pod opieką Sir Eryka, a ja pracuję dla niego. Mam udawać, że nic się nie stało?

– A ona mieszkała w tej wiosce? – spytał niewinnie starzec, patrząc, jak zdradziecki rumieniec wypływa na policzki najemnika. – Morht, nie muszę się wysilać, by czytać w twoich myślach. – Mag przesunął leżące na stole papiery. – Pamiętam cię jako porywczego młokosa, który łatwo wpadał w gniew czy wręcz furję. – Jakby dla pokreślenia swoich słów mówił cichym, spokojnym tonem. – Ty nie prosiłeś, a żądałeś, egzekwując brutalnie swoje rozkazy. Sam dobrze wiesz, że tylko wstawiennictwo króla Berona uratowało cię wtedy od śmierci z rąk Itiliusa. Nieźle narozrabiałeś. Nie zapominaj też, że żyję na tym świecie o wiele dłużej niż ty. – Uśmiechnął się lekko. – Ku mojej nieopisanej radości widzę, że zmieniłeś się ostatnio, i domyślam się, że stoi za tym pewna osóbka. – Popatrzył łagodnie na zmieszanego Morhta.

– Nie przyjechałem tutaj, aby...

– Wiem, wiem. – Starzec machnął ręką.

– Masz wobec mnie pewne zobowiązania... – zaczął ponownie Vartheńczyk, piorunując wzrokiem wścibskiego Devrina.

– O tym też wiem i pamiętam. – Mężczyzna uśmiechnął się szeroko. – Widzę, że te pozytywne zmiany nie są jednak zbyt głębokie – zakpił. – Skoro używasz takich argumentów, cóż... – Zawiesił głos, patrząc badawczo na czarnowłosego. – Wiesz... nie chciałbym, abyś użył przeciwko mnie swojej broni – zażartował, patrząc znacząco na miecz Morhta, a w jego oczach kolejny raz pojawiły się wesołe iskierki. – Chodź ze mną – spoważniał nagle.

Vartheńczyka odetchnął z ulgą. Miał już dość tej rozmowy. W milczeniu ruszył za żwawo krocącym starcem.

– Bez eliksiru i talizmanu się nie obejdzie – wymamrotał mag, przystając na korytarzu. Pchnął drzwiczki jednej z komnat. – Zaczekaj tutaj – polecił i wszedł do środka. Morht skinął potakująco i oparł się plecami o kamienną ścianę. Jego myśli bezwiednie pomknęły w stronę zamku Laghortów. Dopiero po długiej chwili, która niecierpliwemu najemnikowi zdała się wiecznością, ujrzał starca ponownie.

– Wypij – polecił.

Odebrał z rąk maga flakonik z eliksirem i posłusznie przytknął go do ust. Wzdrygnął się, czując rozlewający się w przełyku ogień. Nim oddał naczynie, krew w jego żyłach zlodowaciała i kolejny niemiły dreszcz przeszył ciało najemnika. Tysiące małych ostrzy wbijało się w mięśnie i ścięgna.

– Teraz talizman. – Mag podał mu niewielki płaski przedmiot zawieszony na rzemieniu. Pokonując ból w ramionach, założył go i schował pod koszulę.

Starzec przyglądał się Morhtowi; widząc, jak zmienia się twarz najemnika, uśmiechnął się nieznacznie.

– Możemy iść. – Schował flakonik pomiędzy fałdy szaty, domknął drzwi komnaty i ruszył korytarzem przed siebie.

Ciemne kręte schody, pokryte resztkami zamarzonego mchu, prowadziły w głąb lochów. Śmierdziało tutaj stęchlizną i zepsutym mięsem. Przymocowane do ścian dymiące łuczywa nie zapewniały dostatecznej ilości światła, jednak obaj mężczyźni widzieli wyraźnie najdrobniejsze szczegóły, nawet cienkie pęknięcia na kamiennych ścianach, niewidoczne dla zwykłego śmiertelnika. W bledszej niż zwykle twarzy Morhta płonęły czarne oczy, z nienaturalnie rozszerzonymi źrenicami. Zdawały się wypełniać całą gałkę oczną, upodabniając zbrojnego do jednego z owych przerażających stworów zabijających wzrokiem.

Wypity eliksir właśnie zaczynał działać.

Mężczyźni przeszli długi ciemny korytarz i zatrzymali się przed masywnymi żelaznymi drzwiami, zamkniętymi solidnie. Starzec zerknął na towarzysza. Ciemnowłosa odetchnął głęboko, zamknął oczy i skupiając się na talizmanie zawieszonym na szyi, dopasował swój umysł do jego wibracji. Po długiej chwili uniósł powieki i wbił martwe spojrzenie w maga.

– Jestem gotowy – odezwał się cicho.

– Połączony... – szepnął starzec i zaczął wypowiadać zaklęcie.

Zamki umieszczone w drzwiach otwierały się z cichym zgrzytem, przekręcane niewidzialnym kluczem. Na koniec opadły zasuwki blokujące dostęp. Chwilę później drzwi uchyliły się z głośnym skrzypnięciem, a oczom obu mężczyzn ukazał się wąski korytarz pogrążony w mroku. Na jego końcu Morht dostrzegł zarys kolejnych drzwi. Pierwszy w ich stronę ruszył starzec. Tuż za nim w przejście wsunął się Vartheńczyk. Pewnym krokiem zmierzali ku następnemu pomieszczeniu. Starzec odwrócił się jeszcze i spojrzał pytająco na mężczyznę. Ten skinął potwierdzająco głową.

– Alithren! – Z ręki maga wypłynęła wiązka bladożółtego światła, gdy wypowiadał dalsze zaklęcie.

Drzwi do pomieszczenia stanęły przed nimi otworem.

Wysoko sklepiona komnata przypominała podziemną jaskinię. Wypłynął z niej lodowaty podmuch wiatru, owiewając ich jasnoniebieską mgłą. Tkwili w niej nieruchomo, dopóki lodowy obłok nie zniknął. Dopiero wtedy ujrzeli wyraźniej wnętrze pomieszczenia. Pod ścianami stały kamienne leża, na których spoczywały postacie przykryte płachtami granatowego sukna. Przy każdym z łóżek znajdowała się biała tabliczka. Widniejące na niej znaki były imieniem nadanym przez magów konkretnemu osobnikowi.

Starzec podszedł do pierwszego łoża i jednym ruchem ręki zerwał okrywający nektosa materiał. Błada twarz z zamkniętymi oczami i ostro zarysowanym podbródkiem swą gładkością wzbudziłaby podziw niejednej białogłowy. Ciemnoblonde włosy okalały piękne oblicze, spływając swobodnie na wezgłówek. Jednak to, co kryło się pod czarną peleryną, nie wzbudziłoby już niczyjego zachwytu, raczej przerażenie.

– Twoja kolej. – Mag odsunął się, robiące miejsce najemnikowi. – Obudź go – dodał cicho.

Morht zbliżył się i wbił intensywne spojrzenie w nektosa, wydając w myślach polecenie. Nie trzeba było długo czekać, aby kości palców ręki, leżącej wzdłuż ciała istoty, poruszyły się lekko. Długie ostre pazury zgrzytnęły cicho o powierzchnię kamiennego leża. Morht nie spuszczał oczu z budzącego się osobnika, gdy ten siadał sztywno i niezgrabnie. Odrętwiałe resztki mięśni i kości powoli budziły się do tego, do czego zostały stworzone. Do zabijania... Powieki uniosły się, odsłaniając martwe, szkliste oczy wpatrujące się nieruchomo w czarnowłosego. Wargi uniosły się, odsłaniając ostre kły. Nektos uniół głowę, węsząc. Kły schowały się, gdy wyczuł pana, któremu miał od teraz służyć.

„Zejdź i stań przy drzwiach” – rozkazał w myślach Morht, idąc już ku następnemu ciału.

Nektos zsunął się z łożka, jak marionetka poruszana wprawną dłonią lalkarza, po czym posłusznie wykonał polecenie.

– Jeszcze dwóch – odezwał się cicho czarnowłosy.

Mag skinął głową, nie ruszając się z miejsca, dopóki Morht nie obudził pozostałych. Dopiero wtedy wymruczał słowa zaklęcia, unosząc dłonie w górę i spowijając zarówno czarnowłosego, jak i wybudzonych nektosów obłokiem jasnyniebieskiej mgły. Na twarzy najemnika pojawił się grymas, gdy jego umysł połączył się w pełni z umysłami półumarłych istot.

Przymknął oczy, czując energię przepływającą przez jego ciało. Lodowe ostrza kłujące i rozdzierające mięśnie zniknęły. Z łatwością wychwycił nikłe, przelotne wspomnienia w myślach nektosów.

Otworzył oczy i pokiwał głową.

– Wszystko w porządku – odezwał się szeptem.

– Zatem wyjdźmy. Są twoi – odparł równie cicho starzec.

Trójka półumarłych, kierowana przez Morhta, ruszyła gęsiego w stronę wyjścia z lochów. Tuż za nimi szedł czarnowłosy. Zatrzymał się w pół kroku i odwrócił głowę, spoglądając na maga.

– Ona mnie nienawidzi. Wzbudzam w niej lęk – rzucił niespodziewanie, po czym szybkim krokiem podążył za nektosami.

Mag dałby sobie głowę uciąć, że w głosie Morhta wychwycił smutek.

Tego samego dnia po południu, mimo mocno prószonego śniegu, opuścili siedzibę magów. Cztery sylwetki, tylko jedna konno, w rozwianych czarnych płaszczach, pędzące ośnieżoną drogą w stronę traktu handlowego, przypominały upiory z budzących strach legend. Morht ominął Arwen i skierował się lasami w stronę zamku Laghortów. Nie było czasu do stracenia.

– Wreszcie – mruknął ponuro Angus. – Włóczyysz się po okolicy, zamiast warować na miejscu.

Odziany w jedwabną koszulę i dobrze skrojone spodnie, siedział wygodnie przy stole w karczmie w Isztyr i sączył piwo z kufła. Karczma jak zwykle była pełna ludzi. Wioska leżąca przy szlaku handlowym zapewniała swoim mieszkańcom łatwy zarobek. Zatrzymywały się tutaj karawany kupieckie, tętnił życiem spory targ, a i rzemieślnicy mieli pełne ręce roboty. Siedząca obok Angusa dziwka gładziła go po ramieniu, szepcząc coś ze śmiechem do ucha. Nie zwracał na nią uwagi, spoglądając niechętnie na kuzyna.

– Grunt, że dotarłem – mruknął Venim, niezbyt zadowolony z wypominania wędrówek. Czekał na kuzyna, nie zamierzał marnować czasu. Chciał się dowiedzieć, gdzie przepadli porwani wieśniacy. Na czyje zlecenie ich porwano. Zdobyte informacje zamierzał wykorzystać z pożytkiem dla siebie. – A ty jak zawsze dobrze się bawisz – zauważył, stawiając swój napitek na blacie.

– Cóż byłoby nasze nędzne życie bez odrobiny zabawy? – Angus uniósł lekko kufel w górę. – Przynieś jeszcze piwa. – Postawił naczynie i klepnął dziwkę w udo. – Tylko się pospiesz.

Zachichotała, posłała mu buziaka i ruszyła w stronę szynkwasy, kołysząc zalotnie biodrami. Przez chwilę patrzył za nią, napawając się widokiem apetycznych kształtów; w końcu rozparł się na ławie jeszcze wygodniej i przeniósł wzrok na Venima.

– Czyżbyś znowu miał ochotę na chędożenie? – Zaśmiał się, widząc spojrzenie, jakim kuzyn odprowadzał dziwkę. – Sądząc po twoich siniakach, pomysł zaspokajania chuci na zamku Laghortów niespecjalnie się powiodł. Wszedłeś Morhtowi w paradę, co? – zakpił.

Dobrze znał swojego kuzyna. Intrygi i baby kiedyś go zgubią. A niby czemu musiał się wynosić z Terlin? Trzeba być idiotą, by uwodzić żonę komendanta straży.

Venim wzruszył ramionami i odsunął od siebie kufel z trunkiem.

– Nie o tym mieliśmy rozmawiać. – W głosie mężczyzny pojawiła się nuta zniecierpliwienia. – Ale chętnie policzę się z tym, który mnie tak urządził. – Pochylił się nieco w stronę kuzyna, patrząc na niego wymownie. – Cóż jednak znaczę? Osłabiony, bez grupy uzbrojonych towarzyszy gotowych iść za mną?

– Ludzi trzeba dobrze opłacić. Inaczej... – Zawiesił głos, przyglądając się pilnie jednemu z łuczyw na ścianie. – Przysięgi, którymi kiedyś wiązano najemników, już nie obowiązują. A przynajmniej coraz rzadziej są stosowane i honorowane.

– Widziałeś się z Thunderem? – spytał prędko Venim.

Angus milczał dłuższą chwilę, po czym uśmiechnął się lekko.

– Może mógłby ci pomóc... – rzucił cicho. – Ale to kosztuje... A ty lentami nie śmierdzisz. Przynajmniej nie w takiej ilości, która mogłaby go zainteresować. Rozmawiałem z nim o twoim planie porwania Kyli i wciągnięcia Morhta w pułapkę – skłamał gładko. Nie zamierzał przyznawać kuzynowi, że pojechał do Oren w innym celu.

– I co? – Oczy najemnika rozblęskły.

– Chętnie pozbyłby się Morhta, ale... – Angus napił się piwa. – Nie w ten sposób. Zażądał

też połowy zysku z okupu.

– Co? – Venim aż podskoczył na ławie.

Angus spojrział na niego z przesadnym zmartwieniem.

– Cóż... ani on sam, ani jego ludzie nie pracują za darmo. Tacy są dziwni...

– Połowa! Do tego ty chcesz jedną trzecią! – krzyknął oburzony, zrywając się z miejsca.

– Zamknij się – syknął Angus, zaciskając palce na przedramieniu kuzyna i zmuszając go, by usiadł.

– Co zostanie dla mnie? Nie zapominaj, że część muszę oddać Viernie. Albo ją utłuc, bo inaczej nie będzie trzymać gęby na kłódkę.

Był rozczarowany. Miał plan, którego nie potrafił sam wcielić w życie. Plan, który miał mu przynieść bogactwo i okazję do zemsty. Tymczasem wszystko wskazywało na to, że wszyscy na tym zarobią, prócz niego.

– Może trzeba to zrobić inaczej? – Angus udał, że się zastanawia.

– Jak? – spytał niecierpliwie Venim.

Ladacznica wysłana po piwo wróciła, niosąc pełne kufle. Pochyliła się wdzięcznie nad stołem, stawiając naczynia przed mężczyznami.

– Odejdź. – Angus odesłał ją machnięciem ręki. Najpierw interesy. Na przyjemności przyjdzie czas później. Dziewczyna bez słowa ruszyła w stronę schodów, prowadzących do pokoi na pięterku karczmy.

– Jak? – powtórzył Venim, nie spuszczać oczu z kuzyna.

– Banici z Varthen podejmą się każdej roboty. Sam widziałeś, jaki Ther potrafi być posłuszny, gdy zapewnić mu zarobek i dostęp do niewieściego ciała. Wystarczy pomachać im przed nosem wypchanym mieszkim, obiecać kurwę i dach nad głową. Od kiedy na południu Varthen rządzi Reglissa, jest tam gorzej niż kiedykolwiek. Pozbyła się najemników króla, sprowadzając na ich miejsce własnych. Część z królewskich zdołała zbiec, unikając śmierci. Ther jest właśnie jednym z nich. Uniknął spalenia, gdy Reglissa rozkazała podpalić nocą ich kwatery. Gdzie mają iść? Co mają robić? Wracać do Robena, który uwierzył kochanej córeczce, że planowali spisek i musiała się ich pozbyć? Przyjąłby ich z powrotem?

Venim pokręcił głową. Słyszał o Reglissie.

Jedyna córka władcy Varthen. Równie piękna, jak okrutna i rozpustna. Otruła macochę, by zająć jej miejsce u boku ojca. Za plecami szeptano, że nie tylko na tronie. Któż jednak wiedział, jak było naprawdę? Nakłoniła króla, by powierzył jej południową część Varthen, obiecując, że w zamian wzmocni jego armię o swoich żołnierzy. Czy zamierzała dotrzymać obietnicy, to już pozostawało tajemnicą.

Różne plotki krążyły. Podobno zapewniała swoim najemnikom złoto, trunki i dziwki. Do woli. A dla tych trzech rzeczy większość mężczyzn robi niemal wszystko. Nic dziwnego, że w krótkim czasie wojsko Reglissy powiększyło się o rzesze skuszonych obietnicami wyrzutków. Uczty odbywające się na jej zamku przyciągały spragnionych uciech i bogactw. Jednak to Reglissie nie wystarczyło. Miała trzech braci mogących dziedziczyć po ojcu. Należało ich wyeliminować. Jeden zniknął w tajemniczych okolicznościach, zaproszony na

uczte; ponoć w ogóle nie dotarł do zamku. Drugiego skazała na wygnanie i słuch o nim zaginał, a trzeci... Venim nic o nim nie wiedział. Pewnie się gdzieś zaszył i nie rościł sobie pretensji do vartheńskiego tronu. Co nie znaczy, że przezorna siostra na wszelki wypadek i jego by się nie pozbyła.

– Panienska Reglissa wzmacnia swoje siły, osłabiając i tak już marną armię swojego ojca. – mruknął Angus. – Może robi to celowo? Słaby król będzie łatwym celem, a wtedy... Varthen przejdzie w chciwe ręce.

Venim przytaknął.

– Taaak... – kontynuował Angus. – Bardowie śpiewają o niej w swych pieśniach, porównując ją do bezlitosnego Wydgera. Cóż... Owoc piękny, ale na wskroś robaczywy. Ther wspominał, że mimo upływu zim zarówno ona jak i jej ojciec pałają nienawiścią do Morhta. Czymś im się musiał narazić, bo kiedyś tak nie było. Ther upiera się, że widział go na zamku, kiedy tamten był jeszcze młokosem. Zasiadał wraz z ojcem i siostrą przy królewskim stole.

– Morht...? – Venim zamrugął z niedowierzaniem. – On jest... – Urwał, gapiąc się zaskoczony na kuzyna.

– Nie wiedziałeś?

Venim wzruszył ramionami.

– Nie miałem pewności. Ale tak podejrzewałem – skłamał, nie chcąc wyjść na niedoinformowanego głupca. – Bo to dziwne: Vartheńczyk, który jest dowódcą zbrojnych Sir Eryka i jednym z ulubionych rycerzy króla Berona... Po udanej obronie Arwen nawet strażnicy przepuszczają go bez pytań przez bramy – dodał z urazą. – I to nie tylko w Arwen. Wieści o ocaleniu Berona rozeszły się szybko i chociaż minęło tyle zim, niektórzy wciąż pamiętają.

Zastanowił się, czy Beron faktycznie wie, kim jest Morht. Na pewno nie, skoro nadał mu ziemie i pasował na rycerza. Jeśli nie wie, trzeba go poinformować... A może wie? Nie miał pojęcia, co o tym myśleć.

– Przysłużył się... – mruknął Angus. – Rozumiesz teraz, dlaczego twój plan jest tak ryzykowny i kosztowny? – Dopił piwo jednym haustem. Odstawił kufel na blat. – Wciągnięcie w pułapkę pupilka Berona nie będzie łatwą sprawą. Ale... – pochylił się w stronę kuzyna – możemy to załatwić inaczej.

– Jak? – zaciekał się Venim.

– Kto jeszcze chciałby pozbyć się Morhta?

Najemnik zmarszczył czoło, myśląc usilnie. Dopiero po długiej chwili odezwał się niepewnie:

– Reglissa?

Angus uśmiechnął się, wyraźnie zadowolony.

– Otóż to – odrzekł. – Reglissa nie marzy o niczym innym. Morht przynosi hańbę Varthenowi, sprzymierzając się z Iltaryjczykami. Jednak wciąż jest królewskim synem i następcą Robena. W każdej chwili może spróbować odzyskać tron. A mając za sobą wsparcie armii Berona... Tego obawia się nasza okrutna panienska.

– Przecież gdyby chciał, mógł to zrobić już dawno – zauważył Venim. – Skoro dotąd tego

nie zrobił...

Angus westchnął ciężko.

– Nie o to chodzi, czego chce Morht, ale o to, czego chcemy my – syknął. – Chcemy się go pozbyć. I mieć coś z tego. Trzeba przekonać Reglissę, że Morht zamierza upomnieć się o Varthen, a my za odpowiednią opłatą gotowi jesteśmy jej pomóc w pojmaniu go.

– Dlaczego nie zrobi tego sama? – zdziwił się Venim. – Dlaczego nie wyśle swoich szpiegów, najemników?

– Bo to oznaczałoby otwartą wojnę z Beronem. Królem, który ma na swoich usługach magów z Enhiller. Devrin... – skrzywił się, wypowiadając imię Przewodniczącego Rady Magów – jest potężnym sojusznikiem i jeśli zajdzie taka potrzeba, jeśli król poprosi go o pomoc, obudzi nektosów i wyśle ich w bój. A nikt nie wie, ilu ich spoczywa w Twierdzy. Może dziesięciu, może stu, a może tysiące.

Zamyślony Venim milczał.

– Dostarczymy Morhta Reglissie, a ona na pewno sownie nas wynagrodzi – przekonywał Angus.

– Masz plan, jak to zrobić?

– Nas obchodzi tylko złoto – przypomniał. – Nie wnikamy, czy potem powybijają się nawzajem. Najpierw trzeba dotrzeć przed oblicze Reglissy. – Potarł ręką kark. – Omówić – odchrząknął – warunki. A potem ustalić plan działania. Ściągnąć Morhta do ojczyzny...

– Kto pojedzie do Varthen?

– Ty – odparł krótko.

Venim zrobił zdziwioną minę.

– Weźmiesz ze sobą Viernę. Ja załatwię najemników vartheńskich, którzy będą wam towarzyszyć.

W spojrzeniu Venima pojawiła się nieufność. Do Oren nie mógł jechać, bo Angus uznał, że za wysokie progi, a wysłała go do Varthen? Przed oblicze księżniczki? Coś tu było nie tak. Potarł ręką nieogolony podbródek.

– Dlaczego Viernę?

– Ja załatwiam złoto dla najemników, ty dziewczkę dla nich – wyjaśnił kuzyn.

– Vierna chciała się zemścić... – przypomniał Venim.

– Zemści się. W odpowiedniej chwili. A przynajmniej niech w to wierzy. – Zaśmiał się cicho, po czym podniósł się od stołu, uznając rozmowę za zakończoną.

– Kiedy mam jechać? – Venim wciąż nie był przekonany.

– Wrócisz z rana do Arwen. Przypilnujesz mojego interesu zamiast Thera. Kiedy załatwię swoje sprawy w Oren, dołączę do ciebie. – Angus poprawił kołnierz koszuli. – A tymczasem... wybierz sobie którąś. – Wskazał oczami siedzące nieopodal szynkwasy trzy ladacznice. – Ta noc należy do nas, kuzynie – powiedział na odchodnym.

Venim patrzył za nim w milczeniu. Do tego wszystkiego miał popilnować burdeli kuzyna? Zdecydowanie coś było nie w porządku.

Evan klęczał w rogu chaty drwali, wciśnięty pomiędzy barłóg i ścianę. W drobnej piątce ścisnął róg brudnego, cuchnącego koca. Pozostałe dzieci zbiły się w gromadkę, tuląc do siebie i łapczywie ogryzając kawałki suchego chleba, rzucone im przez Doriena. Pozostawiono wraz z nimi Kerinę i Surję. Resztę wieśniaków zamknięto w drugiej izbie.

Porywcze siedzieli przy stole, pijąc z bukłaków i opychając się kawałkami upieczonej sarny. Głodny Evan przełknął ślinę, poczuwszy aromatyczny zapach. Z chęcią zjadłby chociaż mały kęs. Nad buchającym płomieniami paleniskiem wisiał bulgoczący kociołek. Zygred zamieszał w nim, patrząc ze wstrętem na brunatną breję. Zanim Mark i Nigel opuścili kryjówkę, kazali nakarmić wieśniaków. Wspaniałomyślnie dali im więc kawałki zeschniętego chleba, którego nie zjedli najemnicy.

– Ale śmierdzi – mruknął Dorien, wstając z ławy.

– Ty tego żarł nie będziesz. – Bruns zarechotał.

Dorien oderwał kawałek pieczystego i podszedł do Keriny. Przykucnął przed nią. Przez chwilę obmacywał ją ślepiami, nim jego ciężka łapa wylądowała na barku dziewczyny, przesunęła się wzdłuż ramienia, sięgnęła do piersi. Wieśniaczka odsunęła się, przywierając plecami do ściany. Dorien zaśmiał się rozbawiony.

Surja spoglądała ze strachem na rosnącego najemnika. Wciąż pamiętała wstrętny pocałunek, do którego zmusił ją Nigel. Skuliła się, błagając bogów, by tym razem żaden z mężczyzn nie zwrócił na nią uwagi.

– Jedz. – Dorien podetknął Kerinie mięso pod nos.

Zacisnęła zęby i pokręciła przecząco głową.

– Wolę zdechnąć – warknęła.

– Zdechniesz – oznajmił spokojnie – ale najpierw zjesz. – Złapał ją za podbródek i próbował wcisnąć jedzenie między zacisnięte zęby.

Szarpała się, odpychając najemnika od siebie. Umazaną tłuszczem twarz dziewczyny wykrzywiła złość. Zaczęła krzyczeć. Mężczyzna zdusił wrzaski, wpychając jej mięso do ust. Wypłuła je i spróbowała kopnąć dręczyciela. Bez wysiłku obezwładnił ją i docisnął swoim ciałem do barłogu. Rechotał, unieruchamiając pod sobą wierzgającą młódkę. Zadarł jej suknię, odsłaniając zgrabne uda, siłą rozsunął nogi.

Kerina walczyła zaciekle. Surja łkała, dzieci patrzyły z przerażeniem, mężczyźni rechotali.

– Wozy będą tu niedługo – oznajmił Mark, stając w progu. – Zostało coś do żarcia? – zainteresował się, nie zwracając uwagi na szamoczącego się z wieśniaczką towarzysza.

Kerina próbowała wydrapać Dorienowi oczy. Wrzasnęła przeraźliwie, kiedy szarpnęła materiał, nadrywając rękaw sukni.

– Ucisz ją – mruknął Nigel, wchodząc do izby za Markiem. – Albo zabierz stąd. – Zasiadł na ławie i spojrzał na skuloną Surję.

Dorien podniósł się, uderzył protestującą dziewczynę w twarz, po czym wykręcił jej rękę i powlókł za sobą do sieni. Zatrzasnął drzwi do izby. Mimo to wciąż było słychać gniewne wrzaski młódky. Kiedy niespodziewanie umilkły, Surja struchlała ze strachu.

Nigel uśmiechnął się szeroko, poklepując miejsce obok siebie na ławie.

– Chodź. – Patrzył wprost na Surję.

Rozpaczliwie rozejrzała się wokoło, szukając ratunku.

– Powiedziałem, żebyś tu przyszła. – Uśmiech znikł z jego twarzy.

Bruns szarpnięciem poderwał dziewczynę na nogi i popchnął w kierunku Nigela.

Przytrzymała się stołu, by nie upaść. Dygocząc niczym liść na wietrze, usiadła niezdarnie obok mężczyzny.

– Od razu lepiej, prawda? – Nigel napił się wody z bukłaka i podsunął go dziewczynie. Pogłaskał ją po głowie, nie spuszczać wzroku z piersi Surji. Drżącymi dłońmi uchwyciła bukłak i upiła kilka łyków.

– To chyba twoje. – Podał jej chustę.

Zawiązała ją czym prędzej na głowie.

– Jadłaś coś? – spytał nad wyraz uprzejmie.

Najpierw zerknęła na siedzących przy stole zbrojnych, którzy wlepiali w nią poządlliwe spojrzenia, potem na drzwi do sieni, za którymi zniknęła Kerina. Wargi jej zadrżały, a łzy spłynęły po bladych policzkach. Prędko pokręciła przecząco głową. Podsunął jej miskę z kawałkami odkrojonego mięsa. Zmusiła się, by jeden z nich, najmniejszy, wepchnąć do ust. Zadrżała, kiedy mężczyzna znowu pogłaskał ją po głowie. Przeżuwała długo. Gdy spróbowała przełknąć papkę przez ściśnięte strachem gardło, zakrzuszyła się. Nigel poklepał ją po plecach. Pozostali wybuchnęli śmiechem.

– Wozy! – Dorien wepchnął do izby płaczącą Kerinę. Potknęła się, upadając obok siedzących na barłogu dzieci. Skuliła się w kłębek. Malutka Dina wyciągnęła ostrożnie rączkę i dotknęła delikatnie włosów dziewczyny. Pogładziła je.

– Wreszcie!

Najemnicy zaczęli podnosić się od stołu. Nigel, Elren i Dorien otworzyli drzwi drugiej izby. Przy wtórze okrzyków i ponagleń zaczęli wyprowadzać wieśniaków. Mark i Zyfred spędzili dzieci z legowiska. Bruns zalał palenisko.

– Zajmij się nią – polecił Nigel, wskazując Surji skuloną Kerinę.

Zerwała się z ławy i przypadła do łkającej młódki.

Kiedy Evan znalazł się na zewnątrz, ścisnął mocno Dinę za rączkę. Takich wozów jeszcze nigdy dzieci nie widziały. Zaprzężone w dwa konie, duże, przypominały drewniane szopy na kółkach. Malutkie okienko na tylnych drzwiach miało zapewniać dostęp powietrza. Powożący wozami uzbrojeni mężczyźni patrzyli groźnie z wysokości kozłów. Evan przestraszył się ich. Podobni do nich czarnowłosi najemnicy siedzieli na koniach, patrząc obojętnie przed siebie. Tyłu ich było... Gdyby umiał liczyć, doliczyłby się aż ośmiu tych strasznych zbrojnych.

– Vartheńcyzy – szepnął Albert ze zgrozą w głosie.

Evan zadygotał. Pod Arniwą ugięły się kolana. W Vinryd nawet dzieci wiedziały, kogo się wystrzeżać.

– Nic nam nie zrobią – szepnął pocieszająco Gorn. – Muszą nas dowieźć na miejsce.

Ojciec mówił, że... – Urwał prędko, widząc, że jeden z Vartheńczyków patrzy wprost na niego.

– Włazić! – ryknął Mark. Zamykał właśnie drzwiczki wozu za ostatnim z dorosłych wieśniaków. Upchnęli ich niczym zwierzęta przewożone na targ.

Najemnicy wrzucili dzieci do drugiego z wozów.

Evan usiadł na podłodze, podciągając kolana pod brodę. W wozie było ciemno. Malutka smuga światła docierała tylko przez owe niewielkie okienko w drzwiach. Zapłakał żałośnie. Czyjaś ręka pogładziła go po głowie.

– Nie bój się – usłyszał cichutki głosik Mitry.

Drzwiczki otworzyły się i Dorien wepchnął do środka Surję. Światło zniknęło wraz z hukiem zatrzasniętych drzwi.

– A gdzie Kerina? – spytał drżącym głosem Ber.

– W drugim wozie – odszepnęła przerażona Surja.

Wóz zatrzęsł się. Poczuli szarpnięcie. Padły wydawane ostrym tonem rozkazy.

– Dokąd nas wiozą? – zapytał Albert.

– Nie wiadomo – odparł bezradnie Logi. – Umrzemy tu wszyscy – dodał żałośnie.

– Zabiją nas? – Cienki głosik Evana przebił się nad szeptami.

– Nie. – Dina ścisnęła jego rączkę.

– Wszystko będzie dobrze – odezwała się Surja, chcąc dodać dzieciom otuchy. –

Zobaczycie – zapewniła, choć sama w to nie wierzyła. – Sir Eryk na pewno już wie, co się stało. Zawsze opiekował się Vinryd.

– Przyjadą po nas jego zbrojni? – spytał Evan z nadzieją.

Wciąż miał w pamięci błyszczące miecze należące do najemników, którzy przyjechali do jego rodziców. Gdzie oni są? Co się z nimi stało?

– Kyla też przyjedzie? – Małe serduszko zabiło szybciej na myśl o ukochanej siostrze. – Ona im pokaże – rzucił z przejęciem. – Kyla umie strzelać z łuku. Przyjedzie i wszystkich ich zabije. I zabierze mnie ze sobą. – Zacisnął pięści. – Zobaczycie.

Siedząca obok Arniwa przytuliła go do siebie.

– Przyjedzie – szepnęła.

Umilkł. Przymknął oczy, wtulając się ufnie w towarzyszkę niedoli.

Gdyby nie charakterystyczny głos, surowy i ostry, można by odnieść wrażenie, że Morht jest jednym z nektosów. Równie blady, z równie martwymi, rozszerzonymi źrenicami, tylko z o wiele lepiej zachowanym ciałem.

Przekonała się o tym Kyla, kiedy wieczorem wracała ze zbrojowni do swojej komnaty. Pożegnała się z Lyanną, która zniknęła na schodach wiodących na piętro, i ruszyła słabo oświetlonym korytarzem, prowadzącym do prawego skrzydła. Usłyszawszy stukot podkutych butów, zatrzymała się. Serce zabiło jej żywiej. Wiedziała, że Morht wrócił na zamek, jednak chociaż wiedziona ciekawością oraz niejasną nadzieją wyglądała raz po raz na dziedzińcu i zachodziła niby mimochodem do wspólnej jadalni, nie udało jej się go spotkać. Teraz znajomy odgłos sprawił, że zadrżała w oczekiwaniu nie wiadomo na co.

Odwróciła się niepewnie w stronę, z której dochodził dźwięk kroków.

Korytarzem zbliżała się ku niej czwórka osób. Idący przodem Morht rozpiął płaszcz, a sunący za nim trzej towarzysze mieli twarze zasłonięte kapturami. Kiedy byli już blisko, uderzyła ją nienaturalnie blada twarz czarnowłosego i jego puste, szkliste oczy. Wbiła w niego przestraszone spojrzenie, opierając się o ścianę. Nigdy jeszcze tak dziwnie nie wyglądał, a przynajmniej ona go takim nie widziała. Co mogło być powodem tak przerażającej zmiany? Naraz poczuła silny ból głowy. Miała wrażenie, jakby coś się w nią wbiło, kłując bezlitośnie, próbując zmiażdżyć kości czaszki. Ścisnęła obiema rękami skronie, wydając z siebie głośny jęk.

– Zostaw – znajomy i surowy głos dowódcy słyszała jak przez mgłę.

Poczuła, że nogi się pod nią uginają, a serce bije nienaturalnie szybko. Zanim osunęła się na ziemię, zdążyła jeszcze zauważyć kościstą rękę, zakończoną długimi szponami, wystającą spod rękawa peleryny. Okrzyk przerażenia, który dobył się z jej ust, przypominał kwik rannego zwierzęcia.

– Zabierz ją stąd – Morht wydał komuś polecenie i nie zwalniając kroku, odszedł wraz z towarzyszami w kierunku lochów zamkowych.

Głowa wciąż ją bolała, jednak im bardziej dowódca i tajemnicze postacie się oddalały, tym ból stawał się łżejszy. Stukot butów cichł, by wreszcie umilknąć zupełnie. Chłodna podłoga przynosiła ukojenie. Przytuliła do niej policzki.

– Kyla... Kyla... – dobiegł ją zaniepokojony głos Trevora.

Bała się otworzyć oczy z obawy, że znowu zobaczy kościstą rękę.

– Co to było? – wyjąkała, ostrożnie uchylając powieki.

– Goście Morhta. – Ani Trevor, ani nadchodzący Artch nie udzielili dokładniejszych informacji.

– Wstawaj. – Artch wyciągnął rękę i pomógł jej wstać.

– Goście Morhta?

– Tak. – Quen pojawił się koło nich bezszelestnie niczym duch. – A wyglądali na jego braci, prawda? Równie nieprzyjemni – zażartował ciężko i oddalił się śladem przyjaciela

i nektosów.

Trevor machnął ręką w powietrzu.

– Byłem pewien, że to twoje wybranki – zakpił równie subtelnie, po czym ruszył w stronę komnaty zwiadowców.

Quen nie skomentował. Jego myśli wybiegały już w przód.

Pomysł dowódcy, aby sprowadzić nektosów, uważał za trafiony, ale obawiał się, jak zareagują na niego pozostali zbrojni. Mężczyźni, zaprawieni w walkach, dla których mało co było straszne, czuli się nieswojo w obecności półumarłych. A świadomość, że wyruszą wraz z nimi najpierw do Isztyr, a potem będą przeprawać się wspólnie przez góry i Wyżynę Trygielską, przyprawiała o niepokój, by nie rzec: lęk. Owszem, same istoty nie były im obce, niektórzy z ludzi Morhta dobrze je znali, wszak walczyli z nimi ramię w ramię. Jednak co innego walczyć, a co innego podróżować razem i szukać śladów uprowadzonych wieśniaków.

Z informacji, które zdobyli zwiadowcy, wynikało, że grupa handlarzy najprawdopodobniej ruszyła na południe, omijając główny szlak handlowy. Zapewne chcieli się przedostać do Oren, które cieszyło się złą sławą. Miasto to było skupiskiem wszelkiej maści wyrzutków, poczynając od drobnych złodziejasków, na zabójcach do wynajęcia kończąc. Kwitł tu handel niewolnikami, o czym wiedzieli okoliczni możni, niejednokrotnie korzystając z usług handlarzy. Jednak aby przedostać się przez góry, kryjące sporo niebezpieczeństw, należało znać drogę.

Główny trakt prowadzący do Oren był częściowo odsłonięty i to na nim zwykle dochodziło do napadów na podróżnych. Nie bez powodu nazywano go najniebezpieczniejszym odcinkiem. Zorganizowana grupa handlarzy mogła nim przejechać, jednak ryzykowali, że padną ofiarą barbarzyńców z plemienia Niedźwiedzi, zamieszkujących okolice gór, bądź bandy łotrów. Mimo to karawany z Isztyr czy Alakor wędrowały tędy, otoczone zbrojnym kordonem. Chęć wysokiego zarobku wygrywała ze strachem. Nieopodal jaskiń, pozornie wydających się doskonałym schronieniem, można było natrafić na rozdrażnionego niedźwiedzia lub węża leśnego, który wbrew swojej nazwie upodobał sobie podnóża gór. Jednak dzika zwierzyna i niemniej dzicy barbarzyńcy to najmniejszy problem.

Przeszkodą, która dla wielu kończyła się śmiercią, były wyrastające jak spod ziemi włochate stworzenia – podobne do olbrzymów, lecz mimo swojej wagi i wielkości niezwykle zwinne. Mierzyły ponad osiem stóp wzrostu, a od ich ciężkich kroków drżała ziemia. Jedynie barbarzyńcy stawiali im dzielnie czoła, nie dopuszczając do swoich terenów. Nazywano je tryglami.

Decyzja Morhta, aby przywieźć nektosów i wyruszyć wraz z nimi była uzasadniona. Trygle bowiem stanowiły ulubione pożywienie półumarłych istot.

– Nakarmimy ich, rozerwą się – zażartował makabrycznie Morht, siedząc wraz z Quenem w lochach i przyglądając się uśpionym nektosom.

– Na rozerwanych już wyglądają – burknął Quen, odsuwając poły peleryny okrywającej ciało jednego ze stworów. – Nie mogłeś wybrać takich, którzy byliby w jednym kawałku? Za tym tutaj będziemy nosić koszyk na resztki gnijącego mięsa.

– Kierowałem się twoimi upodobaniami – odparował natychmiast Morht. – Lubisz zbierać różne rzeczy, będziesz miał zajęcie.

Quen uśmiechnął się szeroko.

– Jak zareagowali inni? – W głosie dowódcy brzmiał niepokój.

– Jak mogli zareagować? – Zastępca wzruszył ramionami i zasłonił pokiereszowane ciało nektosa. – Młodszy są wystraszeni, pewnie niektórym odechce się służby u Laghortów, a ci bardziej doświadczeni starają się zachować obojętność. Sojusznik to sojusznik.

– A... – niewypowiedziane imię zawisło w powietrzu.

Quen nie udawał, że nie wie, o kogo chodzi.

– Obawiam się, że obmyślają z Lyanną swój własny plan – przestrzegł.

– Który zapewne spróbują wprowadzić w życie... – zgadł Morht.

Quen przytaknął.

– Winniśmy zatem wyjechać jak najszybciej – oznajmił twardo dowódca.

Jednak chociaż Morht nalegał, aby wyruszyli natychmiast, Quen odwodził go od tego zamiaru. Tłumaczył, że muszą się dobrze przygotować do długiej i trudnej podróży. Należy spakować zapasy żywności, sprawdzić uzbrojenie, zdecydować, kto pojedzie, przygotować konie. I najważniejsze: muszą poczekać na Sarthusa i Willa, którzy na dniach mieli powrócić ze zwiadu.

Gdy się zjawili, potwierdzili przypuszczenia, że handlarze ruszyli na południe, omijając główny trakt. Przeprowa zajmie im około kilkunastu dni. Jeśli chcieli dostarczyć żywy towar w dobrym stanie, musieli kluczyć, omijając wrogów. Mniejszą grupą było zdecydowanie łatwiej się przemknąć, pozostając niezauważonym dla groźnych tubylców.

Na zamku trwały przygotowania do wyprawy.

Kyla uparcie unikała dowódcy, a podczas wspólnych posiłków ignorowała go. Morht, chociaż jego głowę zaprzętało zupełnie co innego, od czasu do czasu spoglądał podejrzliwie na dziewczynę. Czuł, że za tą ostentacją coś się kryje. Zapewne początek problemów.

Ostatniego poranka przed wyruszeniem, gdy Morht zebrał najemników i wyznaczonych przez siebie zastępców na placu, dziewczyna stanęła w pierwszym szeregu, ku niemałemu zaskoczeniu pozostałych zwiadowców. Dowódca popatrzył na nią surowo.

– Kobiety zostają na zamku – oświadczył zdecydowanie i gestem dłoni nakazał Kyli odejść.

Uniosła dumnie głowę i spojrzała hardo na dowódcę.

– Nie – odparła krótko.

Tam gdzieś był Evan. Jedyne dziecko, jakiego miała. Chciała jechać razem z nimi. Czuła, że się przyda. Poza tym... jej ojciec by się nie poddał, nie pozwolił odesłać do komnaty jak nieposłuszne dziecko.

W szeregach zaszumiało. Kilko zwiadowców zaszepotało między sobą. W oczach Morhta pojawiło się zdumienie, które szybko ustąpiło miejsca złości.

– Co ty sobie, do cholery, wyobrażasz! Wydaje ci się, że kim jesteś, aby kwestionować moje polecenia! – krzyczał, podchodząc do niej.

Miał szczerą ochotę po prostu przerzucić ją przez ramię i wynieść z placu. Nie wyobrażał sobie, że mogłaby pojechać razem z nimi, o udziale w prawdziwej walce nie wspominając. A takowych się spodziewał. Gdyby coś jej się stało...

– Kyla, córka Darhera – wycodziła przez zęby, wyciągając spod skórzanej zbroi blaszkę, którą zwykle nosili najemnicy. – Jestem jedną z was, sam mnie przyjąłeś do drużyny. I pojedę. Niezależnie od tego, czy to się komuś podoba, czy nie – oznajmiła twardo i powiodła gniewnym spojrzeniem po zbrojnych. Nikt nie śmiał na głos zaprotestować.

Morht wciągnął głęboko powietrze, próbując się uspokoić. Policzył w myślach do pięciu... Nie pomogło. Złapał silnie dziewczynę za ramię, gotów siłą zawlec ją do komnaty. W tym samym momencie poczuł ostrze sztyletu niebezpiecznie blisko swojego przyrodzenia. Przezornie znieruchomiał.

– Zabieraj łapy albo więcej nie zabawisz się z dziwkami w Terlin – warknęła cicho. W niebieskich oczach dostrzegł determinację i narastającą furję.

Bratanica Eryka... Szlag. Czarnowłosa zgrzytnął zębami, żałując, że nie może bezczelnej młódce przyłożyć pięścią w twarz. Ogłuszyć, wynieść i zamknąć gdzieś, skąd nie wylezie.

– Morht... – Quen, widząc, co się dzieje, szybko podszedł i położył dłoń na ramieniu przyjaciela. – Pozwól jej spróbować... – Szepnął coś jeszcze, ale tak cicho, że Kyla nie usłyszała reszty słów.

Czując, że dowódca poluźnił uścisk, wyszarpnęła ramię, posyłając mu zwycięskie spojrzenie.

– Riv tez – rozbrzmiał dziecięcy głosik.

Malutka, ujrawszy zebranych na placu zbrojnych, przybiegła ze swoim kijkiem w dłoni, najwidoczniej sądząc, że będą ćwiczyć.

Odpychające spojrzenie, które posłał jej Morht, miało zapewne wystraszyć dziecko, mała jednak przytuliła się ufnie do nogi mężczyzny.

– Riv tez – zasepleniła znowu.

Dowódca zaklął głośno i szpetnie.

– Kulwa chojela mać – powtórzyła radośnie dziewczynka i puściła się biegiem w stronę nadchodzącej Lyanny. – Chendo... zona... dupę chojela! – zawołała jeszcze, wielce z siebie zadowolona, zanim Lady zabrała ją do kuchni.

Morht westchnął ciężko i popatrzył ponuro na swoich ludzi, którzy z ledwością tłumili śmiech. Nie poprawiło mu to humoru.

– Tych, którzy wyruszają, chcę widzieć wieczorem w naszej kwaterze – rzucił nieprzyjemnym tonem. Powiódł oczami po gromadzie towarzyszy. Na chwilę zatrzymał wzrok na poważnej twarzy Kyli. Ona jedna się nie uśmiechała, za to odwzajemniła jego wrogie spojrzenie. Z trudem powstrzymał się od jakiejś złośliwej uwagi. Oddalił się szybkim krokiem, jak zwykle stukając podkutymi butami. Musiał porozmawiać z Erykiem.

Kyla, widząc oddalającą się sylwetkę dowódcy, odetchnęła z ulgą. Pierwsze starcie wygrała.

Wieczór zbliżał się nieubłaganie. Na zamku trwały ostatnie przygotowania do wyprawy.

Najemnicy składowali na wozie wypełnione zapasami juki, tak by rano tylko objąć nimi konie i wyjechać. Sprawdzali, czy o niczym nie zapomnieli. Przyglądający się im z okna Morht zaklął ze złością, dostrzegłszy pomiędzy nimi, roślami wojakami, drobną figurkę Kyli.

– Po moim trupie – mruknął, ruszając korytarzem w stronę wspólnej komnaty zwiadowców.

Nie czekał długo, nim zaczęli się schodzić. Kiedy na miejsce dotarli Laghortowie, uznał, że może zaczynać.

– Jedziemy do Isztyr. Tam nektosi spróbują odszukać ślady. – Morht oparł ręce na stole, patrząc poważnie na swoich ludzi. Ku swojej uldze nie dostrzegł pośród nich Kyli. Miał nadzieję, że wreszcie poszła po rozum do głowy. Komnata zwiadowców pełna była najemników, jednak dziś nikt nie wygrzewał się beztrąsko przed kominkiem, żartując wesoło z kamratami. Wraz Laghortami siedzieli przy stole i z uwagą słuchali dowódcy. – Quen, dostaniesz mały prezent. – Sięgnął po talizman i rzucił go w stronę przyjaciela. – Pozwoli ci kontrolować nektosów. Przygotuj się na nieprzyjemne doznania – ostrzegł, podsuwając buteleczkę z eliksirem otrzymanym od maga. – Zresztą sam wiesz, jak to działa.

Zastępca skinął poważnie głową. Przemiana nie była mu obca, wiedział, czego się spodziewać.

Cicho skrzypnęły drzwi. Kyli uśmiechnęła się przeprasząco i bez słowa zajęła wolne miejsce koło Lyanny.

Morht łypnął na nią złowrogo i przeszedł do omawiania szczegółów wyprawy.

Z zebranych informacji wynikało, że handlarze zjechali z traktu handlowego na południe, prawdopodobnie klucząc lasami przy granicy z Enhiller. Nie wiedział tylko, jaki mieli w tym cel. Trop urywał się w okolicach Isztyr. Dowódca mógł wysłać tam zwiadowców, ale nie chciał ich narażać na spotkanie z tryglami. Natomiast wysłanie tam całego oddziału nie miało sensu. Zbyt szybko do porwaczy mogły dojść słuchy, że grupa zbrojnych przeszukuje teren. Kto wie, co by wtedy zrobili z uprowadzonymi. Może pozbyliby się ich? Należało działać po cichu i z rozwagą, nie prowokując handlarzy do nieprzewidywalnych zachowań. Pocięszające było, że na razie nie znaleziono kolejnych ciał. Morht zakładał, że wieśniacy jeszcze żyją. Może przemarznięci, może poturbowani, ale... żyją. Teraz spokojnie odpowiadał na pytania podwładnych, wyjaśniał wątpliwości związane z nektosami. Rozumiał obawy swoich ludzi.

– Postarajcie się ich nie drażnić. Jeśli będą chcieli zapolować po drodze... niech polują. Niepotrzebne nam trupy wśród swoich – zaznaczył. – Ci, którzy pozostają, przechodzą pod rozkazy Sir Eryka. Nie życzę sobie żadnej niesubordynacji – podkreślił surowo, tocząc oczami po swoich ludziach. Kilku młodszych, niedoświadczonych chłopców znieruchomiło pod siłą spojrzenia Morhta.

– Kobiety zostają na zamku. – Zmarszczył groźnie brwi, wyraźnie patrząc teraz na Kyle. – I na tym kończymy.

Dziewczyna zacisnęła usta.

– Nie możesz oczekiwać, że będzie tu siedziała spokojnie, podczas gdy jej brat... – zaczęła Lyanna, wstawiając się za podopieczną.

– Mogę – ostro przerwał Vartheńczyk. – Koniec narady.

Mężczyźni zaczęli wstawać i powoli opuszczać pomieszczenie.

– Wobec tego pojedę sama. – Kyła podniosła się i spojrzała nieustępliwie na dowódcę. Mało ją obchodziło, że publicznie podważa jego rozkaz i autorytet, choć powinna się podporządkować jak reszta drużyny. Jeśli ten bunt pomoże jej osiągnąć cel, gotowa była się upierać choćby za cenę wyrzucenia z drużyny.

Morht poczuł narastające rozdrażnienie. Już od momentu zbiórki na dziedzińcu wiedział, że nie pójdzie mu z Kyłą łatwo. Nawet jeśli się go bała, jeśli go unikała, to potrafiła się postawić, gdy jej na czymś zależało. Większość najemników już wyszła. Siedzący przy stole Laghortowie patrzyli wyczekująco. We wzroku Lyanny dostrzegł niemą prośbę. Eryk skinął lekko głową, godząc się na udział bratanicy w wyprawie.

Morht liczył, że chociaż on go poprze. Tymczasem najwyraźniej dał się przekonać niewiastom. „A kto będzie miał problem? Ja! – pomyślał. – Zamiast ulegać jej kaprysom, pannicę należałoby zamknąć w miejscu, z którego nie ucieknie i nie narobi sobie ani innym kłopotów. Na wszelki wypadek jeszcze bym ją związał albo przykuł do ściany. I zamurowałbym loszek...”

Popatrzył na delikatną twarz Kyli, na błękitne oczy okolone długimi rzęsami i drobne, karminowe usta. Nagle zapragnął przypomnieć sobie, jak smakują...

Zaklął w duchu.

– Nie będę cię pilnował – warknął.

– Nikt ci nie każe – odparowała szybko. – Tam może być Evan!

Długą chwilę mierzyli się wzrokiem jak psy przed rozpoczęciem walki. By to szlag! Najzwyczajniej w świecie bał się o nią. Wolał, żeby została na zamku i wolał nie wnikać w przyczyny swoich obaw. Postanowił osiągnąć cel podstępem.

– Zatem dobrze... – odparł powoli, z udawaną niechęcią, jakby ustępował wbrew woli. – Pojedziesz na końcu grupy, tuż przed nektosami, o ile ci to nie przeszkadza – dodał, a kąciki jego ust uniosły się leciutko.

Był pewien, że dziewczyna zrezygnuje. Pamiętał, jak się ich przestraszyła, o nieprzyjemnym, bolesnym grzebaniu w głowie nie wspominając.

Wzdrygnęła się, jednak po chwili odpowiedziała:

– Oczywiście. – Usiadła z powrotem na swoim miejscu.

Złośliwy uśmiezek zniknął z twarzy Morhta jak zdmuchnięty, a w oczach kolejny raz błysnął gniew. Gdyby nie obecność Lyanny i Eryka spróbowałyby w zupełnie inny sposób wytłumaczyć Kyli, że pomysł, aby wyruszyła z nimi, jest najgorszy z możliwych.

– Musimy zatrzymać się na postój – zauważył Mark. Jadący obok Nigel uniosł rękę w górę, wstrzymując karawanę.

Dojeżdżali lasami do Ognistego Traktu, nieopodal Isztyr, nieniepokojeni przez nikogo. Otaczający wozy najemnicy Ariexa milczeli, patrząc przed siebie wciąż tym samym, szklistym

spojrzeniem.

– Wyglądają, jakby byli martwi – mruknął Nigel.

Czuł się trochę nieswojo w obecności ośmiu Vartheńczyków, porozumiewających się pomiędzy sobą tajemniczymi gestami.

– Żyj! – odpowiedział Mark, odwracając głowę i długą chwilę patrząc na uzbrojony kordon. – Postój! – zarządził i zeskoczył z konia. – Dajcie im wody. Wypuście ich, żeby się odlali i wysrali – rozkazał. – Inaczej zabrudzą wozy. I pilnować ich!

Najemnicy pościadali. Bruns z Dorienem otworzyli wozy, wrzucając do nich po bukłaku z wodą i worku z zeschniętymi kawałkami chleba. Wieśniacy rzucili się na jedzenie jak wygłodniałe drapieżniki na zwierzynę. Wydzierali sobie z rąk bukłak, wrywali chleb, zbierając gorliwie upuszczone kawałeczki.

Zbrojni zaśmiewali się jak z dobrego żartu.

– Wyłazić, wszarże! – Bruns wdrapał się na wóz i zaczął wypychać z niego więźniów.

Ładowali na twardej ziemi. Podnosili się z trudem, jakby odwykli od chodzenia. Kobiety czepiały się ramion towarzyszy.

– Ruszać się, ścierwa! – Bruns zeskoczył z wozu. Szarpnął jednego z wieśniaków i popchnął w stronę pozostałych.

Vartheńczycy otoczyli kołem grupkę znękanych wieśniaków.

– Nawet leją na rozkaz! – zawył z radości Mark, kiedy najemnicy Ariexa poprowadzili więźniów w stronę bezlistnych krzewów. – Szybko, szybko! – darł się. – Kto pierwszy przy wozie, dostanie kawałek tego! – Pomachał w powietrzu suszonym mięsem.

Najemnicy zarechotali, kiedy dwóch wieśniaków, potykając się, ruszyło w ich stronę. Zbyt zmęczeni, osłabieni, upadli na zamarznąłą, ośnieżoną ziemię, nie osiągnąwszy celu.

– Mówiłem? Kilka dni o pustym żołądku i zrobią wszystko. – Mark odwrócił się w stronę Nigela.

Ten jednak zajęty był zupełnie czymś innym. Przyglądał się Surji, która pomagała dzieciom zejść z wozu.

– Mówiłeś – burknął.

Nie słuchając już towarzysza, podszedł do dziewczyny.

– Zabawimy się – oznajmił, obłapiając ją wpół.

Pisnęła, próbując uwolnić się z uścisku. Przywarł głodnymi wargami do jej szyi, wepchnął łapy pod suknię. Wyszarpnęła się z płaczem, co skwitował radosnym rechotem. Zerwał jej chustę z głowy i odrzucił na ziemię.

– Nigel, pilnuj dzieciaków! – W głosie Marka zadźwięczała złość. A może zazdrość?

Nigel przyciągnął do siebie dziewczynę i pocałował.

– Zobaczmy się niebawem – obiecał. Po czym odepchnął ją od siebie i wrócił do obowiązków.

– Kuśki mam im trzymać przy szczaniu? – Spojrzał nieprzyjemnie na towarzysza. – Nie rozlazły się przecież. – Wskazał na stojące w gromadce dzieci. – Do lasu, bachory! – wrzasnął.

Rozpierzchły się w mgnieniu oka. Skinął na Brunsa i powoli ruszyli za nimi.

Kerina stała przy wozie, patrząc nienawistnie na najemników. Była głodna, spragniona, ale nie zamierzała walczyć o jedzenie. Uniosła dumnie podbródek na widok podchodzącego Dorigena.

– Goń po żarcie! – zaśmiał się, ściskając ramię młódki i popychając ją w stronę towarzyszy.

Upadła. Podniosła się, patrząc spode łba na najemnika. Nie spodobało mu się to spojrzenie. Złapał ją za włosy, zbliżając jej twarz ku swojej. Opluła go. Uderzył ją na odlew. Czując, że traci równowagę, dziewczyna wyciągnęła ręce przed siebie. Palce zaczepliły o rzemyk na szyi mężczyzny. Zacisnęły się na nim. Szarpnęły. Wytarty rzemień pękł, a blaszka najemnika upadła na ziemię.

– Pieprzona dziwka – warknął Dorigen, zamierzając się do ponownego uderzenia.

– Niszczysz towar. – Miażdżący uścisk na nadgarstku ostudził zapędy Dorigena. Stojący przy nim Vartheńczyk patrzył zimno w oczy najemnika.

Ten wyszarpnął rękę, zły, że ktoś mu przeszkadza.

– Sam byś ją wziął – mruknął gniewnie. – Tyle że pewnie nie masz czym – dorzucił złośliwie.

Czarnowłosa nie odpowiedział. Jego ręka spoczęła na rękojeści miecza. Ostrze powoli wysunęło się z pochwy. Widząc to, jego towarzysze również sięgnęli po broń.

– Spokój! – Zaniepokojony rozwojem sytuacji Mark podszedł prędko do mężczyzny. – Dorigen, pomóż im pilnować dzieci – polecił, zerkając na nieruchomą twarz Vartheńczyka. – Więcej tego nie robi – obiecał nieco zbyt gorliwie.

Wolał nie zadzierać z tymi, o których słyszał wiele złego. Poza tym najemników Ariexa było ośmiu, a ich tylko sześciu. Wynik starcia można było łatwo przewidzieć.

– Załadujcie ich na wóz! – krzyknął, wskazując wieśniaków.

Vartheńczycy stali nieruchomo.

Mark poczuł, że po plecach przebiega mu zimny dreszcz.

– Mamy dopilnować, żeby towar dotarł w dobrym stanie – odezwał się wreszcie czarnowłosa. Jego ciemne oczy świdrowały twarz Marka.

– Dotrze – burknął.

Ostrze wsunęło się na powrót do pochwy.

– Załadujcie – wydał rozkaz vartheński najemnik Ariexa.

Mark miał wrażenie, że sytuacja wymyka mu się spod kontroli.

Niedługo potem karawana ruszyła dalej.

Wjechali na Ognisty Trakt, podążając w kierunku Isztyr. Jednak nie dotarli do miasta. Byli prawie pod murami, kiedy dotarł do nich zziębnięty posłaniec Ariexa, przywożąc rozkazy.

Mark rozpieczętował zalakowany pergamin. Zmarszczył czoło, wpatrując się w litery.

– Dzieci do Murg, do Vithalla, a reszta do Alakor i potem za morze – poinformował najemników. – Ariex chce, byśmy ominęli Oren. Mamy przepłynąć się przez Pogórze

Niedźwiedzie, kierując się na Rizer, by dotrzeć do Murg. Ci, którzy pojedą do Alakor, przetną Wyżynę Trygielską w kierunku Srebrzystej Rzeki.

– Nie wiem, czy to dobry plan – wtrącił Nigel. – Na Wyżynie...

– Zamknij się – warknął Mark.

Nie rozumiał, skąd ta zmiana. Przez głowę przemknęła mu myśl, że może Thunder dowiedział się o wszystkim. Pewnie dlatego Ariex przysłał posłańca. Jeśli mieli zarobić, musieli wyeliminować kłopoty.

– Nigel, weź Doriena, Brunsa i czterech z nich. – Wskazał głową na Vartheńczyków. – Pojedziecie z dziećmi.

Nigel przytaknął.

– Nie – powstrzymał go Mark. – Weźmiesz dwóch Vartheńczyków. Na Wyżynie możemy mieć problemy z tryglami. Przydadzą mi się. Wasza droga powinna przebiegać spokojniej – wyjaśnił.

Nigel znowu przytaknął.

Mark wydał rozkazy. Najemnicy przegrupowali się. Jeszcze kawałek jechali razem Traktem Handlowym, by ostatecznie za Isztyr się rozdzielić.

Mark wciąż nie rozumiał, dlaczego Ariex wydał takie polecenie. W głowie kołatała mu myśl, że to podstęp. Pułapka.

Venima nie opuszczało przekonanie, że Angus ma swój powód, by wysłać go do Varthen. Całą drogę z Isztyr zastanawiał się, jaki to powód. Na pewno nie chodziło tylko o złoto.

Zanim rano wyjechali z miasta, próbował nieudolnie wyciągnąć od Angusa kilka informacji. Kuzyn roześmiał się tylko i odjechał wraz z Therem w stronę Oren, obiecując jak najszybciej przybyć z najemnikami do Arwen.

Venim otulił się płaszczem i mocniej naciągnął kaptur. Skierował konia ku ruinom gorońskim. Tu było o wiele bezpieczniej niż na Pogórzu Niedźwiedzim, które niedawno pokonał. Miał nadzieję dotrzeć do miasta przed zapadnięciem zmroku. Wszystko wskazywało na to, że mu się uda.

Wyjechał na otwartą przestrzeń upstrzoną ruinami. Zerknął z daleka na kamienne pozostałości i popędził konia w stronę Goron. Zaczynało mu dokuczać zimno.

– Dlaczego to ja mam jechać? – rzucił na głos. – Dlaczego chce mi opłacić najemników?

Natrętne myśli nie dawały mu spokoju. Plan Angusa daleki był od planu Vierny. I raczej nie zakładał szczęśliwego zakończenia.

– Dlaczego Reglissa miałyby przystać na nasze warunki? – Zmarszczył czoło. – Dlaczego mam pilnować jego zamtuzów?

Łaskawość kuzyna wydawała się podejrzana. Wiedział, że Angus nie robi niczego za darmo. A wysyłanie Venima do Varthen nie gwarantowało zarobku. Czuł, że musi się podzielić z kimś swoimi wątpliwościami. Tylko z kim? Był samotnikiem. Jedyne z Vierną utrzymywał dłuższy kontakt. Czemu? Niby się nie cierpieli, a jednak coś ich do siebie ciągnęło. Byli

podobni – oboje mściwi, zawistni, zapatrzeni w siebie, przekonani o własnej wyjątkowości i o tym, że należy im się od życia więcej niż innym. Jednak Vierna nie nadawała się na powierniczkę męskich rozterek.

Vierna tymczasem miotała się wściekle po niewielkiej izdebce na piętrze karczmy. Gwoli ścisłości miotała się tak od owego poranka, kiedy obudziła się w pustym łóżku. Czarnowłose kochanek zniknął, pozostawiając po sobie kilka monet na leżącej na podłodze sukni.

– Przeklęty sukinkot! – wrzasnęła setny chyba raz w ciągu ostatnich dni.

Gdyby nie strach przed Thorem, który mógł wrócić lada chwila, popędziłaby pieszo do zamku Laghortów i wydrapała oczy Morhtowi. A najpierw Kyli, którą uważała za winną tego, że Morht ją odtrącił.

Rozczesała włosy, ubrała kusą suknię i trzasnąwszy drzwiami, zeszła do izby karczemnej. Złość złością, ale zarobić na utrzymanie musiała.

Siedząca przy szynkwasiu Sil powitała ją uśmiechem. Vierna prychnęła i usadowiła się na stołku obok. Rozejrzała się krytycznie po wnętrzu. Kilku gości siedziało przy stołach, jednak nie zwracali uwagi na dziwki, zajęci grą w kości

– Lepiej? – W głosie Sil zabrzmiało współczucie.

– Odplącę mu. Jeszcze się przekona, z kim zadarł. – Vierna wysupłała z mieszka trzy treki. – Daj mi wina – rzuciła do karczmarza zajętego układaniem misek i talerzy w jednej z szaf.

Neth udał, że nie usłyszał.

– Jesteśmy tylko dziwkami. – Sil oparła podbródek na dłoni. – Nie możemy oczekiwać, że jakiś mężczyzna potraktuje nas jak damy, skoro same się nie szanujemy.

Vierna zamrugowała z niedowierzaniem.

– Nazarłaś się czegoś? – spytała podejrzliwie, chwilowo zapominając o karczmarzu i winie.

– Nie – odparła Sil. – Po prostu takie jest życie... – mruknęła. – Nie możesz żądać, by cię pokochał. Jest najemnikiem, podobno rycerzem, a ty tylko ladacznicą.

– A ty niby kim jesteś, co? – warknęła Vierna.

– Też dziwką – przyznała. – Ale w przeciwieństwie do ciebie znam swoje miejsce. Wiem, że nic lepszego mnie nie czeka. Pewnie spędzę resztę życia w burdelu. Może uzbieram dość, by nie musieć zarabiać w ten sposób na starość. Wtedy nikt już nie będzie mnie chciał.

– Co ty się taka wygadana zrobiłaś? – Vierna zmrużyła podejrzliwie oczy. Sil wzruszyła ramionami. – Lepiej nie wymądrzaj się tak przy Angusie i Therze, bo długo nie pożyjesz – ostrzegła.

– Może śmierć byłaby lepsza od tego – odparła Sil, zsuwając się ze stołka.

Kołysząc biodrami, przeszła przez izbę. Jeden z graczy gwizdnął głośno. Dziewczyna poprawiła kokieteryjnie włosy i mrugnęła zachęcająco. Przywołał ją gestem. Przysiadła się do jego stołu. Widać niedługo potem dobili targu, bo przeszli koło Vierny, kierując się na schody. Mimo że wargi Sil rozciągnięte były w uśmiechu, Vierna dostrzegła przejmujący smutek wyzierający z jej oczu.

– Co z tym winem? – burknęła, odwracając się do karczmarza.

– Trzy treki.

Neth wyciągnął rękę po monety. Wcisnęła mu miedziaki w garść i wtedy z pogardliwym uśmiechem podsunął jej kielich wypełniony trunkiem.

Wzięła go i ruszyła do stołu nieopodal kominka. Nie reagowała na zaczepki graczy. Uniosła dumnie głowę i wpatrzyła się w płomienie. Zdąży jeszcze zarobić. Zastanawiała się, kiedy wróci Venim. Chciała jak najszybciej doprowadzić do porwania Kyli i wciągnięcia Morhta w pułapkę. A kiedy już Laghortowie zapłacą żądane złoto...

– Nie wypuszczę cię żywego – syknęła, mając przed oczami surową twarz Morhta.

Wysunęła nogi przed siebie, chcąc ogrzać stopy w ciepłe paleniska. Przymknęła powieki i oddała się marzeniom o torturowaniu Vartheńczyka.

Ława zatrzeszczała, kiedy ktoś usiadł obok.

– Wynoś się – rzuciła, nie otwierając oczu.

– Masz pracować. – Rozpoznała głos Venima. – Przekażę mojemu kuzynowi, jak traktujesz klientów.

Wyprostowała się, a niebieskie oczy błysnęły złością.

– Pędź – syknęła. – Przyjechał razem z tobą? – Mimo wszystko wolą wiedzieć, czy Angus i Ther wrócili do Arwen. Wtedy lepiej, by zabrała się za robotę. Wciąż jeszcze nosiła siniaki po lekcji, której udzielił jej Ther.

Venim pokręcił przecząco głową.

Nie pokazała po sobie, że ucieszyła ją ta wiadomość.

– To sam pracuj – mruknęła, na powrót przymykając oczy.

– Właśnie to robię. – Szturchnął ją w ramię. – Mam dopilnować interesów kuzyna. Gdzie pozostałe dziwki?

– Ty...? – Uniosła powieki, popatrzyła pogardliwie na Venima i roześmiała się drwiąco. – No to sobie znalazł zastępcę.

– Zamknij się – warknął, ściskając jej ramię.

Wysunęła się z uchwytu mężczyzny i zmieniła temat.

– Co z naszym planem porwania Kyli?

– Angus ma inny plan – wyjawiał Venim.

– Chcę ją pojmać! – syknęła nienawistnie. – Rozumiesz? Chcę dostać za nią złoto. Chcę, żeby ten pieprzony skurwysyn zawisł na gałęzi obok niej, patrząc, jak ona zdycha. – W głosie Vierny było tyle jadu, że Venim odruchowo się cofnął, jakby samymi słowami mogła zrobić mu krzywdę. Albo rzucić urok.

– Pojmiemy oboje – zapewnił, choć wcale tej pewności nie czuł.

– Kiedy? – warknęła. – Ile mam jeszcze czekać? Zapłacą mi oboje za wszystko!

– Trzeba poczekać na Angusa. – Venim zdecydował się uchylić rąbka tajemnicy. – Wróci tu z najemnikami i... – Urwał, nie wiedząc czy powinien jej mówić wszystko. Po krótkiej chwili uznał, że chyba może, skoro Angus sam zaproponował, by Vierna pojechała z nim. „Ja załatwiam złoto i najemników, ty dziwkę”, przypomniał sobie słowa kuzyna.

- I co? – Odwróciła się gwałtownie w stronę mężczyzny.
 - I pojedziemy do Varthen – odparł i zaczął wyłuszczać plan.
- Vierna słuchała z zaciekawieniem.

Załadowany po brzegi wóz wciąż stał na dziedzińcu. Wyprowadzone ze stajni konie parskały, tupiąc kopytami o resztki zalegającego śniegu. Podróż mieli odbyć wierzchem. Kilku najemników mocowało worki podróżne i zapasy do siodła, sprawdzając, czy na pewno wszystko zabrali. W kącie dziedzińca, tuż przy drzwiach do pomieszczeń kuchennych, Artch żegnał się z Seleną. Zapłakana dziewczyna gładziła go po twarzy, wymuszając na mężu przyrzeczenie, że wróci cały i zdrowy. Kyla kończyła właśnie troczenie sakw, gdy Quen zaczął formować szyk. Wyszła ze stajni, rozglądając się niespokojnie wokoło. Wzrokiem szukała stworów, które wciąż budziły w niej strach i odrazę. Odetchnęła z ulgą, nie dostrzegłszy ich.

– Zatrzymamy się dopiero w Isztyr – przypomniał Quen. – Powinniśmy tam dotrzeć przed wieczorem, o ile się pospieszymy. Trakt jest w miarę przejezdny. Morht dołączy do nas na szlaku. – Powiódł spojrzeniem po ludziach oddanych pod jego dowództwo. – Gotowi do drogi?

Odpowiedziały mu głośnie potakujące okrzyki. Najemnicy dosiedli koni. Kyla wskoczyła zwinnie na swojego wierzchowca. Zsunąwszy nieco kaptur peleryny, uniosła głowę i zerknęła w stronę zamku. Dlaczego Morht dołączy dopiero na szlaku? Była pewna, że wyjedzie razem z nimi. Ustalił z Quenem coś innego? Gdzie nektosi? Rozejrzała się nerwowo, szukając ich charakterystycznych peleryn. Jednak niebieskie oczy napotkały tylko spojrzenie czarnych...

Morht, obserwujący z okna przygotowania do wyjazdu, wbił wzrok w młodkę. Wciąż nie podobał mu się pomysł, aby jechała z nimi. Dlaczego się zgodził? Może dlatego, że nie bardzo miał wybór, skoro Eryk wydał ciche, lecz stanowcze przyzwolenie. Niemniej była tylko kobietą. Młoda i słaba. Jej umiejętności w walce nie miały teraz znaczenia. Przypuszczał, że jeśli nie pokonają jej trudy podróży, to stanie się coś, co przysporzy mu masę problemów. A kłopoty dowódcy podczas wyprawy oznaczały kłopoty dla reszty drużyny. Tego chciał uniknąć. Nie odstępowało go niejasne a uporczywe przecucie, że nie wszystko pójdzie zgodnie z jego wolą i planem.

Dziewczyna czym prędzej odwróciła głowę i skierowała wierzchowca w stronę bramy, w ślad za towarzyszami. Stojący na dziedzińcu mieszkańcy zamku żegnali ich gromkimi okrzykami. Mała Riv machała rączkami.

Wreszcie cały zastęp wyjechał poza bramę, która zatrzasnęła się za nim z hałasem. Mroźne powietrze osmagało twarz Kyli, kiedy zgodnie z poleceniem Quena przyspieszyła konia, by zrównać się z Willem. Kolumnę prowadził Quen. Za nim podążał Trevor i Sarthus. Dalej – Urlin, Will i Kyla, na końcu Artch i trójka tropicieli: Sean, Tharon i Ragen.

Jadący stępą Quen rozglądał się bacznie dookoła. Wprawdzie ostatnio nie widziano w okolicach podejrzanych gości, jednak należało być czujnym. Nie potrzebowali niespodzianek w postaci bandy zbirów. Tych będą mieli w nadmiarze, kiedy dotrą do Oren. Bo

tam zamierzał udać się Morht, by uzyskać informacje o uprowadzonych.

Nim słońce wspięło się do połowy nieba, pożegnali Vinryd. Kyla posmutniała na widok opuszczonej wioski. Miejsce wyglądało jak otwarty grób. Nawet wesoły zawsze Will zamilkł, kiedy mijali osadę.

Humory powróciły wszystkim przed Slith. Widoczne z oddali dymy unoszące się z nad kominów podnosiły na duchu. Quen spojrzął na niebo. Słońce, które czasami przebijało przez chmury, schodziło już coraz niżej. Nim dotrą do Isztyr, zapadnie pewnie zmrok.

Kawalkada jeźdźców wywołała pewne zdziwienie w Slith. Wieśniacy z początku przyglądali się im podejrzliwie, jednak rozpoznawszy kilka znajomych twarzy, pozdrawiali najemników serdecznie. Kyla pomyślała, że to niesprawiedliwe, iż handlarze zabrali ludzi z Vinryd, a nie ze Slith. Szybko jednak zgromiła się w duchu za podobne rozważania. Nie powinno w ogóle dojść do porwania. Nie wolno nikomu życzyć tak strasznego losu. Evan... jak on sobie poradził? Przecież był jeszcze taki mały! Czy ktoś się nim zajął, nie pozwolił go skrzywdzić? Czy przetrwał trudy podróży? Czy w ogóle żył? Potrząsnęła głową, starając się odgonić natrętne myśli.

– Wszystko w porządku? – Quen zwolnił, zrównując się z Willem.

– W najlepszym – odparł z tyłu Artch.

– Tylko zimno jak w lochach. – Will zaśmiał się. – Należy nam się porządna rozgrzewka w Isztyr.

Dowódca oddziału spojrzął na Kylę, która szybko skinęła głową.

– W porządku – rzuciła.

Quen jechał przez chwilę z nimi, by zaraz za zakrętem wyprzedzić kolumnę i zająć swoje miejsce na przedzie.

Szczerze mówiąc, Kyla miała już dość jazdy. Chociaż mróz zelżał nieco, to jednak była sztywna z zimna. Tyłek ją bolał od twardego siodła, a peleryna podbita futrem zdawała się w ogóle nie chronić przed wiatrem. Zgrabiła, choć w rękawicach, palce z trudem trzymały wodze. Najchętniej usiadłaby teraz na czymś miękkim przed ciepłym kominkiem i grzała się przez całą zimę. I zjadła oraz wypić coś gorącego.

Zabudowania Slith były już daleko za nimi, kiedy zaczęło się zmierzchać. Od Isztyr wciąż dzielił ich jeszcze kawał drogi. Zmusiła się, aby nie poprosić Quena o postój. I tak nic by to nie dało. Czuła, że jeśli zejdzie z konia, to już nie będzie miała sił wsiąść na niego z powrotem. Najemnicy zapewne przywykli do długich podróży w różnych warunkach, jednak ona... Cóż, ona nie. W sumie to była jej pierwsza dalsza podróż. Do tego mroźną porą. Przypomniała sobie upór Morhta, który powtarzał, że niewiasty powinny zostać w domu. Teraz, szcękając zębami z zimna, przyznała mu w duchu rację. Na chwilę.

Evan...

„Muszę go uratować. Darher by się nie wycofał”. Myśl o ojcu, dzielnym, nieustępliwym wojowniku, dodała jej sił. Takim go sobie wyobrażała, przypisując mu w wyobraźni ponadludzkie cechy.

Zacisnęła zęby, próbując skupić się na drodze. W samą porę. Jej wierzchowiec, któremu

poluzowała nieopatrznie cugle, poślizgnął się na śniegu i łapiąc równowagę, prawie zrzucił dziewczynę w zaspę. Oprzytomniała szybko, uspokajając zwierzę i kierując je na powrót na ubity trakt.

Will popatrzył na nią badawczo.

– Niedługo dotrzemy na miejsce – rzekł, puszczając obłoczki pary z ust.

Pokiwała głową. Nie podda się i wytrzyma. Skoro oni potrafią, to znaczy, że jest to możliwe do wykonania. Musiała mieć bardzo zaciętą minę, bo Will pokręcił głową i uśmiechnął się lekko.

– Quen! – zawołał głośno. – Tyłek mi do siodła przymarza!

Reszta towarzyszy wybuchnęła gromkim śmiechem.

– Jak zaczniesz przymarzać coś innego, będziesz miał powód do niepokoju!

– On albo Irina!

Posypały się dowcipne komentarze i przytyki, które rozbawiły Kyle. Oderwały na chwilę myśli od brata i... Morhta. Wciąż nie dołączył do nich na szlaku. Brakowało również nektosów. Zastanawiała się, co ich opóźniło. Nie odważyła się jednak zapytać o to dowódcy ich małego oddziału, który nie zdradzał oznak niepokoju.

Quen chciał nieco przyspieszyć, jednak konie były zmęczone. Szły stępa coraz wolniej. Nie pozostawało nic innego, jak pogodzić się z ich tempem.

Szarówka na dworze przeradzała się już w ciemność, rozjaśniana jedynie bielą śniegu, kiedy drzewa zaczęły się przeredzać; wyjechali na otwartą przestrzeń. Pola wokół Isztyr były opustoszałe i bez oznak życia. Ślady na trakcie przysypywał śnieg, który znowu zaczął prószyć.

Ku uldze wszystkich niebawem dostrzegli wysokie mury otaczające miasto. Światełka migoczące w strażnicy obiecywały, że niedługo się ogrzeją i zjedzą ciepłą stawę. Quen zmusił konia do galopu, pozostawiając resztę oddziału za sobą. Chciał uprzedzić strażników. Kiedy kompani dojechali pod mury, brama była już otwarta i bez przestoju mogli dostać się do środka.

– Sarthus, jedźcie od razu do gospody. Załatw pokoje i kolację – polecił Quen, podając kompanowi mieszek z brzęczącymi monetami. – Dołączę do was potem. Aha, zamów osobny pokój dla Morhta i jego gości.

– Nocleg? – spytał Trevor.

– Konie odpoczną i przed świtem musimy wyruszyć – odparł Quen. – Powiedz Benowi, że nim minie noc, będzie miał wolne pokoje.

Kyla westchnęła ciężko. Trochę odpoczynku, zagrzania się i znowu w drogę...

Quen wlaź do strażnicy i wdał się w długą rozmowę z kapitanem straży. Najemnicy poradzą sobie sami, a on zaczeka tutaj na Morhta. Może przy okazji dowie się czegoś nowego.

– Ben, jak to nie masz wolnych pokoi? – Sarthus stał oparty o ladę i niemiło zdumiony wpatrywał się w oberżystę. Reszta kompanów poszła do stajni, by rozsiodłać konie, napić je

i nakarmić.

– Przybyli kupcy z Alakor. Jadą do Terlin. Do tego dwie karawany ciągnące do Arwen. I trzy zmierzające w stronę Oren... – wyjaśnił znajomy karczmarz. – Ruch dzisiaj spory, a wszystkim się spieszy – narzekał.

– Potrzebne nam tylko do rana.

Oberżysta pokręcił przecząco głową

– Co ja ci poradzę? – westchnął bezradnie.

Sarthus zaklął szpetnie pod nosem. Tego się nie spodziewał. Gospoda Bena była największa w mieście i zwykle dysponowała sporą ilością wolnych pokoi. Dwie inne miały zaledwie po kilka izdebek i już wszystkie zostały wynajęte. Najemnik oparł się łokciami o ladę i pogwizdywał cicho pod nosem, zastanawiając się, co zrobić. Nocleg na zewnątrz o tej porze roku nie należałby do przyjemności.

Popatrzył wokół. Główna izba tętniła życiem. Wędrowcy, miejscowi bywalcy, podróżujący kupcy – wszyscy siedzieli przy zastawionych kuflami stołach, rozprawiając żywo. Unoszący się ze świec i płonących palenisk dym zaczynał gryźć Sarthusa w oczy. Kręcące się pomiędzy stołami dziewczki karczemne roznosiły parujące miski – pełne apetycznego gulaszu, jak osądził, wachając naczynie postawione nieopodal na ladzie. Przełknął ślinę, odprowadzając wzrokiem jedną z córek gospodarza.

– Przydałoby tu się nieco świeżego powietrza – rzucił obojętnie. – Tłok, że nie ma gdzie palca wsadzić, nie mówiąc o usadzeniu zadka. Coś ciepłego do jedzenia przynajmniej dostaniemy?

Ben pokiwał ochoczo głową.

– Nakarmię – mruknął. – Tylko miejsce musicie sobie znaleźć. Dużo was? – spytał zaciekawiony, przecierając kolejny raz ladę.

– Kilkunastu – odparł Sarthus. – Dla niewiasty też nic nie znajdziesz? Bratanica Sir Eryka podróżuje z nami.

Karczmarz znowu pokręcił głową.

– Nie lepiej to dziewczce na zamku w cieple siedzieć, miast wędrować z bandą takich zbirów jak wy? – zakpił.

Najemnik uśmiechnął się szeroko i powiódł wzrokiem po zatłoczonej karczmie, szukając choć kawałka wolnego blatu. W jednym z kątów, niedaleko paleniska buchającego przyjemnym ogniem, kiwało się sennie nad stołem trzech pijaczków. Czwarty spał rozłożony na długiej, szerokiej ławie. Sądząc z wyglądu i ubioru, zapewne miejscowi.

Sarthus popatrzył wpierw na nich, potem na Bena.

– Wyglądają na tutejszych. Są stąd? – spytał cicho, uśmiechając się lekko. – Może trzeba ich odprowadzić do domów, co? – Puścił porozumiewawczo oko do karczmarza. – Chyba i tak niedługo spadną pod stół. Mielibyśmy w miarę spokojny kąt...

– Skoro tak mówisz. – Ben odwzajemnił spojrzenie. – Byle obyło się bez awantury. Niepotrzebni mi tu dzisiaj strażnicy. A tych tam... – machnął niedbale ręką – możecie zostawić u Helgindy. Jak wyjdiesz z karczmy, trzeci dom po lewej. Poznasz po zielonych okiennicach.

Jak ta baba zobaczy, że jej chłop znowu się spił, to szybko go obudzi. Zobacysz, jak moczymorda prędko wytrzeźwieje. – Zachichotał złośliwie.

– Helginda... – Sarthus parsknął krótkim śmiechem i rozejrzał się jeszcze raz po karczmie. – Zawsze była pyskata i głośna. W końcu znalazł się dość odważny, by zostać jej mężem?

– Zrobił to po pijaku – wyjaśnił oberżysta. – Jak się obudził, było po wszystkim. – Ben zarechotał.

– Zawsze mówiłem, że trunki gubią ludzi. – Sarthus odzyskał humor. – Przygotuj gorącą strawę i coś na rozgrzanie – polecił, wyciągając monety z sakiewki. – Byle sporo.

Powiew mroźnego powietrza, który wpadł do środka przez uchylone drzwi, zgasił jedną ze świec. Otrzepując buty ze śniegu i rozcierając zmarznięte ręce, na progu karczmy stanęli towarzysze najemnika. Kilkoro gości przerwało rozmowy, zerkając z ciekawością na przybyszy, jednak szybko zajęli się na powrót swoimi sprawami.

Kyla przystanąła niepewnie przy drzwiach i wodziła błyszczącymi oczami po wnętrzu. Zatrzymała tęskne spojrzenie na ogniu w kominku.

Idący w ich stronę Sarthus wyglądał na zadowolonego.

– Artch, najpierw tych tam musimy wyprosić. – Wskazał głową zajęty przez pijaczków stół.

Oblicze Artcha rozjaśnił szeroki uśmiech.

– Czyżbyśmy nasze przybycie zaczynali od awantury? Zawsze najpierw się bawiliśmy, dopiero potem...

Sarthus pokręcił przecząco głową.

– Ma być spokój, o ile chcemy coś zjeść. Ben nie życzy tu sobie strażników. Niestety nie ma już wolnych pokoi. Jeśli pozbedziemy się tamtych, to przynajmniej ten kąt karczmy będzie nasz na dzisiejszą noc – wyjaśnił sytuację. – Jeden z tych pijaków to małżonek Helgindy – dodał.

Najemnicy wybuchnęli zaraźliwym śmiechem. Imię wojowniczej mieszczanki było im dobrze znane.

– Pewnie do teraz pije, żeby zapomnieć – rzucił złośliwie Will.

– Na co czekamy? – zniecierpliwiał się Trevor, zsuwając z ramienia skórzany worek i stawiając go pod ścianą.

– Na ciebie. – Will klepnął go w plecy. – Urlin, miej na nich oko – polecił, wskazując Kylę i trzech tropicieli, którzy w drużynie byli od niedawna, jednak ich umiejętności zrobiły wrażenie nawet na dowódcy. – Żeby przypadkiem któreś nie zechciało nam pomóc. – Młodziutki barbarzyńca przytaknął. Czwórka przyjaciół ruszyła zaś w stronę zajętego stołu.

Kyla otuliła się ciaśniej peleryną, popatrując niepewnie wokół. Urlin, jak zwykle onieśmielony w obecności bratanicy Sir Eryka, zerkał na nią z zachwytem.

– Może... – wyjąkał wreszcie. – Może... przejdziemy tam? – Wskazał ręką miejsce pod ścianą, kilka metrów dalej.

– Jak złączą ich wyprowadzać, to może być tu trochę tłoczno – mruknął Tharon i zaśmiał się nerwowo.

W drużynie podobało mu się coraz bardziej. Choć dowódca był surowy i wymagający, chłopak rozumiał, że tak trzeba. Pozostali najemnicy, starsi od Tharona i bardziej doświadczeni, bez mrugnięcia okiem wykonywali polecenia Morhta, więc młody tropiciel dosyć szybko zaakceptował taki stan rzeczy i odnalazł swoje miejsce w drużynie. Służba dla Sir Eryka na pewno była o wiele ciekawszym i spokojniejszym zajęciem niż najmowanie się do ochrony karczm i pracujących w nich ladacznic bądź włóczenie o chłdzie i głodzie po lasach Iltarii.

Kyla bez słowa przesunęła się we wskazane miejsce, obserwując poczynania czterech kompanów, którzy tymczasem przeszli w róg karczmy i przystanęli grzecznie przy stole. Sarth nachylił się i szepnął coś do ucha jednemu z pijaczków. Ten popatrzył na niego niezbyt przytomnie, by po chwili zerwać się ze strachem w oczach z ławy. Jąkając się, rzucił kilka słów w stronę swoich towarzyszy. Ci, usłyszawszy, co miał im do powiedzenia, poszli w jego ślady.

Dziewczyna patrzyła ze zdumieniem, jak w szybkim tempie opuszczają oberżę. Czy naprawdę wystarczyło kilka słów Sarthususa, aby pijani bywalcy tak prędko opuścili gospodę? Co takiego im rzekł? Widząc, że wraz z towarzyszami rozsiadł się wygodnie na opuszczonej ławie, bez wahania ruszyła w ich kierunku.

– Tak szybko? – spytała zaintrygowana. – Co im powiedziałaś?

– Że niejaka Helginda ich szuka i właśnie widziałem ją niedaleko karczmy – odparł ze śmiechem Sarthus.

– I wystarczyło? – Kyla wciąż była zdumiona.

– Helginda to jego żona – wyjaśnił cicho Trevor. – Straszna jędza. Gorsza niż ty – zażartował. – Nie chciałbym mieć z nią do czynienia .

Kyla wsunęła się za stół, siadając jak najbliżej kominka. Na przytyk machnęła ręką. Przecież nie będzie się obrażać za każdą kpinę. Towarzysze z drużyny bywali czasem nazbyt bezpośredni, ale nie pozostawiała im dłużną. Dość szybko przyzwyczała się do ich dowcipów. Dzięki przyjemnemu ciepłu bijącemu od paleniska uczucie skostnienia powoli mijało. Nie zwracała większej uwagi na kompanów, rozkoszując się tym stanem.

Karczmarz z pomocą córki rozstawiał na stole miski z kaszą i gulaszem. Dziewka karczemna przyniosła pękaty gąsiorek wina i kielichy. Kolejna, uwijając się jak w ukropie, stawiała kufle pełne pianistej cieczy. Najemnicy zajęli się jedzeniem, rozmowy ucichły. Kyla wzięła miskę na kolana. Jadła powoli, dmuchając na łyżkę. Gorąca strawa dodatkowo rozgrzewała ciało od środka. Zaspokoiwszy pierwszy głód, poczuła dojmujące zmęczenie. Odłożyła na stół miskę z niedojedzoną kolacją. Wsparła brodę na dłoniach i wodziła błyszczącymi, sennymi oczami po towarzyszach, słuchając niezbyt uważnie ich przekomarzań.

– Jakbym ja miał taką żonę, to uciekałbym szybciej niż przed trygłem! – zaczął Will.

– Może ma z nimi coś wspólnego...

– Wygląd?

– Nie wiadomo, w co zmieni się Irina po ślubie! – zawołał wesoło Artch.

– A Will będzie uciekał kruzgankami – podchwycił Tharon.

– A Morht będzie miał pretensje o te gonitwy – kpił Sarth. – Już słyszę jego kolejne kazanie...

– Racja, potrafi marudzić.

– Ciekawe, kiedy Morht zacznie zwiewać...

Rozbawione, rozgrzane trunkami towarzystwo wybuchnęło głośnym śmiechem.

– Dlaczego miałbym uciekać? – Surowy głos Morhta sprawił, że śmiech umilkł jak ucięty nożem. Tuż za nimi stali dowódca oraz Quen.

Kyla, zaskoczona ich niespodziewanym przybyciem, odruchowo zerwała się z miejsca, strącając ze stołu swój kielich z winem. Zakłopotana, czym prędzej schyliła się po naczynie.

Will zdał szybką relację, informując o braku pokoi.

– Gdzie nektosi? – spytał ciszej Artch.

– Tam, gdzie powinni być – odparł równie cicho Morht. – Czekają na nas za bramami miasta, szukają śladów, polują...

Przyglądał się chwilę nerwowo krzątającej się Kyli, która ni z tego, ni z owego zaczęła pomagać słuźce.

– Przesuńcie się. – Chwycił Kylę za ramię. – Zostaw to i siadaj. – Wskazał jej miejsce pod ścianą.

Popatrzyła na niego zdezorientowana, ale posłuchała. Nie miała ochoty na kłótnie. Oparła się wygodnie i poprawiła pelerynę.

Karczma wciąż była pełna. Goście jedli, pili, śmiali się, ktoś wszczął kłótnię przy szynkwasiu, zewsząd dobiegał gwar rozmów. Nie wsłuchiwała się w nie. Czuła się jakoś dziwnie. Raz było jej ciepło, to znów trzęsa się z zimna. Na policzki wystąpiły rumieńce. Nie wiedziała, czy to skutek długiej podróży w śnieżną pogodę, czy bliskości dowódcy. Wciśnięta pomiędzy Willa, siedzącego z lewej strony, a Morhta, który dosiadł się z prawej, bezwiednie wodziła błyszczącymi oczami po karczmie.

– Wypij to. – Morht podsunął dziewczynie kubek wypełniony brunatnym płynem. Spojrzała na niego pytająco. Czekał w milczeniu, nie spuszczać z niej wzroku. Posłusznie wzięła. Powąchała ostrożnie, zanim przytknęła naczynie do ust. Nie pachniało ładnie. Upiła niechętnie pierwszy łyk i jej usta wykrzywił grymas wstrętu. Czym prędzej odsunęła kubek od siebie. Parujący płyn, gorzki w smaku, palił w język i gardło.

– Wypij do końca – nakazał cicho dowódca.

– Otruć mnie chcesz? – wykrztusiła.

Pokręcił przecząco głową i pochylił się nieznacznie w jej stronę.

– Czy przynajmniej raz mogłabyś nie podważać moich poleceń?

Westchnęła ciężko, po czym ujęła ponownie kubek i krzywiąc się, wypiła jego zawartość. Potem Morht podsunął jej miskę z jedzeniem.

– Przed nami droga do Oren – przypomniał. – Lepiej, abyś zjadła do końca. Zatrzymamy się dopiero w osadzie, gdzie dotrzemy przed południem. Po drodze nie ma karczmi z ciepłym jedzeniem. Są ośnieżone szczyty, lodowate od mrozu jaskinie, lasy z dziką zwierzyną i trygłe – poinformował ją spokojnie.

Kiedy służka postawiła przed nim parującą misę, zajął się swoją kolacją, nie zwracając już uwagi na Kylę. Wzruszyła ramionami, sięgnęła po łyżkę i też zabrała się za jedzenie.

Zachowanie Morhta zaskoczyło ją. Znowu. Nie wiedziała, co o nim myśleć – zdumiona troską Vartheńczyka, który przez większość czasu, pomijając te chwile, kiedy się kłócili bądź ćwiczyli, traktował ją surowo i oschle.

Zjadła do końca gulasz, wypila drugi kielich wina i poczuła, że oczy same jej się zamykają. Wsparta plecami o ścianę, z ulgą przymknęła powieki. Rozgrzana, najedzona, wsłuchiwała się w gwar prowadzonych rozmów. Will z Sarthusem dokuczali Artchowi, Trevor rozmawiał o podróży z Quenem, do dyskusji włączyli się pozostali najemnicy.

Spróbowała lepiej się usadowić i ku swojemu zdumieniu poczuła dotyk czyjejś dłoni na włosach. Zaskoczona otworzyła oczy.

– Oprzyj się i zdrzemnij – szepnął Morht. – Zmęczona jesteś. To była długa droga.

On rozparł się wygodnie; długie nogi wyciągnął pod stołem. Nie zastanawiając się wiele, położyła głowę na ramieniu mężczyzny i na powrót zamknęła oczy.

Dowódca siedział nieruchomo, w milczeniu słuchając rozmów swoich ludzi i przyglądając się gościom w karczmie. Ze zdumieniem stwierdził, że dobrze mu tak siedzieć w ciepłe i spokoju, z dziewczyną wspartą o jego ramię. Prawa ręka sama powędrowała, by poprawić pelerynę, którą okryta była Kyla. Kiedy się zorientował, co zrobił, zacisnął dłoń w pięść i szybko położył ją na udzie. Dopiero chwilę później sięgnął po wino; ostrożnie, tak by nie zbudzić śpiącej.

Quen obserwował przyjaciela. Napotkawszy jego wzrok, uśmiechnął się znacząco, wskazując oczami Kylę. Czarnowłosa zgromił go spojrzeniem. Może i był twardy i surowy, ale jako dowódca odpowiadał za tę dziewczynę. Była słabsza od nich, zmęczyła się, więc należało o nią zadbać, pomóc jej... Wyłącznie pomóc – tak sobie tłumaczył. Każdy prawy człowiek postąpiłby tak samo na jego miejscu.

„Tyle że ja nie jestem prawym człowiekiem...” – przemknęło mu przez myśl.

Przemarznięty i głodny Evan kulił się w wozie okryty cuchnącą stertą szmat, które litościwie wrzucono do środka, po tym jak Dina zaczęła gorączkować. Wóz kołysał się, trzeszczał, jakby miał się rozpaść. Z zewnątrz dochodziły podniesione głosy najemników. Najwidoczniej kłócili się pomiędzy sobą.

– Co z nami zrobią? – spytał cichutko, wygrzebując się spod przykrycia.

– Sprzedadzą – powiedziała ze smutkiem Surja.

Nie miała już nadziei na ratunek. Objęła kolana ramionami i wróciła do swoich ponurych myśli.

Evan zadygotał ze strachu. Nie chciał zostać sprzedany. Chciał wrócić do domu i zjeść coś ciepłego, a potem położyć się wygodnie w swoim łóżku. Było coraz zimniej. Przez małe okienko widział gęsto padający śnieg.

– Nikt nas nie znajdzie – szepnął Gorn. – Zasypie ślady. – Wyciągnął szyję, próbując

dojrzeć przez okienko, dokąd jadą.

– Pić... – Rozpalona Dina złożyła głowę na kolanach Surji.

Dziewczynie ścisnęło się serce z żalu. Pogładziła gorący policzek dziecka. Zebrała się na odwagę i załomotała pięścią w ścianę wozu.

– Ona umrze! – zakrzyczała.

– Spokój tam, bachory! – odkrzyknął któryś z najemników.

– Dajcie jej wody. – Tym razem Surja już nie krzyczała. Prosiła błagalnym głosem. – Odrobinę wody.

Gorn i Ber zaczęli uderzać pięściami w ściany. Dołączył do nich Albert. Pozostałe dzieci rozplakały się.

– Pieprzone bękarty – syknął Nigel. Był zły. Milczący vartheńscy kompani nie poprawiali mu humoru. Padający śnieg, ochłodzenie, zimny wiatr... W myślach klął na wszystko i wszystkich. A do Murg był jeszcze spory kawał drogi. – Dobrze, że ominęliśmy plemię Niedźwiedzi – burknął, kierując się w stronę pobliskich skał. – Tam możemy się zatrzymać.

Dobrze znał te tereny; nieraz przeprowadzał tędy karawany. W miejscu, do którego zmierzali, znajdą kilka jaskiń; osłonią ich od śniegu i wiatru oraz umożliwią krótki odpoczynek. I nawet trygli nie powinno tu być. Spiął konia i ruszył przodem, szukając wzrokiem wygodnego miejsca na postój.

– Trzeba sprawdzić, co z nimi – mruknął Dorien.

Ze środka wozu dobiegały odgłosy uderzeń w ściany i płacze.

– Sprawdzimy, jak dotrzemy – odparł Bruns.

Niedługo potem zatrzymali się przed grotą wypatrzoną przez Nigela. Szeroki otwór zachęcał do wejścia, obiecując schronienie przed dokuczliwym zimnem. Zmęczone konie dyszały ciężko. Też miały dosyć.

– Musimy tu zostać na noc – powiedział Nigel, unosząc głowę i wpatrując się w ciemniejące niebo. – Wyruszymy przed świtem.

Najemnicy zsiadli z koni i rozsiedłali je. Bruns rozniecił niewielkie ognisko tuż za progiem jaskini. Blask płomieni rozjaśnił ciemne wnętrze.

– Zagrzej wody – polecił Nigel, stawiając kociołek obok kompana. – Napiłbym się czegoś ciepłego.

– Co z nimi? – Dorien zwrócił uwagę Nigela na wóz.

– Trzeba je wypuścić i dać żarcie. Inaczej zdechną.

Vartheńscy po rozkulbaczaniu koni otworzyli drzwi wozu. Wciąż milcząc, patrzyli obojętnie na wygrzebujące się ze środka dzieci. Przeliczyli je, tak jakby podczas drogi któreś mogło wyparować, i wprowadzili malców do jaskini, wskazując miejsce przy ognisku. Milcząco stanęli na straży.

– Wyłaż. – Dorien szarpnął za ramię Surję, która nie opuściła wozu, tuląc do siebie Dinę.

– Jest chora – odezwała się lękliwie.

Przyjrzał się półprzytomnej, rozpalonej dziewczynce. Oddychała ciężko przez wpółotwarte usta, jej oczy błyszczały niezdrowo.

Zaklął. Wrócił do towarzyszy, informując ich o gorączce małej.

– Uszkodziliście towar – odezwał się ponuro jeden z Vartheńczyków. – Nie zapłacą za nią. Nigel westchnął ciężko. Nie miał pojęcia, co zrobić. Rozejrzał się po jaskini.

– Połóżcie ją tam. – Drugi z Vartheńczyków wskazał miejsce za dziećmi.

Rozdrażniony Bruns podszedł wraz z Nigelem do wozu. Zabrał Dinę i ułożył drobne ciało na posłaniu przygotowanym przez najemnika Ariexa. I odsunął się prędko, napotkawszy jego wzrok. Mężczyzna zaczął rozbierać dziecko. Wymienił porozumiewawcze spojrzenia ze swoim towarzyszem. Tamten wyszedł z jaskini bez słowa, by wrócić z kilkoma kulami śniegu. Podał je kompanowi i wyciągnął spod koszuli woreczek. Miał w nim jakieś zioła. Rozkruszył w palcach suche listki i wsypał je do obitego kubka. Zalał gorącą wodą z kociołka.

Bruns i Dorien obserwowali działania Vartheńczyków. Nie pomagali ani nie przeszkadzali. Dzieci skuliły się przy ognisku.

– Zostawcie ją! – odważył się zawołać Gorn, kiedy czarnowłose zaczął nacierać śniegiem drobne ciało jego siostry.

Mężczyzna spojrzawszy na niego tak groźnie, że chłopiec umilkł. Dalej bez jednego słowa ponury najemnik otulił dziewczynkę kocem; podtrzymał, podczas gdy jego kompan poił małą przyrządzonym naparem. Wreszcie ułożył ją i przykrył drugim kocem.

– Chyba chcą jej pomóc – szepnął Ber niepewnie.

– Nakarmcie je – rozkazał surowo wyższy Vartheńczyk.

Bruns chciał zaprotestować, ale zrezygnował, gdy drugi z najemników Ariexa wymownie położył dłoń na rękojeści miecza

Tymczasem Nigel przyglądał się wystraszonej Surji. Wciąż siedziała w wozie.

– Wyłaż. – Wyciągnął rękę w jej stronę. Gdy nie zareagowała, siłą ściągnął ją z wozu. Zapiszczała. Hałas zwrócił uwagę pozostałych.

– Szykuje się zabawa. – Dorien zarechotał.

Na ponurych twarzach Vartheńczyków po raz pierwszy zagościły uśmiechy. Zbliżyli się do pozostałych mężczyzn.

Nigel z głośnym śmiechem wepchnął dziewczynę do jaskini.

– Bądź dla nas miła... – poradził.

Chwycił ją za włosy i przyciągnął do siebie. Przez chwilę obmacywał gorączkowo ciało dziewczyny, miętosił boleśnie jej piersi. Wreszcie zagnał ją w najdalszy kąt grotu. Kolejny raz przyciągnął do siebie. Pozostali mężczyźni ruszyli w ich stronę.

Oszołomiona, przerażona Surja mimo wszystko próbowała się bronić. Strach widoczny w jej oczach, desperackie próby wyrwania się tylko bardziej podniecały Nigela. Ścisnął ją mocniej, po czym ze śmiechem wepchnął w ramiona kamrata. Dorien zadarł dziewczynie suknię, odsłaniając białe uda.

– Łap! – Obrócił ją niczym lalkę i mocno szturchnął w plecy, aż wpadła na jednego z Vartheńczyków.

Popychali ją pomiędzy sobą, obmacując i zdzierając z niej odzienie. W końcu jeden z nich powalił młódkę na ziemię, odrzucił na bok strzępy porwanej sukni. Inny przytrzymał jej ręce,

kolejny siłą rozsunął uda. Z drżących ust młódki popłynęły płaczące prośby o litość. Błagania Surji jedynie rozbawiły oprawców. Kiedy Nigel jako pierwszy wbił się w nią, zawyla niczym zranione zwierzę. Pełen bólu krzyk został zduszony masywną łapą. Mężczyzna nie zważał już na nic, poruszając coraz szybciej biodrami.

Reszta zachęcała go sprośnymi okrzykami. Z oczu dziewczyny popłynęły łzy.

– Jest wasza – sapnął Nigel do rozochoconych kompanów, kiedy skończył.

Gdy kolejny z handlarzy zaspokajał brutalnie swoją chuć, umęczona Surja patrzyła martwo w sklepienie groty, zdając się już nie widzieć nikogo ani niczego. Sine usta mamrotały coś bezgłośnie.

Zabawa trwała długo w noc. Bruns wyciągnął bukłaki z gorzałką i płaty suszonego mięsa. Rozgrzani ciepłem ogniska najemnicy, zaspokojeni, opici i najedzeni, zlegli obok swojej półprzytomnej ofiary.

Na dzieci nikt już nie zwracał uwagi. Kilkoro usnęło z wyczerpania. Ale nie wszystkie...

Evan rozejrzał się trwożnie dookoła. Zerknął nawet w ciemny kąt, gdzie zniknęła Surja i porywacze, a potem dobiegały stamtąd dziwne sapania i stłumione krzyki. Nie wiedział, co się dzieje. Teraz słyszał głównie chrapanie mężczyzn i ciche jęki dziewczyny.

– Mamo... – W oczach malca znowu stanęły łzy. – Surja... – Tak bardzo chciał się teraz do niej przytulić.

Dina zamruczała przez sen i naraz zerwała się, siadając na posłaniu.

– Ja chcę do mamy! – Załkała żałośnie, wodząc rozpalonymi oczami po sklepieniu groty.

– Nie ma mamy – szepnął Evan.

Przeczołgał się między dziećmi w stronę dziewczynki i złapał ją za rękę. Ber otworzył oczy, kiedy Evan niechcący trącił go stopą.

Na zewnątrz coraz szybciej zapadał zmrok. Rozpalone ognisko dymiło, rozjaśniając grocie niewielką ilością mdłego światła. W kącie jaskini któryś z najemników głośno zachrapał. Z ust Surji wciąż dobywały się cichutkie, rwane błagania o litość, jakby dziewczyna nieustająco przeżywała to, co się stało.

Chłopiec przypomniał sobie swojego czarno-białego kotka, którego Garth wrzucił do pustej studni. Zwierzątko miauczało przerażone, zanim płasnęło głucho o dno. Po policzkach chłopca spłynęły łzy. Jakże w tamtej chwili nienawidził swojego ojca. Zacisnął dłonie w pięści.

Dina opadła na posłanie i umilkła. Evan puścił jej dłoń. Wahał się tylko moment. A potem – sam nie wiedział, skąd wziął w sobie tyle odwagi – wstał i przesunął się ostrożnie w stronę wylotu jaskini. Widząc, że nikt nie zwraca na niego uwagi, przyłgnął do chłodnej skalnej ściany i powoli, krok po kroku, przesuwał się dalej. Kiedy wreszcie wychywał na zewnątrz, zerwał się biegiem, gnając w stronę widniejących w oddali następnych skał. Małe stopy zapadały się w śniegu, a on sam potykał się i przewracał, co rusz spoglądając ze strachem za siebie. Mroźne powietrze wciskało się w otwarte usta chłopca, gdy z trudem łapał oddech. Zadyszany, zziębnięty, biegł dopóty, dopóki nie poczuł, że nie ma już siły.

Zanim wycieńczony organizm odmówił posłuszeństwa, zdążył dotrzeć do jednej ze skał i wcisnąć się w szczelinę. Znieruchomiał, wypatrując potencjalnej pogoni, jednak odbiegł za daleko – z tej odległości jaskinia, w której zatrzymała się karawana, była niewidoczna. Dlatego nie dostrzegł, że w ślad za nim z groty wymknęło się jeszcze dwoje dzieci. Ber postanowił ratować siostrzyczkę. Wywłókł półprzytomną, gorączkującą dziewczynkę z jaskini. Chciał znaleźć pomoc...

– Pachniesz bardzo apetycznie – melodyjny głos nad jego głową zmusił Evana do zerknięcia w górę. Ze zdumieniem patrzył na młodego mężczyznę, chłopca niemal, który zdawał się unosić w powietrzu. Dziwny nieznajomy zwinnie zszedł po skale, jakby odbywał takie spacerunki codziennie, i pociągnął nosem jeszcze raz. Szkarłatne błyski w jego oczach były ostatnim, co ujrzał Evan. Potem spowiła go ciemność.

Na noc w górach Nathen czekał z wielką niecierpliwością. Chociaż wyglądał zaledwie na dwadzieścia lat, w rzeczywistości miał ich ponad siedemdziesiąt. Jego gładka, blada twarz o niewinnym wyrazie nie pasowała do drapieżcy, jakim był. Wyróżniały się w niej duże ciemnoniebieskie oczy, w których czasem pojawiały się purpurowe iskierki, oraz ładnie wykrojone usta, stworzone do całowania. Krótkie jasnoblonde włosy, zwykle sterczące zawadiacko na wszystkie strony i opadające figlarnym kosmykiem na czoło młodzieńca, teraz były w nieładzie. Zwieszanie się głową w dół z sufitu zdecydowanie nie służyło jego fryzurze.

Zeskoczył na podłogę, poprawiając rozwichrzone włosy. Stał przed lustrem i spojrzał na siebie z wyraźnym zadowoleniem. Choć był szczupły, miał wyraźnie zarysowane mięśnie. Przyglądał się z samouwielbieniem swoim szerokim ramionom, perfekcyjnie wyrzeźbionemu torsowi i brzuchowi, wąskiej talii, by w końcu zatrzymać wzrok na biodrach. Rozwiązał biały sznurek i spodnie opadły na podłogę, odsłaniając kształtne pośladki i muskularne uda. Obrócił się kilka razy przed lustrem, podziwiając swoją sylwetkę z każdej strony.

– Tutaj też jest wszystko w porządku. – Błysnęła śnieżnobiałymi zębami w szerokim uśmiechu. – Pora się przyodziać. – Westchnął.

Sprawa odzienia była dla niego kwestią nadrzędną. Zawsze dbał, aby ubrania były eleganckie, czyste i pachnące, takie jak on sam. Szybkim krokiem – tak szybkim, że zdało się, jakby wiatr przemknął – przemierzył pokój i stanął przed dużą szafą. Otworzył ją i zamyślił się. Wybór stroju często sprawiał mu problem. Czy do granatowego kaftana ze złotymi guzami lepiej założyć śnieżnobiałą koszulę, czy może tamtą? A może tę ze stójką pod szyją? Zmarszczył czoło, zastanawiając się usilnie. Spodnie... Już je trzymał w ręce. I buty... Och, tutaj znowu nie mógł się zdecydować.

Tak bardzo chciał zobaczyć coś innego poza Enhiller, że aż drżał z podniecenia, oczekując na obiecaną wyprawę. Życie w Enhiller było łatwe i przyjemne, a osobniki płci żeńskiej, które poznawał, dodatkowo umilały mu egzystencję – jednak czuł, że pragnie czegoś więcej. Niestety jego ojciec, a zarazem mentor, Lord Vertimes, stary wampir, żyjący już ponad czterysta lat, wielce szanowany przez Radę Stworzeń Nocy, do tej pory nie chciał ulec

namowom podopiecznego.

Młodzieniec był jego nowym doświadczeniem, eksperymentem, na który Rada wyraziła zgodę, zastrzegając, iż w przypadku niepowodzenia, chłopiec zostanie wyeliminowany, a jego stwórca poniesie dotkliwą karę. Kobieta, która urodziła Nathena, zmarła przy porodzie, i był to jedyny jak do tej pory negatywny skutek owego doświadczenia. Lord Vertimes pęczniał z dumy i zadowolenia. Życie kobiety było niczym w porównaniu z tym, co stworzył. Młody dhampir dorównywał siłą, szybkością i zwinnością niejednemu wampirowi. Wyostrzone zmysły wzroku, węchu i słuchu pozwalały mu polować na zwierzynę o wiele skuteczniej niż zwykły człowiek. A za jedyną broń służyły zęby. Ostre, z łatwością wgryzające się w ofiarę, by napić się ciepłej posoki. Stworzył istotę doskonałą, obdarzoną ponadludzkimi zdolnościami, zarazem pozbawioną zgryźliwości i surowości, tak powszechnej u starszych wampirów, posiadającą uczucia.

Jedynym, co niepokoiło nieco Lorda Vertimesa, była właśnie owa uczuciowość syna. I skłonność do nadmiernego dbania o swój wygląd. Rozumiał porywy namiętności targające młodym dhampirem, jednak czasami bywało to męczące. Zwłaszcza kiedy pod bramą niewielkiego zameczku, schowanego pośród lasów Enhilleru, stała kolejna zakochana elfka czy krasnoludzka dziewczyna (Och! Już nie dziewczyna...) i groziła zemstą swoich pobratymców. Załagodzenie sporu nierzadko rodziło trudności i nie zawsze przynosiło pożądany efekt. Wtedy przydawały się zdolności starego wampira, który był zmuszony wymazać część zdarzeń z pamięci nieszczęśliwie zakochanej panny.

Gdy wreszcie uległ namowom syna, aby wyruszyć w Góry Niedźwiedzie, Lord Vertimes przewidywał, że czeka go sporo pracy. Chociaż mijały lata, Nathen nie ustawał w poszukiwaniach tej jednej jedynej. A może wcale nie chciał dokonać wyboru, bo o wiele bardziej pociągały go same poszukiwania? Co prawda stary wampir nie rozumiał, dlaczego młodzieniec chce szukać wybranki akurat wśród barbarzyńskich kobiet, kiedy tyle pięknych elfek i ludzkich niewiast czekało na wyciągnięcie ręki. Gdyby sam był młodszy...

Niemniej, wzdychając ciężko, wyraził wreszcie zgodę.

Wyruszyli obaj późnym popołudniem, kiedy słońce chyliło się już ku zachodowi. O ile dhampirowi nie przeszkadzało światło dnia, to jego mentor za nim nie przepadał. W kilka godzin pokonali granice Enhiller oraz Itarii, docierając biegiem do Gór Niedźwiedzich. Żaden z nich nawet się nie zadyszał. A starannie dobrane ubranie Nathena wciąż pozostawało czyste i eleganckie.

– Musimy wrócić przed świtem – przypomniał mentor. – I uważaj na kobiety z plemienia Niedźwiedzi – przestrzegł. – Nie pójdzie ci z nimi tak łatwo jak z innymi...

– Och, ojciec! – Chłopak błysnął śnieżnobiałymi zębami w uśmiechu. – Wierzę w swój nieodparty urok, który pozwala mi ułagodzić najtwardszą z kobiet – zapewnił chełpliwie. – Poza tym one same tego chcą. Pragną mnie. – Mrugnął łobuzersko.

Lord Vertimes wzruszył tylko ramionami. Podboje miłosne syna były dlań źródłem utrapień, a dla samego Nathena rozrywką i rodzajem wyzwania.

Zatem mentor pomknął w stronę Oren, z zamiarem pożywienia się, a dhampir ruszył

w góry, szukając owego plemienia Niedźwiedzi, o którym tak wiele słyszał. Miał nadzieję, że mężczyźni będą na polowaniu, a w osadzie zastaną same niewiasty. Niewiasty, które podobno na swojego wodza wybierały najbardziej wytrzymałego wojownika. I bynajmniej nie chodziło o jego kondycję w walce. Chociaż czasami miłosne zapasy takową walkę mogły przypominać.

– Wszystkie one tylko dla mnie... – rozmarzył się Nathen i poczuł, jak jego męskość rośnie, a wzdłuż kręgosłupa przebiega przyjemny dreszcz. I pewnie dotarłby do osady Niedźwiedzi, gdyby nie kuszący aromat, który zwrócił jego uwagę.

Bezszelestnie wspiął się na skały i podążył za zapachem. Czyżby już teraz miał okazję poznać bliżej jedną z barbarzyńskich kobiet? Węch skierował go do szczeliny. Nie myśląc wiele, wsunął się w nią. Stojąca na dole postać była niewielkiego wzrostu i wyglądała, jakby chciała wspiąć się do góry. Zszedł do niej.

– Pachniesz bardzo apetycznie – oznajmił, wpatrując się w twarz dziecka. Ku jego zmartwieniu chłopiec spojrzał na niego ze strachem, po czym spadł na ziemię.

W niebieskich oczach Nathena zabłyszczały szkarłatne iskierki.

– Naprawdę pachniesz smakowicie – powiedział. Kucnął i przyglądał się ciałku dziecka. – Masz takie ładne jasne włosy – szepnął z zachwytem. Szczupłe palce odgarnęły kilka kosmyków z czoła malca. Przesunął opuszkami po jego skroni, wycierając krew z rany. Podsunął splamione krwią palce pod nos i wciągnął powietrze z wyraźną przyjemnością. – Coś wspaniałego... – wymruczał zadowolony i oblizał opuszki.

– I tylko dlatego go zabiłeś? – spytał surowy głos.

– Vertimesie. – Młodzieniec podniósł się. – Nie zabiłem go. Poślizgnął się, kiedy mnie zobaczył, i spadł – wyjaśnił.

– Chciałbym wierzyć, Nathenie, że mówisz prawdę. – Mentor popatrzył na podopiecznego z naganą.

– Oczywiście – odparł spokojnie dhampir. – Co z nim zrobimy? Jeśli zostawimy go tutaj, zamarźnie. Do najbliższej wioski jest spory kawałek...

– A osada barbarzyńców znajduje się niedaleko stąd – mentor uśmiechnął się łagodnie – przynajmniej dla nas. Ludziom pokonanie tej drogi zajmuje kilka dni.

– Musimy go chyba stąd zabrać... – Dhampir uniósł głowę i popatrzył niespokojnie na niebo. Do świtu było jeszcze daleko, jednak jeśli zabiorą dziecko do wioski, nie będzie mógł kontynuować drogi do osady.

– Sam zdecyduj.

Dhampir przeniósł smutne spojrzenie na opiekuna.

– Przypuszczałem, że nie pozwolisz mi poznać którejs z owych silnych kobiet. Trudno. – Westchnął z żalem. – Zabierzmy go, żeby nie zamarzał.

– Niedługo znowu się tutaj wybierzemy – obiecał mentor. – A na razie muszą ci wystarczyć elfki bądź zwykłe niewiasty – rzekł z lekką kpina. – Ostatnio chyba szukała cię niejaka Elairiena.

– Och... Elairiena. – W oczach dhampira pojawiły się szkarłatne błyski. – Nie masz pojęcia, drogi ojczy, jakaż ona jest cudowna. Jakież ma jędrne krągłości, które we wprawnych

rękach...

– Dosyć, Nathenie – przerwał mu szybko wampir, próbując się nie roześmiać. – Zabiorę go. – Pochylił się nad ciałem chłopca i wziął go na ręce. – Zostawimy małego w którejś z wiosek lub zabierzemy do Enhilleru.

– Niebawem nadejdzie świt – mruknął do siebie dhampir. – Może odwiedzę Elairienę...

– To dobry pomysł, mój chłopcze. – Wampir nie wytrzymał i uśmiechnął się szeroko.

Ktoś szturchnął ją w ramię. Kyła przeciągnęła się, natrafiając ręką na czyjeś włosy. Rozespana, przesunęła po nich palcami, mając wrażenie, że gładzi główkę Evana. Potarmosiła czuprynę z czułością. Dopiero potem otworzyła oczy i ku swojemu zaskoczeniu napotkała rozbawiony wzrok Morhta. Siedział na podłodze, oparty plecami o ławę, na której leżała. Spłoszona, cofnęła dłoń.

– To było miłe – mruknął – ale teraz wstawaj. Skorzystaj z łaźni, zanim reszta się obudzi. Wszystko masz przygotowane.

– Mają tu łaźnię? – spytała z niedowierzaniem.

W wyobraźni ujrzała nagiego Morhta zanurzającego się w balii wypełnionej gorącą, parującą wodą. Dołączał do niej... Spłonęła rumieńcem. Potrząsnęła głową, chcąc się pozbyć natrętnie powracającego obrazu. Czerwieniąc się coraz bardziej, dziękowała w duchu bogom, że dowódca nie zna jej myśli.

A może znał? Bo rozbawienie w jego oczach ustąpiło miejsca czemuś innemu. Patrzył tak, jakby nagle zrobił się głodny.

Odchrząknęła niepewnie.

– Po prawej stronie od szynkwasu. Te drzwi z okuciem. Mała izba z balią, odrobiną ciepłej wody i kilkoma ręcznikami. Poradzisz sobie. – Nie spuszczał z niej spragnionego wzroku. Odniosła wrażenie, że chętnie zaproponowałby pomoc w kąpeli...

Usiadła, zsuwając z siebie futro. Domyśliła się, kto ją nim przykrył.

– Dziękuję – szepnęła z wdzięcznością.

– Idź już. – Morht szorstkością starał się pokryć niechciane wzruszenie. – Tylko nie rozdepcz Artcha. – Oczami wskazał rozciągniętego na podłodze najemnika, który zachrapał głośno i przewrócił się na drugi bok.

– Jesteś zmęczony... – zauważyła, przyglądając się z troską poszarzałej twarzy dowódcy. Nie zastanawiając się nad tym, co robi, wyciągnęła rękę i pogładziła go po policzku. Przytrzymał jej dłoń, przytulając ją do kłującego zarostu, i przymknął oczy.

Z wrażenia pod Kyłą ugięły się kolana. Pierwszy raz widziała, by ten surowy mężczyzna był taki... bezbronny. Serce dziewczyny zalała fala czułości. A gdy musnął wargami wnętrze jej dłoni, ciało Kyli przeszły dreszcz.

– Idź. – W głosie Morhta zadźwięczała dobrze znana stanowczość. Puścił jej rękę i odchylił się do tyłu, opierając głowę na ławie. – Zdrzemnę się – mruknął sennie, podsuwając pod głowę futro.

Wstała i rozejrzała się wokoło. Towarzysze z drużyny spali. Karczmarza nigdzie nie było widać. Podobnie jak gości, którzy bawili tu poprzedniego wieczoru; w kącie pochrapywał tylko jakiś pijaczek. Zatrzymała spojrzenie na twarzy Morhta. Niespodziewanie nawet dla samej siebie pochyliła się i pocałowała go delikatnie.

Odwzajemnił pocałunek.

– Idźże wreszcie – odezwał się chrapliwie po chwili. – Proszę. – Utkwił w niej głodne spojrzenie.

Nerwowo odsunęła się od Morhta, nagle zmieszana. Otuliła się peleryną i na drżących nogach poszła do łaźni. Czowała, że dowódca odprowadza ją wzrokiem, dopóki nie zniknęła za drzwiami. Rozebrała się i z przyjemnością zanurzyła w balii pełnej ciepłej wody. Wciąż czuła dotyk jego warg. Rozmarzona zamknęła oczy...

Kiedy wróciła, najemnicy już nie spali, a Morht rozmawiał o czymś po cichu z karczmarzem.

Drzwi oberży skrzypnęły i pojawiła się w nich trójka tropicieli. Nie zwracając uwagi na pozostałych, ruszyli w stronę dowódcy.

Tharon wyjął spod płaszcza ubrudzony kawałek materiału. Sean położył na ladzie blaszkę. Morht przyjrzał się jej uważnie. Niewyspany Quen wszedł do izby, prowadząc za sobą nektosów. Karczmarz schował się za szynkwasem. Kyla przełamując strach, który ogarnął ją na widok półumarłych, podeszła bliżej, stając za plecami mężczyzn.

– Rozdzielili się – informował Ragen. – Część śladów prowadzi w stronę Oren, ale na trakcie rozchodzą się. Lżejszy wóz pojechał w kierunku Pogórza. Drugi na Wyżynę Trygielską.

– Dzieci pewnie są na tym lżejszym – wtrącił Quen.

Słyszając to Kyla, zacisnęła pięści. Evan! Serce zabiło jej szybciej.

– Chusta mogła należeć do którejś z porwanych wieśniaczek – zauważył Tharon.

– Blaszka na pewno należała do najemnika Thundera – mruknął Morht, odkładając ją na szynkwas. Zamknął oczy, zagłębiając się w umysły półumarłych sojuszników. Przez chwilę miał wrażenie, że oprócz świadomości Quena i nektosów, wyczuwa jeszcze czyjaś obecność. Otworzył oczy, zaskoczony. Napotkał zdumione spojrzenie przyjaciela. Na powrót wniknął w ich złączone umysły, ale tym razem nic nie rozpraszało jego uwagi. Zapadła nienaturalna cisza.

Dopiero po długiej chwili potrząsnął głową.

– Nie rozumiem, dlaczego nie jada traktem przez Oren – zastanowił się na głos. – Jakby nie chcieli, aby ktoś wpadł na ich trop.

Quen skrzywił się. Trzej tropicieli spojrzeli po sobie.

– Nie jesteśmy pewni, ale zanim ominęli Isztyr, chyba dołączył do nich jeździec – odezwał się Sean. – Ślady są już przysypane i mniej wyraźne niż koleiny wozów, ale wyglądało to tak, jakby ktoś dojechał do nich, a potem zawrócił do Oren. Może posłaniec.

Pozostali przytaknęli.

– Quen. – Morht podjął decyzję. – Weźmiesz Sartha, Willa i Tharona. – Obejrzał się, zauważając dziewczynę. – I Kyla – dodał. – Dwóch nektosów pojedzie z wami. Spróbujcie

podążać tropem lżejszego wozu. Może zauważycie coś jeszcze. Artch, ty zabierzesz Trevora, Urlina, Seana i Ragenę. Sprawdzicie ślady na Wyżynie. Ja i ostatni z nektosów pojedziemy do Oren. Coś mi się wydaje, że tajemniczy jeździec jest odpowiedzią na nasze wszystkie pytania. Ben! – huknął na karczmarza, wyglądającego strachliwie spod lady. – Przygotuj nam coś do zjedzenia. Quen, zajmij się nimi. – Wskazał oczami półumarłych.

Na dworze już szarzało, kiedy wyruszyli. Morht z pozostałymi skierował się na główny szlak handlowy wiodący do Oren. W połowie drogi, tam gdzie odnaleziono ślady, Trevor miał odbić na Wyżynę.

Quen wsunął pod koszulę talizman, który dostał od przyjaciela. Przymknął oczy, wsłuchując się w vibracje osobliwego naszyjnika. Wypita przed świtem kolejna dawka eliksiru działała. Mężczyzna czuł, jak z każdą chwilą jego węch się poprawia, słuch wyostrza, a na zasypanej śniegiem drodze zaczyna dostrzegać drobne szczegóły pojedynczych płatków śniegu. To akurat było ciekawym doświadczeniem. Nie przepadał natomiast za zagłębieniem w głąb umysłu nektosów, tak samo jak nie lubił, kiedy oni zagłębiali do jego głowy. Wzdrygnął się lekko, wyczuwszy sojuszników, po czym skupił się na prowadzonej grupie.

Tym razem wzmocnionymi zmysłami wylapywał mgliście coś jeszcze. Nie potrafił określić, co to jest. Zaskoczony powiódł wzrokiem po kompanach, koncentrując się na owym niejasnym wrażeniu. Jakby jego umysł, prócz półumarłych, dotykał jeszcze czyjejś świadomości, ale nie potrafił przełamać barier, jakimi była otoczona. To samo poczuł o świcie w karczmie, kiedy przyprowadził nektosów.

Nie zwlekając dłużej, wysunął się na czoło kolumny. Wraz z Sarthusem wypatrywał drogi i szukał śladów. Dostrzegł zagłębienia kolein. Były niewyraźne, jednak wskazywały drogę, którą jechał wóz. Skierował konia w tę stronę. Will, Kyla, i Tharon skręcili za nim. Na końcu „szli” nektosi. Nie potrzebowali koni. Bez żadnego wysiłku podążali za jeźdźcami; zdawało się, że suną w powietrzu. Quen zwolnił nieco.

– Przed południem powinniśmy dotrzeć do jaskiń. Pewnie tam się udali. Przeszukamy je. Potem zatrzymamy się na krótki odpoczynek. – Na twarzach żywych towarzyszy dostrzegał oznaki zmęczenia. Kiepsko przespana noc na twardej podłodze i długa podróż w chłodzie dawały się im we znaki.

Sypiący coraz mocniej śnieg nie ułatwiał odnalezienia właściwej drogi. Do tego jeszcze zerwał się wiatr. Kyla próbowała otulić się szczelniej peleryną, jednak lodowate płatki śniegu uparcie wnikały pod materiał. Mróz szczypał w zmarznięte policzki.

Widniejące w oddali pasmo gór dziewczyna powitała z ulgą. Należało się tylko tam dostać. Na szczęście droga, choć zasypana, okazała się łatwa do przebycia. Wkrótce stanęli u podnóża wysokich skał, z rzadka pokrytych wytrzymałą na zimno roślinnością. Tutaj musieli zsiąść z koni, przeprowadzić je przez wąskie przejścia pomiędzy głazami, by dotrzeć do jaskiń położonych wewnątrz.

– Wozem chyba tu nie przejechali – mruknął Quen, gdy ślady nagle się urwały.

Staął, rozejrzał się czujnie, po czym wydał polecenia nektosom. Wysłał ich na błyskawiczny rekonesans. Reszcie oddziału nakazał pozostanie na miejscu, a sam obszedł pobliski teren, szukając urwanego tropu. Zagadka prędko się wyjaśniła. Wiatr zdmuchnął stertę śniegu ze skał, częściowo przykrywając ślady. Dostrzegł je w końcu, już za głazami. A więc jednak przejechali tędy wozem.

– Musieli go chyba przepychać – mruknął pod nosem, zwracając się do pozostałych.

Gdy nektosi wrócili, przekazali dowódcy informacje. Teren był bezpieczny. Quen wskazał grupie jedną z jaskiń – prowadzące do niej wejście zasłaniało powyginane drzewo, strasząc nagimi gałęziami. Rozpalili pochodnie i ruszyli w głąb. Konie początkowo stawiały opór, jednak po kilku próbach udało się je wprowadzić do środka. Kiedy już przeszli przez wąski podziemny korytarz, ich oczom ukazała się wysoko sklepiona grota, z dwiema odnogami po lewej stronie. Kyla rozglądała się, zdumiona wielkością jaskini. Quen i Sarthus zabrali się za rozpalanie ogniska. Drewno zgromadzone w kącie groty świadczyło, że czasami ktoś w niej mieszkał.

– Trygłe – wyjaśnił Quen, w odpowiedzi na pytające spojrzenie Kyli. – Dlatego jadą z nami nektosi. Przeprowadźcie konie w tamto miejsce. – Wskazał jedną z odnóg jaskini. Gdy młodzi najemnicy posłusznie wykonali polecenie, zerkając nieco podejrzliwie na stojących nieopodal nektosów, uśmiechnął się lekko. – Kylo, dzisiaj na tobie spoczywa przygotowanie czegoś jadalnego – zwrócił się do dziewczyny, w której oczach pojawiło się autentyczne przerażenie. Jakby nagle ujrzała przed sobą stado trygli, żądnych jej krwi.

– Ja? – bąknęła. Gotowanie wciąż było jej słabą stroną. A gdy jeszcze nie miała obok siebie Seleny, która mówiła, co trzeba po kolei zrobić...

Quen skinął głową.

– Sarth ci pomoże – dodał. – Warto obejrzeć nektosi. Oni nie potrzebują snu.

Po rozdzieleniu zadań Quen okrył się kocem, wsunął pod głowę zwinięty płaszcz i zasnął prawie natychmiast. Nieprzytomny ze zmęczenia dowódca popełnia błędy, co mogłoby się źle skończyć dla całej drużyny. Musiał odpocząć.

Kyla próbowała przyrządzić coś jadalnego, jednak widząc jej męczarnie, Sarth po prostu rozdał każdemu po kawałku chleba, sera i suszonego mięsa. Popili to wodą podgrzaną w kociołku zawieszonym nad ogniskiem.

Potem zaczęli szykować się do snu. Kyla popatrzyła na chrapiącego Quena i rozłożyła koce tuż przy nim. Czuła się nieswojo. Miała wrażenie, że w jej głowie krążą cudze myśli. Wzdrygnęła się z przestachem. Skoncentrowała się na jednej, konkretnej, należącej na pewno do niej. Wspomnienie pocałunku o świcie...

Milcząca obecność nektosów ciążyła wszystkim. Należało się przyzwyczaić.

Kiedy wreszcie zasnęli, w jaskini zapadła cisza, przerywana jedynie parskaniem koni lub chrapnięciem któregoś z najemników.

Zbici w grupkę nektosi patrzyli w ciemny korytarz przed nimi. Jeden z nich uniósł głowę, zsuwając kaptur, i zaczął węszyć zapamiętałe. Nadchodziło pożywienie...

Przeraźliwe wycie wybiło ich gwałtownie ze snu. Momentalnie rozbudzony Quen zerwał się na równe nogi i wsłuchał w myśli nektosów. Chwilę później ruszył ostrożnie w stronę korytarza, skąd dobiegało wycie. Sarthus posuwał się powoli za dowódcą. Tuż za nimi skradał się Will. Kyla i młodzi najemnicy pozostali na miejscu.

Dziewczyna, wystraszona i niewyspana, patrzyła z napięciem w korytarz, gdzie zniknęli starsi towarzysze. Nagle coś kazało jej sięgnąć po jeden ze szpikulców otrzymanych od Morhta. Zaciśnęła palce na rękojeści. Kierowana dziwnym przymusem odwróciła się i weszła w drugą odnogę jaskini, tę, w której pozostawili konie. Posapywanie i mlaskanie dobiegające z głębi sprawiło, że zadygotała. Jednak nie uciekła. Oparła się plecami o zimną skalną ścianę i krok po kroku posuwała się powoli do przodu, próbując wypatrzeć coś w ciemnościach. Odnoga rozwidlała się.

Dotarło do niej, że do jaskini prowadzą łącznie trzy korytarze. W jednym stały ich konie, drugim poszli Quen, najemnicy i nektosi. Ona stała w trzecim...

Ostrożnie wychyliła się zza załomu i spojrzała przed siebie... Usta rozchyliły się bezwiednie, palce zaciśnięte kurczowo na sztylcie rozluźniły się, wypuszczając ostrze.

Przed nią, śliniąc się obficie i mlaskając, stał wielki stwór. Zadarła głowę – miał z osiem stóp wysokości, a jego ciało było w całości pokryte sierścią. Wielkie kosmate łapska przytykały krwawy ochłap do włochatej gęby. Olbrzym najwidoczniej coś właśnie pożerał. Naraz pokręcił głową, węsząc czujnie w powietrzu. Wstrzymała oddech i zastygła w bezruchu. Stwór zrobił krok w jej stronę. Przywarła plecami do ściany i zaczęło wolno wycofywać się z korytarza. Olbrzym uniósł łapę i zamachnął się, najwidoczniej z zamiarem pochwycenia dziewczyny.

Wrzasnęła, odskakując w tył, i skuliła się pod ścianą. Tuż koło niej coś przemknęło, omiatając ją długą peleryną, i po chwili poczuła silny ucisk w głowie. Łzy bólu stanęły jej w oczach.

Jak przez mgłę dotarł do niej surowy, rozkazujący głos Morhta:

„Wróć do ogniska!”

Nie pojmowała, dlaczego słyszy dowódcę, skoro go tu nie było. Spróbowała zignorować obcy głos w swojej głowie, jak poprzednio skupiając się na jednej konkretnej, znajomej myśli... Pisnęła cicho, gdy klucie w czaszce nasiliło się.

Nektos, bo to on przemknął obok niej, uprzedził cios, który zamierzał zadać trygl, i wbił swoje długie szpony w tors potwora. Kości palców grzebały chwilę w ciele olbrzyma, by wreszcie wyjąć ze środka pulsujące jeszcze serce. Krople juchy trysnęły na Kyle, która obserwowała rozgrywającą się scenę z mieszaniną przerażenia i obrzydzenia. Szybko starła rękawem krew z policzka. Walcząc z bólem i mdłościami, patrzyła, jak nektos, odepchnąwszy bez wysiłku ciało martwego trygla, zatopił zęby w wyrwanym sercu ofiary. Bryzgi krwi znów dosięgły odrętwiałej dziewczyny. Zwabiony zapachem posoki, do leżącego ciała dopadł drugi nektos; wbił pazury w brzuch trygla i i z obrzydliwym chlupotem wydarł z niego wnętrzności.

„Do ciężkiej cholery! Wróć do ogniska!” – krzyk przeszył jej umysł torturą igieł.

Poczuła, że ktoś odciąga ją do tyłu. Dopiero teraz otrząsnęła się i wrzasnęła przejmująco.

Obaj nektosi jak na komendę odwrócili głowy w jej stronę, ukazując swoje trupie oblicza i wyłaniające się spod peleryn kości, tylko gdzieniegdzie obleczone resztkami mięśni. Nim krzyknęła ponownie, zemdląa.

Morht znieruchomiał, wpatrując się szklistym wzrokiem w przestrzeń przed sobą, jakby dostrzegał coś, czego nie widzieli inni. Na surowej twarzy pojawił się wyraz zaskoczenia.

Dzięki wypitemu eliksirowi z łatwością wyczuwał Quena i nektosów. Jednak oprócz nich znów wychwycił coś jeszcze. Coś, czego – jak sądził – nie miało prawa tam być. Gdzieś w zakamarkach połączonych umysłów, oddzielone gęstą mgłą, pulsowało delikatnie tchnienie obcej świadomości. Nienależącej ani do jego przyjaciela, ani do półumarłych sojuszników. Przymknął oczy, starając się skupić. Usta wykrzywił mu grymas wysiłku, gdy zmusił umysł do zanurzenia się w mlecznobiałej mgłę otaczającej intruza. Chciał dostrzec go wyraźniej, odczuć mocniej to delikatne pulsowanie. Co wkrađało się do jego głowy? Człowiek, nie-człowiek? Wróg, sojusznik? Mag czy jakaś inna istota obdarzona mocą sięgania do umysłów? Czy Quen też to wyczuł? A nektosi?

Zmarszczył czoło w skupieniu. Zaciśnięte powieki drgnęły, gdy uparcie próbował przebić się do tajemniczej świadomości. Zdawało mu się, że płynie w gęstych białych oparach, za którymi gdzieś daleko pulsował jasny, drżący punkt.

Światelko stawało się coraz wyraźniejsze, mgła ustępowała.

Wyraźnie odbierał teraz czyjś strach. Zaciśnął ręce w pięści. Lęk zaczynał narastać. Czuł, jak łomocze mu serce, rwie się oddech; zimna strużka potu spłynęła po plecach.

Jasny punkcik, chociaż wyzierający już spomiędzy rzędnej mgły, wciąż był spowity jakby przezroczystym kokonem blokującym dostęp. Przez głowę Morhta przemknęła myśl, że ma do czynienia z czymś lub kimś znacznie silniejszym niż oni. I zdecydowanie lepiej umiejącym się bronić przed natrętami z zewnątrz. Skoncentrował się. Wszystkie jego mięśnie napięły się, a on całą siłą woli naparł na niewidzialną barierę.

Uderzył w nią niczym taran w bramę.

Ku jego zdziwieniu ustąpiła dość łatwo, jakby ów tajemniczy ktoś nie panował nad nią w dostatecznym stopniu. Nie rozumiał tych sprzeczności. Niemniej opór nieznannej świadomości zmniejszył się. Wtargnął w nią gwałtownie niczym szalejąca burza, zmiatając wszystko po drodze.

W tym momencie zbladł i nogi się pod nim ugięły. Zwyczajnie nie mógł uwierzyć w to, co odczuł, dotknąwszy pulsującego światelka. To nie było możliwe. Kłóciło się ze wszystkim, czego do tej pory doświadczył. Musiał się pomylić.

Czarnowłosa, skupiony na tym, co robi, nie zwracał uwagi na podwładnych. Stojący obok Artch bez specjalnego zdziwienia obserwował dowódcę pogrążonego w transie. Pozostali, nieprzyzwyczajeni do takich widoków, przyglądali się mruczącemu niewyraźnie Morhtowi z narastającym zdumieniem. Coś musiało się stać, skoro dowódca zarządził nagły postój, lecz nie nakazał rozbijać obozowiska. Rozejrzeli się wokoło w poszukiwaniu oznak nadciągającego niebezpieczeństwa.

Nektos odchylił głowę do tyłu i wpatrywał się martwym wzrokiem w zachmurzone niebo. Zaczynał się robić głodny, a widoczny w myślach obraz uczujących pobratymców tylko

zaostrzał mu apetyt.

Morht też to widział. Patrzył oczami Quena i nektosów. Przez jego głowę, jak szybko migające malunki, przelatowały fragmenty zdarzeń dziejących się w odległej jaskini. Widział wielkie postacie trygli, zaskoczone twarze przyjaciół, półmrok panujący w jaskini. Wyczuł wyraźnie skupienie Quena, jego wysiłek, odczuł palące pragnienie krwi u nektosów.

Miał wrażenie, że jest tam wraz z nimi.

Utrzymanie świadomości przy pulsującym światełku zaczynało sprawiać mu dotkliwy ból. Mimo to nie ustępował. Chciał dojrzeć, do kogo należy owa iskra. Która z istot w jaskini dysponuje mocą potężniejszą niż oni? I czy w ogóle zdaje sobie z tego sprawę? Raczej nie, sądząc po tym, jak niespodziewanie opadła chroniąca ją bariera. W przeciwnym razie już dawno wzniosłaby ją na nowo lub przynajmniej podjęła taką próbę. A nic takiego nie wyczuwał.

Kiedy wydawało się, że sytuacja została opanowana, przed oczami mignął mu obraz kolejnego trygla. Patrzył oczami kogoś, kto w jednej z bocznych odnóg odkrył jeszcze jednego wroga. Nie miał szans stawić mu czoła w pojedynkę.

Nagle pulsujące światełko rozjaśniło się blaskiem, a w Morhta uderzyło przerażenie nieznaną świadomością. Paniczny strach odarł jasny punkt z resztek ochronnego kokonu, ukazując wyraźnie...

Morht poczuł się tak, jakby dostał potężny cios w żołądek.

Kyla! Więc to jednak ona.

Światełko drżało, to gasnąc, to znów nabierając mocy. Migotało jak płomień dopalającej się świecy.

Kyla? Jakim cudem? Dlaczego akurat ona? Nie było teraz czasu na zastanawianie się nad tym. Zacisnął kurczowo palce na talizmanie i wdarł się do umysłu Quena, przekazując mu informację. Przyjaciół zareagował natychmiast. Wskazał nektosom trygla, sam też ruszył z pomocą. Odnalazł i odciągnął półprzytomną z przerażenia Kylę. Kiedy zemdląca, złapał ją i wyniósł z feralnego korytarza.

Morht opuścił umysł przyjaciela.

Oddychał ciężko, wciąż patrząc szklistymi oczami przed siebie. W głowie kołatały się dręczące pytania, na które nie znał odpowiedzi. Dopiero po chwili na powrót połączył się z Quenem, by sprawdzić, co się dzieje w jaskini. I czy Kyla jest bezpieczna. Przyjaciół zdążył już ułożyć dziewczynę na posłaniu z koców, a sam usiadł ciężko przy ognisku.

Pozostali zwiadowcy patrzyli na niego niespokojnie. Wciąż byli pod wrażeniem ostatnich wydarzeń.

„Niespodziewani goście” – odezwał się wreszcie ponuro Quen.

– Cholernie niespodziewani – potaknął na głos Morht, a otaczający go ludzie zerknęli na niego ze zdziwieniem.

Morht potrząsnął głową, rozglądając się wokoło wciąż niezbyt przytomnym spojrzeniem.

– Wszystko w porządku? – upewnił się Artch.

– Tak – odparł. – Chyba tak...

Nie zamierzał dzielić się nowiną o niezwykłym talencie Kyli. Teraz, kiedy niebezpieczeństwo zostało zażegnane, na spokojnie mógł się zastanowić nad tym, jak to możliwe, że utrapiona młódka zakradła mu się do umysłu. Zwykli ludzie tego nie potrafili. A przecież Kyla była człowiekiem z krwi i kości! I nie wypła żadnej z mikstur przyrządzanych przez magów! Dlaczego nie wyczuł jej wcześniej?

– Mówiłem, żebyś została w zamku – burknął, czując, że zaczyna go ogarniać złość na dziewczynę.

A może to nie była złość? Spojrzał na sypiący śnieg – osiadał miękko na płaszczu mężczyzny. Strzepnął niecierpliwie płatki i klnąc pod nosem, nakazał karawanie ruszyć dalej. Im szybciej dotrą do Oren, tym szybciej odnajdą wieśniaków z Vinryd, albo odkryją, co się z nimi stało. I tym szybciej wróci do zamku. A tam... – odgarnął włosy z czoła – tam zamknie Kylę w jej komnacie, postawi na straży kilku nektosów i wreszcie zaśnie spokojnie, nie martwiąc się o jej bezpieczeństwo.

– Zamuruję – mruknął do siebie. – Dla pewności zamuruję wejście. Okna też...

Tymczasem Kyla, nieświadoma budowlanych zamiarów Morhta dotyczących jej komnaty, dochodziła powoli do siebie. Otworzyła oczy i ujrzała nad sobą bladą twarz Willa.

– Dobra, nic jej nie jest! – zawołał ucieszony. – Sam bym pewnie zemdłał w takiej chwili.

– Napij się. – Quen pomógł jej usiąść i podał bukłak z winem. Przyglądał się dziewczynie podejrzliwie. Mając w pamięci otrzymane od przyjaciela informacje, spróbował ostrożnie zagłębić się w umysł Kyli, jednak natrafił na otaczającą go barierę.

– Co to było? – Upiła kilka łyków i popatrzyła wciąż jeszcze wystraszonym wzrokiem na kompanów.

– Hm... – Sarth udał, że się zastanawia. – Chyba chciał sprawdzić, czy jesteś jadalna – zakpił, próbując rozładować nieco atmosferę.

– Trygl – wyjaśnił cicho Quen. – To była ich jaskinia.

– A my bezczelnie pozbyliśmy się jej mieszkańców... – zażartował Will.

Kyla wpatrywała się w migoczące płomienie ogniska. Teraz, kiedy minął pierwszy wstrząs, mimo ciepła bijącego od paleniska zaczęła dygotać. Odchrząknęła nerwowo, odgarniając kosmyk włosów z policzka.

– Mili to oni nie byli – wycedziła przez szcękające zęby.

Quen popatrzył na nią badawczo, po czym okrył ją jednym z dodatkowych koców.

Popatrzyła na niego z wdzięcznością.

– Gdzie nektosi? – spytała, rozglądając po grocie.

– Na warcie – odparł Sarthus.

– Możemy się jeszcze zdrzemnąć – rzekł Quen, ziewając. – Po południu wyruszamy.

Pozostali skinęli twierdząco głowami. Posiedzieli jeszcze chwilę przy ognisku, trawiąc w myślach ostatnie wydarzenia, po czym ułożyli się w blasku płomieni i zapadli w sen.

Kyla jednak nie mogła zasnąć pomimo zmęczenia. Leżała nieruchomo, gapiąc się w sklepienie jaskini i słuchając chrapania towarzyszy. Kilkanaście razy zmieniała pozycję,

starając się ułożyć jak najwygodniej. Przed oczami wciąż miała nektosa, z którego zsunęła się peleryna, wyciągającego pulsujące serce z piersi trygła. Wzdrygnęła się kolejny raz.

Dawno minęło popołudnie, kiedy wreszcie udało jej się zasnąć.

– To twoja wina! – Cios Nigela trafił Doriana w szczękę.

– Sam się upiłeś, a do mnie masz pretensje! – Mężczyzna uchylił się przed kolejnym uderzeniem. Odepchnął towarzysza.

Bruns przezornie się nie wtrącał. Vartheńcy patrzyli ponuro na kłócących się najemników. Nie byli zadowoleni z obrotu sytuacji. Kiedy obudzili się rano, brakowało trójki dzieci. To oznaczało mniej pieniędzy. Przeszukali pobieżnie okolicę, ale nie znaleźli ani uciekinierów, ani śladów.

– Pewnie je coś pożarło. – Dorien wzruszył ramionami. – Ciesz się, że my żyjemy. To oni mieli pilnować bachorów. – Wskazał na milczących Vartheńczyków.

– Wyciągnęło je z jaskini? Zostawiło konie i resztę? Na Wydgera! Co powiemy Ariexowi? – Nigela przeszedł zimny dreszcz. – Będzie myślał, że chcemy go oszukać.

– Oszukaliśmy już Thundera – syknął Nigel. – Jak sądzisz, co nas czeka? Nie wiesz, jak rozprawia się ze zdrajcami?

– Zamknij mordę! – wrzasnął Dorien, wskazując oczami najemników Ariexa.

– Musimy jak najszybciej dostać się w umówione miejsce w Murg. – Bruns spróbował załagodzić spór.

– Nie! – krzyknął rozdrażniony Nigel. – Musimy zawrócić do Marka. On będzie wiedział, co zrobić.

– Mieliśmy ich dowieźć do... – Nim Bruns zdążył dokończyć, ciężka pięść Nigela trafiła go w szczękę.

– Zawróćimy na trakt w stronę Alakor! – rozkazał.

Bruns rzucił się na Nigela. Dorien próbował ich rozdzielić. Bili się pomiędzy sobą dobrą chwilę, nim Vartheńcy zdecydowali się przerwać bójkę. Dorien niefortunnie kopnął jednego z nich – błysnęło ostrze sztyletu i najemnik zawył z bólu.

Nigel oprzytomniał w mgnieniu oka.

– Co zrobiłeś, sukinsynu? – wydarł się.

Ostrze sztyletu błysnęło mu przed oczami.

– Załadujcie dzieci na wóz – padł suchy rozkaz. – Jedziemy do Murg.

Nigel przełknął ślinę, widząc groźne spojrzenie Vartheńczyka. Z pewnością był gotów użyć sztyletu ponownie. Nigel miał świadomość, że nie zdążyłby sięgnąć po swój miecz.

– Zgoda – odparł, odsuwając się.

– Ranił mnie! – jęknął Dorien, próbując zatamować płynącą z ramienia krew. Przesiąkała przez kaftan, tworząc plamę na rękawie.

Dzieci obserwowały awanturę, zbite w ciasną grupkę. Bruns z Nigelem zapędzili je na wóz i zatrzasnęli drzwiczki. Surją, leżącą nieruchomo w kącie jaskini, nikt się nie

przejmował. Zupełnie jakby zgodnie o niej zapomnieli.

Kamraci opatrzyli Doriena. Wsiadł na konia, patrząc z nienawiścią na czarnowłosych.

– Ruszać! – nakazał jeden z Vartheńczyków.

Wóz wytoczył się powoli. Długi czas jechali w milczeniu. Nigel ściągnął brwi, obmyślając plan. Łypnął na rannego Doriena, potem na powożącego Brunsa. Wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Zrozumieli się bez słów: czarnowłosych należało się pozbyć. Vartheńczycy zdawali się nie zauważać niczego podejrzanego.

Kiedy Dorien zsunął się z siodła, spadając w sam środek zasy, Bruns zatrzymał wóz.

– Podnieście go – nakazał surowo wyższy z Vartheńczyków.

Nigel posłusznie zsiadł z konia i ruszył w stronę rannego kompana. Dołączył od niego Bruns.

– Teraz – szepnął.

Nigel skinął lekko głową.

– Cholera! – wrzasnął, kucnąwszy przy Dorienie. – Wykrwawia się!

Vartheńczycy spojrzeli po sobie. Zeskoczyli z koni i podeszli bliżej, prowadząc wierzchowce za sobą.

– Dobij – mruknął wyższy.

Nim niższy z czarnowłosych sięgnął po miecz, Nigel zatopił swój oręż w jego ciele. Jednocześnie Bruns ciął od dołu drugiego Vartheńczyka.

Najemnicy Ariexa upadli, znacząc śnieg krwią. Nigel dźgał zapamiętane to jednego, to drugiego.

– Już dosyć – odezwał się Bruns, widząc nieprzytomny wzrok kompana.

Nigel po chwili otrzeźwiał.

– Trzeba ich zabrać... – Dorien skrzywił się z niechęcią. – Nie możemy zostawiać śladów.

– Zamknij się! – warknął wściekle Nigel.

– Zabiliśmy najemników Ariexa... – W głosie Brunsza zadźwięczał strach.

– Zamknijcie się obaj! – Nigel myślał gorączkowo.

Brunś pomógł wstać Dorienowi. Poprawił też opatrunek na ramieniu kompana.

– Zawracamy do Marka. – Nigel ruszył w stronę koni. Uwiązał do wozu wierzchowce Vartheńczyków. Potem dosiadł swojego wałacha i spojrzął z góry na towarzyszy. – Pospieszcie się.

– Co z nimi? – spytał Dorien, patrząc niespokojnie na trupy.

– Może ich też coś zeżre – wyraził nadzieję Nigel.

Zaczynało szarzeć, gdy zawrócili w stronę traktu handlowego, prowadzącego do Alakor.

Morht pędził traktem do Oren. Zgodnie z planem pozostawił Artcha w połowie drogi i pognał do miasta łotrów. Towarzyszący galopującemu jeźdźcowi nektos nie zdradzał oznak zmęczenia.

Szarość spowiła trakt, nim w oddali zamajaczyły niewysokie mury Oren. Cieszące się złą

sławą miasto nie było twierdzą. Nie musiało nią być. Zamieszkane w większości przez wszelkiej maści wyrzutków, skutecznie odstraszało ewentualnych agresorów.

Sam Oren podzieliły między siebie dwie gildie łotrów. Jedna drugiej starała się nie wchodzić w drogę. Niepisane prawo zakazywało napadania na karawany kupieckie, którym udało się dotrzeć aż tutaj, toteż handel w mieście kwitł. Spokojniejsi mieszkańcy już dawno się stąd wyprowadzili, emigrując do Alakor bądź którejs z pobliskich wiosek. Ci, którzy pozostali, dołączali do jednej z gildii lub starali się tak wtopić w miasto, by w nim zniknąć.

Morht zwolnił tuż przed murami i minął śmiało bramę pilnowaną przez dwóch strażników. Nektos podązał tuż za nim. Wartownik obrzucił obu czujnym spojrzeniem, a dostrzegłszy bladą twarz Morhta oraz jego towarzysza, cofnął się lekko. Nektosi byli tu znani i nikt nie chciał z nimi zadzierać. Vartheńczyk zeskoczył lekko z wierzchowca i podszedł do wartowników. W jego dłoni pojawił się brzęczący kusząco mieszek.

– Interesuje mnie karawana handlarzy – zaczął bez wstępów, patrząc na jednego ze strażników. – Przejeżdżali tędy? – Nie spuszczał surowego wzroku z mężczyzny.

Wyczuwszy niezdecydowanie wartownika, nektos podszedł bliżej. Uniósł głowę, wężąc.

– Może w karczmie się czegoś dowiesz – odparł strażnik, zerkając na kompana. – Na naszej warcie ich nie było. – Spojrzenie mężczyzny pomknęło ku półumarłemu i w jego oczach pojawił się strach.

– Może ktoś wyjeżdżał? Ktoś, o kim powinienem wiedzieć?

– Wyñoście cię – warknął strażnik.

Morht schował mieszek. Nektos bez ostrzeżenia wtargnął do umysłu strażnika, który zawył z bólu, upadając na ziemię. Morht uśmiechnął się paskudnie. Drugi z wartowników rzucił się w stronę drzwi. Vartheńczyk dopadł go i wbił mu ostrze sztyletu w udo. Mężczyzna zaczął krzyczeć, wzywając pomocy. Cios w twarz uciszył wrzaski.

– Pytałem grzecznie – mruknął. – Należało odpowiedzieć.

Przymknął oczy, zagłębiając się w umysł nektosa.

– Mamy samotnego jeźdźca...

– Nie wyjedziesz z miasta żywy – wyjęczał strażnik, trzymając się za krwawiący nos.

W odpowiedzi czarnowłosa poderżnął mu gardło.

– Zabij – polecił nektosowi, wskazując drugiego, półprzytomnego wartownika.

Chrupnęły łamane żebra, gdy półumarły zgniótł ofierze klatkę piersiową i wydobyl z niej pulsujące jeszcze serce. Zatopił w nim zęby. Morht przyglądał się stworowi z nieskrywaną satysfakcją.

– Tej nocy, przyjacielu – odezwał się chrapliwie – czeka cię ucza...

Nektos odwrócił umazaną krwią twarz w stronę swojego pana. Wargi Morhta wygięły się w drapieżnym grymasie. Czuł całym sobą zadowolenie nektosa i targającą nim niecierpliwość. Był w tej chwili nim: potworem zaspokajającym głód, sycącym się strachem i bólem ofiary. Zadrzał z podniecenia. Odciągnął zagradzające mu drogę ciało i wyszedł ze strażnicy. Nektos podążył posłusznie za nim. Stanowili żadną krwi jedność. Polowanie się rozpoczęło.

Wąskie uliczki prowadzące do rynku śmierdziały odchodami ludzi i zwierząt. Pełno tu było różnych śmieci. Pod jedną z rozpadających się kamienic siedział żebrak w łachmanach. Zlustrował uważnie przybyszy. Zmierzył oczami z góry do dołu Morhta, by znieruchomieć na widok nektosa. Istota stworzona przez magów zatrzymała się i wbiła martwe spojrzenie w żebraka. Biedak zwinął się w kłębek z głuchym jękiem bólu.

– Zostaw – mruknął niechętnie Morht, nie przerywając marszu.

Wszystko w nim domagało się zaspokojenia palącego głodu krwi.

Pojawienie się w Oren najemnika w towarzystwie nektosa wzbudziło niepokój.

Półumarłych obawiano się nawet tutaj; budzili grozę w sercach najtwardszych zbirów. Walka z nimi nie miała najmniejszych szans powodzenia. Była odwleczonym o krótką chwilę wyrokiem śmierci. Nim doszli do celu, śledziło ich już kilkanaście par oczu.

Szpiedzy Thundera również nie próżnowali. Watażka domyślał się, po co Morht przybył do Oren w towarzystwie nektosa. Wieśniacy z Vinryd. Na nic zda się tłumaczenie, że nie ma ich w mieście, a on nie wie, gdzie są. Zadrżał niespokojnie.

– Ganir! – zawołał, uchylwszy drzwi pokoju.

– Ganira i jego towarzyszy przydzieliles, panie, Angusowi – przypomniała służąca, zrywając się z krzesła w korytarzu. Siedziała zwykle pod drzwiami, gotowa usłużyć Lordowi w każdej chwili.

– Pobiegnij do kapitana straży. – Podrapał się po nieogolonym policzku. – Niech zaraz przyśle tu kilku swoich ludzi – rozkazał.

Nim służąca zbiegła po schodach, zamknął się w swoim pokoju. Krążył nerwowo od ściany do ściany, z niecierpliwością czekając na pojawienie się strażników.

Tymczasem Morht, świadomy lęku, jaki wzbudził wśród mieszkańców, napawał się tym strachem. Czuł go wyraźnie w zimnym powietrzu, chłonał całym sobą, mając wrażenie, że wzrasta w siłę. Krew zapulsowała, gdy zatrzymał się przed jedną z kamienic. Uniósł głowę, dostrzegając pozamykane okiennice. To tutaj prowadził trop samotnego jeźdźca. Bez wahania wszedł do środka. Nektos wsunął się za nim.

Wiodące na piętro schody skrzypiały cicho, gdy Morht się po nich wspinał. Kopnięciem otworzył drzwi i stanął oko w oko tkwiącym nieruchomo pośrodku pomieszczenia Ariexem.

– Witaj... – Twarz Vartheńczyka wykrzywiła się w grymasie przerażającego uśmiechu.

Ostrze na gardle pomaga wydobyć informacje, których nie uzyskałoby się w zwykłej, przyjacielskiej pogawędce. Przyjacielskich pogawędek Morht nie lubił, zwłaszcza jeśli chodziło o zdobywanie informacji.

Siedział w ulubionym fotelu Ariexa i od niechcienia bawił się jednym ze swoich szpikulców, nie spuszczać wzroku z przywódcy łotrowskiej gildii. Watażka leżał związany i zakneblowany na podłodze, a z jego oczu wyzierał ból.

– Chyba ma już dość – rzucił do nektosa Morht.

Półumarły zaprzestał rysowania skomplikowanego wzoru na szyi mężczyzny. Kreślenie czegokolwiek nie było samo w sobie czynnością niezwykłą. Co innego, kiedy piórem jest

kościsty pazur nektosa, a kartką papieru, którą tak łatwo przebić, skóra człowieka. Krwawiący rysunek na szyi i ramionach Ariexa nie był może arcydziełem, jednak miał w sobie pewien urok.

Morht podniósł się leniwie z fotela i pochylił, by wyjąć knebel z ust przesłuchiwanego watażki.

– Czy teraz byłbyś tak uprzejmy i wyjawiał mi, dokąd wysłałeś swoich ludzi? – spytał.

– Nigdzie nikogo nie wysyłałem. – Ariex pokręcił przecząco głową. Wciąż wierzył, że wytrzyma i wyjdzie cało z opresji. – Spytaj Thundera. To on zlecił porwanie wieśniaków.

– Z nim też porozmawiam. – Czarnowłosa uśmiechnął się paskudnie. – Po co wysłałeś posłańca do handlarzy? – Podkreślił pytanie ostrzem szpikulca, przecinając policzek ofiary.

Ariex czuł spływającą krew. Gorączkowo rozmyślał, do czego jeszcze posunie się Vartheńczyk. Ten zdawał się czytać w jego myślach.

– Najmujesz moich rodaków... – szepnął, nacinając drugi policzek Ariexa – więc wiesz, że zawsze zdobywamy informacje, których szukamy.

Odsunął się, wyczuwszy zniecierpliwienie nektosa. Zapach krwi drażnił stwora. Morht wstał i zasiadł na powrót w fotelu.

Ariex zakrzyczał z bólu, gdy nektos wtargnął do jego umysłu. Po chwili umilkł, a czarnowłosa wiedział już, gdzie powinien się udać i kogo szukać.

Łotr dyszał ciężko, drżąc na całym ciele. Strużki krwi spływały na podłogę.

Nektos zatoczył powoli szponami koło na mostku ofiary. Jednym ruchem zmiażdżył go i wydarł serce. Oczy Morhta rozjarzyły się blaskiem. Starał się panować nad sobą i nektosem. Musiał jednak przyznać, że czuł się świetnie. Był w euforii. Był Vartheńczykiem.

Gdy nektos się posilił, opuścili kamienicę.

Czterej strażnicy, którzy dotarli na wezwanie Thundera, zginęli szybko. A czarnowłosa dopadł Lorda, gdy ten próbował uciec przez okno.

– Wynająłeś najemników, by porwali wieśniaków z Vinryd – powiedział spokojnie Morht, zaciskając palce na szyi watażki. Ten nie mógł zaprzeczyć. – Komu miałeś ich dostarczyć? – Na surowej twarzy Vartheńczyka nie drgnął najmniejszy mięsień.

– Do Alakor – wydusił z trudem zbir, gdy pytający odrobinę poluzował uścisk – kupcom zza morza.

– Twój przyjaciel Ariex pokrzyżował nieco twoje plany, co? Przeszła ci koło nosa okazja do zarobku.

Thunder nie wiedział, o czym mowa. Mark i Nigel spóźniali się, owszem, ale zrzucił to na karb trudności w pokonaniu traktu. Czemu miałby ich podejrzewać? Dotąd nigdy go nie zawiedli. Poza tym wiedzieli, co grozi za zdradę lub oszustwo.

– Ariex...? – W głosie Lorda mimo przerażenia zabrzmiało szczere zdumienie.

– Przejął ich – wyjaśnił Morht niemal pogodnym tonem. Wyczuwał nadzieję łotra na ocalenie życia i bawiło go podsycanie jej. Sprawiało mu satysfakcję igranie z ofiarą, choć od dawna wystrzegął się podobnych zabaw. Ale może właśnie z powodu tak długiej

wstrzemięźliwości w okrucieństwie, gdy wreszcie uległ pokusie, przyjemność okazała się tak oszałamiająca. – Niestety nie przypadł do gustu mojemu kompanowi. – Popatrzył znacząco na nektoa. – Za to podobno jego serce było smaczne, jeśli wierzyć odczuciom półumarłego.

Puścił mężczyznę.

Nektos zagłębił się w jego umysł.

Na twarzy Morhta pojawiło się zaskoczenie.

– Angus? – zdziwił się. – Po co Angusowi najemnicy? Dziwki chce nimi straszyć?

Thunder wył z bólu, gdy nektoś przeglądał jego wspomnienia. Ku swemu niezadowoleniu Morht nie odnalazł w nich niczego, co naprowadziłoby go na właściwy trop. Angus po prostu wynajął ludzi, nie wdając się w szczegóły swojego planu.

Czarnowłosa obrzucił uważnym spojrzeniem leżącego. Sięgnął po jeden ze szpikulców i wbił go w udo Thundera. Wrzask łotra zabrzmiał w jego uszach niemal pięknie, jak pieśń barda. Nagle pojął, że od pewnych rzeczy nie da się uciec. Zawsze będzie jak inni Vartheńcy, lubujący się w okrucieństwie. Poddał się temu. Skinął głową nektośowi.

Stwór szarpnięciem rozerwał koszulę na torsie Thundera i przesunął ostrym pazurem po skórze ofiary, jakby szukając odpowiedniego miejsca. Watażka zagryzł wargi, by nie krzyknąć. Szpon zostawiał za sobą krwawą szramę. Bardzo ładną, choć nie tak ekscytującą jak wrzask torturowanego więźnia.

– Chętnie posłucham, jak prosisz – zakpił Morht. – Wielki i odważny Thunder błaga o litość... Król łotrów w Oren żebrze o miłosierdzie...

Drugi szpikulec niemal na wylot przebił lewą łydkę mężczyzny; watażka nie powstrzymała głośnego krzyku. Trzeci szpikulec utkwiał w prawej łydce, a Morht wyciągał powoli kolejne ostrze.

Oczy Thundera zaszkliły się łzami wściekłości i bólu.

– Widziałeś kiedyś jeża? – spytał spokojnie Morht.

Thunder szybko potwierdził skinieniem głowy.

– Nie, nie o takim jeżu myślę. Chodzi mi o jedną z ulubionych vartheńskich zabaw. Najpierw wbija się w ofiarę kilkadziesiąt szpikulców, a potem pozwala jej odejść. Czy raczej odpełznąć. O ile jeszcze ma na to siły... – Uśmiechnął się łagodnym uśmiechem szaleńca. – Przy sobie mam piętnaście ostrzy. – Podniósł się z fotela. – Ale zapewne znajdę tutaj coś równie odpowiedniego... – Rozejrzał się po pokoju. – Choćby to. – Sięgnął po zakorkowaną butelkę.

– Wbijesz mi ją w brzuch? – zdobył się na drwinę Thunder.

– Nie – odparł czarnowłosa, w myślach wydając rozkaz nektośowi.

Kilka chwil później Thunder leżał z opuszczonymi spodniami, a butelka wystawała pomiędzy jego pośladków. Morht wyciągnął swoje szpikulce z ciała nieprzytomnego przywódcy gildii i zatknął z powrotem za pas. Nektos znieruchomiał w oczekiwaniu na ucztę.

– Zab... – zaczął Morht.

Nagle ujrzał przed sobą twarz Kyli. Zamrugał z niedowierzaniem.

– Wracamy do Quena – zmienił polecenie. – Artch sobie poradzi.

Najwyższa pora dopaść handlarzy i odbić porwanych.

Dwóch wysokich, potężnie zbudowanych mężczyzn przemierzało szybkim krokiem ośnieżoną równinę. Obaj należeli do plemienia Niedźwiedzi zamieszkującego Pogórze. Wracali do osady z polowania, na które udali się przed świtem. Pogoda nie sprzyjała napadom na kupieckie karawany, które zimą rzadko korzystały z traktu w okolicach gór. Więc choć woleliby szybko i sprawie pozbawić towaru któregoś z kupców, musieli ganiać po ośnieżonych terenach za zwierzyną. Jednak żaden z barbarzyńców nie ośmieliłby się powiedzieć tego głośno przy plemiennych kobietach. Nie za ich życia przejęły władzę, wrzaskami i szantażami wymuszając posłuszeństwo. Wprowadziły swoje zasady, które zdarzało im się brutalnie egzekwować. Nie znalazł się jeszcze samiec, który w obawie o utratę męskości – w sensie dosłownym obcięta mniej lub bardziej ostrym narzędziem – nie wykonałby polecenia samicy. Barbarzyńcom pozostało albo dostosować się, albo opuścić osadę. Ponieważ mimo wszystko z posiadania kobiet płynęły pewne korzyści, dostosowali się. Babskie rządy były lepsze od koczowania w górach, gdzie polować, by przetrwać, musieliby o wiele częściej. A i ogrzać nie miałby ich kto.

Barbarzyńcy pokonywali zaspę, pozostawiając za sobą głębokie ślady.

Młodszy dźwiگاł dumnie na barkach upolowaną sarnę, starszy niósł na ramieniu olbrzymi topór. Okrywały ich niedźwiedzie skóry, a głowę wodza zdobiła dodatkowo czapka zrobiona z wilczego łba.

– Widzisz te ślady, Dueronie? – Młodszy z mężczyzn spojrzał na swego kompana. Podziwiał jego waleczność i siłę. Pragnął mu kiedyś dorównać. Wojownikowi, który potrafił obłaskawić najbardziej pyską kobietę z plemienia.

– Widzę – padła beznamiętna odpowiedź.

Dueron nie zamierzał zawracać sobie teraz głowy śladami, które nie wyglądały na tropy zwierzęcia ani trygła. Chciał wrócić do osady, usiąść przy palenisku, zjeść solidny kawał udźca i wybrać jedną z wojowniczek, by umiliła mu czas w grocie.

– Wyglądają jak ślady ludzi z wioski – zauważył Thorgan.

– Wieśniacy się tu nie zapuszczają – odmruknął Dueron, nie przerywając marszu.

– Ci się zapuścili – obstawał przy swoim młodzieniec, przyglądając się uważnie śladom, które prowadziły do jednej ze skał. – Jakieś małe te tropy... – dodał.

Dueron westchnął ciężko i przełożył topór na drugie ramię.

– Wieśniacy są mniejsi od nas, to i ślady są małe – odrzekł.

– Spójrz. – Thorgan zatrzymał się.

Wódz odwrócił się i niechętnie przyjrzał temu, co wzbudziło zdziwienie jego towarzysza. Zmarszczył brwi w skupieniu. Po długiej chwili namysłu bez słowa ruszył za owymi śladami. Thorgan podążył za nim. Obaj barbarzyńcy stanęli przed skałą, gdzie ślady się urywały.

– Wspiął się do góry? – Dueron uniósł głowę. – Eee... Nie wlaźłby tam. Za wysoko. I za ślisko.

Thorgan potoczył oczami wokoło.

– Zniknął? Coś go porwało? Trygl? – zainteresował się.

– A widzisz tu gdzieś ślady trygła? – warknął Dueron.

– Tam są jeszcze jedne! – krzyknął Thorgan, ruszając ku nowo odkrytym tropom.

Wódz poszedł za nim. Po chwili przyklęknął, wpatrując się w częściowo zasypane odciski stóp.

– Było ich więcej, dwoje ludzi – stwierdził. Zaciekawiony, podniósł się, uważnym spojrzeniem obrzucając okolicę. Zatrzymał wzrok na kompanie, po czym obaj, rozumiejąc się bez słów, ruszyli w stronę odległych gór. Uszli spory kawałek, kiedy ich uwagę przyciągnęła kępa krzaków. Majaczył pod nią jakiś kształt. Zbliżyli się do znaleziska i na twarzy obu mężczyzn pojawiło się zaskoczenie.

– Mali ludzie – mruknął Thorgan, przyglądając się nieruchomym ciałom.

– Dzieci... – Na czole Duerona pojawiło się kilka bruzd. – Skąd się tutaj wzięły dzieci?

Tak daleko od ludzkich wiosek...

Zsunął z ramienia topór i położył go na śniegu.

– Martwe – oznajmił beznamiętnie. – Trzeba je zakopać – dodał, szukając wzrokiem dogodnego miejsca. Dostrzegł szczelinę pomiędzy skałami.

– Dlaczego martwe? – Thorgan szturchnął lekko jedno z ciał.

– Bo nie żyją. – Dueron przeniósł ciężkie spojrzenie na towarzysza. – Nie ruszają się, są sine, zamarzły.

Thorgan zdjął z barków sarnę i pochylił się nad trupem dziewczynki. Ująwszy jedną ręką sztywne ciało, sięgnął drugą po następne. Dueron już szedł w stronę upatrzonego miejsca. Umieścili tam zmarłe dzieci, po czym rozłupali kawał skały, przywalając ciała gruzem, tak aby nie dobrały się do nich zwierzęta.

– Te ślady ciągną się stamtąd. – Thorgan wskazał ręką kierunek.

Zawrócili po topór i sarnę, a potem ruszyli tropem małych stóp. Doprowadził ich do jaskini, w której zeszłego wieczoru zatrzymali się handlarze niewolników.

Pierwszy wszedł do środka Dueron, rozglądając się czujnie. To mogła być pułapka. Tuż za nim, położywszy sarnę przy wejściu, sunął jego kompan. W kącie groty coś się poruszyło. Gotowy w każdej chwili do ataku, z wyciągniętym przed siebie toporem, Dueron skierował się w tamtą stronę.

Takiego widoku się nie spodziewał. Wpadające do jaskini światło nieco rozjaśniało panujący mrok. Skulona pod ścianą dziewczyna, zakrwawiona, niemal naga, bo strzępy sukni, którą się okrywała, niewiele zasłaniały, załkała rozpaczliwie.

– Zostawcie mnie – usłyszeli roztrzęsiony głos. – Błagam...

Resztę popołudnia i cały wieczór grupie pod dowództwem Quena zajęło przeszukiwanie jaskiń i podążanie śladami lżejszego z wozów. Zdawało im się, że są tuż-tuż za nim. Kiedy jednak zaczęło zmierzchać, a oni wciąż nie dotarli do porwanych, Kyła zaczęła się martwić.

Czuła przejmujące zimno w całym ciele. Evan był od niej o wiele mniejszy... A jeśli już zamarzał? Nie, wołała nawet o tym nie myśleć.

– Dokąd, do cholery, pojechał Morht? – niespodziewanie naskoczyła na Quena, kiedy zatrzymali się w kolejnej jaskini na dłuższy postój.

Najemnik był zaskoczony agresją w głosie dziewczyny.

– Szuka informacji. Kiedy się czegoś dowie, przekaże – wyjaśnił spokojnie.

– Ile to może jeszcze trwać? – Ściągnęła gniewnie brwi. – Przecież oni tam zamarzną! To są dzieci, małe dzieci! Nie wytrzymają trudów drogi! Tam jest Evan, na ciemnika!

Sama nie rozumiała, skąd w niej tyle złości. Na handlarzy, którzy porwali jej brata. Na Morhta, którego nie było. Na Quena i towarzyszy, bo zbyt wolno jej zdaniem podążali za wozem porywaczy. Zacisnęła dłonie w pięści, starając się nad sobą zapanować. Quen przyglądał się Kyli badawczo. Ostrożnie spróbował wniknąć w jej myśli. Bariera zdawała się mocniejsza niż wcześniej. Pokusił się o wydanie polecenia jednemu z nektosów. Zapewne Morht nie pochwaliby tego, ale... nie było go tutaj, a Quena paliła ciekawość. Ciekawość przerodziła się w zdumienie, kiedy okazało się, że nektos zobaczył dokładnie to samo co Quen, czyli nic. Naprawdę bardzo silna bariera chroniła umysł Kyli. Coś, czego nektos nie umiał pokonać.

– Kylo... – zaczął Quen, nie spuszczać uważnego spojrzenia z dziewczyny. Przecież powinna odczuć, że próbowali wniknąć w jej myśli.

– Co? – warknęła.

Nie wyglądało, by zdawała sobie sprawę, że przed chwilą ktoś próbował wtargnąć do jej umysłu.

– Martwisz się, ale...

– Wiem – przerwała mu prędko. Zrobiło jej się przykro. Quen nie był niczemu winien. – Przepraszam... – Nerwowym ruchem odgarnęła włosy z czoła. – Denerwuję się. Gdybym dostała w swoje ręce tego, który porwał Evana...

– Morht go odnajdzie. – W tonie Quena nie było cienia wątpliwości.

– Mam taką nadzieję – odpowiedziała ze smutkiem.

– Trzeba rozsiodłać konie. Zatrzymamy się tu na noc. Przed świtem ruszymy dalej – zarządził.

Zajęła się rozpalaniem ogniska, podczas gdy jej kompani przygotowywali posłania, zajmowali się końmi i rozdzielali zapasy żywności. Myśli dziewczyny odruchowo powędrowały w stronę nieobecnego dowódcy. Przymknęła oczy. Pod powiekami pojawiła się surowa twarz. Patrzył na nią płonącymi w mroku oczami. Przez chwilę miała wrażenie, że jest tuż obok. Wystarczyło wyciągnąć dłoń i dotknąć go...

– Morht do nas wraca! – oznajmił głośno Quen. – Jesteśmy na dobrym tropie – dodał już ciszej, nadal przeczesując umysł nektosa w poszukiwaniu informacji. – Handlarze są dzień lub dwa drogi przed nami. Posłaniec zawiózł im rozkazy Ariexa, kiedy my ruszaliśmy do Isztyr. Rozdzielili się. Tak jak przypuszczaliśmy, dzieci wiozą do Murg, dorosłych do Alakor. Artch na pewno ich dopadnie na Wyżynie Trygielskiej.

– Sean i Ragen znajdują ślady. Są dobrzy w szukaniu – pochwalił kompanów Tharon.
– Tak samo jak ty?
– Najlepiej wychodzi mu szukanie dziewczek. – Will zaśmiał się rubasznie.
– Odnajdujesz je po zapachu? – zapytał Sarthus, rżąc radośnie.
– Sama do mnie przyszła – bronił się Tharon. – Miałem odmówić?
Kompani wybuchnęli wesołym śmiechem. Posypały się docinki i dowcipy.
– Muszą się gdzieś zatrzymywać na nocleg. Wozem trudno przejechać Pogórze. – Pierwszy spoważniał Quen.
– Może któryś z nich zna ten teren?
– Wyruszamy? – Kyła była gotowa do działania.
– Zaczekamy na Morhta – odparł Quen.
– Może zatrzymali się na postój gdzieś blisko? – Dziewczyna podniosła się od ogniska i zaczęła nerwowo zbierać swoje rzeczy. W sercu obudziła się nadzieja, że brat jest tuż obok.
– Zostaw – mruknął Sarth, odbierając jej łuk. – Dzień drogi to daleko. Konie są zmęczone. Ich konie też. Zwłaszcza te, które ciągną wóz. Dogonimy ich.
Will podsunął dziewczynie wyszczerbiony kubek z naparem.
– Rozgrzej się. Morht pewnie tu dotrze, zanim na dobre zacznie świtać.
Przyjęła naczynie i upiła kilka łyków, parząc sobie usta. Spojrzała niespokojnie na towarzyszy.
– Jest nadzieja, że żyją... – odezwała się niepewnie.
Quen poklepał ją po ramieniu.
– Skoro wóz wciąż jedzie, to żyją. Na trupy się nie natknęliśmy. Jadą do portu Murg.
– Moglibyśmy spróbować przeciąć im drogę pod Rizer – wtrącił Will.
– Nie musimy wybierać szerszej ścieżki pomiędzy skałami – przyznał Quen. – Możemy przeprowadzić konie pojedynczo, podczas gdy oni muszą nadłożyć drogi.
– Gdybyśmy pojechali w stronę Przesmyku Gorońskiego, odbili w prawo wzdłuż rzeki, to znajdziemy się w Rizer przed nimi.
– Morht zdecyduje – odpowiedział Quen.
Ciepło ogniska i gorący napar sprawiły, że Kyli zaczęły ciążyć powieki. Ułożyła się na posłaniu z zamiarem krótkiej drzemki...

Obudziły ją głosy towarzyszy. Kulbaczyli konie. Usiadła, zsuwając koce, i rozejrzała się półprzytomnie wokoło. Przetarła oczy, chcąc odgonić resztki snu. Nie musiała pytać, czy Morht dotarł. Chrapał nieopodal.

Sarth wcisnął jej w dłoń kubek i kawałek suszonego mięsa.
– Posil się. Niedługo ruszamy.
Podszedł do czarnowłosego, złapał go za ramię i potrząsnął nim.
Quen wyciągał z sakwy małe buteleczki. Jedną z nich odkorkował i wypił zawartość. Drugą podał Vartheńczykowi, który patrzył niezbyt przytomnie w sklepienie jaskini.
– Wyglądasz, jakbyś zdechł – rzucił Quen. – Pij, poczujesz się lepiej.

Zmęczenie, zimno i niewyspanie dawało się we znaki wszystkim.

Kyla powoli przeżuwała mięso. Posiłek popiła naparem i wyszła przed jaskinię. Na dworze już świtało. Przemyśla twarz i ręce śniegiem. Zastanawiała się, co było w buteleczce i jak działało. Ciekawość zwyciężyła. Wróciła do groty.

– Co to? – spytała Quena, który chował tajemnicze buteleczki.

– Mikstura od zielarki z Metllas – wyjaśnił. – Przydatna w długiej drodze. Pozwala pokonać zmęczenie.

– Ja też mogę?

Spojrzał na Morhta. Czarnowłose pokręcił przecząco głową.

– Raczej nie – odparł Quen, wiążąc sakwy.

– Ale... – zaczęła Kyla, nie rozumiejąc powodów odmowy.

– Nie – rzucił kategorycznym tonem Morht. Podniósł się, przeczesując palcami włosy. – Nie próbuj dyskutować – ostrzegł.

Jego rozdrażnienie udzieliło się dziewczynie. Poczła złość na dowódcę; znowu potraktował ją jak dziecko. Jednak zdusiła w sobie chęć riposty. Szybko pozbierała resztę swoich rzeczy i umocowała je do siodła.

Pozostali towarzysze byli już przed jaskinią.

– Pojedziemy po śladach – oznajmił Morht, dosiadając wierzchowca.

– Możemy udać się w stronę Przesmyku, a potem odbić... – zaczęła Kyla, chcąc zaproponować to, co usłyszała wczoraj od kompanów.

Czarnowłose spojrzał na nią tak surowo, że urwała.

– Pojedziemy po śladach – powtórzył nad wyraz spokojnie. Jednak zmrużone wrogo oczy świadczyły, że jest to spokój pozorny.

Umilkła, patrząc na niego spode łba. Dlaczego nawet nie pozwolił jej dokończyć?

– Ruszać – rzucił Quen.

Burcząc gniewnie pod nosem, wskoczyła na konia i dźgnęła jego boki tak mocno, że zaskoczony zwierzę zerwało się do galopu.

W czarnych oczach dowódcy pojawił się niepokój. Kłopoty. Przeczuwał kłopoty.

Jechała tuż obok Tharona, pilnie wpatrując się w częściowo przysypane ślady. Prowadziły wprost do jednej z jaskiń. Nie zastanawiała się wiele. Wyprzedziła tropiciela i pognęła w jej stronę, nie zważając na wołanie Quena. Tutaj tropów było o wiele więcej. Odciski dużych i małych butów, koleiny wozu. Przez głowę przemknęło jej, że w jaskini może ktoś być. Zeskoczyła z konia, wzięła łuk i wyjęła strzałę. Szybkim krokiem, nie czekając na resztę, weszła do środka groty. Gdyby się obróciła, mina Morhta zapewne osadziłaby ją na miejscu.

Z kąta dobiegało żalosne zawodzenie. Próbując dostrzec coś w półmroku, ułożyła strzałę na cięciwie i gotowa posłać ją w napastnika, skierowała się w stronę, skąd dochodziły jęki.

To co ujrzała, sprawiło, że bez ostrzeżenia wypuściła pocisk.

Dwóch wielkich mężczyzn patrzyło na skuloną pod ścianą dziewczynę, dumając, co zrobić, kiedy jeden z nich poczuł mocne stuknięcie w głowę. Grot nie zdołał przebić czapki wykonanej z wilczego łba, niemniej uderzenie było bolesne. Jakby ktoś rzucił kamieniem.

– Zostaw ją w tej chwili! – zażądał od Duerona dźwięczny głos.

Kyla nie zastanawiała się, czy postępuje rozsądnie. Górę wzięły emocje. Przekonana o swojej celności i o tym, że tych dwóch skrzywdziło lub zamierzało skrzywdzić zawodzącą młódkę, zaatakowała ich. Prędko nałożyła kolejną strzałę i wymierzyła.

Miała doprawdy wiele szczęścia. Gdyby trafiła na łotrów, za jakich wzięła dwóch barbarzyńców, zapewne fatalnie by się dla niej skończyła ta popędliwość.

Dueron odwrócił się zaskoczony i ujrzał drobną napastniczkę, stojącą przed nim w pozycji bojowej, z naciągniętym łukiem. Chyba nie sądziła, że tymi strzałkami przebije grubą niedźwiedzią skórę, którą miał na sobie? Wzmocnioną cienkimi płatami stali i utwardzoną woskiem. Może jej pociski były odpowiednie na sarnę, rybę, ptaka, ale na pewno nie na odzienie Duerona. Schylił się, podniósł wypuszczoną wcześniej strzałę, złamał w dwóch palcach i rzucił pod nogi dziewczyny.

– Kyla, do cholery! – rozległ się krzyk Morhta. Wbiegł do groty i stanął jak wryty. Nie bardzo wiedział, co robić. Jego kompani zatrzymali się obok, równie niezdecydowani.

Zaatakować barbarzyńców, którzy stali spokojnie, przyglądając się ze zdumieniem wygrażającej im młódcie, czy też odciągnąć ją na bok? Bogowie... po jaką cholere zgodził się, aby z nimi pojechała? Sprawiała mu tylko problemy. Dobył miecza, nie spuszczał czujnego wzroku z wojowników, i powoli zrobił kilka kroków do przodu. Wydawali się jakby znajomi. Jednak w półmroku jaskini wiele mogło się zdawać.

Usłyszawszy wściekły krzyk Morhta, Kyla pomyślała, że jeśli nie zginie z rąk tych dwóch osiłków w skórach, to jak nic udusi ją dowódca. Skoro jednak ruszył z odsieczą, a z nim na pewno reszta drużyny, wierzyła, że nie pozwolą, by skulonej pod ścianą dziewczynie coś się stało.

– Zostaw ją! – zażądała, wbijając w barbarzyńcę twarde spojrzenie.

Dueron podał niespiesznie swój topór Thorganowi. A potem nie wiedząc kiedy wyrwał Kyli łuk z dłoni, odrzucił go od siebie, drugą zaś ręką schwycił ją za ubranie pod szyją i poderwał lekko do góry.

Morht już miał się wtrącić, kiedy dostrzegł szeroki uśmiech na twarzy młodszego z barbarzyńców. Thorgan! Uniósł rękę, wstrzymując kompanów, którzy dobyli mieczy. Chociaż nie przyznałby się do tego otwarcie, poczuł wielką ulgę. Rozluźnił się, czekając już ze spokojem na dalszy rozwój wypadków.

Kyla ze strachem uświadomiła sobie, że ledwo sięga palcami stóp do podłoża. Szarpnęła się raz i drugi, próbując uwolnić. Potężny wojownik pochylił się nieco, tak że czubek wilczego łeb, który nosił jak czapkę, dotknął głowy Kyli.

– Nie wrzeszczeć. Nie strzelać – pouczył dziewczynę, po czym puścił ją, odpychając lekko od siebie. Kyla upadła na ziemię. Zerwała się natychmiast, nie kryjąc swojej złości.

Thorgan uśmiechał się z rozbawieniem.

– Wasze kobiety są tak samo głośne jak nasze.

Morht schował miecz i podszedł bliżej, nie spuszczał oczu z wyższego barbarzyńcy.

– Dueron! – rozpoznał go wreszcie. – Arwen... Urlin... – przypominał, widząc, że

barbarzyńca patrzy na niego podejrzliwie.

Oblicze wodza Niedźwiedzi wygładziło się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

– Dueron? – wyrwało się Kyli, jednak nikt nie zwrócił na nią uwagi.

Dueron! Tak, słyszała już to imię. Wódz plemienia Niedźwiedzi, o którym wspominała Lyanna. Ten sam, który włóczył się z Morhtem po zamtuzach... Usiłowała nie wyobrazić sobie dowódcy z piękną ladacznicą w ramionach, całujących się... Zabolał ją ta wizja. Nagła zazdrość wkradła się do serca Kyli.

– Morht! – Barbarzyńca poklepał przyjacielsko Vartheńczyka po ramieniu. – Jak sprawuje się dzieciak?

Morht uśmiechnął się szeroko.

– Coś z niego będzie, chociaż tobie nie dorówna!

– Zamtuz w Arwen. – Thorgan roześmiał się głośno, po czym przeniósł spojrzenie na Kyle. Rozzłoszczona dziewczyna podniosła swój łuk.

– Wrzeszczy – zauważył barbarzyńca. – Tamta też wrzeszczy. – Wskazał ręką na skuloną w kącie wieśniaczkę.

–Wybrały inny sposób porozumiewania się – mruknął drwiąco Morht. Minął barbarzyńców i przykucnął przed zapłakaną młódką. Dwoma palcami złapał delikatnie jej podbródek, zmuszając ją do uniesienia głowy.

Popatrzyła na niego oczami pełnymi przerażenia.

– Gdzie reszta? – spytał cicho, bez nadziei na odpowiedź. Cofnął rękę. Wieśniaczka sprawiała wrażenie, jakby nie bardzo rozumiała, co się do niej mówi ani co się wokół dzieje. Widząc poszarpane, pokrwawione odzienie dziewczyny, domyślił się, że nie potraktowano jej łagodnie. Wciąż jednak żyła. Ręce najemnika zacisnęły się w pięści.

– Zostaw... błagam... już nie... – wyjąkała. Objęła swoje *kolana i ukryła twarz* między nimi.

Przyglądał się jej przez chwilę, po czym westchnął ciężko, wstając. Odnaleziona wieśniaczka była w takim stanie, że obecność mężczyzn mogła tylko zaszkodzić.

– Chciałaś pomóc, to się z nią dogadaj, byle szybko – rzucił sucho w stronę Kyli, po czym wyprowadził kompanów z jaskini.

Poderwała głowę, oburzona jego rozkazującym tonem, ale wobec ogromu nieszczęścia skrzywdzonej dziewczyny wszelkie uwagi zachowała dla siebie. Rozpięła płaszcz, podchodząc bliżej. Przykłęknęła obok. Delikatnie odgarnęła splątane włosy, zasłaniające opuchniętą, posiniaczoną twarz. Wpatrywała się długą chwilę w przerażone oczy wieśniaczki. Serce w niej zamarło. Surja!

– Bogowie... – jęknęła, czując łzy napływające do oczu. – Co oni ci zrobili? Surja...

Okryła młódkę swoim płaszczem.

– Pamiętasz mnie? – Samotna łza stoczyła się po policzku Kyli.

Po długiej chwili Surja skinęła powoli głową.

– Już jesteś bezpieczna. – Kyli objęła ją ramieniem. – Szukaliśmy was.

– Zabrali Sterna. – Surja zaszlochała rozpaczliwie.

– Ciii... – Kyla przytuliła dziewczynę do siebie – Co stało się z resztą?

Nektosi przywarli do skał niczym wielkie nietoperze, węsząc intensywnie. Stojący na zewnątrz mężczyźni rozmawiali półgłosem. Morht już wiedział o dwójce dzieci, które barbarzyńcy pochowali w szczelinie. Podejrzewał, że jednym z nich mógł być Evan. Nie wiedział tylko, jak ma przekazać Kyli, że jej brat przypuszczalnie nie żyje. Kiedy po długim czasie z jaskini wyszła blada jak ściana Kyla, jedno spojrzenie na jej twarz upewniło go, że ona już wie.

Dueron, zaznajomiony z wydarzeniami, zerknął niepewnie na dziewczynę. Będzie wrzeszczeć. Nie znosił wrzasków. Kyla w milczeniu podeszła do grupy mężczyzn.

– Zatrzymali się tutaj. Porywacze i dzieci. Surja miała opiekować się dziećmi w drodze. Jechało z nimi dwóch... – utkwiała nienawistne spojrzenie w dowódcy – ...twoich rodaków. – W duchu obwiniała go teraz za wszystkie występki Vartheńczyków. Znow górze brały w niej emocje. Przed oczami miała twarz zhańbionej Surji. Spróbowała zapanować nad sobą. Nabrała głęboko powietrza. Zaciśnęła drżące dłonie w pięści.

– Oni ją... – Zacięła się, nie mogąc wydusić z siebie tego słowa. – Wszyscy ją... – Machnęła ręką w stronę jaskini, mając nadzieję, że zrozumieją. – Trójka dzieci uciekła. Ber i Dina, dzieci kowala, i... – Otarła dłonią napływające do oczu łzy. – I Evan. Kiedy przed świtem się zorientowali, próbowali ich odszukać, ale było za ciemno, nikogo nie znaleźli. Ją zostawili, udawała martwą. Nie sprawdzili. Klócili się między sobą, czy jechać do Murg, czy zawrócić do Alakor. Potem odjechali – zakończyła.

Morht wolał nie roztrząsać, czemu tak bardzo ubodło go, że postawiła go na równi z resztą Vartheńczyków.

– Evan uciekł... – odezwała się cicho. – Tutaj... Jest zimno, śnieg, w pobliżu nie ma wiosek... a on nie wyjeżdżał nigdy poza Vinryd. – Z oczu Kyli płynęły łzy. – Był zdany tylko na siebie... Nie... nie poradził sobie, nie mógł... On nie żyje, prawda? – Uniosła głowę. Miała nadzieję, że zaprzeczą. – Nie odnajdę go żywego?

Morht odchrząknął, Artch umknął wzrokiem. Pozostali udali, że nie usłyszeli pytania. Jedynie Thorgan popatrzył na nią.

– Znaleźliśmy dwoje martwych dzieci, gdy... – zaczął, ale nie skończył. Dueron walnął go pięścią w głowę, uciszając.

Roztrzęsiona Kyla wodziła zrozpaczonym wzrokiem od jednego mężczyzny do drugiego. Zatrzymała załzawione spojrzenie na dowódcy.

– To wszystko twoja wina! – wybuchnęła nagle. – To tacy jak ty go zabili! – krzyczała histerycznie. Przestała nad sobą panować. Rebeka... Garth... wymordowana wioska... Evan! Za wszystko winiła Vartheńczyków. Zwłaszcza tego jednego. Że nie przewidział, nie ochronił, nie uratował...!

Rzuciła się na Morhta z pięściami.

Przytrzymał jej ręce z dala od siebie i bez ostrzeżenia wtargnął do umysłu, z łatwością

pokonując barierę. Zdziwił się tym. Opadła, a w niego nagle uderzyła cała rozpacz, jaką Kyla czuła w tej chwili. Zawód, rozczarowanie, przemożny żal, że ten, którego miała w sercu, należał do zniechęconych morderców jej rodziny. Wyczuwał gniew i przerażenie. Działo się coś, czego nie rozumiała i nie umiała tego powstrzymać.

Puścił ją, odsuwając nieco.

Na twarzy Quena pojawiło się zdumienie. Najwidoczniej i on pozwolił sobie na wniknięcie w umysł Kyli.

Dziewczyna zawyła. Złapała się za głowę, upadając pod nogi Morhta. Setki drobnych igiełek wbijały się w czaszkę, zadając dotkliwy ból.

Nektosi oderwali się od skały, stając bezszelestnie przy leżącej. Pozostali z drużyny cofnęli się, wyraźnie wystraszeni.

Morht wycofał się z umysłu dziewczyny. Spojrzał wrogo na Quena, poruszonego tym, co czuł i widział.

– Wsiadać na konie! – Ciszę przerwał chropowaty głos czarnowłosego. Oszołomiona Kyla wciąż leżała u jego stóp. Ból zniknął. Oddychała ciężko, przełykając palące łzy.

– Quen – dowódca podszedł do swego zastępcy – zabierz Willa, Tharona i dwóch nektosów. Jedźcie za handlarzami. Sarth, ty zaczekasz tu na mnie.

Najemnik skinął głową.

– Zajmij się nimi... – Wskazał oczami jaskinię, gdzie wciąż się kryła odnaleziona wieśniaczka, a potem Kyla, powoli dochodzącą do siebie.

Nie pojmowała, co się stało. Usiadła na śniegu i rozejrzała się półprzytomnym wzrokiem. Zbrojni odjeżdżali. Potrząsnęła głową, próbując się skupić.

Morht zwrócił się do Duerona:

– Pokażcie mi, gdzie znaleźliście ślady.

Barbarzyńcy bez słowa ruszyli przodem.

– Muszą być niedaleko – mruknął Artch po wysłuchaniu raportu tropicieli.

Krążyli po Wyżynie Trygielskiej śladami porwanych wieśniaków.

– Kluczą lasami – przyznał Sean. – Próbują zacierać trop.

– Nie wychodzi im to za dobrze. – Ragen uśmiechnął się szeroko.

– Spróbujmy przeciąć im drogę – zaproponował Trevor.

– Nie wiadomo, co zrobią, jeśli nas zauważą. – Artch był sceptyczny.

– Morht mógł nam dać jednego półumarłego.

– Ciekawe, kogo by najpierw zeżarł.

– Ciebie – dociął kompanowi Sean. – Za dużo gadasz.

– Zamknijcie się – mruknął Artch.

Las zaczął rzędnąć. Wjeżdżali na niewielkie wzniesienie.

Słyszał tylko stukot kopyt i głośnie sapanie koni, gdy jeźdźcy zmuszali wierzchowce do galopu. Jechali gęsiego, wypatrując karawany z porwanymi wieśniakami. Prowadziły ich

wyraźne koleiny, słabo tylko przysypane śniegiem. Nie musieli się rozglądać ani wypatrywać nowych tropów.

– Tam są – odezwał się Trevor, dostrzegłszy w oddali zarysy wozu i jeźdźców. – Dogonimy ich bez trudu. Ale nim do nich dotrzemy, oni na pewno też nas zauważą. Nie mamy gdzie się ukryć. – Wstrzymał konia i rozejrzał się po okolicy. Wzniesienie opadało łagodnie w dół, kończąc się ośnieżonymi polami, które przemierzali porywacze. – Jeśli zorientują się, że ich ścigamy, gotowi wziąć wieśniaków na zakładników. Wtedy może nam się nie udać odbić ich żywych – dodał, odprowadzając wzrokiem oddalających się wolno handlarzy.

– Kierują się w stronę traktu – zauważył Sean. – Nad Srebrzystą Rzeką rośnie niewielki lasek. – Moglibyśmy zjechać ze wzgórza w prawo i dostać się tam przed nimi.

– Zobaczą nas. Chyba że byśmy zawrócili, cofnęli się na trakt i nim pojechali... – zastanawiał się na głos Trevor. – Grupa kilku konnych jadąca traktem nie powinna wzbudzić większych podejrzeń.

– Dużo ich – mruknął Ragen. – Otoczyli się najemnikami, jakby co najmniej skarby królewskie przewozili.

– Cofniemy się lasem do traktu – zdecydował Artch. – Jadą o wiele wolniej niż my. Dogonimy ich.

Dorien z ledwością utrzymywał się w siodle. Błady z upływu krwi, zmęczony, zmarznięty, przeklinał w myślach chwilę, w której podjął się zlecenia. Wszystko miało być proste. Tak jak zawsze. Zaatakować wioskę przed świtem, wykorzystując zaskoczenie mieszkańców. Dobry towar załadować na wozy, zły zostawić martwy we wsi. Pojechać najkrótszą drogą do miejsca odbioru. Dotrzeć tam, zanim ktokolwiek się zorientuje w sytuacji.

Już zabicie Pertena mu się nie podobało, podobnie jak pozostawienie trupa w chacie. Nawet jeśli ci, którzy go znajdą, nie mieliby pewności, dla kogo pracował, to ślad prowadził do Oren. A w Oren znalazłby się niejeden łotrzyk, który za odpowiednią opłatą powiedziałby, co wie na temat zamordowanego.

Przeczekaniu kilku dni w kryjówce też był przeciwny. Stracili w ten sposób przewagę i dali czas ewentualnemu pościgowi. Wątpił, aby kluczenie przy granicy z Enhiller i rozdzielenie wozów pomogło w spokojnym wykonaniu zlecenia. Miał przykre przeczucie, że ta wyprawa nie skończy się obiecaną zapłatą.

– Daleko jeszcze? – burknął.

– Po południu powinniśmy dotrzeć do traktu – poinformował go Nigel. – Mam nadzieję, że gdzieś tam będzie Mark.

– A jak nie będzie?

Nigel spojrzał na niego złowrogo.

– Bruns – zwrócił się do powożącego najemnika – zatrzymaj się. Pojedziesz przodem i spróbujesz odszukać Marka.

Mężczyzna wstrzymał konie i zlął z kozła. Nigel zajął jego miejsce.

– Czego się gapisz? – warknął do Dorienu. – Ciebie tu nie posadzę. Zleciałbyś szybciej niż kiecka z dziwki.

– Konia uwiąż do wozu – zauważył niewinnie Dorien.

Nigel zaklął pod nosem i ponownie zsunął się na ziemię. Bruns uniósł rękę, chcąc odjechać .

– Przekaż Markowi, że mieliśmy kłopoty. Zaatakowały nas trygle, Vartheńcy zginęli, mamy rannego...

– Dzieci też porwały? – zakpił Dorien.

Nigel zastanawiał się, co go powstrzymuje przed do biciem kompana.

Bruns odjechał galopem, a Nigel wlaźł ociężale na kozła. Cmoknął na konie. Ruszyli.

– Też masz wrażenie, że to nasza ostatnia wyprawa? – mruknął Dorien.

– Zamknij się – usłyszał w odpowiedzi.

Dueron i jego kompan czekali spokojnie, gdy Morht z nektosem oglądali ślady pozostawione przez uciekające dzieci. Półumarły oddalił się, węsząc zapamiętałe w powietrzu. Peleryna załopotowała, kiedy pomknął w stronę jednej ze skał. Przystanął przed szczeliną.

– Coś podobnego do wampira...? – Zaskoczony Morht odezwał się na głos. Coś, co żywi się wyłącznie krwią, ale nie jest wampirem? Perfumy...? Nie pojmował informacji przekazywanych przez nektosa. Powiódł zdumionym spojrzeniem po towarzyszach. – Coś chyba zabrało trzecie dziecko. Jakiś spory drapieżnik. Coś podobnego do wampira. Sądząc z relacji nektosa, też nie ma szans, aby dzieciak przeżył...

– Co jeszcze żywi się krwią oprócz wampira? – Dueron popatrzył badawczo na Thorgana.

– Nie wiem. – Młody mężczyzna wzruszył ramionami.

– Podobno w Enhillerze robią jakieś doświadczenia, tworzą nowe istoty...

– Może jakiś upiór? – wysunął swoją teorię Thorgan. – Piękna upiorzyca, która przychodzi nocą do szłasu i... – Urwał, gdy ciężka pięść wodza wylądowała na jego głowie. – Upiór w szłasie nie jest dobrą rzeczą – oznajmił pojednawczo, poprawiając niesioną na ramionach sarnę.

Dueron westchnął.

Morht postanowił wrócić. O tajemniczą istotę żywiącą się krwią zapytał Devrina.

Mężczyźni rozeszli się.

– Jeśli trafimy na inne ślady, dowiesz się! – zawołał z daleka Dueron.

Morht uniósł dłoń na znak, że dosłyszał słowa barbarzyńcy. Po czym z ciężkim sercem ruszył w stronę jaskini, gdzie pozostawił Sarthusa z kobietami. Nektos sunął bezszelestnie za nim.

– Znalazłeś cokolwiek? – Kompan, widząc powracającego dowódcę, wyszedł mu naprzeciw.

– Coś zabrało trzecie dziecko. Prawdopodobnie był nim Evan.

– Zabrało i zeżarło – mruknął Sarthus.

– Tak przypuszczam. Musiało go zaskoczyć. Nie widziałem żadnych śladów walki. Jakby wielki ptak sfrunął z nieba i zabrał dzieciaka. Dziwne... – Morht podrapał się po zarosniętym podbródku.

– Magowie z Enhiller nie stworzyli tego czegoś?

– Zapytam Devrina, kiedy oddam mu nektosów. Miałeś z nimi jakieś kłopoty? – Ruchem głowy wskazał jaskinię.

– Siedzą i milczą.

Morht westchnął ciężko. Przeczesał palcami włosy i wszedł do środka. Przykucnął przed Kylą i Surją.

– Możecie jechać konno?

Surja wlepiała w mężczyzną wystraszone oczy. Otworzyła usta, po czym zamknęła je i wtuliła głowę w kolana.

Kyla patrzyła przed siebie.

– Nigdzie nie jadę – oznajmiła.

– Wiem, że teraz... – zaczął Morht, ale mu przerwała.

– Nie jadę! – krzyknęła ostro, na co Surja skuliła się jeszcze bardziej. – Zostaw mnie! Nie chcę...! – Kyla rozplakała się. – Evan nie żyje! Już go nie ma... – Ukryła twarz w dłoniach.

Morht miał dosyć. Nie wiedział, co dzieje się z grupą Artcha. Nie mógł przydzielić mu nektosa, bo żaden z jego ludzi nie potrafiłby nad nim zapanować. Liczył jednak, że doświadczony kompan poradzi sobie nawet bez wsparcia półumarłych.

– Kyla... – zaczął jeszcze raz.

Podniosła głowę i spojrzała na mężczyznę z nienawiścią.

– Tacy jak ty zabili moją rodzinę – wycedziła. – Skrzywdzili Surję. Może nawet zabili mojego ojca!

Spróbował delikatnie wniknąć w jej umysł. Przez wzniesioną barierę dostrzegł pulsujące światelko.

– Możesz jechać konno? – spytał surowo, jakby nie słyszał wcześniejszych oskarżeń.

– Zostaw mnie – powtórzyła z uporem. – Zabierz tylko ją. – Pokazała na Surję.

Zgrzytnął zębami.

– Mamy zadanie do wykonania. Chciałaś do nas przystać, więc wzięłaś na siebie część odpowiedzialności za drużynę. To jest twoja ostatnia wyprawa z moimi ludźmi. Kiedy tylko wrócimy na zamek, będziesz wolna i możesz robić, co chcesz. Teraz jednak znajdujesz się pod moimi rozkazami, a ja ci każę wziąć się w garść. Musimy dołączyć do reszty.

– Wyrzucasz mnie? – Zerknęła na niego.

– Tak, po powrocie – stwierdził oschle. – Teraz dołącz do pozostałych. Jeśli nie zrobisz tego dobrowolnie... zmuszę cię – ostrzegł.

Wyczuwał ją tak samo wyraźnie jak nektosów czy oddalonego Quena. Splątane myśli i obrazy, w których pojawiała się jego twarz, wprawiły go w zakłopotanie. Skupił się czym prędzej, blokując swój umysł przed przyjacielem i półumarłymi. Oraz na wszelki wypadek przed Kylą.

– Skoro mnie wyrzucasz z drużyny, to już nie muszę słuchać twoich rozkazów, idź sobie. – Upierała się jak małe dziecko, patrząc na niego zaczerwienionymi od płaczu oczami. – Nie ruszę się stąd. Evan zginął i ja... – chlipnęła żałośnie – chcę... Ty... ty nigdy tego nie zrozumiesz! – krzyknęła piskliwym głosem. – Nie masz żadnych uczuć! Nigdy nie straciłeś nikogo bliskiego! – Szloch przeradzał się w histerię. – Nigdy nikogo nie kochałeś! Potrafisz tylko zabijać tych, którzy wejdą ci w drogę!

Z jednej strony rozumiał jej rozpacz. Z drugiej był odpowiedzialny za swoich ludzi, którzy mogli być teraz w tarapatkach. Połączył się z Quenem. Ujrzał ośnieżoną równinę, a na niej pojedyncze skały oraz rosnące tu i ówdzie powykręcane drzewa. Nieopodal jednego z nich coś leżało. Obraz zbliżał się, powiększał... Quen wstrzymał jeźdźców.

„Dwaj Vartheńcy. Nie żyją. Pozostali odjechali tam” – przekazał dowódcy, wskazując kierunek.

– Dlaczego ich zabili? – Do Morhta jak przez mgłę dotarł głos Willa.

– Nie wiem – odparł Quen. – Ale są już niedaleko. Ruszajmy.

Morht potrząsnął głową. Chciał jak najszybciej dotrzeć do reszty oddziału. A tymczasem... Łypnął srogo na Kyle.

– Musimy ruszać – powiedział.

Pokręciła głową.

Nie chciała tego robić, ale nie pozostawiła mu wyboru.

– Ostrzegałem... – mruknął.

Kyla poczuła ostry ból w głowie. Przyłożył dłonie do skroni, ściskając je, jakby to mogło pomóc w pozbyciu się tych dziwnych klujących igieł atakujących jej wolę. Nie rozumiała, co się dzieje. Coś wtargnęło do jej umysłu, przejęło kontrolę i wydawało polecenia. Poczwała się jak marionetka kierowana wprawna ręką lalkarza. Nogi same się wyprostowały, unosząc jej ciało, i niosły ją dalej, robiąc sztywne kroki. Niby wiedziała, co robi, niby była obecna, jednak nie umiała w żaden sposób zaprotestować, jakby pozbawiono ją głosu i możliwości decydowania o sobie. Coś zmusiło ją, by podążyła za wychodzącym z jaskini dowódcą. I nawet nie mogła się na niego złościć za to, co jej zrobił. Bo że on to zrobił, nie miała wątpliwości.

Patrzyła obojętnie, jak Morht pomaga Sarthusowi usadowić na jego wierzchowcu chlipiącą Surję; jak zabiera pozostawiony przez Kyle łuk i mocuje do jej siodła. Wreszcie coś kazało jej dosiąść zwierzęcia. Posłusznie wykonała polecenie. Sztywnymi palcami uchwyciła wodze i ruszyła za Morhtem.

Jechała, mając wrażenie, że wszystko dzieje się gdzieś poza nią. Poza jej ciałem. Nie rozumiała tego. Marsowa mina dowódcy złagodniała, kiedy zwolnił. Odwrócił głowę w stronę Kyli.

„Musiałem. Rozumiesz to?” – głos dochodził ze środka jej głowy.

Już kiedyś słyszała podobne tłumaczenie. Po treningu na dziedzińcu... Poczwała to samo co wtedy. Gniew, zmęczenie i... akceptację. Widziała smutek w oczach dowódcy. Wyczuwała jego niepewność. Morht patrzył na nią z takim samym napięciem jak wówczas. Jakby znowu

od jej odpowiedzi zależało całe jego życie.

Z trudem skinęła głową. Krępujące ją więzy powoli opadły. Spróbowała ścisnąć mocniej wodze. Udało się. Poruszyła palcami. Jej ciało i umysł znowu należały do niej. Nie wiedziała, jak czarnowłosy tego dokonał. Nie rozumiała, dlaczego słyszała go i czuła w swojej głowie. Może wszyscy Vartheńscy to potrafią? Może dlatego inni tak się ich boją? Może zabijają w ten sposób? Może... Tyle pytań, na które nie znała odpowiedzi.

Zziajany wierzchowiec wypadł na trakt handlowy pomiędzy Oren a Alakor. Dosiadający go Bruns rozglądał się nerwowo, szukając śladów drugiej karawany. Pokręcił się po trakcie, by ostatecznie skierować w stronę Srebrzystej Rzeki. Jechał jej brzegiem jakiś czas, nim w oddali zobaczył grupę ludzi przemierzającą równinę. Wyteżył wzrok, próbując rozpoznać, kim są. Skierował konia w ich stronę. Dostrzegłszy znajomy wóz, spiął boki wierzchowca piętami. Tumany śniegu wyprysły spod kopyt zwierzęcia.

Mark dojrzał gnającego ku nim samotnego jeźdźca. Gdy go rozpoznał, srogo się zdumiał. Wstrzymał karawanę.

– Powinieneś być w drodze do Murg. Coś poszło niezgodnie z planem?

– Trygle! – wyrzucił z siebie Bruns. – Ledwo udało nam się uciec. Dorien ranny, najemnicy Ariexa nie żyją, trójka dzieci porwana, Nigel zawraca na trakt do Alakor – wyrecytował, co mu kazano.

– To na pewno były trygle? – chciał się upewnić Mark.

Coś mu mówiło, że niekoniecznie. Może dopadła ich pogoń? Najemnicy Thundera? A może Sir Eryk odkrył, co się stało?

– Trygle – przytaknął Bruns, nie patrząc nikomu w oczy, jakby coś ukrywał.

– Rozkaz był inny – wtrącił jeden z Vartheńczyków. – Mieli jechać do Murg.

– Nigel kazał zawrócić. Jadą nieco wolniej, ale na pewno dotrą niebawem do traktu – odparł Bruns.

– Teraz to ja wydaję tu rozkazy! – warknął Mark, ściskając rękojeść miecza. – Mam zamiar dowieźć na miejsce resztę towaru. Jazda! Musimy jak najszybciej dostać się do portu. Jeśli po drodze trafimy na nich, dołączają. Jeśli nie, nie będziemy czekać.

– Ale Nigel... – zaoponował Bruns.

– Jazda! – ryknął Mark.

Nikt już mu się nie sprzeciwił. Karawana ruszyła.

Przeklęta wyprawa. Nic nie układało się tak, jak powinno. Nie wierzył w opowieść Bruna o tryglach. Na Pogórze nie zapuszczało się ich zbyt wiele. Skłaniał się ku myśli, że dopadła ich pogoń wysłana przez... Właśnie: przez kogo? Zniecierpliwionego Ariexa? Bzdura. Ariex powinien czekać na nich w Alakor. Może Thunder dowiedział się o zdradzie? Odetchnął z ulgą, kiedy wydostali się na trakt.

– Pogoń konie!

– Są zmęczone – odparł woźnica.

– Zamknij się! – wrzasnął Mark.

Kopyta uderzały głucho w ubity śnieg. Konie ciągnące wóz sapały i prychały. Woźnica trząskając batem, zmuszając je do dodatkowego wysiłku. Markowi przemknęło przez głowę, że jeśli padną, będą mieli dodatkowy kłopot. Jednak musieli zaryzykować. Od Alakor dzieliło ich blisko pół dnia drogi. Chciał skrócić ten czas.

– Nigel! – zakrzyczał Elren, zauważając daleko przed nimi wyjeżdżający z lewej strony

wóz.

– Bruns! – wrzasnął Mark. – Wracaj do nich i każ im gnać do portu!
Najemnik wyprzedził karawanę i popędził w stronę kompanów.

– Są! – oznajmił głośno Artch, kiedy jego grupa dojechała do traktu.
Pognali konie w stronę majaczącej przed nimi karawany.
– Są! – Ten sam okrzyk padł z ust Quena, który tropił wóz z dziećmi. – Zjeżdża na trakt!
Od razu połączył się z Morhtem, przekazując mu wieści.
– Sarth! – Czarnowłosa odwrócił się do towarzysza. – Mają ich. Zjedźcie powoli na trakt.
Nektos będzie was ubezpieczał. – Wydał w myślach rozkaz półumarłemu. – Ja dogonię ich skróttem... – Wskazał widniejące skały.

Nie czekając dłużej, skierował konia na rzadko uczęszczaną ścieżkę, pełną zakrętów i wyboi. Dopiero po chwili dotarło do niego, że ktoś galopuje tuż za nim. Odwrócił głowę.

Pochylona Kyla poganiała konia, jedną ręką trzymając wodze, a drugą łuk. Chciał ją odesłać do Sarthusa, ale na widok jej zaciętej miny zrezygnował.

– Prowadź! – wrzasnęła, zrównując się z nim. Nie знаła tej drogi. Miała nadzieję, że dowódca wie, którądy jechać.

– Nektosi są szybsi od nas – mruknął Quen, zwalniając. – Wyślę ich, wstrzymając tamtych, odwrócić ich uwagę, a my pojedziemy zaraz za nimi. – Zmarszczył brwi. – Musimy ich zaskoczyć. Zaatakujemy na otwartej przestrzeni... – Wykrzywił się, skupiając na napływających do jego umysłu obrazach. Morht i Kyla pędzący galopem.

– Spróbujmy – zgodził się Tharon i spojrzał znacząco na Willa.

– Trafie. – Najemnik uśmiechnął się szeroko, poklepując swój kołczan.

– Wobec tego ruszamy. – Quen wydał rozkaz półumarłym. Stwory natychmiast pomknęły przed siebie. Chwilę obserwowali coraz mniej widoczną szarą plamę. – Ruszać! – Quen spiął konia i pognął w ślad za nektosami. Reszta ruszyła za nimi.

Wozy z porwanymi wieśniakami, otoczone kordonem uzbrojonych najemników, zbliżały się wreszcie do Alakor. Jeszcze trochę. Już niedługo. Mark, jadący przodem, już widział zarys odległych murów miasta. Rozdrażniony, wrzeszczał na powoźców, by poganiali konie. Zwierzęta były jednak zbyt wyczerpane. Ciągnęły wozy resztkami sił, nie zważając na razy bata.

Chcąc nie chcąc, musieli zwolnić. Mark zaklął siarczyście.

– Ki ciemnik? – mruknął pod nosem, kiedy na trakcie przed nim pojawiła się niespodziewanie zakapturzona postać.

Stała spokojnie na środku drogi. Uniosła głowę, kaptur zsunął się, odsłaniając jasne włosy

otaczające przystojną twarz mężczyzny o wyrazistych rysach. Wpatrywał się w nadjeżdżających martwym wzrokiem.

– Ej, ty tam! – wrzasnął Nigel. – Z drogi!

Coś przemknęło bezszelestnie obok najemnika. Do pierwszej postaci dołączyła druga. Teraz obie stały nieruchomo.

Mark uniósł dłoń, wstrzymując karawanę.

– Pozbądźcie się ich! – rozkazał towarzyszom.

Dwóch porywaczy zsiadło z koni i szybkim krokiem ruszyło w stronę dziwnych obcych. Jeden z najemników dobywał właśnie miecza, kiedy nieznajomy sięgnął do zapięcia peleryny. Opadający materiał odsłonił półnagie ciało mężczyzny, które wyglądało jak poszarpane przez bestie. Porozrywana skóra nie kryła gnijących mięśni... Handlarz poczuł, że żołądek podchodzi mu do gardła. Odruchowo zwolnił. Kompan wyprzedził go o krok. Wystarczyło. Koścista ręka ze szponiastymi pazurami złapała nieostrożnego zwiadowcę za gardło i ścisnęła. Jakby od niechcenia. Zbir ze zmiażdżonym karkiem padł martwy na trakt.

– Nektos – wyjąkał pobielałymi ustami Mark. Zza jego pleców dobiegał tętent koni. Ktoś nadjeżdżał, i to większą grupą. Odwrócił się i ujrzał kilku konnych pędzących galopem w ich stronę.

– Zasadzka! – wrzasnął, łapiąc za miecz. – Zabić ich!

Drugi z łotrów cofnął się prędko, byle dalej od półumarłego.

Rozległ się złowieszczy świst i wysoki najemnik spadł z konia ze strzałą tkwiącą w szyi. Pomiędzy porywaczami zapanowało zamieszanie.

Will, jadący przy Quenie, mierzył w kolejnego z porywaczy, kiedy przemknęła obok niego gnająca cwałem Kyla. Puściła wodze, uniosła łuk, posłała strzałę. Tuż za nią pędził Morht z wyciągniętym mieczem. Ciął od góry próbującego zatrzymać Kyle Vartheńczyka. Najemnik padł na ziemię, zalewając się krwią.

Z prawej strony nadciągnął Artch ze swoją częścią oddziału. Rzucili się w wir walki.

Nektosi równocześnie unieśli głowy, wężąc w powietrzu, po czym każdy z nich wbił szpony w ciało wybranego zwierzęcia, wydzierając ze środka serce. Pochłonęli je łapczywie, bryzgając krwią wokoło. Przerażliwe, agonalne parskanie koni nie robiło na nich najmniejszego wrażenia.

Z wozów dobiegały przerażone krzyki. Jeden z nich wyrzucił się, kiedy uderzyły w niego dwa spłoszone konie.

Zbrojni Morhta spadli na porywaczy niczym stado drapieżników. Półumarłe istoty skończyły swój posiłek i również włączyły się do walki. Porywacze nie mieli najmniejszych szans.

Kyla zsiadła z konia, stając z boku. Cała drżała. Pierwszy raz jej strzały trafiły nie w zwierzynę czy tarczę, a w żywego człowieka. Widziała, jak jej cel upada. Widziała szeroko otwarte oczy, w których zamierało życie. Dla pewności posłała jeszcze kilka strzał w konającego Vartheńczyka. Teraz żałowała. Splamiła ręce krwią. Była takim samym potworem jak oni. Zamordowała człowieka. Zamrugła, starając się pozbyć z głowy obrazu

umierającego mężczyzny. Jak mogła do niego strzelać, kiedy już leżał? Nogi ugięły się pod nią. Roztrzęsiona usiadła na śniegu i rozplakała się.

– Zabiłam go... – wyjąkała, szcękając zębami. – Zabiłam człowieka...

W ferworze walki nikt nie zwracał na nią uwagi. Szczęk mieczy, krzyki mężczyzn, jęki umierających, płacz dzieci dobiegający z przewróconego wozu.

Wkrótce było po wszystkim...

Quen otarł krew z rozciętego policzka i powiódł wzrokiem po pobojowisku. Jego ludzie odciągali na bok ciała zabitych, w czym pomagali nektosi, przy okazji pożerając jeszcze ciepłe serca ofiar. Tharon nie wytrzymał tego widoku: zgiął się wpół i wyrzucił na śnieg zawartość żołądka.

– Jesteś cała? – Ktoś pochylił się nad Kylą.

– Zabiłam go... – Spojrzała zamglonymi oczami na Seana.

– Ja dwóch – pochwalił się, najwyraźniej dumny z siebie. – Wygraliśmy.

Nie rozumiała jego radości ze zwycięstwa. Może ci martwi ludzie mieli rodziny, może kogoś kochali, może ktoś na nich czekał?

– Należało im się. – Sean wyszczerzył zęby.

Kilku zbrojnych pomagało wieśniakom opuścić wozy. Dziewczyna powiodła po nich zamglonym, nieobecnym spojrzeniem... Nagle poderwała się z ziemi i podbiegła do tego, w którym były dzieci. Przez chwilę miała nadzieję, że Surji coś się pomyliło. Może Evan nie uciekł! Może wciąż był w wozie. Dopadła do drzwiczek, zajrzała do środka. Pusto.

Zacisnęła kurczowo palce. Odwróciła się i przyjrzała grupce ocalałych dzieci. Może go nie poznała? Rzuciła się w ich stronę. Nerwowo zerwała z małej postaci dziurawy koc. Mitra. Złapała ją za szczupłe ramionka. Dziewczynka rozplakała się.

Kyla puściła ją prędko. Odwróciła ku sobie następne dziecko.

– Nie ma go tutaj – usłyszała niski głos Morhta.

Zacisnął palce na nadgarstku Kyli i pociągnął ją za przewrócony wóz.

– Nie ma go – powtórzył. Ostrożnie dotknął bariery osłaniającej jej umysł. Delikatne światelko świadomości pulsowało w oddali.

– Nie ma – szepnęła z trudem. – Zabiłam. Zabiłam człowieka... – Popatrzyła z rozpaczą na dowódcę.

Zbyt dużo na nią spadło.

Przygarnął Kylę do siebie i zamknął w silnym uścisku. Nazbyt dobrze pamiętał pierwszego człowieka, któremu odebrał życie. Jasnowłosa iltaryjska dziewczyna, umęczona zabawą jego kompanów, konałaby powoli... Tylko to mógł dla niej zrobić: skrócić jej mękę.

– Ktoś jeszcze jest ranny? – spytał Quen, kręcąc się pośród uwolnionych.

Najemnicy rozcinali więzy, dzielili się zapasami, które pozostały w sakwach, opatrywali rany.

– Chyba nie, dobry panie – odezwał się cicho jeden z uwolnionych wieśniaków. Rozglądali się dookoła pełnymi strachu oczami, nie wierząc w to, co się właśnie stało.

– Zabierzemy was do wioski. – Quen podał mężczyźnie bukłak z wodą.

– Jesteście najemnikami Sir Eryka? – Wieśniak przypomniał sobie, skąd zna twarz wybawcy.

Quen skinął głową, zajęty już czymś innym.

– Tutaj! – zawołał go Trevor, wciąż tkwiąc przy stojącym wozie.

Zastępca dowódcy szybkim krokiem podszedł bliżej. Kompan wskazał mu oczami młodą wieśniaczkę leżącą nieruchomo w głębi wozu. Błada twarz była posiniaczona i opuchnięta, a całe odzienie skrwawione. Szeroko otwarte oczy wpatrywały się w sufit.

– Żyje, ale... – Trevor wzruszył bezradnie ramionami.

– Nie wygląda dobrze – powiedział Quen, zastanawiając się, co zrobić.

– Nie reaguje na nic. Może Kyla coś tu pomoże?

– Wątpię... Znasz tę dziewczynę?

Trevor pokręcił przecząco głową.

Nektosi zakończyli swój posiłek i stali nieruchomo nieopodal. Obaj znów mieli na sobie peleryny okrywające ich okaleczone ciała. Niespodziewanie jeden z nich podszedł do Quena. Chwilę węszył w powietrzu, po czym wsunął się zwinnie do wozu. Pochylił nad leżącą.

– Zostaw – mruknął pod nosem Quen, jednak ku jego zaskoczeniu nektos nie posłuchał.

Odwrócił głowę w stronę najemnika. Sine usta poruszyły się, jakby półumarły chciał coś powiedzieć. Zdumiony Quen skupił się i powtórzył polecenie. Kiedy nektos znowu nie zareagował, zaniepokoił się. Czyżby talizman stracił moc? Wciąż odczuwał skutki wypitego eliksiru, więc talizman również powinien jeszcze działać.

„Zostaw” – rozkazał w myślach, obawiając się, że półumarły rozszarpie dziewczynę.

Ale miast uczucia głodu w umyśle nektosa pojawił się jakby... smutek. Zdumiony Quen nie spuszczał uważnego spojrzenia z półumarłego. Chciał kolejny raz wymusić na nim posłuszeństwo, gdy naraz jego umysł zalała fala cudzych wspomnień. Twarz najemnika wykrzywił grymas bólu, kiedy nektos wdarł się w jego myśli, przekazując to, czego nie mógł powiedzieć. Jak przez mgłę dojrzał młodego jasnowłosego mężczyznę o twarzy łądząco podobnej do oblicza nektosa; zęgnął się z małą dziewczynką, tuląc ją do siebie. Stojąca na progu stara kobieta patrzyła na nich z miłością. Niespodziewanie ten sielski obrazek został przerwany przez jakieś krzyki. Pole bitwy... ferwor walki, szczęk broni, jęki rannych... Jasnowłosy został zaatakowany zniemacka z tyłu. Ktoś wbił mu miecz w plecy, gruchocząc kręgosłup. Quen poczuł, jak usta wypełnia mu krew, próbował złapać oddech, krztusił się, dławiał, wreszcie osunął na ziemię.

„Kerina...” – usłyszał.

– Quen! – krzyknął zaniepokojony Will, widząc dowódcę upadającego na śnieg. – Na ciemnika, co się dzieje?

Zbiegli się pozostali zbrojni. Tymczasem nektos wyszedł z wozu i stanął spokojnie obok.

Quen nie rozumiał... ale też przeszywający ból nie ułatwiał mu myślenia. Uczucie tęsknoty i miłości do dziewczynki, które przekazał mu nektos, uderzyło w jego umysł z potężną siłą. Cierpienie się wzmoгло. Wspomnienie pożegnania przepełnione było taką rozpaczą, że z oczu

Quena bezwolnie polały się łzy.

„Przestań!” – wykrzyczał.

Ból ustąpił w mgnieniu oka. Quen leżał na śniegu, dysząc ciężko. Jak to możliwe, że półumarli umieli przekazywać uczucia? że je w ogóle mieli? Przecież zostali stworzeni do zabijania, reagowali tylko na wydawane polecenia. Ułatwiali kontakt telepatyczny. Nic więcej, do cholery!

„Kerina – powtórzył nektos. – Moja...”

W głowie najemnika ukazał się obraz dziewczynki.

– Twoja córka... – wyszeptał Quen.

Trevor pomógł mu wstać. Zbrojni stali w półkolu, zdezorientowani, nie pojmując, co się wydarzyło. Zerkali niepewnie na Quena.

– Już w porządku – uspokoił ich, patrząc z niedowierzaniem na nektosa, wciąż tkwiącego przy wozie. Niczym strażnik.

– Co to było? Coś się stało? – dopytywał się Will. – Grozi nam niebezpieczeństwo?

– Nie – uspokoił go Quen. – To jest chyba córka tego nektosa. – Wskazał na półumarłego głową. – Przynajmniej to próbował mi przekazać.

– Córka? – zdumiał się ktoś.

– Zajmijcie się nią, opatrzcie rany – polecił sucho, odzyskawszy już w pełni kontrolę nad ciałem i umysłem. – Will, w sakwie przy moim siodle są płótna i bandaże. Wiesz, co robić.

Will oddalił się bez słowa, by kilka chwil później wrócić do wozu.

– Nie mogę! – zawołał.

– Czego nie możesz? – zainteresował się Quen.

– Nie mogę wejść do środka – wyjaśnił zaskoczony najemnik. – Coś mi nie pozwala się ruszyć.

Quen przymknął oczy, wczytując się w myśli nektosa. Zrozumiał tyle, że nie dopuści on nikogo do swojej rannej córki.

„Chcemy jej pomóc”.

„Magowie jej pomogą – padła odpowiedź. – Należy do nich”.

Nektos zamknął umysł przed kolejnym pytaniem. Quen westchnął ciężko. Może Morht to wszystko zrozumie...

– Zostawcie ją – mruknął. – Niech dowódca i magowie się tym martwią.

– Ale jak... – zaczął Will.

– Nie wiem i nie chcę wiedzieć – uciął Quen.

Vartheńczyk nie miał ochoty na rozmowy. Gdy Kyla się uspokoiła, zostawił ją i odszedł na bok. Czuł zmęczenie w całym ciele. Porwani wieśniacy byli już bezpieczni, co stanowiło powód do satysfakcji. Misja się udała. Jednak nie w pełni. Spokoju nie dawała mu myśl o trójce dzieci, których nie udało się uratować. O Evanie... „Zawiodłem – wyrzucał sobie. – Nie dotrzymałem obietnicy. – Bładą twarzy mężczyzny ściągnął skurcz. – Przeze mnie zginęło

dziecko... które było ważne... dla niej...” Poczłł niepokojuący ucisk w piersi.

Sięgnął do umysłu nektosa, który wraz z nim sprawdzał ślady przy szczelinie. Zanurzył się we wspomnieniach. Przeglądał je, szukając najdrobniejszego tropu, potwierdzenia, że chłopczyk może żyć.

Nie znalazł.

I miał dodatkowy kłopot. Dziwne zachowanie nektosa. Dotąd jeszcze się nie zdarzyło, aby któryś z półumarłych przeciwstawił się rozkazom pana, któremu został przydzielony. Czyżby uczucia, które przeżywał jako człowiek, były tak silne, że mogły pozostać w nim także po śmierci i zawładnąć zniewolonym umysłem? Stanowiło to dla Morhta zagadkę. Nikt przecież nie może być do tego stopnia związany z drugą osobą. Gdy odwiezie nektosów do Arwen, musi porozmawiać o tym z magiem. I o tym, dlaczego połączyli się ze świadomością Kyli. No i o istotach niebędących wampirami.

Oslabieni, wycieńczeni, przemarznięci, ale szczęśliwi – wieśniacy siedzący na wozach rozmawiali swobodnie z najemnikami jadącymi obok; Will kazał wyrębać otwory w ścianach. Jakże inna była ta podróż! Wolna od przemocy, pokrzykiwań, strachu i niepewności o kolejny dzień. Na znękanym twarzach malowała się nadzieja. Morht uprzedził, jak wygląda Vinryd po najeździe handlarzy, ale chyba to do nich nie dotarło.

Zmęczony i dziwnie rozdrażniony dowódca wysunął się na przód kolumny. Jechał z ponurą miną, wypatrując ewentualnego niebezpieczeństwa. Trójka nektosów krążyła wokół karawany niczym bezcielesne duchy. Czekala ich długa droga. Mimo to Morht nie zatrzymywał się na postój, chcąc jak najprędzej dotrzeć do Isztyr. Tyle że najpierw należało uzupełnić w Oren zapasy żywności. Westchnął ciężko i skierował karawanę w stronę gór, zjeżdżając z traktu. Zapadający zmierzch nie był sprzymierzeńcem w dalszej podróży. W myślach nakazał nektosom, by znaleźli miejsce na obozowisko. Półumarli nie potrzebowali odpoczynku, ale on go potrzebował, jego ludzie również.

Nektosi rozbiegli się w trzech kierunkach, wykonując posłusznie rozkaz. Wkrótce dwaj wrócili, by poprowadzić karawanę za sobą.

Grota nie wyglądała na dostatecznie dużą, by pomieścić ich wszystkich, jednak gdy zajrzeli do środka, okazało się, że jest tutaj o wiele więcej miejsca, niż się wydawało. Pozostawili wozy i konie przed wejściem i zaczęli znosić rzeczy do środka. Szykowali obóz na noc.

Morht zaganiał dzieci do środka, obserwując jednocześnie, co robią pozostali. Kyła zsiadła z konia i rozsiadła zwierzę. Odprowadził ją wzrokiem, kiedy wchodziła do jaskini. Stern zniósł Surję z wozu. Nektos warował przy drzwiczkach, pilnując, by nikt nie ruszył Keriny.

Morht zmrużył oczy i skupił się. Trzeba było wystawić warty, by mogli spędzić tę noc bezpiecznie. Nie minęła chwila, a przed wejściem ustawiło się dwóch półumarłych.

Kyła wyszła z jaskini, kierując się do jednego z wozów. Coś jednak nie pozwoliło jej

podejść bliżej. Zaskoczona spróbowała jeszcze raz, ale niewidzialna bariera nie ustępowała. Nie wiedziała, co zrobić.

– Nie wpuści cię. – Tuż przy uchu usłyszała cichy głos Morhta. – Pozwoli dopiero wejść wieśniakom, kiedy rano wyruszymy.

Odwróciła się szybko, patrząc na niego niespokojnie.

– On – wskazał na stojącego przy wozie nektosa – pilnuje jej. Utrzymuje w nieświadomości, dopóki nie dowieziemy jej do Arwen. Ona nie odczuwa w tej chwili zupełnie nic – wyjaśnił beznamiętnie.

– Do Arwen? – zdziwiła się.

– Będzie taka jak on. Albo martwa – mruknął ciszej, nie odrywając oczu od zmarzniętej twarzy Kyli. – Idź do środka, ogrzej się, zjedz coś – polecił surowym tonem.

– Morht... – zaczęła niepewnie. – Wtedy przy jaskini... Gdy Evan...

Patrzył obojętnie.

– Nie ja go zabiłem – odparł.

Nie mieli okazji wcześniej porozmawiać na ten temat. Najpierw pościg za handlarzami, potem walka, wstrząs wywołany zabiciem przez Kylę człowieka...

– Nie myślę tak.

Przez twarz Morhta przebiegł skurcz.

– Myślisz – stwierdził sucho. – Uważasz, że jestem zdolny do tego samego co inni Vartheńcy.

Pokręciła przecząco głową.

– Jestem zdolny. Morduję dla własnej przyjemności – cedził gniewnie przez zaciśnięte zęby. – I nie potrafię kochać. Zapamiętaj to już na zawsze.

Odsunął od siebie nagły żal, który poczuł, gdy dojrzał w oczach Kyli strach.

– Wciąż jesteś na mnie zły? – odważyła się zapytać. Serce zabiło jej szybciej. Niepewna, opuściła głowę, wpatrując się w czubki butów. – Evan... – Zająknęła się, odgarniając nerwowym ruchem opadający na policzek kosmyk włosów.

– To nie ma znaczenia – odparł oschle. – Moim zadaniem jest dostarczenie wieśniaków do wioski, a reszty na zamek. – Spojrzał na nią surowo.

– Morht... – W jej głosie pojawiła się błagalna nuta. Uniosła głowę i zerknęła na niego nieśmiało. Wiele by dała, żeby znowu był taki jak nad ranem w karczmie w Isztyr. Stał tak blisko, wystarczyło wyciągnąć dłoń, by pogładzić go z czułością po policzku. Pragnęła to zrobić.

– Idź do jaskini. Ogrzej się, zjedz coś. – Odsunął się, jakby przewidując jej zamiar, po czym zawołał Quena i oddalił się wraz z przyjacielem w stronę traktu. Rozmawiali o czymś cicho.

Kyla odprowadziła ich smutnym wzrokiem. Opuściła głowę, by nikt nie dostrzegł splotających się po policzkach łez, i weszła do groty.

– Wezmę luzaka i nektosów i pojedę do karczmy w Oren po żywność – oznajmił Morht.

Quen pokiwał głową. Jeśli chcieli nazajutrz ruszyć w dalszą drogę, należało uzupełnić zapasy. Nie sądził jednak, by zrobienie tego w Oren było dobrym pomysłem.

– Ariex nie żyje – mówił spokojnie czarnowłosa. – Thunder jeszcze długo nie dojdzie do siebie. Kapitan straży trzęsie się na samą myśl o półumarłych.

– Ich najemnicy będą chcieli się zemścić.

– Najpierw musieliby ustalić, kto będzie teraz dowodził – burknął pogardliwie Morht. – Sądząc po tym, jak powybijali się przy porwaniu, nie są do tego zdolni. W pojedynkę nie zrobią nic. A zanim się zbiorą i omówią plan działania, my będziemy już na zamku.

Quen spojrzał na przyjaciela z pytaniem w oczach.

– Nawet w kupie, zanim cokolwiek zrobią, poważnie się zastanowią, czy zemsta im się opłaci. – Morht był pewny siebie. – Nektosi wciąż budzą strach, a nie wiadomo, czy przypadkiem kilku nie drzemie w lochach Laghortów.

– W Oren zapewne wciąż trwa zamieszanie – przyznał Quen z krzywym uśmiechem. – Po wyłączeniu z gry dwóch najważniejszych osób, które trzymały tę bandę w ryzach, pewnie toczy się tam nieustająca walka o władzę.

Morht przytaknął.

– Niebawem wrócę. Nie wpakujcie się w jakieś kłopoty do tego czasu.

Niedługo potem Vartheńczyk galopował w stronę miasta łotrów. Nie zamierzał nikogo o nic prosić. Zresztą z kim miał rozmawiać? Watażka, którego serce spożył nektos, na pewno nie nadawał się już do żadnych rozmów. Thunder może kiedyś dojdzie do siebie, gdy wyleczy swoje rany i dumę.

Zatrzymali się przed bramą miasta. Morht posłał wrogie spojrzenie wyglądającym przez okienko strażnikom.

– Otwierać – zażądał, zsiadając z konia.

Gdy obaj wartownicy się schowali, westchnął ciężko. Zamierzał bez skrępowań wykorzystać zdolności nektosów.

Kilka chwil później brama stanęła otworem, a Morht wraz ze swoją niezwykle eskortą wjechał do środka. Zdolności półumarłych w manipulowaniu ludzkimi umysłami były wielce pomocne.

Niezaczepiani przez nikogo przemknęli uliczkami, docierając do opustoszałej o tej porze karczmy. Morht wszedł pierwszy, stukając podkutymi butami, i oparł się leniwie o szynkwias.

– Potrzebne mi jedzenie, trunki – oznajmił, sięgając po sakiewkę. Nie zamierzał okraść karczmarza.

Starszy człowiek popatrzył na niego lękliwie, jednak przywołał dziewczkę.

– Czego sobie życzysz, panie? – Słyszał już o ostatnich wydarzeniach w Oren, o tym, co spotkało Thundera i Ariexa. Wszyscy już wiedzieli, że temu Vartheńczykowi lepiej nie odmawiać.

– Kilkanaście płatów suszonego mięsa, drugie tyle bochnów chleba. Daj nam też nieco sera, warzyw... co znajdziesz w komorze. Trochę gorzałki i wina.

Karczmarz skinął na dziewczkę, która szybkim krokiem skierowała się do piwnicy, skąd po chwili zaczęła wnosiła zamówione towary. Karczmarz uwijał się za ladą, napełniając butelki, zamykając je i stawiając na ladzie. Morht pakował to wszystko do przyniesionych worków; na koniec ponownie sięgnął do sakiewki.

– Nie trzeba, dobry panie. – Karczmarz giął się w ukłonach, zerkając lękliwie na nektosów. – Potraktuj to jako prezent od starego Yagra.

– Nie bądź głupcem – mruknął czarnowłosa, kładąc na ladzie pieniądze.

Tchórzliwy karczmarz irytował go. Popatrzył pogardliwie na mężczyznę, który zgarniał chciwie monety, po czym zabrali z nektosami wypakowane worki i wyszli.

Morht przesunął spojrzeniem po zrujnowanych kamienicach, zastanawiając się, dlaczego miasto wygląda jak wymarłe. Skoro zabrakło przywódców gildii, łotrzy powinni korzystać z okazji i plądrować, ile wlezie. Nikomu nie musieliby płacić haraczu. Tymczasem wokół panowała cisza, przerywana miauczeniem kota przemykającego po dachu. Czarnowłosa potrząsnął głową. Miał większe zmartwienia.

Niezatrzymywani opuścili miasto.

Morht chciał jak najszybciej zakończyć wyprawę i powrócić na zamek. A potem planował dowiedzieć się od magów, czym mogła być drapieżna istota, niebędąca wampirem, wyjaśnić tajemnicę nieposłusznego nektosa oraz dziwnego daru Kyli. Choć nie piła eliksiru, on i Quen wyczuwali jej świadomość. Ściągnął brwi, wracając do wspomnień... Kim jest wojownik, o którym Darher pisał do Kerny? Dlaczego słowa listu po przeczytaniu zniknęły? Czy maczał w tym palce któryś z magów? Tyle pytań, na które nie znał odpowiedzi. Czarnowłosa westchnął ciężko. Z ulgą przyjął fakt, że zbliżali się do kryjówki.

Gdy dotarli na miejsce, większość wieśniaków już spała. Nie był to spokojny sen. Zmęczeni trudami drogi, wstrząśnięci tym, co ich spotkało, wciąż nie dowierzali, że nadszedł kres strachu. Przy roznieconym ognisku siedziała jeszcze Kyla i kilku najemników. Nektosi złożyli worki pod jedną ze ścian. Morht wyjął z nich wino i poczęstował chętnych. Kiedy podał bukłak Kyli, dziewczyna objęła swoje kolana i zapatrzyła się w migoczące płomienie, ignorując dowódcę. Morht wzruszył ramionami i dosiadł się do swoich ludzi. Rozmawiali cicho, starając się nie przeszkadzać innym i nie pobudzić dzieci. Tego brakowało, by musieli je uspokajać. Żaden z nich nie nadawał się na niańkę. Na szczęście pootulane ciepło maluchy spały spokojnie pomiędzy wieśniakami. Większość rodzin odnalazła się nawzajem, co cieszyło Morhta. Wciąż jednak nie umiał zapomnieć o trójce dzieci, które zginęły w górach. Może gdyby nie próbowały uciekać...

Najemnicy ułożyli się już na przygotowanych wcześniej posłaniach, podczas gdy ich dowódca wciąż tkwił przy dogasającym ognisku. Od czasu do czasu zerkał na siedzącą nieruchomo Kyle, pogrążoną w swoich rozmyślaniach.

Nektosi na powrót objęli straż przed wejściem, kiedy Morht podniósł się i zabrał za rozkładanie swojego posłania. Spać... Czuł, że gdy tylko zamknie oczy, odpłynie w nicość.

Rozejrzał się po wnętrzu groty, sprawdzając, czy wszystko jest w porządku i czy może sobie pozwolić na kilka godzin nieświadomości. Upił jeszcze trochę wina z bukłaka

i podrzucił parę gałęzi do ogniska. Dłuższą chwilę obserwował, jak płomienie je pożerają. W czarnych oczach zamigotał ich blask. Quen ocknął się, zawiązał w koce i mrugnął porozumiewawczo do przyjaciela, nim ponownie zapadł w sen.

Morht przesunął swoje posłanie w stronę Kyli.

– Kładź się – nakazał, podając jej koc. Pod głowę wsadził zwinięty płaszcz któregoś ze swoich ludzi, porzucony beztrosko na ziemi.

Kyla owinęła się kocem, podwijając nogi i opierając podbródek na dłoni. Na powrót zapatrzyła się w migoczące płomienie. Nic nie wskazywało na to, aby zamierzała wykonać polecenie Morhta.

– Nie mam siły na tłumaczenia – mruknął, podnosząc się. Przyciągnął Kylę do siebie i narzucił na nią dodatkowy koc. Tak opatuloną objął ramieniem i zmusił do położenia się, po czym schował twarz w jej włosy, od razu zapadając w sen.

Zaskoczona jego zachowaniem, nawet nie zaprotestowała, tylko wtuliła się plecami w jego szeroką pierś. Ciepły oddech mężczyzny łaskotał przyjemnie skórę na karku. Przyglądała szorstki materiał płaszcza, przyłożyła do niego policzek i zamknęła oczy.

Noc minęła spokojnie. Kiedy Morht się obudził, miejsce obok było puste. Miał wrażenie, że czegoś mu brakuje. A raczej kogoś... Zacisnął palce na brzegu koca. Dobiegający zewsząd gwar drażnił go. Najemnicy pod dowództwem Quena powrzucaли już zapasy na wozy i zwijali obozowisko.

Morht usiadł na posłaniu. Wiele by dał za to, aby znów przygarnąć do siebie dziewczynę i zasnąć z nią w ramionach. Przeczesał palcami włosy, rozglądając się po jaskini. Odszukał oczami Kylę. Głaskała po głowie jedno z dzieci, mówiąc coś do niego. Potem wzięła je za rękę i wyprowadziła z jaskini. Na chwilę w jego głowie pojawił się obraz dziewczyny tulącej do siebie dwójkę czarnowłosych malców.

– Niech to szlag trafi – warknął pod nosem. – Dlaczego nikt mnie nie obudził? – Posłał niemile spojrzenie przechodzącemu Sarthusowi.

– Quen kazał cię zostawić w spokoju – odparł najemnik, sięgając po kolejne rzeczy przygotowane do umieszczenia na wozie.

Morht westchnął i kolejny raz przeczesał palcami włosy, obrzucając wzrokiem grootę, w której przyszło im spędzić noc. Najwyższa pora stąd zniknąć.

Na dworze dopiero szarzało, gdy Quen formował szyk karawany, a potem ruszył powoli przodem. Czarnowłosy osiodłał swojego wierzchowca, poklepując go pieśczośliwie po szyi, po czym dołączył do reszty. Zerknął przelotnie na Kylę jadącą za jednym z wozów. Spiał konia i dogonił Quena.

– Ominiemy Oren – mruknął do przyjaciela.

– Tak będzie najlepiej.

Kilka godzin snu w chłodnej grocie nie pozwoliło im należycie wypocząć. Każdy chciał jak najszybciej wrócić na zamek.

Ledwie wyjechali na tereny poza Oren i Wyzyną Trygielską, Morht wysłał Tharona i Willa z wieściami do Laghortów. Dalsza droga była już w miarę bezpieczna. Posłańcy powinni tam dotrzeć przed wieczorem, jeśli pogonią konie. A że to zrobią, Morht był pewien. Ich spowolnią wozy. Oceniał, że dojadą do zamku nazajutrz. Zastanawiał się, co zastaną w Vinryd. Najemnicy mieli gdzie wrócić, ale wieśniacy? Co ich tam czekało?

– A czy to moja sprawa? – mruknął pod nosem i zaklął.

Zmęczony, rozdrażniony, niewyspany, nie był uosobieniem spokoju. Nigdy nie był, ale zwykle dużo lepiej nad sobą panował i nawet jeśli coś wyprowadziło go z równowagi, nie pokazywał tego po sobie. A teraz? Sam nie wiedział, co się z nim działo. Zatrzymał konia i potoczył ponurym wzrokiem po swoich podwładnych, turkoczących wozach, poruszających się bezszelestnie nektosach. Quen spojrzał na niego, unosząc brwi, ale dowódca dał znak, aby jechał dalej. Chciał zostać sam. Z dala od tych wszystkich ludzi, za których był odpowiedzialny.

„Starzeję się – pomyślał, patrząc za oddalającą się karawaną. – Kiedyś by mnie to nie drażniło”.

Już do końca drogi trzymał się z tyłu, czasami zerkając na Kyle.

Wczesnym wieczorem dotarli do Isztyr, gdzie przenocowali w karczmie Bena. Tym razem znalazły się dla nich pokoje, w których mogli wypocząć i zjeść ciepły, solidny posiłek. Dopiero nazajutrz wyruszyli dalej. Podróż upływała w spokoju.

Morht, tak jak wcześniej, trzymał się z tyłu, unikając wszystkich. W jego głowie narodził się plan, który zamierzał zrealizować. Decyzja została podjęta.

Mijając znajome okolice, poczuł niemiłe ukłucie w sercu. Jego ogier włókł się leniwie za karawaną, czasem rzucając niecierpliwie łbem, jakby znudzony tempem podróży. Poklepał zwierzę po szyi. Parę razy spróbował wyczuć umysł Kyli, jednak chroniący go kokon nie pozwalał na zagłębienie się w myśli dziewczyny. Zrezygnował więc. Nie chciał przedzierać się przez wzniesioną barierę.

Z ulgą powitał pierwsze chaty. Poruszeni wieśniacy zeskakiwali z wozów w biegu i pędzili co sił w nogach ku swoim domostwom. Krzyki, nawoływania, szloch zdawały się nie mieć końca. Kobiety wpadły w rozpacz na widok zrujnowanych zagród. Ich lamenty niosły się echem po wsi. Morht zatrzymał wierzchowca przy chyłącym się płocie i oparł pięści na łęku, patrząc na zaaferowanych wieśniaków. Wybawieniem okazali się nadjeżdżający Laghortowie. Koń Lyanny parsknął, wypuszczając z nozdrzy obłoczki pary, gdy ściągnęła wodze, by osadzić go w miejscu.

– Dobrzy ludzie! – Dźwięczny i silny głos przebił się przez gwar. – Dobrzy ludzie! – powtórzyła jeszcze głośniejszym głosem. Wieśniacy poczęli milknąć, zwracając kroki i uwagę ku Lyannie, która przyglądała się uważnie zmartwionym, zmizerowanym twarzom. – Nieszczęście, które was spotkało, dotknęło również mnie i mojego męża! Nie pozostawimy was bez pomocy! Każdy, kto utracił zwierzęta, otrzyma złoto na zakup nowych. Zbrojni Sir Eryka pomogą wam w naprawie zniszczeń. Tak jak robili to przez lata! To im zawdzięczacie wolność! – wykrzyknęła. – To im zawdzięczacie powrót do domu! – Uśmiechnęła się lekko do Morhta.

Eryk uniósł dłoń w górę.

– Każdy z was, kto będzie potrzebował naszego wsparcia w odbudowie gospodarstwa, niech przybędzie na zamek – poparł żonę.

– Niech żyje dobry i szlachetny Sir Eryk! – wrzasnął Quen, podrywając konia na tylne kopyta.

– Chwała mu! – krzyknął Trevor.

– Chwała! – zakrzyknęli pozostali.

Do okrzyków przyłączyli się wieśniacy.

Dopiero kiedy zapał nieco ostygł, a ludzie rozeszli się po zagrodach, oglądając ocalały dobytek, Morht podjechał bliżej Laghortów. W kilku zdaniach zdał im pobieżną relację, resztę obiecując opowiedzieć po powrocie. Część najemników ściągniętych z zamku pozostawił w wiosce, by pomogli wieśniakom. Laghortowie wrócili do siebie w towarzystwie pozostałych zbrojnych. Morht zaś odjechał z nektosami i nieprzytomną wieśniaczką w stronę Arwen.

Na pożegnanie nie zaszczycił Kyli nawet jednym spojrzeniem. Sama nie wiedziała, co o tym myśleć. Nie przyśniło jej się przecież. Wciąż pamiętała jego troskę podczas noclegu w karczemnej izbie w Isztyr, a potem, jak przytulił ją do siebie przy ognisku i jak zasnął, ogrzewając ją ciepłem swego ciała, muskając oddechem kark. Przeszył ją przyjemny dreszcz na wspomnienie tego, jak mocno trzymał ją w ramionach, kiedy zbudziła się przed świtem. Przyglądała się długo twarzy, na której mimo zmęczenia trudami podróży widniał tajemniczy spokój. Ostre rysy, do których była przyzwyczajona i których wypatrywała – a do czego nie chciała się sama przed sobą przyznać – wygładziły się, jakby czarnowłosa śnił o czymś miłym. Zarumieniła się, kiedy przez głowę przemknęła jej myśl, że chciałaby go widzieć takim częściej. Poruszona tym odkryciem, wyswobodziła się ostrożnie z jego ramion. Po cichu wyszła z jaskini, unikając wzroku Quena, który budził swoich kompanów.

A teraz stała tu na rozdrożu i miał ruszyć wraz z innymi w stronę zamku, wpatrywała się w nienacką sylwetkę dowódcy. Przypomniała sobie, co mu wykrzyczała, gdy okazało się, że Evan uciekł i najprawdopodobniej nie żyje. I co on jej powiedział przed grota, kiedy wracali z ocalonymi wieśniakami. Dobrze zapamiętała ból i smutek, który dostrzegła w jego oczach, a który starał się ukryć. Nie był taki sam jak ci, którzy zabili jej rodzinę. Może urodził się w Varthen i był zdolny do okrucieństwa, ale na pewno nie bez powodu został przyjacielem Lyanny.

Nagle uświadomiła sobie, że przez cały ten czas, od chwili kiedy spotkała go po raz pierwszy, próbował stać się dla niej kimś ważnym. Kimś, komu może ufać, kto zapewni jej bezpieczeństwo. Kimś... Serce zabiło jej szybciej. Zadrżała, przypominając sobie dotyk jego warg. Bezwiednie zamknęła oczy.

Kimś bliskim...

Kimś, kogo ona pokocha...

Pod powiekami pojawiła się twarz Morhta, patrzącego na nią z pożądaniem i czułością. Tak samo jak w Isztyr. Szorstkością i surowością próbował nieudolnie ukryć to, co czuł.

Dlaczego? Bo bał się odtrącenia? Bał się, że straci kogoś, na kim mu zależy? Bał się, że jeśli okaże słabość, to go zniszczy?

Przygryzła usta.

– Potrafisz kochać – wyszeptała do siebie. – Tylko jeszcze o tym nie wiesz. – W duchu podjęła postanowienie. – Potrzebujesz mnie tak samo jak ja ciebie... – dotarło do niej.

Zrozumiała, że nie wyobraża sobie braku Morhta w swoim życiu. Braku jego surowej twarzy, chropowatego niskiego głosu wydającego rozkazy drużynie. Braku jego warg...

– Kyla! – głos Lyanny przywołał ją do porządku.

– Już! – odkrzyknęła. Po czym spięła boki konia i dogoniła towarzyszy.

Widok mającego w oddali muru otaczającego zamek Laghortów nie przyniósł jej ulgi.

Podobnie jak niecały nów temu Morht stał w wysoko sklepionej komnacie, opierając się o framugę okna. Dziesiątki świec oświetlały pomieszczenie.

Siedzący przy biurku siwobrody starzec patrzył spokojnie na swego gościa.

– Może to któryś z nowych eksperymentów Lorda Vertimesa? – zasugerował. – Pasjonują go doświadczenia z ludzkim gatunkiem. Jeśli Rada Stworzeń Nocy wyraziła na to zgodę, ma ich poparcie. Znam ich przewodniczącego. Z pewnością nałożyli szereg obostrzeń na tę zgodę. Jeśli coś się nie powiedzie, zniszczą zarówno Lorda, jak i jego obiekty eksperymentalne. Władze Enhilleru nie chcą, by żyjące na ich terenach rasy mordowały się nawzajem. Wampiry, które tam zamieszkały, musiały podporządkować się prawom Władczyni. Nawet tych trzech Dragosów, którzy osiedlili się na Pogórzcu Czarnego Kła, dostosowało się. A przecież smoczy potomkowie uważani są za istoty nadrzędne, którym nie powinno się rozkazywać, aby nie obudzić gniewu Wiecznych Smoków.

Morht odwrócił się i popatrzył uważnie na maga.

– Istota żywiąca się krwią, niby wampir, a nie wampir. Nie śmierdział jak oni. Nektos był pewien, że ów stwór to nie wampir, jednak coś do niego podobnego.

– Nektosi nie znają najnowszych wieści w dziedzinie nauki – wyjaśnił starzec. – Nie informujemy ich o tym, co się dzieje w świecie. Zapomniałeś już, po co zostali stworzeni? Wyłącznie do walki, służenia magom i... – zawiesił głos – czasami udzielenia pomocy takim jak ty, Morht. Mają wyłącznie wykonywać ślepo rozkazy.

– Jeden z nich go nie wykonał. – Morht wrócił pamięcią do młodej wieśniaczki i jej półumarłego ojca.

– Nie wiemy, jak to się stało. – Mag wzruszył bezradnie ramionami. – Wciąż próbujemy zrozumieć, gdzie popełniliśmy błąd przy jego tworzeniu. – Wstał, podchodząc do półek z księgami. – Historia zna tylko jeden przypadek tak niezwykle silnej więzi rodzinnej. Mam na myśli Tyra i jego syna Barthelusa. Znasz zapewne tę opowieść? Podczas jednej z potyczek na polu bitwy, kiedy Barthelus był umierający, a dowodzona przez niego drużyna wydawała się skazana na porażkę, jego ojciec, który zginął lata temu, pojawił się na owym polu bitwy jako mglista postać, wiodąc za sobą oddział podobnych widm. Świadkowie, którzy przeżyli to

wydarzenie, zapewniali, że owe istoty, chociaż jakby utkane z mgły, walczyły sprawniej i zwinnie niż ludzie.

Morht zmarszczył brwi, przypominając sobie coś.

– A jeśli bym ci powiedział, że widziałem drugi taki przypadek?

– Roześmiałbym się – odparł mag. – To niemożliwe. Chociaż legenda o Tyrze i jego synu jest zapisana w historii, ja w nią nie wierzę.

– Darher... – odezwał się ciszej Morht. – Sir Darher, ojciec Kyli...

Starzec spojrział na niego z zainteresowaniem.

– On sam nie żyje od kilkunastu lat, a kilku jego dawnych ludzi odpoczywa teraz spokojnie w podziemiach. Zresztą jednego z nich sam obudziłeś i zabrałeś ze sobą.

– ...widziałem go na zamku, kiedy przywiozłem tam Kylę – dokończył czarnowłosa w zadumie.

– Widziałeś Sir Darhera?! – wykrzyknął zdumiony mag.

– Tak jak ciebie tutaj.

Starzec potrząsnął głową oszołomiony. Może jednak historia nie kłamie? Może więzi rodzinne potrafią być aż tak silne? Magowie będą musieli zbadać to zagadnienie dokładniej.

– Interesujące... – Potarł kciukiem brodę. – Silna więź rodzinna, porównywalna do więzi złączenia... – Zamyślił się. – Więzy złączenia jednak bywają częstsze. Wiemy też, jak radzić sobie w przypadku, gdy obie osoby wyrażają zgodę na kontakt lub gdy jedna pragnie zerwać więź dla dobra drugiej strony, i jest to uzasadnione. Bywa, że dwie osoby nie powinny w ogóle łączyć się ze sobą. Pamiętasz historię Lorda Elniera i jego wybranki? Nie był pewien, czy łączy ich prawdziwe uczucie, czy to więź złączenia.

– Okazało się, że to tylko więź złączenia, którą rzuciła na nich czarodziejka elficka. Kiedy ich rozłączono, jego wybranka uciekła czym prędzej. Chociaż podobno nie był aż tak szkaradny. – Vartheńczyk roześmiał się. – Uwolnij Kylę ode mnie – zażądał nagle, poważniejąc i wpatrując się w maga z napięciem. – Albo mnie od niej. Obojętne. Uwolnij!

Zdumiony starzec zamrugał powiekami, jakby nie zrozumiał słów Morhta.

– Nie mogę tego zrobić – odezwał się cicho po długiej chwili, nie patrząc na mężczyznę.

– Jak to nie możesz? – Vartheńczyk podniósł głos. – Innych umiesz rozłączyć, a mnie i jej nie?! – Jego dłoń powędrowała w stronę rękojęści szpikulca. Zacisnął na niej palce, aż pobielały mu kostki.

– To działa tylko w przypadku, jeśli ktoś rzuci czar więzi – wyjaśnił mag. – Nie jesteście nim połączeni.

– Jesteśmy – nie odpuszczał mężczyzna, zgrabnie dobywając ostrza.

Nie zdążył wykonać kolejnego ruchu – szpikulec wyrwał się z jego dłoni i skierował przeciw niemu, celując w twarz wykrzywioną grymasem bólu.

– Nie bądź głupcem... – odezwał się cicho mag. Mruknął coś pod nosem i ostrze wsunęło się na swoje miejsce w pasie Vartheńczyka. – Powtarzam ci, że nie jesteście połączeni żadną więzią.

– Jesteśmy! – krzyknął Morht. – Kiedy spuszczę ją z oczu, martwię się, że wpadnie

w kłopoty, a ja nie będę mógł jej pomóc. Nigdy o nikogo się tak nie bałem jak o nią... Drażni mnie, kiedy patrzy z podziwem na kogoś z moich ludzi. – Przemierzał komnatę szybkim, nerwowym krokiem, wyrzucając z siebie słowa. – Gdy nie ma jej obok, czegoś mi brakuje. Nie potrafię skupić się na tym, co powinienem zrobić, mając myśli wciąż zajęte nią. Kiedy zamknę oczy, widzę jej twarz, oczy i te usta, tak słodkie, że nic nie... – Urwał niespodziewanie. – To jakiś obłąd! – wykrzyknął rozdrażniony.

Starzec przyjrzał się uważniej i odkrył, że oczy Morhta rozjaśniły się jakimś niezwykłym blaskiem, a on sam poczerwieniał. Nigdy go jeszcze nie widział w takim stanie.

– To nie obłąd.

– Wiem. To więź. Musisz ją przerwać. – Czarnowłosa zatrzymał się i wbił surowe spojrzenie w maga.

– To nie więź...

– To co, do cholery? – Głos mężczyzny zadrżał.

– Miłość. – Starzec uśmiechnął się łagodnie. – Po prostu miłość...

– Jestem Vartheńczykiem – warknął rozwścieczony. – My nie umiemy kochać. Żyjemy walką. Bierzemy, co chcemy. Nie znamy litości... – cedził.

– Dlaczego więc opuściłeś Varthen? – przerwał mu mag. – Jeśli uważasz, że jesteś taki sam jak twoi rodacy, dlaczego masz oddanych przyjaciół? Dlaczego twoi ludzie poszliby za tobą w ogień? Dlaczego tyle zim pracujesz dla Laghortów? Dlaczego wyruszyłeś w pościg za handlarzami?

Morht nie umiał znaleźć odpowiedzi. Milczał, wpatrując się w maga, jakby widział go pierwszy raz w życiu.

– Czyż nie chcesz troszczyć się o nią? Nie brakuje ci jej widoku? Nie chcesz, by była szczęśliwa... przy tobie? – Starzec zdawał się czytać w umyśle czarnowłosego. – Czyż nie chcesz tulić jej w ramionach? Najwspanialsze uczucie, jakie może łączyć dwoje ludzi, to właśnie miłość...

Morht zgarbił się, jakby coś zaciążyło mu na ramionach. Coś ponad jego siły, przygniatającego do ziemi. Opuścił głowę, zastanawiając się nad czymś. Kiedy na powrót spojrzął na maga, w jego oczach było tyle bólu, jakby wyrwano mu żywcem serce.

– A wracając do twojego pytania o tamtą istotę – podjął mag, udając, że nie zauważył wrażenia, jaki wywarło na mężczyźnie odkrycie prawdy. – Półwampir, zwany dhampirem, to istota zrodzona z ludzkiej kobiety i wampirzego ojca...

Morht, pogrążony w swoich niewesołych myślach, nie słuchał już starca. Nawet zapomniał zapytać o niezrozumiałe połączenie ze świadomością Kyli.

– Cóż tak ważnego masz mi do zakomunikowania, że nie mogło to poczekać? – Eryk odsunął od siebie stertę papierzyśk piętrzących się na jego biurku.

– Chcę odejść. – Dowódca najemników spojrzął poważnie na przełożonego. – Quen przejmie moje obowiązki, jeśli oczywiście wyrazisz na to zgodę.

Eryk był zdumiony. Tego się nie spodziewał. Obrzucił uważnym spojrzeniem podwładnego i przyjaciela zarazem.

– Powinienem spytać o przyczynę?

– Nie – odparł sucho Morht.

– Zrobisz, jak zechcesz, nie mogę cię zatrzymywać, jednak myślę, że kilka słów wyjaśnienia mi się należy.

Morht westchnął ciężko.

– Chcę pojechać do Minryl i sprawdzić, jak radzą sobie moi ludzie, potem może pojedę do Varthen... – Urwał.

– Do Minryl jeździsz przecież kilka razy w roku – zaczął Eryk. – Twoje ziemie są pod dobrą opieką. Zarządca to sprawdzony człowiek...

– On po prostu ucieka – wtrąciła się Lyanna, która weszła po cichu do gabinetu męża, niosąc w ręce kolejne dokumenty.

– Ucieka? – Eryk uniósł brwi.

– Nie uciekam – zaprzeczył czarnowłosy. – Po prostu chcę wyjechać. Potrzebuję...

– Przed pewną jasnowłosą osobką – prychnęła drwiąco Lyanna, nie zważając na protest Morhta. – Wielki i odważny dowódca stchórzył – dodała pogardliwie.

– Jasnowłosa osobka? – Eryk nie pojmował, kogo jego żona ma na myśli.

– Przed nikim nie uciekam, Lyanno!

– Swoje wymówki pozostaw dla Quena i kompanów. – Machnęła lekceważąco ręką w stronę najemnika, jednocześnie podsuwając Erykowi papiery, które przyniosła. – Musisz sprawdzić jeszcze to. I podpisać tutaj. – Wskazała palcem.

Morht popatrzył na nią w milczeniu. Widać było, że jest zła, chociaż starała się nie wybuchnąć.

– Lyanno – zaczął – znamy się już tyle lat...

– I właśnie dlatego wiem, że uciekasz. Ale to twój wybór i twoja decyzja. – Przysiadła na biurku męża.

– Wyjadę wieczorem – oznajmił, odwracając się.

– Wyjedź, tylko uważaj, nie miń się z nią w bramie.

Drgnął, zaskoczony.

– Tak, ona też właśnie się pakuje. Może razem pojedziecie? – kpiła Lyanna. – Tylko kierunki sobie wybijcie przeciwne. Ty w stronę Terlin na dziwki, a ona do Vinryd, oplakiwać rodzinę.

Morht odburknął coś pod nosem. Odwrócił się i wyszedł z komnaty, zadziwiająco cicho zamykając za sobą drzwi.

– Nie rozumiem chyba... – zaczął Eryk, spoglądając na żonę.

– Jak dzieci... – mruknęła pod nosem. – Wróci szybciej, niż myślisz. Tylko musi sobie poukładać pewne rzeczy w tym durnym vartheńskim łbie. Jest inteligentny, może pojmie to szybciej, niż się spodziewam.

– Lyanno...? – Eryk popatrzył na żonę nic nierozumiejącym wzrokiem.

– Mężczyźni... – Westchnęła. – Mam szczęście, że ty mi się trafiłeś na męża. –
Uśmiechnęła się lekko, gładząc Eryka po ramieniu.

Odsunął się z krzesłem od biurka i pociągnął ją ku sobie, tak że z piskiem wylądowała na jego kolanach.

– A ja mam szczęście, że trafiłem na ciebie. – Pocałował ją. – A teraz wyjaśnisz mi, o co tutaj chodzi?

Morht szedł szybkim krokiem, stukając podkutymi butami o posadzki zamku. Bez wahania i ostrzeżenia pchnął drzwi komnaty Kyli. Nie był zdziwiony zastanym widokiem. Wszak Lyanna go uprzedziła. Porozrzucane rzeczy, a pośród nich Kyła pakująca się do worka podróżnego. Spojrzała na mężczyznę niepewnie.

Dowódca zamknął za sobą drzwi, podszedł do dziewczyny i wyszarpnął jej worek z rąk. Jego zawartość wyrzucił na łóżko.

– Nigdzie nie wyjedziesz – oznajmił twardo. – Zostaniesz tutaj i będziesz siedzieć grzecznie na tyłku, starając się nie zrobić sobie krzywdy. Przejdziesz pod dowództwo Quena. Zbuntowała się.

– Nie rozkazuj mi! – krzyknęła i zaczęła na powrót pakować swój worek.

Złapał ją za ramiona i siłą usadził na łóżku. Przykucnął i spojrzał na nią surowo, jakby chciał dziewczynę unieruchomić wzrokiem.

– Myślę, że wiem, dlaczego chcesz wyjechać – zaczął oschle. – Poczucie winy to nie jest dobry powód.

– A co jest dobrym powodem? – Pochyliła się lekko ku niemu.

Westchnął ciężko, pieszczotliwym gestem odgarniając z jej twarzy opadający kosmyk jasnych włosów. Surowość gdzieś prysła. Przeniósł spojrzenie na ramię dziewczyny.

– Kylo... – Nie wiedział, jak ma jej to powiedzieć. – Jesteś jeszcze młodziutka, nie zawsze twoje wybory są tymi właściwymi – zaczął cicho. Ujął w swoje ręce jej dłonie. – Ucieczka nie zawsze jest najlepszym rozwiązaniem. Na pewno za jakiś czas zrozumiesz...

– Traktujesz mnie jak dziecko – przerwała mu ostro. – Tyle że ja już nie jestem dzieckiem. Uciekam? Tak samo szybko jak ty?

Popatrzył na nią zdziwiony.

– Myślisz, że nie wiem, dlaczego pojechałeś szukać Evana? Dlaczego w końcu zgodziłeś się, żebym pojechała z wami? Sądzisz, że nie zorientowałam się, dlaczego uczyłeś mnie fechtunku? Akurat ty? Uratowałeś mnie i przywiozłeś tutaj, chociaż równie dobrze mogłeś zostawić u zielarki w Metllas. Quen mi powiedział, że zwykle tak robiliście, jeśli znaleźliście kogoś rannego na drodze. Pobiłeś... – Urwała, szukając innego słowa. – To znaczy obroniłeś mnie przed tym najemnikiem Sir Victora, a potem przed Venimem..

Słuchał dziewczyny w milczeniu, nie puszczać jej dłoni, które gładził lekko kciukami, podziwiając piękną linię ramienia i smukłej szyi. Na usta wolał nie patrzeć. Czuł, że z każdym jej słowem serce zaczyna mu bić szybciej. Starał się nie myśleć o wargach dziewczyny, o tym,

jak słodko smakowały...

Kyla wyrwała rękę z uścisku i ujęła jego twarz, zmuszając mężczyznę, aby na nią spojrzeć.
– Robiłeś to, bo martwiłeś się o moje bezpieczeństwo, chciałeś, bym umiała sobie sama poradzić. Zależało ci na tym, bo wierzysz, że jestem ci bliska, tak samo jak ty mnie – wyznała odważnie.

Odsunął jej dłonie.

– Nigdy nie byłaś mi bliska i nigdy nie będziesz – powiedział wolno, walcząc z pragnieniem, by ją przygarnąć i utulić w ramionach. – Uwierz mi, tak będzie najlepiej. Dla mnie i dla ciebie.

– Uciekasz – oznajmiła stanowczo. – Przed tym, co widziałam w twoich oczach... – zawahała się – ale nie uciekniesz – dokończyła cicho.

– Mylisz się! – podniósł głos.

Przez chwilę miał wrażenie, że Kyla dotarła tam, gdzie nie dotarł jeszcze nikt. Nie wiedział, czy jest na to gotowy. Czy chce ją tam wpuścić. A może już wpuścił?

– Kylo... – zaczął. – Zostaniesz na zamku i...

– Zamknij się i przestać decydować za mnie! – warknęła rozzłoszczona, a jej oczy zalśniły od powstrzymywanych łez. – Naprawdę nie jestem już dzieckiem, które tutaj przywiozłeś. Dorosłam na tyle, by wiedzieć, czego chcę. – Nabrała powietrza. – A chcę ciebie, Morht! – wyrzuciła z siebie jednym tchem.

Podniósł się, cofnął jakby z lękiem, i spojrział na nią z góry.

– Nie wiesz, co mówisz. Nie potrafię kochać. Nie jestem odpowiednim mężczyzną dla ciebie. – Wahał się. Popatrzył w stronę wygasłego kominka, przeklinając w duchu samego siebie za to, co zaraz powie. – I nie chcę nim być.

Serce w niej zamarło, gdy usłyszała te okrutne słowa, wypowiedziany oschłym, odpychającym tonem. Nawet na nią nie patrzył. Nie wierzyła... Nie chciała uwierzyć! Zerwała się z łóżka, chcąc podejść do Morhta, ale odwrócił się w jej stronę i spojrział tak zimno, że zatrzymała się w miejscu. Oczy wypełniły się łzami, już nie miała siły ich powstrzymywać. W klatce piersiowej coś ścisnęło ją coraz mocniej. Jakby ktoś zakuł jej serce w żelazną obręcz. Szloch wydarł się z ust...

Vartheńczyk już był przy niej i tulił ją do siebie z całej siły.

– Niech bogowie mi wybaczą... I ty mi wybac, Kylo... – szepnął i zatopił rękę w jasnych lokach. Odchylił głowę dziewczyny i przyłgął wargami do jej ust, wpijając się w nie pożądliwie.

Przywarła do niego całym ciałem, wplatając palce w ciemne włosy i przyciągając Morhta do siebie. Utonęła w jego ramionach, poddając się sile jego pragnienia. Bogowie! Gdybyż to mogło wszystko między nimi wyprostować... Gdyby przestał uciekać... Całował ją tak, jakby od tego zależało jego życie. Jakby uczył się kształtu jej ust na pamięć, jakby chciał nasycić się ich smakiem na zapas, na zawsze...

– Postaraj się nie wpaść w żadne kłopoty. – Niespodziewanie odsunął ją od siebie na długość ramion i popatrzył z żalem na zarumienioną twarz. – Żegnaj. – Puścił ją i szybko

wyszedł z komnaty.

Z hukiem zatrzasnął za sobą drzwi.

Stała długą chwilę oniemiała, łapiąc oddech i wsłuchując w oddalające się kroki Morhta.

Płonące w kominku drewno zatrzeszczało, kiedy dorzucono do niego kolejną szczapę. Pomarańczowe płomienie objęły ją, rzucając ciepły blask na podłogę wyłożoną grubym dywanem. Jasnowłosy młodzieniec podniósł się i rozejrzał po pokoju. Stojący przy ścianie regał wypełniały opasłe księgi. Na niektórych okładkach wytłoczono złote litery – odbijały się w nich płomienie z kominka. Pięknie zdobiony dziesięcioramienny lichtarz stojący na rzeźbionym stole rozjaśniał pomieszczenie blaskiem świec. Spore łóże z baldachimem, przykryte szkarłatną narzutą, ustawiono nieopodal wejścia. W oknach zaciągnięto grube zasłony spływające fałdami sukna do podłogi. Nie przedostawał się przez nie najmniejszy promień słońca.

– Wciąż śpi? – szepnął Nathen, przyglądając się z zaciekawieniem drobnemu ciałku na łóżu. Przechylił głowę. – Jest taki piękny... – zamruczał z uznaniem. – Wygląda tak słodko... – Przełknął ślinę i oblizał wargi.

– Medyk powiedział, że to zmęczenie. Wychłodzony organizm musi dojść do siebie. – Fotel skrzytnął, gdy siedzący na nim stary wampir poruszył się. Odłożył trzymaną w dłoni księgę na pobliski stolik.

– Nawet zmęczony wygląda cudownie – zauważył dhampir, ostrożnie dotykając jasnych włosów chłopca. – Pozwolisz mu zostać? – Odwrócił głowę w stronę mentora.

– Tutaj? – Wampir założył nogę na nogę, opierając na kolanie splecione dłonie.

– Mógłby dbać o moje odzienie... podawać do stołu... – rozmarzył się Nathen.

Vertimes roześmiał się.

– Cóż w tym śmiesznego, drogi ojczy? – zdziwił się młodzieniec. – Wszak ty sam trzymasz w piwnicy tę nieszczęsną śmiertelniczkę, którą odwiedzasz wieczorami. Poisz się jej krwią, wciąż utrzymując ją przy życiu.

Lord pogroził żartobliwie palcem podopiecznemu.

– Twoje stopy prowadzą cię tam, gdzie nie powinny.

Nathen westchnął ciężko.

– Moje stopy... – Spojrzał w dół na buty i okrzyk grozy zamarł na jego ustach.

– Cóż się stało, synu? – Po twarzy Lorda przemknął cień uśmiechu.

– To niemożliwe – wyjąkał słabo Nathen. – To wprost niemożliwe... Obiecywał, że to najlepsze obuwie, jakie kiedykolwiek zrobił... – Pochylił się i ściągnął but, by unieść go ku światłu świec.

– Co jest takie niemożliwe?

– To... to... – Dhampir wskazał palcem czubek obuwia. – Przebarwienie! Ta plama tutaj! Tak bardzo różni się kolorem od całości! – W oczach Nathena pojawiły się prawdziwe łzy rozpacz.

Lord westchnął ciężko.

– Muszę udać się do niego – oznajmił Nathen, po czym usiadł ciężko na dywanie i złapał się za głowę. – Nie... – zamruczał. – Nie mogę się tak pokazać na ulicach Enhilleru. Co sobie o mnie pomyśla? Najpierw muszę zmienić buty. Może na te z kłamrą? – Przytknął palec do warg i przygryzł jego koniuszek. – Ale do nich o wiele lepiej pasują spodnie, które uszył krawiec w Slith. Jeśli jednak zmienię spodnie, to nie będzie pasowała koszula, którą teraz mam na sobie... – pomrukiwał pod nosem.

Vertimes potrząsnął głową. Najwidoczniej jego podopieczny znalazł sobie zajęcie na kilka klepsydr. Podniósł się ciężko z fotela i podszedł do łóża. Śpiący chłopiec poruszył się niespokojnie.

– Nathenie... – Lord zerknął na dhampira. Ten jednak pogрузzył się na dobre w kwestii wyboru odpowiedniej koszuli. Nic innego się teraz nie liczyło.

Zrezygowany wampir machnął ręką, na powrót kierując swą uwagę na znalezionego w górach chłopca. Evan przeciągnął się lekko, zsuwając koc, którym był przykryty. Blade powieki drgnęły i chłopiec powoli otworzył oczy. Zamrugął kilkakrotnie.

– Witaj w Enhiller – odezwał się spokojnie stary wampir. – Nazywam się Lord Vertimes, a to mój syn Nathen. – Starał się mówić łagodnym tonem.

Chłopiec przeniósł na niego spojrzenie błękitnych oczu.

– Pamiętasz, co się stało? – Wampir przyglądał się dziecku.

Evan milczał. Niepewnie usiadł, obrzucił pokój nieprzytomnym wzrokiem. Kim był? Co się stało? Co to za miejsce? Ponownie zamrugął, by następnie przetrzeć piąstką oczy. Przyjrzał się z uwagą swoim rączkom. Miał wrażenie, że nie należą do niego.

– Jak cię wołają? – Wampir przysiadł na brzegu łóża, obserwując chłopca.

– Ja... – Malec zerknął niepewnie na starszego mężczyznę. Zmarszczył czołko, próbując sobie przypomnieć cokolwiek. – Ja... nie wiem... – odparł po długiej chwili. Przeszłość była czarną plamą. – Nie wiem! – wykrzyknął rozpaczliwie i ryknął głośnym płaczem.

Słyszając łkanie, tkwiący nieruchomo na podłodze Nathen uniósł głowę i półprzytomnym wzrokiem popatrzył na siedzącego chłopca.

– Cóż za niezwykła wrażliwość serca! – zawołał zafascynowany. – Jakże on przeżywa tę plamę na moim bucie... – Westchnął, po czym sam wybuchnął głośnym szlochem.

Lord pokręcił ze zrezygowaniem głową. Wstał i ruszył w kierunku drzwi. Zatrzasnął je za sobą z hukiem.

– Oszaleję... – Przemierzył krótki korytarz w kilku krokach. – Brigitte! – krzyknął. Zszedł po skrzypiących schodach na parter domu. – Brigitte! – Przystanął na dole i zacisnął palce na poręczy. Drewno zaskrzypiało niepokojąco.

– Tak, panie? – Zza drzwi prowadzących do kuchni wychyliła się niska, tęga kobieta o puciołowatej twarzy i rumianych policzkach. Dwa grube rude warkocze spływały na obfity biust wyłaniający się z fałbaniastej koszuli, wpuszczonej luźno w marszczoną, sięgającą ziemi spódnicę. Wytarła umączone ręce w przepasujący ją w talii fartuch. – Kolacja dla panicza będzie gotowa niebawem – poinformowała i zamierzała na powrót zniknąć w kuchni.

- Zaczekaj. – Vertimes westchnął. – Znasz się na dzieciach, prawda?
Krasnoludzica ochoczo przytaknęła.
- Wszak pomagałam w opiece nad paniczem – przypomniała.
- Właśnie... – Potarł z rezygnacją podbródek. – Nathen wpadł w jeden ze swoich nastrojów – mruknął. – Plamka na bucie...
- Och... – Zaplotła ręce na podołku. – Moje maleństwo... Zapewne nie będzie miał apetytu na to, co przygotowałam. Może przyrządzę coś innego... Coś, co lubi i co pozwoli mu oderwać się od ponurych myśli.
- Brigitte! – Wampir podniósł głos. – Idź na górę i zajmij się znalezionym chłopcem – polecił. – Nathen z głodu nie umrze, jak dostanie swoją kolację trochę później. Zresztą i tak jest teraz zbyt zajęty rozpaczą nad obuwem – zadrwił.
- Kobieta popatrzyła z oburzeniem na wampira.
- Wychodzę. Kiedy wrócę, nie chcę słyszeć płaczu żadnego z nich – warknął, odsłaniając kły.

Karczma w Terlin jak zwykle była pełna gości. Wesoły gwar drażnił Vartheńczyka. Czy ludzie naprawdę nie mieli innych zajęć niż siedzenie tutaj, słuchanie rzepolącego grajka bądź nowinek przywożonych przez podróżujących kupców? Najchętniej wykopałby ich wszystkich za drzwi. Upił kolejny łyk piwa, zastanawiając się nad zamówieniem czegoś mocniejszego.

Ile to już minęło, od kiedy tu pomieszkiwał? Kilkanaście dni chyba. Stracił rachubę czasu. Szedł spać do wynajętego pokoju, budził się, schodził do izby tylko po to, żeby coś zjeść, upić się, i wracał na górę. Rudowłosa ładacznicą Arrisa przyglądała mu się podejrzliwie. Coś musiało się stać, że Morht przyjechał sam, do tego prawie nie opuszczał karczmy. Wszak zawsze zjawiał się tu z Quenem. Tymczasem jasnowłosego zbrojnego nie widziała, od kiedy powrócił z pościgu za handlarzami. Nie wiedziała, co o tym myśleć. Zaciśnęła dłoń na zwisającym luźno wisiorze w kształcie kropli, ostatnim prezencie od zwiadowcy. Przez chwilę obracała go w palcach, łypiąc na siedzącego w kącie Morhta. Nie odważyła się jednak podejść i zapytać go o przyjaciela, dobrze pamiętając, jak wczorajszego wieczoru odgonił ją niczym natrętną muchę. Czarnowłosa bywał porywczy, a ona nie chciała doświadczyć jego gniewu.

Pół nocy biła się z myślami, by wreszcie przed świtem zakraść się do stajni. Nie zastanawiając się wiele, wyprowadziła jedno ze zwierząt, które wyglądało na najspokojniejsze, i dosiadłszy go z trudem, wyruszyła w drogę do zamku Laghortów. Skradziony koń nie sprawiał kłopotów, chociaż nie była dobrym jeźdźcem. Najważniejsze, że nie zrzucił jej po drodze i nie uciekł.

Pojawienie się Arissy u wrót zamku wzbudziło zainteresowanie Urlina, który oszołomiony urodą dziewczki nie mógł oderwać od niej oczu. Westchnął z żalem, kiedy poprosiła o sprowadzenie Quena. Wiedziała, że zastępca zbrojnych wysłucha jej i zrozumie niepokój, który ją tu sprowadził. Zresztą ostatnio rozumieli się coraz lepiej...

Nie pomyliła się. Za zgodą Lyanny, a na prośbę Quena, miała pozostać na zamku aż do jego powrotu. Nakarmiona do syta, ogrzana w ciepłej kuchni, rozglądała się niepewnie po pomieszczeniu. Wszystko tu było dla niej nowe. Przez chwilę w jej głowie zagościła myśl, jak wspaniale byłoby tu pozostać. Mogłaby sprzątać stajnię bądź komnaty, pomagać w kuchni... Cokolwiek, byle nie wracać do gospody. Rozmarzyła się, podpierając podbródek na dłoni i pijąc ciepły napar. Zerknęła na krzątającą się Selenę i opuściła głowę ze smutkiem. Nie zasługiwała na to, aby spotkało ją tyle dobra. Tak przynajmniej uważała.

Tymczasem Quen i Lyanna wyruszyli do Terlin. W karczmie wypatrzyli przyjaciela siedzącego w kącie i błędzącego smętnym wzrokiem po wnętrzu oberży i jej gościach. Ku ich zdumieniu wyglądał na trzeźwego, choć zmęczonego.

Morht popatrzył przekrwionymi oczami na dosiadającego się obok Quena. Miejsce naprzeciw zajęła zmartwiona Lady.

– Nie wyglądasz najlepiej – zauważyła.

– Podobno nie. – Wzruszył ramionami.

– Nie obwiniaj się. – Lyanna popatrzyła uważnie na Morhta. – W tej sytuacji należało tak postąpić. Mój błąd, że poparłam Kyle. Sądziłam, że będzie umiała... – zająknęła się. – Jest jeszcze taka młodziutka, niewiele w życiu widziała...

– Wiadomość o śmierci Evana była dla niej wstrząsem. – W ciemnych oczach Morhta pojawił się smutek. – Nie znaleźliśmy ciała.

– Zrobiłeś to, co należało – powtórzyła Lyanna.

– Odebrałem jej prawo wyboru. – Morht skrzywił się i wziął kolejny łyk wody. Przez wypity wcześniej napar z ziół, przygotowany przez uczynną żonę karczmarza, który miały usunąć uporczywy ból głowy, wciąż paliło go w gardle. – Każdy z nas ma prawo wybrać to, co uważa za najlepsze dla siebie. Ona chciała tam zostać. Nie mogłem na to pozwolić.

– Nie mogłeś – zgodziła się z nim Lady. – Czasami trzeba komuś pomóc podjąć decyzję. Wskazać różne możliwości wyboru. Nie było na to czasu. Musieliście ruszać...

– Wiem o tym – mruknął Morht.

– Może jednak nie w taki sposób, jak zrobiłeś to ostatnio... – Zawiesiła głos, patrząc znacząco na Quena.

Najemnik wzruszył obojętnie ramionami. Nie chciał wypowiadać się na temat ostatnich posunięć przyjaciela.

– Nie udało mi się. – Morht odsunął od siebie pusty kubek.

– To nie twoja wina – odezwał się cicho Quen. – Dobrze wiesz, że zrobiliśmy, co mogliśmy. Gdyby nie wylazł z jaskini...

– Był jej rodziną, poza nim nie miała już nikogo... – Wpatrzył się ponuro w stół.

– Ma mnie i Eryka – wtrąciła Lyanna. – I... ma ciebie.

Morht wykrzywił się jak po zgryzieniu chrzanu.

– Mylisz się w swoich domysłach. – W jego głosie zabrzmiał surowy ton. – Nie jestem taki jak Will czy Artch. Nie umiem być taki jak oni i nie chcę tego!

– Morht... – zaczął Quen, jednak widząc, że przyjaciel wstaje od stołu, umilkł.

Czarnowłosy pochylił się w stronę Lyanny, patrząc na nią z taką wrogością, że aż odchyliła się do tyłu. Przypominał kogoś sprzed wielu lat. W czarnych oczach nie było cienia ciepłych uczuć. Przeszywał ją pustym wzrokiem na wskroś, jak drapieźnik, który wie, że za chwilę zabije swoją ofiarę, i napawa się jej przerażeniem. Przeszedł ją nieprzyjemny dreszcz. Nie sądziła, że jeszcze kiedykolwiek poczuje lęk w jego obecności.

– Zapamiętaj to sobie: zawsze w głębi duszy pozostanę Vartheńczykiem – wycedził przez zęby. – My nie umiemy kochać. Będzie się mnie bała tak samo, jak ty wystraszyłaś się teraz. – Nie spuszczał z niej nieruchomego spojrzenia. – Nie wiesz, czy nagle nie sięgnę po nóż i nie wbiję go w ciebie, prawda? Nie wiesz, co zrobię za chwilę. – W jego głosie narastała furia. – Tego dla niej chcesz?

Pokręciła przecząco głową, nie spuszczać czujnego wzroku z mężczyzny. Jej dłoń sama powędrowała ku rękojeści sztyletu.

– Morht, przecież ty... – Umilkła, gdy szybkim ruchem chwycił jej nadgarstek. Syknęła cicho, czując miazdzący uścisk. Z trudem wyszarpnęła rękę. Od razu rozmasowała bolące miejsce.

– Opanuj się, do cholery! – Zdenerwowany Quen złapał przyjaciela za ramiona.

– Puść mnie. Nic jej nie zrobię. – Czarnowłosy roześmiał się zimno i odsunął od zdezorientowanej Lyanny.

Quen spoglądał na niego niespokojnie, gotowy w każdej chwili do powstrzymania przyjaciela. Jednak rozluźnił uchwyt.

– Sama zobacz, ile zamieszania przez kilka słów. – Morht usiadł na swoim miejscu.

Długą chwilę patrzyła na niego uważnie, przetrawiając to, co właśnie się wydarzyło.

– Chyba już wiem, co chciałeś mi udowodnić – oznajmiła spokojnie. – Nie zapominaj jednak, że płynie w niej krew Laghortów.

– Co to ma do rzeczy? – prychnął Morht.

Quen patrzył to na jedno, to na drugie, nie rozumiejąc do końca, o co chodzi.

Lyanna podniosła się zza stołu, poprawiła narzucony na ramiona płaszcz i bez ostrzeżenia wymierzyła Vartheńczykowi cios pięścią w twarz. Quen zamarł w bezruchu.

– Prędeż ci przyłoży w ten twój dumny łeb, niż ucieknie – syknęła, pochylając się i chwytając przyjaciela za koszulę na piersiach. Szarpnęła mocno, aż materiał zatrzęszczał. – Rozumiesz? – Spojrzała na Morhta rozcierającego podbródek. – A jeśli jeszcze raz... kiedykolwiek... ściśniesz jakąkolwiek część mojego ciała z taką siłą, jak zrobiłeś to przed chwilą, obiecuję, że jeden z moich noży utkwi w twoim oku.

– Ja cię nie uderzyłem – zaprotestował słabo.

– Jeszcze tego brakowało. – Roześmiała się wesoło. – Mogę poprawić, jeśli nie zrozumiałeś – odcięła się, siadając z powrotem na ławie.

Quen pokręcił głową.

– Będziecie się tłuc w karczmie? To prywatna bójka czy można się dołączyć? – zakpił. – Ten nóż w oku chyba chciałbym zobaczyć. Do tej pory grozili mi zawsze odcięciem kutasa. – Zarechotał.

Lady i Morht spojrzeli na niego jednak nieprzyjemnie.

– Dobra, już milknę. – Uniósł dłonie w obronnym geście.

– Muszę wyjechać. – Morht popatrzył na przyjaciół. – Po prostu muszę.

Lyanna westchnęła ciężko, podnosząc się z miejsca.

– Nic tu po nas, Quen. Wracajmy – zwróciła się do nowego dowódcy zbrojnych. – Już wiem, dlaczego król Beron pasował cię na rycerza. – Posłała wściekłe spojrzenie Morhtowi. – Równie zakutego łba nie widziałam – rzuciła złośliwie i skierowała się do wyjścia z karczmy.

Quen pokiwał głową. Klepnął Morhta w ramię, po czym ruszył za Lady. Opuściwszy gospodę, przystanęli na zewnątrz. Kiedy uchylające się drzwi skrzypnęły, żadne z nich nawet nie drgnęło.

Z workiem przewieszonym przez ramię Morht podążył do stajni.

Kiedy przejeżdżał obok przyjaciół, uniósł dłoń na pożegnanie.

Nie odwzajemnili gestu. Stali, patrząc w grobowym milczeniu, jak mija bramę miasta.

– Zwykły głupiec – skwitowała Lyanna. – Mam nadzieję, że ty masz więcej rozumu niż on. Inaczej nie zależałoby ci, aby pewna rudowłosa osóbką pozostała na zamku.

Quen opuścił głowę, przypatrując się z nagłą uwagą czemuś na ulicy. Odchrząknął nerwowo.

– Mężczyźni... Za co bogowie pokarali wami kobiety? – zadrwiła Lady. – Rusz się, wracamy do domu.

C.D.N.

Oficyna wydawnicza [RW2010](#) proponuje:

E. M. Thorhall: ZAMEK LAGHORTÓW, I tom cyklu ZBROJNI

Ostrzegamy: ta opowieść wciąga i pochłania.

Nie będziecie się mogli doczekać ostatniej strony, a potem będziecie żałować, że to już koniec. Akcja, turnieje, dworskie obyczaje, intrygi, zjawy, dziwne istoty, rodzące się uczucie, którego obie strony się wypierają, humor, barwny język, plastyczne opisy – to wszystko znajdziecie w I tomie powieści z cyklu *Zbrojni* pod tytułem: *Zamek Laghortów*.

Młodziutka Kyla, uciekając przed niechcianym ślubem, trafia pod opiekę Sir Eryka i jego żony Lady Lyanny. Poznaje zamek, jego mieszkańców, nawiązuje przyjaźnie, uczy się fechtunku, odkrywa prawdę o swoim pochodzeniu. Wiele się wokół niej dzieje. Wszyscy zdają się lubić i akceptować jasnowłosą podopieczną Laghortów, prócz jednej osoby: ponurego, opryskliwego Morhta. Ten pochodzący z Varthenu surowy i oschły dowódca najemników z jakiegoś powodu od samego początku nie znosi dziewczyny i nie zamierza jej pobłażać. Panna drażni go, irytuje i wzbudza niezrozumiały dla niego samego gniew. Kyla znosi jego zachowanie do czasu... ów, przemoc i gwałt, miłość i magia, barbarzyńcy i... dhampir. Co tu, na ciemnika, robi dhampir?

Romuald Pawlak: Rycerz bezkonny

Nie całkiem poważna fantasy o rycerzu bezkonnym, który zaczął od dorabiania pasowaniem zwłok, zrobił krótką, ale intensywną karierę jako świecki inkwizytor, by wreszcie oddać się swemu prawdziwemu powołaniu: magii. A wszystko to za sprawą kupca, który przejął za długi rodzinny majątek Fillegana, zmuszając go do emigracji z rodzinnego Wake w Anglii na kontynent. Oto dłaczego kupiec zawsze będzie wrogiem rycerza, a rycerz krzywo spoglądać będzie na bogatego kupca... chyba że sam stanie się po stokroć bogatszy. Skoro nie całkiem poważna literatura, to należy się tu spodziewać i kultu Monty Pychotka, i morderczej mandragory, wystąpienia mumii Ramzesa XII, a nawet gadającego mchu.

Martyna Goszczycka: Odrodzenie

Jedynie poświęcenie prowadzi do odrodzenia

Przedświat demonów i Zaświat nimf, barwne aury i Zwierciadła Duszy, boginie stworzone przez alchemika i bezduszne reguły Syndykatu Skrytobójców, Sny, które przerażają i fascynują zarazem. Oto świat, w którym dorasta młody demon Haru – uczy się, jak przeżyć i jak zabijać, walczy, by zostać uczniem okrutnej białowłosej. A może jest lub stanie się dla niej kimś więcej? Może on też czegoś nauczy piękną Plage...

Odrodzenie to mroczna powieść fantasy, pełna przemocy, śmierci, scen walki, ale także kipiących emocji i rodzących się uczuć. Autorka to absolutna debiutantka, która bez kompleksów, za to z rozmachem wprowadza nas w swój świat wyobraźni, w ciekawy sposób łącząc horror, fantasy i powieść z gatunku płaszczka i szpady.

Katarzyna Uznańska: Ziemią wypełnisz jej usta

Gdy łowca staje się ofiarą...

Królewskie miasto nie zasypia nigdy, ale dopiero po zmroku budzą się jego upiory. Łowca, skryty w cieniu starych kamienic, poluje na samotne kobiety, by podzielić się ich ciałami z rzeką. Ta noc będzie dla niego wyzwaniem – z prześladowcy stanie się ofiarą.

Utarty schemat życia Łowcy rozpadnie się w pył, gdy mężczyźni przyjdzie zmagać się z podobną mu, choć o wiele potężniejszą

istotą – estrią. Stare legendy czasem ozywają, by zawładnąć ludzką wyobraźnią.

Ina – polska szlachcianka – egzystuje od wieków pod postacią żydowskiego demona; czuje jednak, że jej czas dobiega końca. Wybrała Łowcę na powiernika swojej historii, a może kogoś znacznie więcej...

W powieści teraźniejszość splata się z historią i mitem, tworząc współczesną baśń o ludzkich pragnieniach i przekraczaniu granic w pogoni za ich zaspokojeniem.

Dariusz Kankowski: Re-Horachte. Pierwsze spotkanie

Podróż, przygoda, przyjaźń, poświęcenie

Powieść przygodowo-fantastyczna, w której akcja goni akcję i roi się od tajemnic. Czterech chłopców wyrusza w rejs, który na zawsze odmieni ich życie. Zaczyna się od katastrofy morskiej, następnie wybucha wulkan, a potem napięcie rośnie.

Młody autor w swoim powieściowym debiucie funduje nam fantastyczną podróż, pełną przygód, zwrotów akcji, gwałtownych emocji i wzruszeń. Czytelnik, zasiadając do lektury, rusza razem z młodymi bohaterami w jazdę bez trzymanki. Czekają ich: walki, ucieczki, dziwne spotkania, wędrówki w czasie i przestrzeni, zmagania z przeznaczeniem, mordercze turnieje, a przede wszystkim szukanie drogi do prawdy o sobie samym...

Kontynuacja cyklu w powieści *Re-Horachte. Pierwsze spotkanie*

Radosław Lewandowski: Yggdrasil. Struny czasu

Struny czasu opisują zmagania kilkudziesięcioosobowej średniowiecznej społeczności, przeniesionej przypadkowo i bezpowrotnie w okres paleolitu środkowego, w czasy gdy po ośnieżonych równinach dzisiejszej Europy wędrowały olbrzymie stada reniferów, dzikich koni i ciągnących w ślad za nimi drapieżników. Potężne mamuty nie miały godnych siebie przeciwników, z wyjątkiem mrozu i prymitywnych słabo uzbrojonych łowców, którzy równie często występowali w roli myśliwego co ofiary.

Wraz z mieszkańcami wioski, w przeszłość zostaje przeniesiony niewielki oddział Wikingów, najemników, których Thor wystawił na najcięższą próbę w drodze do Walhalli. Temporalni podróżnicy, a wraz z nimi cała ludzkość, stają w obliczu wielkiego niebezpieczeństwa.

Kontynuacja serii w powieści *Yggdrasil. Exodus*.

Joanna Łukowska: PIERWSZA Z RODU: ZNAJDA

To opowieść o skrzatach i ludziach, radzących sobie w świecie bez słońca. Estera pisze pamiętnik, licząc, że ktoś go przeczyta; o ile po latach mroku ktoś jeszcze będzie umiał czytać. Rosa, młody przywódca skrzatów z Boru, rozmyśla o nieciekawej sytuacji swych pobratymców. Wielebna Maura czyni wyrzuty pozbawionej uczuć Pustej z powodu zagubienia Obiektu. Jakim sposobem dzieciak wymknął się z sieci? A jakim cudem ociemniały świat wciąż trwa? Czyżby dało się oszukać los? Czy ziarnkiem piasku, zgrzytającym w żarnach przeznaczenia, może być dziwna zielonooka dziewczynka? Milczy i uśmiecha się szczerbato, odważnie patrząc w mroczną twarz Boru. Skrzatów też się nie boi, choć nie należą one do codzienności ludzkich szczeniąt. Kim jest to dziecko?

Znajda to opowieść o wyborach, wolnej woli, różnych obliczach miłości, o tym, że Droga jest ważniejsza od Celu. Bo choć przeszłość jest jedna, niezmienna, ścieżek prowadzących do przyszłości może być wiele...